

SZCZEGÓLNIŃE POLECAMY:

• Anna Frajlich – Dziennik, I-VII 1990 rok

• Dariusz Filar – Proza

• ks. Jacek Grzybowski – O Martinie Heideggerze

• Roman Warszawski w rozmowie ze Sławomirem Mroźkiem

• Elżbieta Musiał – Poezja

• Jurij Polakow – Proza

• Edyta Antoniak-Kiedos – Rzecz o Alojzym Piontku



Migotania

Gazeta literacka

Nr 3 (40) 2013 kwartalnik
cena 15 złotych (w tym VAT 8%)

*"Poezja żyje wieczną
bezsennością"
(z: Koronki z Montmirail,
Rene Char)*



Tadeusz Różewicz

W nieznanej mowie

Sprzedawała owoce

jej słowa były
dla mnie
zamknięte

wskazałem
granat
i poprosiłem
aby go otworzyła

dojrzałe
wnętrze
krwawiło w słońcu

w ustach
zaśnił wilgotny uśmiech
wypełniony
zębami językiem
słowami
o nieznanym smaku

Fot. Zbigniew Joachimiak

W numerze rysuje Dominik Kowalczyk, zdjęcia Wojław Brydak

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2013

Edward Zyman

Felieton to nie rozprawa naukowa. Przywilejem autora uprawiającego ten gatunek jest przerysowanie, prowokacja, najbardziej nawet przesadna skłonność do ocen subiektywnych lub intencjonalnie niesprawiedliwych. Nade wszystko zaś kpina, ironia czy sarkazm. Zwłaszcza, gdy obnażają ludzką podłość, głupotę czy prymitywną wiarę, że postępowanie człowieka da się wytłumaczyć dychotomią czerni i bieli. Najbardziej nawet „szlachetny” stereotyp jest tylko stereotypem, czyli symplifikacją. Naturalną u leniwych umysłów tęsknotą do uczynienia świata – za każdą cenę – bardziej zrozumiałym.

Autorka otwierającego ostatni numer „Migotań” (2013, nr 2) felietonu „Po wierzchu o tym, co bardzo głęboko” słusznie dworuje sobie z funkcjonujących w Polsce w pewnych kręgach głupkowatych opinii na temat „niemądrych” Amerykanów i żywionego przez wielu (?) z nas przekonania, że jesteśmy lepsi (bardziej szlachetni, bohaterzy) niż inni. Właściwie nie byłoby

o co kruszyć kopii, bo sprawy to ewidentne, gdyby Małgorzatę Szadkowską-Borys polemiczna werwa nie zwiódła na manowce zbyt jaskrawych uproszczeń i zdecydowanie za daleko idących uogólnień, które, jak wiadomo, są źródłem bolesnych nieporozumień.

Po pierwsze owo przekonanie, z którym polemizuje autorka felietonu jest bardziej

prawdą medialną, czyli zręczną i powtarzaną przez wielu figurą stylistyczną, niż wynikającym z badań empirycznych rozpoznaniem naukowym. A zatem jest: stereotypem, opinią obiegową, która stanowi obiekt słusznych kpin autorki. Założmy jednak, że jest inaczej. Że dysponujemy wiarygodnymi badaniami socjologicznymi, które nie budzą naszych najmniejszych wątpliwości. Czy fakt ten upoważnia do zademonstrowanych przez autorkę felietonu generalizacji? Mój największy opór budzi chwytliwe w sensie dziennikarskim, niemal automatyczne przejście od jednego stereotypu do drugiego, sugerowanie, że stanowią pewien logiczny ciąg aberacyjnego myślenia, czy raczej bezmyślenia.

O ile nie sposób nie zgodzić się z autorką felietonu, gdy obśmiewa przekonanie o pozornej niewiedzy przeciętnego Amerykanina na temat Polski (pozornej, bo, jak słusznie zauważa, tezę o tej kompromitującej niewiedzy da się łatwo odwrócić i identyczny zarzut postawić wielu naszym rodakom, którzy o Ameryce wiedzą równie niewiele), o tyle nie sposób przejść do porządku dziennego nad jej dalszymi wywodami. Dlaczego? Ano dlatego, że niewiedza (obojętnie: pozorna czy pewnych kręgach rzeczywista) na temat Ameryki nie musi tworzyć logicznego ciągu

z hurapatriotyzmem, antysemityzmem, homofobią czy upiorami mesjanizmu. I nie chodzi mi już o to, że na przykład ów mesjanizm kryptonimuje organizacja w sensie społecznym marginalna, a jej przywódcę łatwo wykpić wykazując toporny prymitywizm jego myślenia, czy wręcz kompromitującą niewiedzę. Rzecz w czym innym. W tym, by jednego stereotypu nie zamieniać na inny, a rzeczywistych problemów nie mieszać z dziennikarską imaginacją.

Mam świadomość, że w stosunku do autorki, której dotychczasowe felietony sam czytałem z przyjemnością, zarzut to poważny. Może nawet krzywdzący w tym sensie, że przypisuję jej myślenie, którego w poważnych artykułach swoim nazwiskiem raczej nie chciałaby podżyrować. Może. W felietonie to jednak uczyniła. Co więcej poszła znacznie dalej. Wyliczając nasze narodowe ułomności, jednym tchem wymieniła bowiem Romana Dmowskiego, ustawowy zakaz „publicznego pomawiania Narodu Polskiego (w oryginale jest Narodów, ale to najwyraźniej literówka – E.Z.) o udział, organizowanie lub odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne lub nazistowskie” i wreszcie uchwałę sejmową „oddającą hołd Narodowym Siłom Zbrojnym”.

Wiem, że czasami spod pióra (klawiatury) wymknie się jakiś zwrot mało precyzyjny czy wręcz niezręczny, niekiedy nawet myśl, która przy powtórnym czytaniu okazuje się niezbyt trafna, a może nawet dotkliwie kogoś krzywdząca. Autorem ceniącym swoje słowo zdarza się to jednak bardzo rzadko. I dlatego muszę w tym miejscu wyrazić wątpliwość, czy autorka przed wysłaniem do druku miała okazję przeczytać to, co napisała. Gdyby przeczytała, nie mogłaby najprawdopodobniej zestawiać groteskowego szefa Polskiej Partii Imperium Słowiańskiego „Razem” z człowiekiem, który był nietuzinkowym mężem stanu, i lekceważenie jego zasług w zabiegach na arenie międzynarodowej o suwerenność i niepodległość Polski jest, niezależnie od sympatii politycznych wypowiadającego podobną opinie, co najmniej niewłaściwe.

Od dziesięcioleci w mediach zachodnich mówi i pisze się o polskich obozach koncentracyjnych, co jest jawną brednią historyczną i (nie zawsze) intencjonalną prowokacją. Nie do rzadkości też należy obciążanie Polaków za współudział w zbrodniach hitlerowskich Niemiec. Czyżby autorka uważała, że w imię osobliwie pojętej wolności słowa, w Polsce powinniśmy nie reagować na podobne kalumnie? Jeśli uważnie czytać felieton „Po wierzchu o tym, co bardzo głęboko”, należałoby wyciągnąć wniosek,

że za owe zbrodnie, podobnie jak za bestialstwa systemu komunistycznego ponosi odpowiedzialność (choćby częściową) naród Polski? No, bo skoro za podobne „rewelacje” nie groziłaby żadna kara, to należy przyjąć, że coś tu jest na rzeczy? Mam ochotę zapytać Małgorzatę Szadkowską-Borys: co?

Zauważmy przy okazji, że autorka felietonu jest niekonsekwentna. Powszechnie przyjęty (w pewnych kręgach) stereotyp podpowiada dalszy ciąg „narodowych przywar” Polaków: „nonsensowne”, zawsze przegrane powstania: listopadowe, styczniowe, warszawskie. A zatem nie dające się wytłumaczyć przesadna brawura i głupota; tę ostatnią najlepiej ilustruje szarża polskiej kawalerii na niemieckie czołgi. Nieistotne, że takiej szarży nigdy nie było, a kawaleria, mimo swej anachroniczności, w wielu momentach kampanii wrześniowej okazała się bardzo skuteczna. Jak zużyta mantra, pojawia się w tym momencie przykład „rozsądnych”

Bardzo po wierzchu

Czechów. A zatem, utrzymują przeciwnicy narodowych powstań, można było inaczej, mądrzej i nie mniej skutecznie. Można było istotnie. Zwłaszcza w dywagacjach autorów nie pamiętających uwarunkowań i realiów II wojny światowej (nie było ich wówczas na świecie) lub zakładających dobrą wolę Stalina, co już nawet nie tylko dla historyków jest w świetle obecnej wiedzy niesmacznym, a z pewnością cynicznym żartem.

I w końcu, czy rzeczywiście złożenie hołdu formacjom NSZ walczącym z Niemcami i ugrupowaniami zbrojnymi partyzantki sowieckiej w świetle ponurych lat hitlerowskiej okupacji i ponad czterdziestoletniej dominacji komunistycznej w Polsce, zwłaszcza zaś zbrodniczych działań UB, a także niektórych oddziałów LWP, jest czymś nagannym? Autorka nie chce pamiętać, że w końcu lat czterdziestych toczyła się na ziemiach polskich faktyczna wojna z nowym okupantem. Tłumaczy to okrucieństwo obu stron, ale w końcu nie tylko dowództwu i żołnierzom NSZ znana była (nie tylko po Powstaniu Warszawskim, ale znacznie wcześniej: po Teheranie i Jałcie) prawda, jakim to „sojusznikiem” niepodległej i suwerennej Polski jest ZSRR. Zresztą Anglia i Stany Zjednoczone również.

Napisałem tę polemikę, gdyż jestem przekonany, iż faktów przytoczonych wyżej nie jest w stanie uchylić żadne zbójce prawo felietonisty, ani najbardziej nawet prowokacyjny dziennikarski „kij” włożony (w imię czego?) w „mrowisko”.

Edward Zyman

1 Nie byłem pewna, czy powinnam skorzystać z udzielonej mi przez redaktora naczelnego przestrzeni na polemikę z polemiką. Pierwszy powód wahania wiązał się z klasyczną trudnością w dowodzeniu, że nie jest się wielbłądem, ale – powiedzmy – zawsze wato próbować. Inny powód wyrastał z poczucia, że pod warstwą elegancji, erudycji i elokwencji w tekście pana Zymana kipi coś, z czym właściwie nie sposób podjąć dyskusję (pisanie o bezmyśleniu, jakkolwiek by tego nie opakowywać, zwyczajnie mnie obraża). Jeszcze inny powód zrodził się z nawyku powtarzania przedśmiertnej wolterowskiej frazy: „spokojnie, dobry człowieku, to nie czas na robienie sobie wrogów”.

Chciałabym jednak (przede wszystkim czytelnikom, którzy nie muszą mieć w pamięci ani pod ręką mojego felietonu, a czytają polemikę) przypomnieć, że od samego tytułu (**Po wierzchu o tym, co bardzo głęboko**) poprzez wielokrotne podkreślenia dystansu (*trudno studiować wyniki rankingu jak Biblię*), po jednoznaczne podsumowanie (*Tak, zgadzam się, na skróty przebyłam drogę od tego, co nawet śmieszne, do tego, co przerażające. Tak, zgadzam się, skok od rankingu uczelni do homofobii może wydać się niesprawiedliwy. Tak, zgadzam się, sprawę traktuję powierzchownie nie wzbogacając tych refleksji namysłem nad źródłami naszych narodowych przywar*), które nie powinno pozostawiać wątpliwości, co było celem tego „felietonu-kolażu”, a do czego ów artykuł (nawet przez moment) nie aspiruje. Co tu oburza? Narodowe słabości i przywary, nie zestawiane (po drodze wielokrotnie tłumacząc!) na zasadzie implikacji, a raczej ciurkiem wymieniane, w duchu dumasowskiej mądrości, że każde uogólnienie jest niebezpieczne, nawet to? A czytam w polemicznym artykule np., że „niewiedza na temat Ameryki nie musi tworzyć logicznego ciągu z hurapatriotyzmem, antysemityzmem, homofobią

czy upiorami mesjanizmu”, co mi imputuje, że ów ciąg próbuję wykazać. Nie, nie próbuję i żadna retoryczna wywrotka poczyniona na bazie mojego tekstu tego nie dowiedzie.

Szósty zmysł wskazuje mi na języczek u wagi: „Wyliczając nasze narodowe ułomności, jednym tchem wymieniła bowiem Romana

Re Do Re

Dmowskiego, ustawowy zakaz „publicznego pomawiania Narodu Polskiego o udział, organizowanie lub odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne lub nazistowskie” i wreszcie uchwałę sejmową „oddającą hołd Narodowym Siłom Zbrojnym”. Nic nie poradzę, proszę Pana, że czuję niestosowność w stawianiu pomników Romanowi Dmowskiemu vel Kazimierzowi Wybranowskiemu, jawnie głoszącemu antysemickie poglądy (ani nie ujmując mu zasług, ani nie próbując nawracać dzisiejszych narodowców). Jest spora grupa Polaków, którym ta dwuznaczność nie przeszkadza. Mnie tak. Zamknę wątek słowami Henryka Grynberga z wywiadu udzielonego na łamach Newsweeka Dariuszowi Wilczakowi: „Gdyby pomnik stanął na Bródnie, gdzie Dmowski jest pochowany, w Kamionku, gdzie się urodził, lub w Drozdowie, gdzie umarł, prawdopodobnie nie wzbudzałby takich kontrowersji. W reprezentacyjnym punkcie stolicy „edukacyjny” monument podkreśla zadawniony polski konflikt. Ktoś trafnie określił, że Polacy mimo upływu lat wciąż są podzieleni między dwie trumny: Dmowskiego i Piłsudskiego. Ironia losu jest taka, że Dmowski odniósł z za grobu zwycięstwo, bo w dniu urodzin marszałka nie stoi przy jego pomniku żadna warta, a przy pomniku Dmowskiego stoi i dudni werbel.”

I jeśli czytam oburzenie na fakt, że „nie do rzadkości też należy obciążanie Polaków za współudział w zbrodniach hitlerowskich Niemiec”, to z przerażeniem zastanawiam się, jak mocno trzeba zamykać oczy i uszy, żeby nie przyjąć do wiadomości choćby Jedwabnego. Wygodniej patrzeć na własny naród przez pryzmat romantycznych wyobrażeń (ktoś mi stereotypizację zarzuca?), ale czaro-biała wizja raczej nie odzwierciedla jego dramatycznej i skomplikowanej historii.

Sugerowanie mi w ramach podpowiadania dalszego ciągu „narodowych przywar” Polaków opinii na temat powstań także traktuję jak nadużycie. A w kwestii (retorycznego, jak rozumiem) pytania, czy „złożenie hołdu formacjom NSZ walczącym z Niemcami i ugrupowaniami zbrojnymi partyzantki sowieckiej (...) jest czymś nagannym”, mogę jedynie przypomnieć, że zdania uczonych i w tej kwestii są podzielone. Dla jednych mordowanie Żydów przez NSZ to „fałszywy mit”, inni (powołując się choćby na raport Tadeusza Komorowskiego) mówią o pomocy NSZ Niemcom przy zabójstwach Żydów czy o specjalnych grupach zajmujących się ich tropieniem i mordowaniem. Czuje się Pan na siłach zważyć te głosy? Może nie wszystkim te „wątpliwości” przeszkadzają czcić bohaterów NSZ. Mnie tak. Ponieważ trudno na ten moment jednoznacznie sprawy rozstrzygnąć, życzyłabym sobie powściągliwości w stawianiu pomników. I tyle. Mimo że znajdują się na pewno głosy, że to życzenie mało patriotyczne, powierzchowne i świadczące o bezmyśleniu.

Z uszanowaniem (także dla różnic poglądów)
Małgorzata Szadkowska-Borys
1 IX 2013

SPIS TREŚCI

Edward Zyman – <i>Bardzo po wierzchu</i> / Polemiki	2
Małgorzata Szadkowska-Borys <i>Re Do Re</i> / Polemiki.	2
ks. Jacek Grzybowski – <i>Martina Heideggera nadzieje adwentu nowej epoki</i> / Esej	3
Marek Wawrzekiewicz – <i>Poeci występni</i> / Felieton.....	3
Jerzy M. Ferenz / Poezja	5
Adam Majewski – <i>Z tomu Ameryka</i> / Poezja.....	6
Mirosława Michalska-Suchanek –	
<i>Fiodor Dostojewski – mistrz bluźnierstwa</i> / Esej	7
Roman Warszawski – <i>Człowiek z walizką</i> / Rozmowa	10
Jerzy Niesiobędzki – <i>Zygmunt Greń</i> / Esej	12
Sławomir Majewski – <i>Pomysł na powieść</i> / Proza	14
Piotr Piątek / Poezja	15
Elżbieta Musiał – <i>Na zdjęciu wciąż żyjemy</i> / Poezja	16
ks. Jan Sochoń – <i>Dowodzę, że Bóg istnieje</i> / Esej	17
Karol Samsel / Poezja	18
Jurij Polakow – <i>Koźlę w mleku</i> / Proza.....	19
Janina Barbara Sokołowska / Poezja	21
Anna Szudek – <i>Cudzoziemki w raju kobiet...</i> / Szkic	22
Roman Ciepliński – <i>Ktoś</i> / Proza	24
Wojśław Brydak – <i>Kurs mistrzowski</i> / Proza	25
Dariusz Filar – <i>Bacon, Aronofsky, Chelsea</i> / Proza.....	26
Grażyna Koszewska / Poezja	27
Aleksander Timofiejewski – <i>Tramwaj Trzydziesty Siódmy</i> / Poemat rosyjski.....	28
Anna Frajlch – <i>Dziennik, I – VII 1990 rok</i> / Dzienniki.	30
Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz / Poezja.....	34
Andrzej C. Leszczyński – <i>Okruchy (22)</i> / Esej	34
Adam Majewski – <i>Massmedia, giełda i samotność</i> / Mare inc ognitum.....	36
Grzegorz Musiał – <i>Z cyklu: Dziennik włoski. Sycylia (16)</i> / Dzienniki–podróże	37
Marek Czuku / Poezja	38
Małgorzata Dorna – <i>Po tamtej stronie lustra</i> / Sztuka	39
Olga Lalić-Krowicka/ Poezja	41
Edyta Antoniak-Kiedos – <i>Wyszedłem stamtąd, żeby opowiedzieć...</i> / Szkic	45
Jacek Geisler – <i>Nowe porzekadła</i>	56
Leszek Szaruga – <i>Wyprasowanie (7)</i>	56

RECENZJE:

Leszek Żuliński – *Mierzwa życia, ład języka* 46; Leszek Żuliński – *Życie czyli cierpienie* 46; Piotr Goszczycki – *Dzienniki z Kapuścińskim w tle* 46; Anna Maria Musz – „*A imię twoje...*”, czyli *Totamea Leszka Żulińskiego* 47; Piotr Goszczycki – *Metafizyczna kompozycja Boga* 47; Magdalena Gałkowska – *Toca – Kobieta – rzeka* 48; Edyta Antoniak-Kiedos – *Poetycka Kamasutra albo „Miłość z powikłaniami”* 48; Paweł Basinski – *Jurij Polakow. Koźlę w mleku. Powieść-epigramat.* 49; Jurata Bogna Serafińska – *Trysłowia poetycka Olgi Lalić-Krowickiej* 49; Daria Dziedzic – Czarno na białym. W telegraficznym skrócie o poezji Hanny Dikty 50; Andrzej Walter Na motywie ... Poezji – bez upiększeń. 50; Patryk Chrzan – *Cmentarz słów* 51; Janusz A. Kobierski – *W lustrze teraźniejszego* 51; Piotr Goszczycki – *Jesień, mimochodem zima* 52; Dorota Abramowicz – *W górach i w puszczy* 52; Jurata Bogna Serafińska – *Nie ma nic poza tekstem* 52; Andrzej Walter – *Jak być Ikarem* 53; Daria Dziedzic – *Pomiędzy słowami a rzeczami – Wokół poetyckiego esse Kacpra Płusy* 53; Daria Dziedzic – *Wielkie, pobrudzone zwierzę ...* 54; Izabela Fietkiewicz-Paszek – *Puste muzea, Karolina Kułakowska* 54.

ks. Jacek Grzybowski

Martina Heideggera nadzieje adwentu nowej epoki

Esej o filozoficznej przyzwoitości, bezdrożach ideologii i zwodniczej mocy czasu

Wraz z ostatnim uderzeniem dzwonu cisza pogłębia się jeszcze bardziej.
To, co proste, staje się jeszcze bardziej proste. To, co jest zawsze tym samym, wywłaszcza nas i wyzwala.
Wołanie idące od drogi staje się teraz zupełnie wyraźne.
Czy jest to głos duszy? Czy świata? Czy Boga?

Martin Heidegger

Dramat filozoficznego umysłu

Współczesne pokolenia trzydziesto i czterdziestolatków – tych, którzy urodzili się i wzrastali jeszcze przed rokiem 1989, a w dojrzałość wchodzili już w nowych czasach liberalnej demokracji lat dziewięćdziesiątych – odkrywają w sobie wyraźną odwagę oceniania, a wręcz osądzania dokonań swoich rodziców i dziadków, których życie przypadło na podłe i straszne czasy nazizmu, bolszewizmu, stalinizmu i komunizmu. „Łaska późnego urodzenia” – jak określił to kiedyś Helmut Khol – sprawiła, że pokoleń tych nie dotknęło zatrważające zło, presja dramatycznych wyborów, nieprawość totalitaryzmów. Nie uwikłani w winę – byli bowiem zbyt młodzi by zostać „ukąszeni” przez deprawujące ideologie – noszą w sobie jednocześnie potrzebę wyrażania pokoleniowych ocen. Z bezpiecznych pozycji patrzą na dramatyczne czasy poprzednich nacji, nie zdając sobie sprawy przed jakimi egzystencjalnymi wyborami stali ci, którzy urodzili się sześćdziesiąt, pięćdziesiąt, czterdzieści lat wcześniej. Tak zapewne tę postawę widzi starzejąca się dziś generacja, której młodość i dojrzałość poddana została historycznym próbom.

Marek Wawrzekiewicz

Nie, nie chodzi o jakieś grzechy główne, których się nie odpuszcza. Chodzi o to, jak poeci występują, jak publicznie prezentują swoją twórczość.

W dawnych czasach poeci mieli wzięcie u publiczności i nie musieli się do nich szczególnie umizgiwać. Publiczność, a szcze-

Poeci występni

gólnie jej damska część z podziwem chłonęła namaszczone miny, zataczające się głosy, długie namysły zapowiadające narodziny genialnej myśli itd., itd. W przypadku natrafienia na szczególnie niewdzięczną i niesforą publiczność poeci dysponowali specjalnymi środkami perswazji – a mieli do tego i warunki i predyspozycje.

Występowałem ongiś jako młody poeta w jakiejś świetlicy przykładowej w Pabianicach, a towarzyszył mi Andrzej Brycht. Czytałem w upojeniu swoje wiersze, ale na salę weszło czterech młodzieńców pod wpływem i zaczęło głośno i nieprzychylnie komentować mój występ. Andrzej władczym ruchem ręki przerwał moje czytanie i zwrócił się do nich z perswazją:

– A co wy....., bo jak....., to się..... Na wszelki wypadek się przedstawiam: Andrzej Brycht jestem, chodzę w półciężkiej, byłem wicemistrzem Śląska. Jak jeszcze raz usłyszę, to tak..... Proszę dalej, panie redaktorze.

W miejsca wy kropkowane należy wstawić odpowiednie słowa. Dziś poeci nie są tak dobrze wysportowani, nie mają świeżej przeszłości bokserskiej i dlatego zapewne muszą używać innych sposobów. Opiszę kilka z nich, a poetów dla większej przejrzystości podzielę na kategorie.

Poeta – inscenizator

Jest to poeta uważający, że wzmocni wymowę wiersza czyniąc zeń scenkę dramatyczną. Z najwybitniejszym przedstawicielem tego gatunku spotkałem się parę lat temu w Parku Europa w pobliżu Wilna.

Zapowiedziano występ poetki litewskiej mieszkającej od trzydziestu lat w Australii. Poetka podniosła się i majestatycznym, cedzonym krokiem przemieściła się w okolice mikrofonu. Następnie położyła się na wznak. Leżała długo i w miarę upływu czasu traciła na apetyczności, której i tak nie miała w nadmiarze. Kiedy publiczność zaczęła się zastanawiać nad wezwaniem lekarza, poetka wstała i mdlejącym głosem długo szemrała wybitny zapewne utwór w jakimś niepojętym języku. Jej zejście z estrady słuchacze skwitowali ulgą i oklaskami.

Inny poeta – tym razem polski – wywołany do występu stał przed mikrofonem i milczy. Publiczność myśli najpierw, że poeta zapomniał wiersza. Potem, że osiągnął stopień opilstwa nie pozwalający mu na zidentyfikowanie miejsca, w jakim się znajduje. Potem, że zasnął na stojąco, bo zmęczyła go droga na estradę. A poeta po dwóch minutach tej krepującej ciszy otwiera oczy i mówi: - Milczenie tyle samo znaczy, co słowo... I schodzi z estrady.

Poeta niepodległy

Jest to poeta nie podlegający wpływowi czasu. Wychodzi przed słuchaczy i czyta – jeden wiersz, drugi, siódmy, dziesiąty. Jest niewrażliwy na głośnie ziewania, szmery, komentarze, rozmowy

i przytupywania innych, czekających w kolejce poetów. Zatrzasnął się w kryształ własnej twórczości i nie ma z nim żadnej komunikacji. Typ powszechnie znienawidzony.

Poeta interpretator

Przypadek ciężki, nie poddający się żadnym kuracjom. Jest to poeta, który czyta swój wiersz i w trakcie tego czytania wyjaśniający jego drugie i trzecie dno. Oznacza to, że autor albo uważa słuchaczy za stado baranów nie będących w stanie pojąć głębi jego utworu, albo wątpiący w jego doskonałość – skoro wymaga komentarza uzupełniającego. Zarówno wiersz jak i komentarz wygłaszane są tym samym głosem, w tej samej tonacji, co powoduje, że publiczność gubi się ostatecznie i nieodwracalnie.

Poeta trzeźwy inaczej

Typ ten charakteryzuje się wielością gatunków i jest możliwy do opisanego w dłuższym traktacie. Obfituje w kategorie i podgatunki różnorodne – od pospolitych po fenomenalne. Literatura na ten temat jest bardzo bogata, istnieją poważne prace naukowe – od magisterskich po habilitacyjne, ale i tak nie ogarniające całości zagadnienia, które ma tendencje dynamicznie wzrostowe. Obserwacja tego gatunku dostarcza niezapomnianych wrażeń, a opowieści przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Istnieją grupy, ale są też przypadki absolutnie indywidualne. O jednym z nich ułożono zagadkę:

– Znajdź 21 szczegółów różniących trzeźwego poetę (tu nazwisko) od tegoż poety pijanego.

Właściwa odpowiedź: nie ma ani jednego takiego szczegółu.

Poeta – późny Rubens

Jest to kategoria zarezerwowana dla poetów płci żeńskiej. Poetka taka wychodzi przed publiczność i dziewczęcym głosem czyta wiersze o ulotnych, dziewiczych wzruszeniach, pochyla się na rozkwitłą macierzankę, wsłuchuje w szmer leśnego strumyka, marzy o niewinnym pocałunku, spowija się w zioła i kwiatuszki i unosi nad łąkami. A ma babsztyl 98 kilogramów, rozwiodła się z dwoma mężami i pod tatara może wypić litra.

Poeta zbiorowy

W czasie większych imprez tradycyjnie organizuje się tzw. noce poetów lub inne zbiorowe wieczorki czytania wierszy – poeci czytają dla poetów i resztek publiczności. Prowadzący imprezę oblegany jest przez kolegów, którzy domagają się występu w pierwszej kolejności. I wiedzą co robią. Bo z upływem czasu publiczność topnieje, a poeci, którzy już zaliczyli występ udają się do pobliskiej kawiarni, restauracji lub innej przystosowanej do tego sali, aby tam oddawać się swemu ulubionemu zajęciu. W końcu zostaje trzech: prowadzący, poeta przedostatni i ostatni. Prowadzący zostaje, bo musi, ostatni – bo czeka na swoją kolejkę, przedostatni – bo ostatni jest jego kolegą. Wieczór się kończy, trójka biegnie tam, gdzie są wszyscy, ale tam wszystko już wypito i zjedzono.

Ale nic to, ostatni kiedyś będą pierwszymi.

Pozostało mi jeszcze do opisanego jedenaście gatunków i rodzajów. Być może dalszy ciąg nastąpi – bo tutaj nie mam już miejsca.

Marek Wawrzekiewicz



Ale z drugiej strony, czy nie mamy tutaj do czynienia ze swoistym prawem dorosłych pokoleń, by opowiadać i dokonywać oceny trudnych losów swoich rodziców i dziadków, jednakże już z dalszej, głębszej, wręcz metaetycznej perspektywy? Czy nie było tak w Polsce po powstaniu styczniowym w 1863 roku, po pierwszej wojnie światowej w Niemczech i w ogóle w Europie? Może taka jest – historyczna i oczyszczająca – rola ciągłości pokoleń? Czy nie na tym polega racja sprawiedliwości – właściwego dawania odpowiedniej miary zdarzeniom i sytuacjom?

Lektura książki Hugona Otta, *Martin Heidegger. W drodze ku biografii*¹, zachęca do tego rodzaju przemyśleń. Odwaga spojrzenia na uwiklaną w historyczne dramaty egzystencję wybitnego niemieckiego filozofa, budzi szacunek i zmusza do głębszych przemyśleń. Autor stawia pytanie o wielkość i małość, przyzwoitość i nieprawość, filozoficznie wielkie idee i zwykłe życiowe wybory. Jak to się stało – pyta właściwie do dziś wiele osób (nie tylko Hugo Ott), że umysł tej miary, myśliciel o światowym formacie, nie tylko uwierzył w idee narodowego socjalizmu, ale pozwolił, by wyznaczyły mu one życiowe wybory i decyzje, odciskając na nich piętno nieprawości. Dlaczego tak filozoficzny duch – pytał Emmanuel Levinas – słynny ze swej hermeneutycznej wnikliwości, dał się uwieść przez bezsporną zbrodniczość hitlerizmu?² Czyżby głęboko wierzący katolik, w latach 1909-1912 poważnie myślący o powołaniu kapłańskim, człowiek niezwykle wrażliwy na subtelność poezji, jej znawca i uważny interpretator, nie uświadomił sobie od razu zła ideologii narodowego socjalizmu?

Odpowiedź na te trudne pytania leży być może właśnie głęboko w zakamarkach jego biografii. Hugo Ott pokazuje, iż już w młodości, w czasie studiów, dostrzec można u Heideggera pewną osobowościową skazę, jakiś rodzaj zranionej dumy, zawziętość. Analizując swoiste biograficzne śledztwo prowadzone przez Otta widzimy, iż motywem i źródłem, poczynionego przez Heideggera „zerwania z systemem katolicyzmu” w roku 1919, była być może nie tylko chęć wyzwolenia się z ograniczeń teologicznej doktryny, skrepowanej przez Urząd Nauczycielski Kościoła i obawa, że tym samym praca naukowa traci swą wolność, ale także (a może przede wszystkim?) urazy osobiste. Związane one były z niemowlęcą, ze względu na zdrowotne problemy, zostania jezuitą klerykiem, a potem niepewność o wakującą katedrę na wydziale teologicznym fryburskiego uniwersytetu.

Wydaje się, iż te egzystencjalne rany tkwią w filozofie głęboko, wraca bowiem do nich wiele lat później w swej niechęci do katolicyzmu choć przecież tak wiele, i z racji tradycji rodzinnych, i z racji studiów i pomocy stypendialnej, zawdzięczał ludziom Kościoła. Urazy i niechęci zachowały się na wiele lat, nie przez przypadek bowiem i nie bez przyczyny Martin Heidegger na swym własnym uniwersytecie w latach trzydziestych okazał się nieprzejednanym wrogiem filozofii chrześcijańskiej, dokonując w swoisty sposób spóźnionej zemsty za doznane niezrozumienia i krzywdy. W epoce narodowego socjalizmu, który chętnie witał wszelkie antykościelne akty, nie stanowiło problemu odmówienie komuś uniwersyteckiego stanowiska po habilitacji, a tym samym materialnej stabilizacji, tylko po to, by osłabić wpływ chrześcijaństwa.

Rektor Heidegger nie zawahał się, by z tej specyficznej szansy skorzystać. Ubrał to jednak w swoiste tłumaczenia – „chrześcijanin, który jest uczciwy, nie może być filozofem, a rzetelny filozof nie może być chrześcijaninem. Wybierając filozofię opowiadamy się zatem zawsze niejako przeciw chrześcijaństwu, które przecież wciąż ma swoiste poznawcze roszczenia”³.

Scharakteryzowane postawy osiągnęły swą kulminację w latach trzydziestych gdy nad Niemcy nadciągnęła czarna chmura ideologii. Heidegger, jak sam potem wspominał, dał się jej uwieść. „Co do narodowego socjalizmu oczekiwałem duchowego odnowienia całego życia, złagodzenia przeciwieństw społecznych i ratunku dla zachodniego sposobu myślenia zagrożonego przez komunizm”⁴. Wiemy, że te smutne wydarzenia opisało wiele osób – T. Adorno, H. Arendt, K. Jaspers, F. Bondy, J. Derrida, V. Farias, J. Habermas, H.-G. Gadamer, E. Levinas, K. Löwith, J.-F. Lyotard, O. Pöggeler – by wymienić tylko postacie najważniejsze. W Polsce problematykę tą dokładnie i cennie ukazał i zanalizował Cezary Wodziński w swojej monografii *Heidegger i problem zła*, przypominając heideggerowską realizację na Uniwersytecie Fryburskim „rozporządzeń żydowskich”, zadecyzowanie (jako elementu niepewnego politycznie i narodowo) Hermana Staudingera (przyszłego noblisty), jak i kolegi Eduarda Baumgartena. Jak podaje Hans Ott sam Edmund Husserl wspominał wielokrotnie o antysemityzmie Heideggera, który uzewnętrzniał się zarówno wobec uczniów jak i żydowskich członków Wydziału Filozofii Uniwersytetu.

To wszystko otworzyło drogę ku zwyczajnej, już nie ubranej w piękne słowa i usprawiedliwienia, niegodziwości. W ten sposób rektor Heidegger realizował wielki narodowy przełom pokazując, iż „jednostka, obojętne na jakim stoi stanowisku, jest niczym, los naszego narodu w jego państwie jest wszystkim”, a utrzymanie duchowego świata narodu, którym jest ziemia i krew, stanowi moc samowiednego istnienia⁵. Od 1933 roku aż do końca wojny niemiecki filozof należał do NSDAP i wiernie nosił jej odznakę, wprowadzał na uniwersytecie zewnętrzne formy hitlerizmu

(pozdrowienie *SiegHeil*), do 1945 roku płacił partyjne składki, prowadził w latach trzydziestych agitacyjne odczyty otwarcie popierające Hitlera i – co zaskakujące i smutne – nigdy mocno i głośno nie zdobył się na protest wobec bestialstwa i okrucieństwa nazizmu, choć już w latach trzydziestych był myślicielem i filozofem znanym w Europie i świecie.

To fakty znane i nieraz podnoszone, stąd nie chodzi o to, by znowu z pozycji obdarzonego „łaską późnego urodzenia”, przypominać i w prosty sposób oceniać te zawile problemy. Wolałbym raczej podjąć się trudniejszego (czy możliwego w ogóle?) zadania, pamiętając jednocześnie, iż jak zaznaczył Wodziński, problem „Heidegger i nazizm” jest tak dalece sporny i skomplikowany wewnętrznie, że każda pochopna i szybka odpowiedź skazana jest na nieporozumienie⁶. Chciałbym zastanowić się, na ile sama filozofia Martina Heideggera i stworzone przez niego filozoficzne kategorie implikowały w jego własnej egzystencji takie, a nie inne wybory, decyzje i zachowania.

Czy można, jak Teodor W. Adorno, radykalnie powiedzieć o na wskroś faszystowskim charakterze filozofii Heideggera? Czy jak Karl Löwith czy Julian Young twierdzić, że zaangażowanie się Heideggera po stronie narodowego socjalizmu tkwi z istocie jego filozofii⁷. Podejmuję i ja te pytania.

Prawda jako nieskrytość i prześwit

By choć trochę przybliżyć istotę filozofii Martina Heideggera należy dostrzec i zrozumieć znaczenie najważniejszych kategorii jego systemu. Cztery pojęcia wydają się w nim kluczowe – *Dasein* (jestestwo), *Aletheia* (prawda), *Zeit* (czas) i *Er-eignis* (wydarzenie).

Nazwa *Dasein* (w polskim tłumaczeniu Bogdana Barana „jeste-stwo”) wyraża sposób bycia. To, czym *Dasein* jest, to raczej sposób w jaki *Dasein* za każdym razem ujawnia sam siebie. *Dasein* to byt, którym jest każdy z nas. To, co „bytujące tu-oto” (Da-sein), a zarazem otwartością swego „tu oto” (Da). W dziele *Bycie i czas* słowo *Dasein* jest nazwą ludzkiego sposobu bycia. Ludzkie istnienie zostaje wyróżnione wśród bytów, gdyż człowiek w swym byciu jest zarazem świadom własnego istnienia: wie, że jest, i ta właśnie świadomość istnienia jest jego sposobem bycia. *Dasein* znaczy więc – ludzki, przytomny lub świadomy, sposób bycia.

Dalej musimy uświadomić sobie, iż prawda bycia nie jest dla Heideggera klasyczną adekwatnością lecz, jak nawiązując do grecko-starożytnego rozumienia tego słowa mówił filozof, jest *aletheia* – „nie skrytością” – (w języku niemieckim *Unverborgenheit*) i „prześwitem” (*Lichtung*). To ważna różnica, oznacza bowiem, iż prawda nigdy nie jest sama w sobie, nie jest nigdy po prostu dana. Dana jest tylko w pewnej mierze, a w pewnej nie. Jest „prześwitującym skrywaniem”. Prawda jest sprawą bycia (nieskrytością), a nie samego myślenia w oderwaniu od bycia i jako nieskrytość jest tylko zmienną i częściową obecnością bycia, czyli jest czasowa.

Użyta prze niemieckiego filozofa metafora prześwitu była dla niego ważnym narzędziem mówienia o prawdzie i o bycie, narzędziem uwypuklającym ich nierozdzielność. Prześwit to miejsce obdarzone widocznością. Znaczenie prześwitu jest więc bardzo bliskie, jeśli nie tożsame, nieskrytości. Słowo to ma służyć mówieniu o prawdzie w sposób wolny od nawarstwionych historycznych konotacji rozumienia prawdy jako przede wszystkim i wyłącznie poprawności myślenia. Prześwit jest nazwą miejsca, odnoszącą się w równej mierze do bycia, co i do prawdziwego myślenia, dzięki czemu wyrażona zostaje ich jedność. W prześwicie myśl rozumie prawdę. Prześwit stoi więc w ostrej opozycji wobec pojęcia „adekwatności” myśli i bytu.

Zastąpienie „zgodności” (*adeqvatio*) – terminu kluczowego dla klasycznej definicji prawdy – przez „odkrytość” czy „odsłonięcie” nie jest jednak dla Heideggera czysto formalnym zabiegiem językowym, lecz realizacją intencji uchwycenia prawdy jako problemu bytu. Prawdziwość zostaje tu pojęta jako zdarzenie uwarunkowane przez byt, a nie jako cecha myśli nabyta w wyniku określonych działań umysłowych. Miejsce prawdy zostaje zidentyfikowane jako *Dasein*, czyli jako bycie takiego bytu, który istniejąc, jest zarazem świadom swego istnienia. *Dasein* istnieje (tu i teraz) i istniejąc doznaje swego istnienia, uprzytamnia sobie swe istnienie. Stąd radykalna i wydawałoby się sporna teza filozofa – prawda dana jest tylko tak długo i tylko o tyle, o ile jest *Dasein*. Bycie prawdy pozostaje zatem zawsze w pierwotnym związku z *Dasein*⁸.

Dlatego u Heideggera prawda się wydarza (*Ereignis*) – to zaś sprawia, że możemy, mówi Krzysztof Michalski, nazwać proces bycia „istoczeniem.” Bycie jest działaniem się. Bycie się toczy, skrywając się i w tym znaczeniu „istotoczy się”. „Prawda istoty” to zatem tyle, co „prawda istoczenia się”⁹.

Dziejowość i wydarzenie się bycia

Heidegger wiąże zatem pojęcie prawdy z odsłonięciem i wydarzeniem. „Wy-darzać (*Er-eignen*), znaczy pierwotnie: u-naocznicić, tzn. spoglądać, przywoływać w spojrzeniu, na-darzać”¹⁰. Krzysztof Michalski sugeruje, że Heidegger używa tego pojęcia nazywając to, co obdarza nas (i inne byty) naszą własną istotą,

przekazując ją nam jakby na własność¹¹. Semantycznym źródłem słowa *Ereignis* jest bowiem wyrażenie *er-augen*: „uchwycić spojrzeniem”, a także *eneignen*: „przyswoić”, „przywłaszczyć”. Stąd pojęcie to wydaje się mieć fundamentalne znaczenie, ponieważ jest symbolem dynamicznego charakteru bycia. Bycie wydaje siebie z wnętrza prawdy, która jest wy-darzeniem się i ujawnianiem się bytu w dziejowości. Stąd pytanie o „istotę” bycia (ideę bycia) jest, jak określa Pöggeler, chybione, ponieważ byt zawsze ukazuje się tylko dziejowo w świetle swego bycia¹². Kolejną więc ważną kategorią w filozofii Martina Heideggera są dzieje (*Geschichte*). Słowo to oznacza: „coś, co się wydarza”¹³. Albowiem „dzianie się dziejów jest działaniem się bycia-w-świecie”. Dopiero na jego gruncie możliwe są dzieje świata i dziejowa przynależność do dziejów świata.

Wydaje się zatem – choć wieloznaczny i metaforyczny język filozofa z Fryburga utrudnia jednoznaczne sądy – że to „wydarzenie się” i „dziejowość” stanowią o tym, jakie jest bycie człowieka i jego świadomość. Stąd w pytaniu o bycie, prawdę i świat funkcję przewodnią pełnią czas, dzieje i dziejowość. Stąd też zawsze należy mówić o dziejowości rozumienia bycia, o dziejach bycia, o prawdzie i świecie jako wydarzeniu. Wy-darzenie się (*Er-eignis*) jest źródłem i podstawą dziejów (*Ursprung der Geschichte*) i samymi źródłowymi dziejami. To dziejowy sposób w jaki czas i bycie wzajemnie należą do siebie i w ten sposób współbrzmia z rozstrzygnięciem różnicy bytu i bycia, które pozwala dopiero napotkać *być jako byt i nadejść mu z rozmałości „jest”*.

Dopiero tak ukazane zależności sprawiają, iż rozumiemy, że *wydarzenie i prześwit* umożliwiają uobecnianie się bytu w horyzoncie czasu. Staje się to możliwe ponieważ czasowość jest tu korzeniem, podstawą i egzystencjalnym spoiwem przytoczonych najważniejszych kategorii. Czas jest sensem bycia, jest fundamentem procesu bycia egzystującego. Projekt bycia dokonuje się ze względu na czas. Czasowość jest warunkiem możliwości ukonstytuowania się bycia *Dasein*¹⁴.

I tu, moim zdaniem, tkwi istota życiowych wyborów niemieckiego filozofa, dostrzegana i rozumiana w perspektywie jego teorii egzystencji. Jest nią kategoria czasu, a dokładnie ujawnienie specyficznego rozdarcia – swistego stania na rozstaju. Rozdarcie to spowodowane jest faktem, iż filozofia w możliwościowym, czasowym i dziejowym projekcie Heideggera zmienia, jak przejmująco mówi Karol Tarnowski, sens prawdy, dokonując tym samym swistego zabiegu oddalenia „tego, co jest” w czasowość, która niczego nie oczekuje, niczego nie ofiarowuje. Heideggerowskie *odsłanianie się, prześwitywanie prawdy* ostatecznie nic nie przynosi, dziejowość nic nie daje, niczym nie obdarowuje. Nie uczy by być gotowym, raczej zmusza do tego, by oczekiwać tego, co nadejdzie w dziejach, cokolwiek to będzie¹⁵. Jak pisał Jürgen Habermas, interpretując prawdę jako nieskrytość Heidegger zignorował element bezwarunkowości roszczenia do ważności, które transcendentuje lokalne i tymczasowe wymiary. To sprawiło, iż filozofia *Bycia i czasu* nie potrafiła krytycznie i rzetelnie rozpoznać fałszu nazizmu¹⁶. Dlaczego? Ponieważ niezależnie od tego jak Heidegger pyta o bycie, prawdę i świat, to nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że funkcję przewodnią tej refleksji stanowi czas, dzieje i dziejowość. Potworny dyktat czasowości, jak mówi Tarnowski, ma w tej filozofii ostatnie słowo. Żadna prawda, żadna idea nie ma takiej siły, by w sposób ostateczny (absolutny) przetrwać nieprzezwyciężona mimo przemożnej mocy dziejów.

Czas – absolutny horyzont Dasein

Czy nie pobrzmiewa zatem, w trudnych tekstach fryburskiego filozofa, swoista życiowa konkluzja rozumiana jako konieczność – tak ujmuje to Löwith – „historycznej relatywności” świadomości historii. Potraktowanie egzystencji ludzkiej w sposób dziejowy sprawia, że czasowość staje się absolutna i nie ma żadnej innej instancji czy kategorii, bytu bądź mocy, które stworzyłyby transcendentną wobec dziejów i losu bycia, wspólnotę sensu.

Czy tak formułowane filozoficzne i egzystencjalne rozumienie sprawiły, że „zsekularyzowany adwent nowej epoki”, nowego czasu, czegoś co dopiero nadchodziło i miało się wydarzyć w dziejach Niemiec, nabrało dla Martina Heideggera znaczenia absolutnego, nieuchronnego? A ponieważ odrzucił on wszelkie transcendentne racje uzasadniające prawdę bycia, to znakiem i wyrazem prawdy dziejów stało się dla niego (i jego pokolenia) posłannictwo narodowego socjalizmu. Czy to właśnie Heidegger zrozmiał jako historyczne rozjaśnienie bytowego ukonstytuowania się *Dasein* jako bycia-w-świecie? Czy wraz z Führerem przybliżył się, w mniemaniu filozofa, prześwit bycia, a lud niemiecki odzyskiwał na powrót prawdę swego *Dasein*? Prawdę jako jawność tego, co lud czyni w sposób pewny, jasny, silny. To, co narodowe zostało wprężnięte w refleksję filozoficzną, bo filozofia, zgodnie ze swą istotą, jest myślowym otwarciem dróg i horyzontów wiedzy, która ustanawia miary i hierarchie, i dzięki której naród pojmuje swe jestestwo (*Dasein*) w dziejowym świecie ducha i urzeczywistnia je¹⁷. „Studenteria niemiecka

¹ H. Ott, *Martin Heidegger. W drodze ku biografii*, tłum. J. Sidorek, Warszawa 1997.

² Zob. E. Levinas, *Pod urokiem dumnej sobości*, tłum. T. Gadacz, w: *Zawierzyć człowiekowi*, Kraków 1991, s. 33.

³ Zob. Por. H. Ott, *Martin Heidegger. W drodze ku biografii*, dz. cyt., s. 218-221.

⁴ Por. Tamże, s. 111.

⁵ Zob. Tamże, s. 118, 149, 223, 264. Do tezy o antysemickim nastawieniu i zachowaniach Heideggera krytycznie odnosi się Cezary Wodziński, mówiąc, iż w świetle publikacji tekstów filozofa zarzut antysemityzmu nie znajduje żadnego uzasadnienia. Zob. C. Wodziński, *Heidegger i problem zła*, Warszawa 1994, s. 53.

⁶ Zob. Tamże, s. 24.

⁷ Zob. szerzej: K. Löwith, *Mein Leben in Deutschland vor und nach 1933*, Stuttgart 1986; J. Young, *Heidegger, filozofia, nazizm*, tłum. H. Szlapka, Warszawa 2000.

⁸ Por. M. Heidegger, *Bycie i czas*, § 44, tłum. B. Baran, Warszawa 2010, s. 292, 299.

⁹ Zob. szerzej: K. Michalski, *Heidegger i filozofia współczesna*, Warszawa 1978, s. 202.

¹⁰ M. Heidegger, *Identytność i różnica*, tłum. J. Mizera, Warszawa 2010, s. 57-58.

¹¹ Zob. K. Michalski, *Zrozumieć przemijanie*, Warszawa 2011, s. 244.

¹² Por. O. Pöggeler, *Droga myślowa Martina Heideggera*, tłum. B. Baran, Warszawa 2002, s. 185.

¹³ Zob. M. Heidegger, *Nauka i namysł*, w: *Odczyty i rozprawy*, tłum. J. Mizera 2007, s. 57.

¹⁴ K. Michalski, *Heidegger ... dz. cyt.*, s. 141.

¹⁵ Por. *Idole Heideggera*. Z Karolem Tarnowskim rozmawia Krzysztof Mech, „Znak” 2007 nr 3, s. 49.

¹⁶ Zob. J. Habermas, *Heidegger – dzieło i światopogląd*, w: V. Farias, *Heidegger i narodowy socjalizm*, tłum. P. Lisicki, R. Maszałek, Warszawa 1997, s. 11.

¹⁷ Zob. M. Heidegger, *Wprowadzenie do metafizyki*, tłum. R. Maszałek, Warszawa 2000, s. 15-16.



Jerzy M. Ferenz

Debiutanci

Krztusząc się paliliśmy pierwsze papierosy
i piliśmy tanie wino marki *Grigori*.

Wrześniowy wieczór rozpuszczał deszcz,
którego krople rozpoczynały jesień.

Patrzyliśmy na siebie nieśmiało. Złęknieni
dotykaliśmy, poznawaliśmy Ciało.

Pokój, wynajęty jeszcze za pieniądze rodziców,
był zbyt zimny, by noc mogła rozpaścić.

Przykryci, odwrócenie poszliśmy spać.

Wrony nie zapominają

Ledwie tłum wyleje się z autobusów
one zlatują, by stanąć na barierkach,
jak stara woźna przy drzwiach szkoły,
pilnująca byś zmieniał buty.

Wydaje się, że znają nasze myśli
i dobrze wiedzą, że są niedoceniane.
Zapomniane, zamknięte na strychu
otrzepują się z kurzu, by tu być.

Gdy nadchodzisz podrywają się do lotu,
a tobie przypomina się gra w dwa ognie.
Tym razem brakuje ci odwagi.

Gdy zdołasz uciec, wracają na posterunek,
patrzą. W czarnych żrenicach zamyka się
przestroga: nie lekceważ nas.

Niewiele pamiętamy

Adamowi Zagajewskiemu

Niewiele pamiętamy, mało kto czyta,
odwiedza kościoły i słucha Mahlera.
Wytarte jeansy są znakiem popkultury,
a nie ciężkiej pracy.

Pan próbuje przypomnieć czasem
Lwów i garść zapomnianych refleksji.
Niestety dwudziesty pierwszy wiek,
to wiek pozłacany.

Ludzie, jak psy biegną z nosem
nisko przy ziemi, szukając środków
na splątę kredytu.

Chrystus powraca. Nikt nie dostrzega.
Oto człowiek znów zerwał owoc
odrzuconego nieba.

jest już w marszu. Kogo zaś szuka to przywódców, dzięki którym jej własne powołanie wzniesie się do poziomu ugruntowanej, światowej prawdy i rozjaśnione zostanie interpretującym słowem i czynem¹⁸.

Jürgen Habermas twierdzi, że począwszy od roku 1933 Heidegger zmienia w swojej filozofii rozumienie pojęcia *Dasain*. Stać się ono dla niego formą istnienia kolektywu, przede wszystkim narodu, którego poczucie świadomości wpływa na jego losy¹⁹.

„Niech nieustannie rośnie w was gotowość poniesienia ofiary w imię ratowania istoty i w celu wywyższenia najgłębszej siły naszego narodu w jego państwie. To nie twierdzenia i idee mają stanowić reguły waszego bycia. Sam przywódca i tylko on jest dziś i w przyszłości rzeczywistością Niemiec i ich prawem²⁰.

Nawet jeszcze w 1942 roku, zaznacza Habermas, Heidegger mówił o „dziejowej wyjątkowości narodowego socjalizmu²¹. Być może zatem miał rację Karl Löwith, pokazując, iż zorientowanie bycia na czas i *Dasein* na dziejowość określa również Heideggerowskie poparcie dla tego, co się w Niemczech faktycznie zdarzyło – szczere poparcie wydarzenia się czasu.

Czy nie można zaryzykować stwierdzenia, iż jeśli Martin Heidegger uznał metafizykę za onto-teologiczną idolatrię pojęciową, polegającą na wymyśleniu Boga jako *ens supremum* i *causa sui*, i mającą za zadanie uniesprzecznienie całej klasycznej filozoficzno-światopoglądowej konstrukcji, to oznacza także, iż nie może być Boga, który jest Panem historii świata, a w mocy swego Opatrzności przewodnikiem i stróżem ludzkich dziejów? Jeśli jest tak, iż Heidegger podążył za ideą Fryderyka Nietschego i świat ponadmysłowy stracił dla niego siłę oddziaływania w historii, to w konsekwencji kategoria czasu nabiera w tej refleksji charakteru absolutnego. *Dasain* i związane z nim wszystkie egzystencjały mają jedynie charakter horyzontalny, nigdy nie zorientują się ku transcendencji. Dlatego wieszczenie prawdy bycia otwierającą w świecie człowieka, na przyjęcie od „dziejających się dziejów” wszystkiego, co one ze sobą niosą. Otto Pöggeler zwrócił uwagę, iż być może cała życiowa i filozoficzna treść, która wypełniła twórczość Heideggera miała swe źródło w roku 1929 kiedy to, odrzuciwszy katolicyzm, i jako wiarę i jako światopogląd i filozofię, Heidegger zwrócił się ku Nietzschemu i Hölderinowi dokonując swoistego neopogańskiego zwrotu.

Ostatecznie zatem – postawmy odważną tezę – jeśli i dla Heideggera „Bóg umarł” i każda czasoprzestrzeń utraciła łaskę boskości²², to przekroczenie, wyłaniającego się z tego faktu nihilizmu, stało się możliwe tylko dzięki ideologii narodowego socjalizmu. Idea, która nadeszła w czasie lat trzydziestych XX wieku stała się dla egzystencji bycia-tu, bycia-w-swiecie jedynym realnym horyzontem. Oznacza to jednak (i wydaje się to konstatacja słuszna przyjmując filozoficzną wykładnię Martina Heideggera), iż pozostajemy skazani na wydarzające się, uwikłane w dzieje bycie-w-swiecie, a tym samym, jak mówi Tarnowski, zdani na przychodzącą historię i jej idole²³. W latach trzydziestych minionego wieku rewolucja narodowosocjalistyczna jawiła się jako „podstawowe wydarzenie naszej dziejowości.” Duchowe zadanie jakie w tym pokoleniu stanęło przed narodem niemieckim było zadaniem dziejowym ujawniającym jego przeznaczenie. W horyzoncie *Dasein* pozbawionym transcendentnych odniesień Heidegger odnalazł swoje nadzieje i dostrzegł społeczne szanse.

To, co pozostało – milczenie

Czy wierząc w tak formułowane idee wybitny intelektualista został zwiedziony przez prawdę „nadchodzącego czasu”, czasu nazizmu i jego ideologii, sam tym samym stając się zwodzicielem? Przyjmując przecież nadciągające „dziś i przyszłość Niemiec i ich praw” uzasadnił wielu Niemcom (szczególnie młodym) panowanie narodowego socjalizmu. Nadchodzącym dziejom oddał swoją pracę, działalność, sztukę wymowy, profesjonalizm. Uprawomocnił nazizm, wzmocnił go w ludziach dla których był ważnym autorytetem i mentorem. Jako rektor wielkiego i znaczącego niemieckiego uniwersytetu, filozof o międzynarodowej sławie skierował polityczny ster swej uczelni w niewłaściwym i zgubnym kierunku. Czas, który stał się dla niego absolutnym horyzontem *Dasein*, nie zobiektywizowanym przez żadne transcendentne uprawomocnienia, powiedzmy mocno – przez prawdę, która nie poddaje się historycznym i kulturowym uwarunkowaniom – sprawił, iż zaufał on faszystowskiemu ideom.

Dlaczego tak się stało? Sądzę, że odpowiedź tkwi właśnie w istocie filozofii niemieckiego myśliciela. Jego *Dasein*, choć trudno to uchwycić od razu, zostało postawione w niepewności i niejasności wobec czasu i dziejów i tego, co one ze sobą przyniosą. Jednak taka sytuacja, zawieszenia i suspensy, nie może być dla jestestwa trwała, nie może ono przecież pozostawać w niej długo. *Dasein* szuka dookreślenia, tożsamości, identyfikacji, to zaś skutkuje ryzykiem schronienia się pod władzę autorytetu i mocy, która „wyłoni się” z dziejów²⁴. Okazuje się bowiem, iż, choć jesteśmy gatunkiem istot myślących i kulturowo wrażliwych, nie panujemy nad dziejami. Jesteśmy w nie

wplątani i w nich uwięzieni. Ostatecznie trwamy, ale wydani temu, co przyniesie czas. A jeśli w skutek tego znika siła i autonomia, potęga i moc jednostek i społeczeństw, to tym samym przestajemy być rzeczywistymi panami naszego losu kierującymi historią tak, by dała nam nadzieję na lepszy, uporządkowany i stabilny świat. Toczące się dzieje wydają się zwyciężać nie ofiarowując już jednak ani siły, ani sensu.

Dlatego z takim żalem już w 1947 roku uczeń Heideggera Herbert Marcuse pisał: „Nie zakwestionował Pan publicznie żadnych działań i ideologii reżimu. Wielu z nas czekało od dawna na Pańskie słowo, słowo, które uwolniłoby Pana w sposób jawny i stanowczy od identyfikacji z faszyzmem, a które wyrazi Pański rzeczywisty stosunek do tego, co się wydarzyło. Nigdy nie wypowiedział Pan tego słowa²⁵. Milczenie Heideggera i jego późniejszy brak jasnych deklaracji sprawiły, że zawiedzione mogło się poczuć całe, czytające Heideggera w latach międzywojennych, pokolenie. „Czyż nie słuchałem słów i tekstów Heideggera – ze smutkiem pisał Emmanuel Levinas – jako nauki jednego z spośród największych w historii filozofii? Nic nie pozwoli mi zapomnieć jego w pełni samodzielnego wykładu, który pośród ścieżek wydeptanych w biegu lat krokami przychodzących i odchodzących nauczycieli, sam odsłonił pierwotne drogi filozofii²⁶.

I to chyba owa największa wina, o którą oskarżali i oskarżają Heideggera zarówno jemu współcześni, jak i ci, którym dana została „łaska późnego urodzenia”. Heidegger nie rozpoznał zagrożenia jakie niosła ze sobą idea nasączona narodowymi i rasistowskimi wątkami. Czas, któremu zaufała i któremu się powierzył przyniósł potworności, których wcześniej nikt sobie nawet nie wyobrażał. Może więc dlatego, widząc upadek, degradację i kompromitację wielkiej ideologii, Heidegger milczał, ponieważ odrzuciwszy Boga zdał się na to, co przyniosły dzieje. A gdy w końcu rozpoznał naturę tego, co się zdarzyło, nie mając wsparcia ze strony Boga pograżył się w milczeniu. Jak mówi Wodziński myślenie bycia nie zdołało przekroczyć progu „milczenia zła”. Nieprawości jakie przyniosły dzieje Niemiec nie mogło zostać przezwyciężone przez egzystencjalną metafizykę Heideggera. Jego filozofia nie sprostowała dziejowej mocy zła. Stąd jedyne co pozostało to fakt, iż „doświadczeniu epifanii zła towarzyszy milczenie metafizyki”. Nie mogło być inaczej, ponieważ zrzekła się ona swej fundamentalnej podstawy – Boga²⁷.

Przygnębiające tedy są ostateczne konkluzje wynikające z retrospektywnej refleksji nad życiowymi postawami i egzystencjalną treścią filozofii Martina Heideggera. Od wielkich myślicieli i wnikliwych umysłów my, ludzie zwyczajni, wymagamy szczególnej wrażliwości, przenikliwości i odpowiedzialności. Szukamy postaw odważnych, świadomych, godnych. Tęsknimy do olbrzymów, którzy nas małych wydzwigną na swą gigantyczną wysokość, byśmy mogli zobaczyć świat szerzej i mądrzej.

Ale z opowieści o Heideggerze wynika jeszcze jeden – w moim przekonaniu ważniejszy – wniosek. Oto, także i nasze ponowoczesne pokolenie żyjące w syty XXI wieku, narażone jest na uwiedzenie przez „dziejące się dzieje”. Niemal wszyscy z zaskakującą łatwością ulegamy najróżniejszym idolom, zwłaszcza tym wiążącym się z nadziejami mesjanistycznymi bądź ściśle ideologicznymi. Mogą one przybierać nad wyraz groźne formy, chociażby nacjonalizmu, kosmopolityzmu, genderyzmu, demokratycznego absolutyzmu, technokracji czy też feminizmu. Bez prób ich oceny, bez chęci poszukiwania sensów i prawd wykraczających poza „doczesny dyktat czasu”, otwartych również na konfesyjne wymiary życia, nasza generacja (wolno przypuścić) może ulegać „prorokom adwentu nowych epok”, tracąc tym samym i przywoitość, i zdolność podejmowania decyzji w świetle właściwie ukształtowanego sumienia.

ks. Jacek Grzybowski

Rys. Dominik Kowalczyk

¹⁸ M. Heidegger, *Samoutwierdzenie się niemieckiego uniwersytetu. Mowa rektorska z 27.03.1933*, tłum. J. Garewicz, „Aletheia” nr 1 (1990), 4, s. 367.

¹⁹ Por. J. Habermas, *Martin Heidegger nazista? Z pewnością nazista*, „Aletheia” nr 4 (1990), 1, s. 439.

²⁰ Cytat za: H. Ott, *Martin Heidegger ...* dz. cyt., s. 130.

²¹ Por. J. Habermas, *Heidegger – dzieło i światopogląd ...* dz. cyt., s. 18.

²² Zob. M. Heidegger, *Samoutwierdzenie ...* dz. cyt., s. 377.

²³ Por. *Idole Heideggera ...* dz. cyt., s. 54.

²⁴ Zob. W. Lorenc, *Hermeneutyczne koncepcje człowieka*, Warszawa 2003, s. 87-88.

²⁵ C. Wodziński, *Heidegger ...* dz. cyt., s. 364.

²⁶ Zob. E. Levinas, *Pod urokiem ...* dz. cyt., s. 17.

²⁷ C. Wodziński, *Światłocienie zła*, Wrocław 1998, s. 327. Zaznaczmy jednak wyraźnie: przeciwko takiej wykładni milczenia Boga u Heideggera był ks. J. Tischner proponując inną interpretację „milczącego Boga”; zob. J. Tischner, *Myślenie według wartości*, Kraków 1982, s. 128.

Adam Majewski

Z tomu *Ameryka*

Motto:

I have known the silence of the stars and of the sea,
And the silence of the city when it pauses,
And the silence of a man and a maid,
And the silence for which music alone finds the word,
And the silence of the woods before the winds of spring begin,
[...]
And I ask: For the depths
Of what use is language?

Edgar Lee Masters, *Silence*

Metempsychoza (ogrody dzielnicy francuskiej)

1.

W ogrodzie między wyhodowanymi
uczuciami a wychowanymi dziećmi

przechadza się stary ogrodnik
kobieta, przycina róże, których nie ma

komu ofiarować, zbliża się do granic
ogrodu, jej obecność wypełnia każde miejsce

2.

Między gałęziami brzęczą owady, z mroku
wyłaniają się niepewne kształty

cypryśników, wszędzie unosi się zapach
żywicy, to zmęczenie, kobieta pragnie

zamknąć oczy, spojrzeć
na wszystko raz jeszcze

Marksville, Luizjana

1.

Płyta kręci się
w odtwarzaczu
Na końcu języka mam
obce słowo

*Instrumenty
zdobyły przestrzeń
Podbój kosmosu
bez muzyki nie byłby możliwy*

Ciszę należy zagłuszać
choćby muzyką ciała
szmerem oddechu
i szeptem

2.

Cisza jest obca
jak słowa wypowiedziane
w języku Indian
Mieszkańcy
Tunica-Biloxi Tribe
wysiadają z ciężarówki

*They talk
about country music*

*They do shopping
in Marksville*

Zamknięte usta Ameryki

1.

Oto ślady człowieka
na srebrnym globie
Tonie w zachwycie

Matka Ziemia
Na jej czarnych ustach
ślady milczenia

Cisza
...
...

2.

Upał stoi nad brzegami
Mississippi River
i Red River

Z ekranu
niemego telewizora
przemawia

John F. Kennedy
...
...

Słońce dopala się
na oczach
mieszkańców Luizjany
Owoce
dojrzewają
po cichu

Spotkanie z amerykańskim poetą (Nowy Orlean)

– Widziałeś Baracka Obamę? On tu był,
w Pat O’Brien’s na Bourbon Street.
Czarne włosy, twarz, ręce. I ten garnitur.
Witał się ze mną. Serdecznie, jak z całą
Ameryką. Powiedział, że wszystko będzie
inne, że będzie O.K. Od tamtej pory
zaglądam tu często – lepsze to niż nic.
Pojawiły się wiersze. O wszystkim
i o niczym.

Dark Paradise

Wkroczyłem na obcą ziemię sąsiadów
pochylonych nad sadzonkami czarnej porzeczeki.
Powitanie ze słów kwaśnych jak owoce –
obce języki, gesty niewiele mówią.
Ich dom wkrótce otoczy niewysoki mur krzewów.
Granicę mowy przekroczy ciche przyzwolenie
na wzajemne istnienie.

Otchłań porozrzucanych wyrazów,
zapachów ogrodu nie do opisania –
jestem jak gość Nowego Edenu.
Muszę wynaleźć język i pismo,
aby na nowo wszystko ponazywać.
Aby z raju ciszy wyjść do ludzi.



Rys. Dominik Kowalczyk

Do moich książek nikt nie będzie wracał

– *Do moich książek nikt nie będzie wracał.*

*Są dobrze
wykonaną
robotą rzemieślnika,*

*odnajdującego przyjemność
i sens*

w pracy,

*w tym,
co terażniejsze. – Nie obchodzi go,
kto kupi jego pracę.*

*Liczy się dzieło.
Tylko dzieło życia.*

*Reszta jest złudzeniem. – Tak poeci amerykańscy
w pubie tłumaczą sobie zawiłości poezji.*

*Tracą pod wpływem alkoholu
poczucie rzeczywistości.*

*– Poszukiwanie tego, co pewne, jest jak nałóg.
Nie możesz przestać. Pisać.*

Pisać. Pisać!

Rys. Dominik Kowalczyk

Mirosława Michalska-Suchanek

W zawilościach losów bohaterów swoich dzieł, reprezentujących różnorodność osobowości, charakterów, światopoglądów, Fiodor Dostojewski ujawnia się jako pisarz psycholog, który nie tylko przedstawia złożony świat psychiki tworzonych postaci, ale idzie dalej – dociera do preintencjonalnej sfery ich decyzji, wskazując nieświadomione motywacje zachowań. Autor *Zbrodni i kary* nierzadko nadaje swoim bohaterom cechy psychopatologiczne, wykazując się w tym niezwykłą intuicją. W wydanej tuż po śmierci pisarza rozprawie z dziedziny psychiatrii zatytułowanej *Dostojewski jako psychopatolog* czytamy, że jego twórczość stanowi ilustrację niemal wszystkiego, co składa się na przedmiot badań psychopatologii. Na kartach powieści można bowiem odnaleźć całą galerię typów psychopatycznych, opisanych nad wyraz trafnie, z dokładnością obserwacji klinicznej¹. W ludziach cierpiących na zaburzenia psychiczne, we wszelkiego rodzaju wypaczeniach psychiki nigdy jednak Dostojewskiego nie interesowała choroba sama w sobie. Postrzegał ją wyłącznie jako narzędzie, dzięki któremu z pełną mocą ujawniały się, ogniskowały i wyostrzały **f u n d a m e n t a l n e c e c h y c z ł o w i e k a**.

W pogoni za ekstremum

Jedną z typowych cech postaci wykreowanych przez Dostojewskiego stanowi pogorń za intensywnością, potrzeba doznań nie tyle silnych, co nawet ekstremalnych. Bohaterom jego powieści obce są półśrodki, wciąż sytuują się na jakiejś „krawędzi”, balansują nad przepaścią albo rzucają w ogień. Życie pragną pochwylić jednym, zdecydowanym i silnym gestem, jak powiada Alex de Jonge: „[...] tak kompletnym i tak wyrazistym, że musi się on wydać czymś większym niż samo życie. Mieści on w sobie maksymalne przeżycie w możliwie najmniejszej skali”². Ten rodzaj doznań nie był obcy samemu Dostojewskiemu, wyznaczając szaleńczy rytm również i jego życia. Wspomnijmy choćby funkcjonowanie pisarza w niekończącym się wirze zajęć, stan, który z czasem przybrał formę czegoś w rodzaju twórczego obłądzenia – żeby więcej, szybciej, żeby tylko zdążyć... Bohdan Urbankowski przywołuje scenę spotkania dwudziestopięcioletniego Dostojewskiego z Iwanem Turgieniewem, już wtedy w Rosji twórcą uznanym, kiedy to przyszedł autor *Biesów* publicznie, na ulicy, z właściwą sobie gwałtownością obwieścił, że zostanie największym pisarzem Rosji. Przeklinając, oznajmił Turgieniewowi (który postrzegał go jako grafomana, czego zresztą nie skrywał), że oto on, Dostojewski, wszystkich wdepcze w błoto i nikt nie jest mu straszny! Potrzebuje tylko czasu, a bez wątpienia wszystkiego tego dokona³. Ta butna i arogancka deklaracja była nie tylko wyrazem cholerycznego temperamentu i – rzecz jasna – próżności, ale na poważnie wyznaczyła nadrzędny życiowy cel pisarza, do którego zmierzał z niesłychanym uporem oraz samozaparciem. Tworzył w niezwykłym tempie, z entuzjazmem, pasją, gorączkowo, często w stanie ducha graniczącym z szaleństwem. Pracował zawsze nocami, bez przerwy aż do świtu, popijając swoją ulubioną, zimną herbatę. Dzień rozpoczynał zwykle około czternastej, dyktował wówczas żonie to, co napisał w nocy (wszystkie najważniejsze swoje dzieła Dostojewski stworzył w czasie małżeństwa z Anną Snitkin). Dziś autor *Braci Karamazow* bezsprzecznie zdiagnozowany byłby jako modelowy przypadek pracoholika w swojej skrajnej postaci. Stronił od towarzystwa, a jeśli zmuszony był z kimś się spotkać, nie krył zniecierpliwienia, traktując wszystkich oschle i nieżyczliwie. Pochłonięty bez reszty przez pracę, całkowicie jej oddany i od niej uzależniony, sprawy codzienne oraz otaczających go ludzi postrzegał zwyczajnie jako stratę czasu, faktor naruszający utarty rytm.

Dostojewski wpadał też w inne ekstremum. Krańcowo fanatyczną postawę przejawiał wobec efektów własnego pisarstwa. Wykazywał obsesyjną potrzebę mówienia o własnych dziełach – zarówno w fazie projektu, jak i gotowych. Opowiadał o nich bez przerwy, do znużenia, przy każdej okazji i każdemu, drząc, że nasilająca się choroba uniemożliwi wypowiedzenie wszystkiego, co zamierzył. Praca zawładnęła całym jego życiem, stała się nałogiem. „Życie Dostojewskiego to wyścig pracy ze śmiercią”⁴ – powiada Urbankowski. Swoje plany twórcze pisarz spisywał w postaci przejrzyste wypunktowanych poleceń. Nie wszystkie niestety zdołał zrealizować, bowiem schorowany, w wieku sześćdziesięciu lat, swój wyścig ze śmiercią przegrał.

„Maniackie widmo”

Postaci Dostojewskiego wyróżnia patologiczna skłonność do czynienia zła. Świat grzechu jawi się jako rzeczywistość właściwa im w sposób niejako naturalny. Halyna Krythal konstatuje: „[...] bohaterowie Dostojewskiego stają się wcieleniem demonicznej siły intelektu i woli, która nurza się w namiętności, lubieżności i grzechu, jest w tym jakieś wyrafinowane pragnienie demonicznego poznania zła. Czują w tym rozkosz i cierpienie. Następuje «demonizacja duszy człowieczej», znajdującej rozkosz w samodestrukcji”⁵. Ludzie w dziełach Dostojewskiego ze zła czerpią satysfakcję i przyjemność, a w ich działaniach nie ma miejsca na odpowiedzialność za popełnione czyny, ani tym bardziej na skruchę.

Pisarz rzetelnie zapracował sobie na miano mistrza bluźnierstwa. Raz po raz wystawiał na próbę wrażliwość moralną odbiorców swojej twórczości. W formie skrajnej, najbardziej szokującej, bluźnierstwo znalazło wyraz w motywie gwałtu dokonanego na dziecku. Czyn ten, pojmowany jako szatańska profanacja kwintesencji czystości i niewinności, przypisywano samemu Dostojewskiemu. Trudno jednoznacznie stwierdzić wiarygodność dość powszechnej w jego czasach informacji, faktem jest jednak, że pisarz sam przyczynił się do jej rozpowszechnienia (nawet jeśli nie była prawdziwa). Mikołaj Strachow wspominał: „Opowiadał mi Wiskowatow, że chwalił mu się (Dostojewski – M.M-S), iż [...] w łaźni maleńką dziewczynkę, którą przyprowadziła mu guwernantka”. Natomiast Dymitr Grigorowicz o autorze *Zbrodni i kary* opowiadał: „był kiedyś na procesie o zgwałcenie 10-letniego dziecka. Po rozprawie poszedł za dziewczynką [...] zwał ją do siebie cukierkami i odbył z nią stosunek [...]”. Dodajmy jeszcze słowa Fariesowa: „[...] zwierzał mi się, że uwiódł guwernantkę i namówił ją do przyprowadzenia uczennicy, którą także [...]”⁶. Oceniając wiarygodność wyżej przytoczonych wypowiedzi, można w zasadzie zakładać istnienie czterech potencjalnych możliwości. Mogły mieć charakter pełnej konfabulacji, bądź przynajmniej stanowić efekt podkoloryzowania przez cytowanych autorów nieciekawej ich zdaniem rzeczywistości. Mogły też być rodzajem prowokacji ze strony samego pisarza, który w ten sposób zamierzał „przeciwczyć” w prawdziwym świecie wymyśloną przez siebie historię. Być może też – jak suponuje Stanisław Mackiewicz Cat – „maniackie

Fiodor Dostojewski

— mistrz bluźnierstwa

widmo” zgwałconej dziewczynki stało się kompleksem pisarza na tyle silnym, że „wyroił sobie i samosuggestionował popełnienie tego przestępstwa”⁷, albo wreszcie zdarzenie jest po prostu prawdziwe – w młodości Dostojewski dopuścił się gwałtu na dziecku i wizja tego czynu prześladowała go przez całe życie. Współcześnie z pewnością rozpatrywalibyśmy również możliwość piątą – celowe tworzenie wokół siebie atmosfery skandalu, bo (niestety!) nie ma nic bardziej nośnego, zwiększającego popularność, niż wizerunek skandalisty, nawet (a może zwłaszcza) jeśli u jego źródła leżą zachowania patologiczne⁸. Jednakże – jak się wydaje – to nie ten czas i nie ta osoba. Jedynym niepodważalnym faktem w tej historii jest zapis poczyniony przez Stiepana Janowskiego – wieloletniego zaufanego lekarza Dostojewskiego, który w jakimś stopniu uwiarygodnił pogłoski o gwałcie. Zdarzenie przesunięte zostało w lata dziecięce, a Janowski odnotował co następuje: „Fiodorowi Michajłowiczowi właśnie w dzieciństwie wydarzyło się to mroczne i ciężkie, co nigdy nie uchodzi bezkarnie w latach dojrzałych”⁹.

Scena gwałtu dokonanego na dziewczynce znajduje swoje wyraźne odbicie w powieściach Dostojewskiego. Pojawia się w *Zbrodni i karze*, *Biesach*, a także w *Skrzywdzonych i poniżonych* – w pierwszej z wymienionych powieści nawet dwukrotnie. Porfiry – sędzia śledczy – opowiada Razumichinowi historię dziecięcej dziewczynki zgwałconej przez czterdziestoletniego mężczyznę. To coś jakby reminiscencja sytuacji przypomnianej przez Grigorowicza. Kontynuację wizji stanowi sen Swidrygajłowa. Bohater obserwuje dziewczynkę, która z niewinnego błogo śpiącego dziecka nagle przemienia się w emanującą seksualnością młodą kobietę. Ta prowokująco rozchyła usta, a na jej twarzy zaczyna malować się beczelność i wyuzdanie, „sprzedajnej Francuzicy”. Śmiejąc się głośno i wyzywająco, przywołuje Swidrygajłowa ognistym, bezwstydnym spojrzeniem... W *Biesach* obraz ten przeobraża się w scenę zgwałcenia przez Stawrogina małoletniej Matroszki, w rezultacie czego dziewczynka popełnia samobójstwo. W powieści *Skrzywdzeni i poniżeni* natomiast Dostojewski pomieścił opis zaplanowanego w domu publicznym gwałtu na dziecku-sierocie, który odbyć się miał ze specjalnym ceremoniałem. Dziewczynka została przez prowadzącą tenże przybytek ubrana zgodnie z przeznaczoną jej rolą i sprzedana pijanym rozpustnikom. Miała jednak nieco więcej szczęścia, niż ofiara Stawrogina, w ostatniej chwili bowiem udało się jej uniknąć tragedii.

Wróćmy do osoby samego Dostojewskiego. Ze wspomnień jego żony Anny, mimo paru sytuacji, w których pisarz pozbawiony został aureoli, wylania się mocno wyidealizowany obraz męża. Tymczasem cytowany już wyżej Mikołaj Strachow w liście do Lwa Tolstoja (opublikowanym dopiero w 1913 roku przez „Sowriemiennyj Mir”) charakteryzował Dostojewskiego zgola inaczej: „Był zawistny i rozpustny, całe życie strawił na dawaniu ujścia swym namiętnościom [...] W Szwajcarii [...] tak pomiatał służącym, że ten obrażony powiedział mu: przecież też jestem

człowiekiem. Pamiętam, jak wówczas byłem zdumiony, że powiedziano to głosicielowi humanitaryzmu [...] Podobne sceny rozgrywały się ustawicznie, gdyż nie był on w stanie pohamować swojej złości. Wielokrotnie zbywałem milczeniem jego wybryki, nieoczekiwane i nielogiczne [...] jeśli chodzi o występki, miał przewagę nad zwykłymi ludźmi, a już najgorsze było to, że delektował się nimi, że nigdy tak do końca nie żałował swoich podłości. Podłości pociągały go i przechwalał się nimi. [...] Postaci najbardziej do niego podobne to bohater *Notatek z podziemia*, Swidrygajłow ze *Zbrodni i kary* oraz Stawrogin z *Biesów*”¹⁰. Niezbyt to pochlebna opinia.

U źródeł

Genezy wszelkich patologicznych zachowań oraz upodobań współczesna psychologia zwykle próbuje poszukiwać w przeszłości osób, które owe zachowania lub upodobania wykazują. Może więc warto sięgnąć do źródeł – lat dziecięcych Dostojewskiego.

Wszystkie wspomnienia pisarza – mroczne, traumatyczne właściwie – koncentrowały się wokół osoby jego ojca. Michał Dostojewski – z zawodu lekarz, z natury despota, nie stroniący od alkoholu tyran – uważał, że potomstwo należy wychowywać w srogim drylu wojskowym. Dzieci muszą pobierać nauki już od czwartego roku życia, a ich dni powinny przebiegać wedle ustalonego, nienaruszalnego porządku, poczynając od szóstej rano. Bezwzględnie wymagał punktualności, czy to rzecz dotyczyła lekcji, czy też pory serwowania herbaty, a jakiegokolwiek odstępstwa od rygorystycznego harmonogramu, prowokowały ordynarne awantury. Matka nie była w stanie wstawić się za dziećmi, ponieważ męża bała się panicznie, co nie dziwi, gdyż nieraz w stosun-

ku do niej posuwał się do rękoczynów. Dostojewscy mieszkali wówczas za murami szpitala, w specjalnie przystosowanej części sieni – ciemnej i ponurej. Dzieci pozbawione zostały kontaktu z rówieśnikami, zabroniono im zapraszać gości, obowiązywał ich też zakaz wychodzenia poza teren szpitalny. Nigdy nie były w posiadaniu drobnego nawet kieszonkowego, co najprawdopodobniej – jak suponuje Urbankowski – stało się przyczyną przyszłej skłonności Dostojewskiego do hazardu¹¹. Bezduśzny klimat i okrutne zwyczaje panowały również w, opisanym później w *Młodziku*, internacie niejakiego Souchara (w powieści – Toucharda), gdzie Fiodora ojciec zapisał w wieku dwunastu lat, a także w internacie Czerbaka, do którego przeniesiono chłopca rok później. Brat pisarza, Andrzej, wspominając swój pobyt w podobnym, pozornie wzorowym i bogobojnym przybytku, relacjonował, jak we wstępnej klasie chłopcy zmuszani byli do pederastii¹². Dostojewski w *Młodziku* ogranicza się tylko do opowieści o upokarzaniu uczniów z powodu ich biedy i pochodzenia. Całkowicie odizolowana od normalnego świata była również Szkoła Inżynierska, do której szesnastoletni Fiodor został odwieziony zaraz po śmierci matki. Rygor, bezlitosne, brutalne obyczaje, zachwianie poczucia bezpieczeństwa – to okoliczności, które bez wątpienia zaważyły na osobowości przyszłego autora *Braci Karamazow*. Smutną reminiscencję z czasów dzieciństwa stanowi, zapelniająca karty dzieł Dostojewskiego, bogata galeria postaci dziecięcych – zawsze upokarzanych, krzywdzonych, nieszczęśliwych.

Wróćmy do osoby ojca pisarza. Despota, tyran, okrutnik, a do szeregu przypisanych mu negatywnych cech można dorzucić kolejną – lubieżnik. W czasach, gdy cała rodzina spędzała wakacje w dwóch zakupionych przez Michała Dostojewskiego wioskach – Darowoje oraz Czeremosznia – bezustannie uganiał się za wiejskimi pięknościami, nie bacząc na ich dziecięcy wiek. Być może zresztą w tych właśnie perwersyjnych zachowaniach ojca szukać należy źródeł „konfabulacji” pisarza na temat gwałtów na nieletnich. Owo prześladowane go przez całe życie „maniackie widmo” mogło przecież zaistnieć jako rezultat nieświadomego utożsamiania się z ojcem, stanowiąc rodzaj rozładowania głębokiej traumy.

Jedną z wielu zdobyczy starego Dostojewskiego stała się czteronastolatka, niejaka Katia Jefimowa, która zainteresowanie ze strony pana przypłaciła ciężą (dziecko zmarło). Zdarzały się jednak i młodsze wybranki. Michał Dostojewski bezustannie prowokował awantury i skandale, wreszcie finał licznych „przygód” okazał się tragiczny. W nieoficjalnej wersji jego śmierci mówiło się, że został zaatakowany przez trzech chłopów, którzy zdecydowali się sami wymierzyć rozpustnikowi sprawiedliwość. Napastnicy, wśród których podobno znajdował się wujek wyżej wspomnianej Kati, siłą włali staremu Dostojewskiemu do gardła butelkę spirytusu, uprzednio zatkawszy mu nos. Uduślił się w mękach, a jego ciało porzucono na polu. Taki przebieg wydarzeń, choć zapewne prawdziwy, podważał reputację rodziny, jako niewygodny



został więc odrzucony. Zaważyły też zapewne względy ekonomiczne. Oskarżenie chłopów o morderstwo skutkowałoby skazaniem wszystkich mężczyzn na katorgę i tym samym nie dość, że przepadłaby realna siła robocza, to rodzina pozbawiłaby się własności mierzzonej w „duszach”. Ujawnienie zbrodni – co oczywiście – jeszcze bardziej nie było na rękę samemu chłopom, unikającym tym samym kary, a więc wywózki na Sybir. Obie strony zgodnie więc przekupiły komisję śledczą, co poskutkowało sformułowaniem wersji oficjalnej, przekonującej, że śmierć Michała Dostojewskiego nastąpiła na skutek silnego ataku apopleksji.

Brat autora *Biesów*, Andrzej, wspominał swojego rodzica jako pijaka, rozpustnika oraz tyrana, podkreślając, że nie jest to ocena subiektywna, bowiem tak też był odbierany przez całe swoje otoczenie¹³. Fiodor Dostojewski o ojcu pisał raczej wstrzemięźliwie, wyraźnie tuszując jego prawdziwe oblicze. Wizerunek Michała Dostojewskiego jednak znalazł swoje odbicie w osobowości pisarza, a już na pewno rezonuje na kartach jego dzieł.

W sidłach lubieźności

Miłość w twórczości Fiodora Dostojewskiego postrzegana jest w innym wymiarze, funkcjonuje jako Wartość Najwyższa – miłość do Boga i miłość, którą Bóg obdarza człowieka, Boskie Miłosierdzie, czy miłość powszechna, która winna w świecie zapanować. Miłość zwykła, ludzka, choć nie stała się nigdy dominantą świata przedstawionego, na kartach dzieł autora *Biesów* jednak się pojawia. Nie jest to bynajmniej uczucie zwyczajne. Miłość u Dostojewskiego przybiera postać mrocznej, szalonej siły, to fatalne zauroczenie, zgubna namiętność. Pisarz pokazuje jej przejawy ekstremalne, które, w mniejszym lub większym stopniu, cechuje prymitywne wyuzdanie i niepohamowane pożądanie. „Miłość u Dostojewskiego prawie zawsze jest demoniczna, rodzi opętanie, rozpala atmosferę do białości”¹⁴ – punktuje Mikołaj Bierdiajew. Nigdy nie niesie w sobie spokoju i szczęścia, jest nieprzewidywalnym niszczącym żywiołem. Jedno w tym uczuciu jest pewne – zawsze i wszędzie towarzyszy mu udręka, ból, cierpienie. Miłość w powieściach Dostojewskiego posiada charakter przede wszystkim zmysłowy, często pojawia się jako czysta lubieźność (jest to jedno z „ulubionych” słów Dostojewskiego, *Lubieżnicy* to również tytuł jednego z rozdziałów *Braci Karamazow*), która wciąga, uzależnia. Człowiek wpadłszy w jej sidła, staje się niewolnikiem własnych zmysłów. Pragnie wrażeń coraz silniejszych, coraz bardziej „wyszukanych”, w coraz większych dawkach. Powoli traci jakiegokolwiek moralne hamulce, przestaje dokonywać selekcji otaczających go zjawisk, aż wreszcie dla fizycznego przeżycia, silnego doznania, jest w stanie dokonać każdego czynu, bez względu na konsekwencje, nie bacząc na jego pejoratywne pod względem moralnym nacechowanie, a nawet perspektywę kompletnego upadku (moralnego, społecznego etc.).

Bezwolnie pojawia się tu skojarzenie z osławionymi powieściami markiza de Sade’a i okazuje się, że wcale nie bezpodstawnie. Dostojewski dobrze je znał. Czytywał również, by użyć określenia Urbankowskiego, „pornobrukowce, na które dewotki oburają się całymi godzinami”¹⁵. Z nazwiskiem kontrowersyjnego francuskiego pisarza łączy Dostojewskiego również – wspomniany wyżej – Iwan Turgieniew, który w liście adresowanym do Sałtykowa-Szczedrina z września 1882 roku, komentując artykuł Michajłowskiego *Okrutny talent* (o którym rzecz będzie dalej), pisał: „(Autor) słusznie podkreślił główną cechę jego twórczości. Mógł wspomnieć, że podobna postać istniała także w literaturze francuskiej – mam na myśli osławionego markiza de Sade. Ten napisał nawet książkę zatytułowaną *Tourments et supplices*, w której ze szczególnym upodobaniem rozwodzi się nad zdeprawowanymi rozkoszami, jakie płyną z zadawania dotkliwych tortur i cierpień. Również Dostojewski, w jednej ze swych powieści, starannie opisuje przyjemność, jakie doznaje pewien koneser...”¹⁶.

Namiętność Rogożyna do Nastasji Filipowny, czy też obu Karamazowów: Miti oraz jego ojca – Fiodora do Gruszeńki (co charakterystyczne, w powieściach Dostojewskiego często dwóch mężczyzn kocha tę samą kobietę, co zresztą stanowi odzwierciedlenie własnych doświadczeń pisarza) to otchłań lubieźności, szaleństwo prowadzące do samozniszczenia, obłądę, a nawet zbrodni. Miłość, a właściwie żądza w swojej ekstremalnej postaci, rodzi obsesję, staje się manią. Uczucie Rogożyna, stanowiące mieszaninę miłości, pożądania, a nade wszystko chorobliwej zazdrości, osiągnęło poziom natężenia tak wielki, że jedynym sposobem uwolnienia się od cierpień pozostało unicestwienie obiektu namiętności. Podobne myśli nawiedzały Aleksego, którego trudna miłość do Poliny doprowadziła do takiego stanu umysłu i uczuć, że – mówiąc jego głosem: „[...] gdyby było możliwe powoli zatopić w jej piersi ostry nóż, to zdaje mi się, że zrobiłbym to z rozkoszą”¹⁷. Przywołane wyżej postaci doświadczały przeżycia podobnego do *delirium*, czy zgodnie z określeniem Alexa de Jonge u c z u c i a k o ł o w r o t u¹⁸, które zaciera prawdziwe kontury otaczającego świata, utrzymując stan mocno ograniczonej przytomności umysłu. Osoby doświadczające owego uczucia całkowicie koncentrują się na obiektach swojego pożądania, nic poza nimi nie widzą, o niczym innym wiedzieć nie chcą. Zdominowane perspektywą rajskich przeżyć, miotają się wśród powracających – systematycznie, niby w kołowrocie – ekstremów: euforycznego szczęścia i głębi rozpacz. Pożądają przy tym zbyt silnie, aby usłuchać ostrzeżeń rozumu. „Niech tam, cokolwiek się teraz stanie – za jedną chwilę cały świat oddam!”¹⁹ – woła Mitia w środku bachanaliów w Mokrem. W zamian za chwilę euforycznego uniesienia ludzie ci są w stanie poświęcić wiele, nawet wszystko: reputację, majątek, życie.

Zaś intensywność przeżyć, pełnia szczęścia, nawet jeśli ulotna, warte są – ich zdaniem – absolutnie każdego sposobu, który do nich prowadzi, choćby droga wiodła przez łyż i krew.

Fiodor Karamazow sięgnął dna grzechu, spadł tam gdzie lubieżność zamienia się już w prymitywny, ordynarny nierząd. Wolność wyboru przybierając formę samowoli, w jego przypadku przestąpiła się w poniżające zniewolenie. Dla Karamazowa nie istniały już „szkaradne kobiety”, wykazywał gotowość, aby „na dany znak biec za każdą bez wyjątku spódnicą”²⁰. Przestał wybierać, nie gardził żadną, nawet obłąkaną, brudną Jelizawietą Smierdiaszczą. Sprowadzał do domu prostytutki, urządzał orgie. Praktycznie każdym pojawieniu się starego Karamazowa na kartach powieści towarzyszy epitet „rozpustny”. Jakże silna okazała się przy tym moc genów. Jego syn – Dymitr wyjawia: „Lubiłem rozpusztę, lubiłem też hańbę rozpusty. Lubiłem okrucieństwo: czyż nie jestem pluskwą, złym robakiem? Mówiłem Karamazow!”²¹. W innym miejscu równie otwarcie przyznaje się do skłonności sadystycznych, wspominając jak niegdyś z premedytacją rozkochał w sobie niewinną dziewczynę, by nagle wobec niej zobojeźnić. Wszystko po to tylko, aby napawać się jej cierpieniem: „Ta gra bawiła moją robaczą lubieżność, którą w sobie podsyciałem [...] mam podłe żądze i lubuję się w podłości [...]”²².

Lubieżnością Dostojewski nacechował także wiele postaci kobiecych swoich powieści. Zarówno Nastasja Filipowna, jak i Gruszeńka – a dodajmy tu jeszcze Polinę oraz m-elle Blanche – prezentują typ kobiety, której pierwowzór stanowi Apolnaria Susłowa – wielka, namiętna miłość Dostojewskiego. Pola reprezentowała typ kobiety despotycznej, nieprzewidywalnej, rozkapryszonej, ale nade wszystko pociągającej i rozpustnej. Była w pełni świadomą swojej seksualności egocentryczką, która ani myślała liczyć się z otoczeniem. Mężczyznami bawiła się, wykorzystywała ich, wabiła, by po chwili odepchnąć, nie bacząc na uczucia i godność swoich ofiar. Susłowa opętała Dostojewskiego jak Natalia Filipowna Rogożyna, a Gruszeńka obu Karamazowów. Nie potrafił się od niej uwolnić, a nie mogąc posiadać, w swoich powieściach obsesyjnie przywoływał jej obraz. Zacytujmy Mackiewiczę Cata: „[...] ta kobieta zasmakowała mu w życiu o wiele więcej niż wszystkie inne, które znał. Rozkosz erotyczna prawdziwa, rozpustna, arcygrzeszna zjawiała się u wezglowia marzeń Dostojewskiego jako zjawia Susłowej, i tak do końca życia”²³. Zdesperowany Aleksey o swoim uczuciu do Poliny (nieprzypadkowo bohaterka nosi podobne imię) wykrzykuje: „Jestem jak opętany; chcę tylko być przy niej, w jej aureoli, w jej blasku, na wieki, zawsze, całe życie. Więcej nic nie wiem!”²⁴. To jakby wyznanie samego Dostojewskiego.

„Okrutny talent”

„Człowiek jest z natury despotą i lubi być dręczycielem”²⁵ – pisze Dostojewski w *Graczu*, a jego dzieła, zawierające przegląd rozmaitych form okrucieństwa i tyranii, stanowią wymowną ilustrację wygłoszonego poglądu. Mikołaj Michajłowski opisując twórczość autora *Biednych ludzi*, mówił o *okrutnym talencie*²⁶, z pewnością nie przypuszczając, że ukute przez niego określenie przylgnie do Dostojewskiego na stałe. Uzasadniając je, Michajłowski posłużył się przejrzystą metaforą. Twórczość Dostojewskiego porównał z klatką pełną wilków różnej maści, których właściciel drażni swoje zwierzęta: „[...] pokazuje im owcę, kawał krwawego mięsa, smaga je knutem i rozpalałowni żelazem, aby zaobserwować samemu różne odcienie ich gniewu i okrucieństwa i oczywiście pokazać je publice”²⁷. Doznania wilka oraz pożeranej przez niego owcy Dostojewski w swoich powieściach analizował – w przekonaniu Michajłowskiego – szczegółowo i wnikliwie, zdawałoby się, że z pietyzmem i upojeniem nawet, ogniskując uwagę na różnych odcieniach złości, despotyzmu, tyranii i bestialstwa. Krytyk, pozostając w kręgu metaforycznego myślenia, odnotowuje ewolucję twórczości autora *Biednych ludzi*, suponując, że pisarz nieprzerwanie ubóstwiał obserwować pastwienie się wilka nad owcą, tyle, że w pierwszym okresie skupiał uwagę przede wszystkim na owcy, w drugim zaś absorbował go wilk²⁸.

Jako się rzekło, szokujących opisów na kartach dzieł Dostojewskiego nie brakuje. Drastyczne treści niesie opowieść Iwana Karamazowa o detalach sadystycznych zachowań Turków, mordujących bułgarskie dzieci na oczach ich matek. W tychże *Braciach Karamazow* pojawiły się również motywy znęcania nad zwierzętami. Smierdiakow w dzieciństwie dręczył koty, a po latach podsunął małemu Iliuszji pomysł na „doskonałą” zabawę, polegającą na podawaniu psom jedzenia z wciśniętą weń szpilką. Często przywoływany jest, pojawiający się we śnie Raskolnikowa (*Zbrodnia i kara*), motyw katowania klaczy²⁹.

Czystym bluźnierstwem są makabryczne wizje Lizy Chochłakow, tym bardziej porażające, że zrodzone w umyśle bardzo młodej, zdawałoby się niewinnej osoby. W ekshibicjonistycznym wyznaniu, z perwersyjną rozkoszą opowiada o swoich fantazjach. Rysuje sugestywny obraz doznań zrodzonych z obserwacji tortur zadawanych dziecku. Przytoczmy ten fragment: „Żyd czteroletniemu dzieciakowi najpierw odrąbał wszystkie palce, a potem ukrzyżował go na ścianie, przybił gwoździami i ukrzyżował, i potem w sądzie powiedział, że chłopczyk umarł prędko, po czterech godzinach. Ładne prędko! Powiada: jęczał, wciąż jęczał, a tamten stał i rozkoszował się tym widokiem. To dobrze!”³⁰. Dalej w powieści następuje kulminacja wynaturzonych pragnień Lizy: „Myślę czasem, że sama bym ukrzyżowała. On wisi i jęczy, a ja usiądę naprzeciw i będę jadła kompot z ananasów”³¹. To jednak nie koniec psychopatycznych marzeń – z pozoru – ułożonej

i bogobojnej panny z dobrego domu. Dziewczyna chce osiągnąć wielkie bogactwo, podczas gdy inni pozostaliby w nędzy – zjadałaby się wtedy słodyczami, rozkoszując widokiem cierpień tych, którzy przymierialiby głodem. Podobny motyw pojawił się już wcześniej, w *Młodziku*: szesnastoletni chłopak marzył o osiągnięciu bogactwa, by oddać się upragnionej przyjemności – karmić psy chlebem i mięsem, podczas gdy dzieci biedaków na jego oczach umierałyby z głodu. Sceny okrucieństwa sprawiają Lizie przyjemność, wywołują uczucie szczęścia, wprowadzają wręcz w stan psychopatycznej ekstazy. To jednak nie wszystko, zdarza się, że zaczynają ją nawiedzać natrętne myśli, w których wizualizowane jest nieodparte pragnienie destrukcji. Roi się jej wtedy, że skrycie podpala dom, a potem obserwuje tragedię ludzi bezskutecznie walczących z pożarem.

Dostojewski podkreśla dwoistość natury dziewczynki, w której odruchy dobroci łączą się z próbą łamania wszelkich moralnych zakazów, a rzeczywistość miesza się z urojeniem. U źródeł jej myśli (na razie tylko myśli) nie leży jednak obudowany ideologicznie bunt przeciwko moralności, tylko narastający immanentny pęd, zrodzony z okrucieństwa samej natury. „Bywają chwile, kiedy ludzie kochają zbrodnie” – zauważa Alosza Karamazow, a Liza poprawia go: „[...] kochają, wszyscy kochają i zawsze kochają, pod tym względem wszyscy jakby się zmówili, żeby kłamać, i wszyscy odtąd kłamią”³².

Twórczość Dostojewskiego wypełniona jest postaciami wpisującymi się w archetyp Sodomy. Nie bez znaczenia jest tu – często przez Dostojewskiego podkreślana – nuda, która wyznaczała światopoglądową atmosferę ówczesnego rosyjskiego społeczeństwa. Wyczerpały się dotychczasowe źródła podniet, jednocześnie powszechna wrażliwość została stępiona. Pisarz wskazywał na wyraźne relacje między apatią, nudą a intensywnością przeżyć. Liza w swoje szokujące wyznania kilkakrotnie wplata sugestię, że życie jest nudne. Z zazdrością mówi o przeżyciach chłopca, który zdobył się na szalony czyn – leżał na szynach pod przejeżdżającym pociągiem. Jej rozumowanie jest proste – trzeba szukać podniet, mocnego uderzenia adrenaliny, a jeśli nie uda się zapewnić sobie dostatecznie silnych wrażeń, pozostanie zdecydować się na morderstwo, które z pewnością zagwarantuje doznania o zadawalającej intensywności. Od niechcenia, nonszalncko oznajmia: „Nudno. Jeżeli będę uboga, to kogoś zabiję – no i jak będę bogata, to może też zabiję – co będę tak siedziała!”³³.

Całości obrazu dopełniają masochistyczne inklinacje bohaterki – urojone, w postaci wizji o psychicznym maltretowaniu i poniżaniu przez otoczenie, a także zupełnie realne, wystarczy przypomnieć jak z premedytacją przytrzasnęła sobie drzwiami palec. Z zadawania cierpienia komuś (nawet jeśli tylko w sferze wyobraźniowej) lub sobie Liza czerpie przyjemność. Zadośćuczynienie perwersyjnym zachciankom cechowało również Stawrogina. Czynienie zła innym oraz sobie sprawiało mu – jak sam twierdził – rozkosz, nieokreśloną przyjemność pozaracjonalną, a może po prostu fizyczną. W spisany przez siebie *Oświadczeniu* bohater *Biesów* otwarcie wyznaje: „Wszelkie sytuacje niezwykle hańbiące, nadmiernie poniżające i, co najważniejsze, ośmieszające, w jakich się w moim życiu znalazłem, zawsze wzbudzały we mnie na równi z beznierem gniewem, niewiarygodną wprost rozkosz. Dokładnie to samo przeżywałem w chwilach popełniania zbrodni czy w chwilach życiowych niebezpieczeństw. Gdybym był złodziejem, to w chwili popełniania kradzieży upajałbym się świadomością głębi mojej podłości. Nie w podłości jednak byłem zakochany [...], lecz upojenie dawała mi świadomość upadku. [...] często szukałem okazji do tego rodzaju podniet, gdyż nie





znałem nic ponad nie silniejszego”³⁴. Wynurzenia zarówno Lizy, jak i Stawrogina przypominają już podręcznikowy opis dewiacji.

Sanacja przez piekło

Twórcy zwykle protestują, gdy dzieła, które wyszły spod ich pióra próbuje się postrzegać poprzez pryzmat faktów zaczerpniętych z prywatnego życia. Literatura jest jednak tegoż życia nieodłączną częścią. Niejednokrotnie stanowi – mniej lub bardziej uświadamianą – formę swoistego ekshibicjonizmu autorów, czasem bywa po prostu zapisem ich własnego postrzegania świata, nierzadko jest wyrazem konkretnych poglądów, zawsze jednak czerpie z doświadczeń (intelektualnych, emocjonalnych, światopoglądowych, słowem każdych) osób, które ją tworzą. Świat przedstawiony staje się skomplikowanym konstruktem, złożonym z odprysków autentycznego życia, zlepionych spoiwem fikcji. Rzeczywistość – ta prawdziwa – łączy się, miesza z wymysłem. Twórczość stanowi jednocześnie bardzo osobistą formę ekspresji autorów w dosłownym rozumieniu zjawiska. Rzecz w traktowaniu literatury jako swojego rodzaju fikcyjnego świata zastępczego, w którym – w wyniku, nazwijmy to, aktu przeniesienia – znajdują ujście prawdziwe uczucia, frustracje, kompleksy, problemy itp. Psychoanaliza dowiodła, że przestrzeń wirtualna może uwalniać od imperatywu własnych grzesznych pragnień. Jawi się jako rzeczywistość zastępcza, wolny od ograniczeń wyobrażeniowy ekwiwalent świata realnego, w którym to można sobie pozwolić na wiele, jednak nie na wszystko. Być może dla Dostojewskiego wizja gwałtu dokonanego na dziecku przez Stawrogina w *Biesach*, czy sadystyczne wizje Lizy Chochłaków w *Braciach Karamazow* były właśnie takim rozładowaniem skumulowanej złej energii, tudzież traum dzieciństwa?

Lew Wygotski – rosyjski psycholog i pedagog³⁵, próbuje w tej kwestii podjąć dialog z koncepcją Zygmunta Freuda, która zakłada, że u źródeł twórczości, podobnie jak i u podstaw snu oraz fantazji, lokalizują się niezaspokojone pragnienia, a dzieło sztuki staje się dla autora bezpośrednim środkiem skonkretyzowania i przez to zrekompensowania pragnień, nie urzeczywistnianych w życiu realnym. Rosyjski uczony podejmuje temat rozwiniętej przez psychoanalizę teorii afektów, gdzie dzieło literackie jest wyobrażeniowym ekwiwalentem zarówno afektów świadomych, jak i całego zasobu skojarzeniowych powiązań z zespołami afektów podświadomych, często o wiele bardziej intensywnych i sprzecznie nacechowanych³⁶. Zwolennicy psychoanalizy, idąc dalej tym tokiem rozumowania, artystę zestawili się z neurotykiem, który pozwala swoim skłonnościom i instynktom wyzwolić się i zaistnieć w stworzonych przez fantazję obrazach, bądź też paranoią, skłonny do uzewnętrzniania swojego „ja” lub też histerykiem, próbującym przyswoić sobie cudze uczucia i przeżycia. Niezależnie jednak od „etykiety”, jaką twórca jest obdarzony, w procesie twórczym – poprzez mechanizm przenoszenia lub zastępowania, łącząc dawne afekty z nowymi wyobrażeniami – ujawnia on podświadome popędy³⁷. Wygotski przytacza słynne wyznanie Mikołaja Gogola, w którym pisarz stwierdza, że przed własnymi wadami i złymi namiętnościami chronił się, przenosząc je na bohaterów pisanych utworów. Uczony wspomina również o przekonaniu (zupełnie poważnym) niektórych psychoanalityków, że Szekspir oraz Dostojewski nie zostali mordercami tylko dlatego, że uwolnili się od zbrodniczych skłonności, obdarzając nimi kreowane przez siebie postaci³⁸. Proces twórczy dla artysty

jest tu czymś na kształt terapii, czyli „środkiem załagodzenia konfliktu z podświadomością bez wpadania w nerwicę”³⁹.

Dostojewski doskonale znał literacką wartość bluźnierstwa. Wykraczał poza konwencje, naruszał reguły i – paradoksalnie – dzięki owej rejestracji okrucieństwa talent pisarza osiągnął swoje apogeum. Jego twórczość stała się jak uderzenie młota – mocna, intensywna, skuteczna. Epatowanie drastycznymi obrazami, wizualizowanie bestialstwa i bezwzględności postaw ludzkich zwiększa skuteczność oddziaływania. Przywoływany już wcześniej Michajłowski zarzucił Dostojewskiemu, że niepotrzebnie przesadzał, wyolbrzymiał uczucia, nadmiernie dręczył swoich bohaterów i czytelników⁴⁰. Czy jednak taki sam efekt – dosadny i wyrazisty – pisarz uzyskałby, gdyby zamiast „uderzyć odbiorców owym młotem”, tylko by ich delikatnie „musnął”? Drastyczne, niemoralne sceny przyciągają, koncentrują na sobie uwagę, na czytelniczną refleksję czas przychodzi potem. Bluźnierstwo, szok należą do bodaj najbardziej nośnych i efektywnych chwytów, zwiększających (czasem nawet gwarantujących) szansę na istnienie dzieła literackiego. Bardzo to współczesne podejście do sposobu funkcjonowania literatury, ale i nie obce w dziewiętnastym stuleciu.

Podjęta wyżej próba rozważania roli drastycznych obrazów w twórczości Dostojewskiego, zlokalizowana jest w zasadzie poza samymi dziełami literackimi. Jak zatem motywy okrucieństwa sytuują się immanentnie, w samej tkance ideowej powieści?

Ogarniętej przez idee nihilistyczne współczesnej sobie Rosji, Dostojewski, epatując okrucieństwem, pokazuje świat bez Boga. Wraz z odrzuceniem Stwórcy, dochodzi do anihilacji wszystkich Najwyższych Wartości, stanowiących dotąd jedyne punkty odniesienia. Ludzie przestają odróżniać dobro od zła, bowiem przestaje istnieć kryterium pozwalające na etyczną kwalifikację czynów, postaw, myśli. Jeśli nie ma Boga, znikają wszelkie moralne ograniczenia. Człowiek sam zyskuje boskie uprawnienia, może więc w s z y t k o . Tytułowy bohater *Młodzika* pyta zebranych nihilistów: „Wszak Boga odrzucacie – więc jakąż to siłą bezwładu, głucha, ślepa i tępa, ma mnie zmusić, abym tak a nie inaczej postępował, jeżeli mnie jest wygodniej inaczej?”⁴¹

Dla każdego grzesznika – głosi Dostojewski – istnieje jednak nadzieja. Zarzewie dobra tkwi w każdym człowieku, często latami przebywając w uśpieniu wśród zła. I nieważne jak intensywnie jednostka uwikłana jest w grzech – zawsze ma szansę na odrodzenie. Dostojewski opisuje proces przebóstwienia swoich bohaterów negatywnych. Głównym tematem *Zbrodni i kary* nie jest przecież nic innego jak duchowe odrodzenie mordercy Raskolnikowa, w *Biesach* poddaje nawróceniu grzesznego mentora pokolenia „biesów” – Stefana Wierchowieńskiego, zaś w *Młodziku* ukazuje przebóstwienie przedstawiciela szlachty, ogarniętej moralną degrengoladą. W kreowanych obrazach wybrzmiewa przekonanie głoszone przez prawosławną teologię o trwałości oraz nienaruszalności w człowieku pierwotnego obrazu Bożego. Stanowi on konstytutywny element ludzkiej natury i na skutek grzechów czynionych przez osobę, która obraz ten nosi, może zanikać, nigdy jednak nie zostanie całkowicie utracony⁴². U Dostojewskiego momentem zwrotnym w życiu jego bohaterów jest osiągnięcie przez nich moralnego dna, nurzanie się w okrucieństwie, lubieżności. *Sacrum* odsłania się w doświadczeniu upadku, jako efekt czegoś w rodzaju ołśnienia i grzech prowadzi wtedy do odnalezienia Boga. Życie duchowe zostaje przywrócone człowiekowi z jego immanentnej głębi, poprzez doświadczane wewnętrzne piekło.

Mirosława Michalska-Suchanek

¹ Zob.: B. Bursow: *Osobowość Dostojewskiego*. Przekł. A. Wołodźko. Warszawa 1983, s. 97-98.

² A. de Jonge: *Dostojewski i wiek intensywności*. Przekł. A. Grabowski. W: „Literatura na świecie” 1983, nr 3, s. 28.

³ B. Urbankowski: *Dostojewski – dramat humanizmów*. Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza 1977, s. 6.

⁴ Tamże, s. 9.

⁵ H. Kryształ: *Problem zła w twórczości F. Dostojewskiego. Studium teologiczne moralne*. Lublin: Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 2004, s. 147.

⁶ Wszystkie trzy wypowiedzi cyt. za: B. Urbankowski: *Dostojewski – dramat...*, s. 29.

⁷ S. Mackiewicz Cat: *Dostojewski*. Bielsko-Biała: Studio Sto 1997, s. 100-101.

⁸ Zagadnieniu temu poświęcony jest szkic: M. Michalska-Suchanek: *Medialne namaszczenie. O poetach przeklętych. W: Media a środowisko społeczne. Dylematy teorii i praktyki*. Red. s. Michalczyk, D. Krawczyk, Gliwice-Katowice 2011, s. 76-92.

⁹ Cyt. za: B. Urbankowski: *Dostojewski – dramat...*, s. 31.

¹⁰ Cyt. za: tamże, s. 96-97. Z tego właśnie listu pochodzi wcześniej cytowany fragment, dotyczący domniemanych przechwałek pisarza o uwiedzeniu guwernantki i jej uczennicy. Co ciekawe, Strachow na zamówienie Anny Dostojewskiej napisał hagiograficzną biografię autora *Biesów*, opisującą długie lata ich znajomości, jednocześnie jednak pisywał listy do Lwa Tolstoja, w których oczerniał Dostojewskiego, albo – jak twierdził – pisał o nim czystą prawdę. Po opublikowaniu korespondencji Strachowa do Tolstoja, Anna Dostojewska wystąpiła z obroną męża, oskarżając Strachowa o działania z niskich pobudek, głównie ze zwykłej zawiści. Patrz: *Okrutny talent. Dostojewski we wspomnieniach krytyce i dokumentach*. Wybór Z. Podgórzec. Kraków: Wydawnictwo Literackie 1984, s. 316. Interesujące jest też zdanie samego Dostojewskiego o Strachowie. Oto symptomatyczny wyimek z dłuższej charakterystyki krytyka pomieszczonej w Notatkach pisarza: „Żadnego poczucia obowiązku obywatelskiego, żadnego oburzenia się na świństwo wobec kogoś, przeciwnie, taki sam będzie robił świństwa. Mimo swoich wyznawanych na zewnątrz surowych zasad moralnych w skrytości swej duszy jest on lubieżnikiem i dla możliwości popełnienia jakiejś lubieżnej obrzydliwości jest gotów sprzedać wszystko i wszystkich, porzuci dla niej swe obowiązki obywatelskie, do których się zresztą nie poczuwa, swą pracę, która jest mu obojętna, swój ideał, którego i nie miewa, nie dlatego, że nie wierzy w ideał, lecz z powodu grubej warstwy tłuszczu, poprzez którą nie może nic odczuć”. W: F. Dostojewski: *Z notatków*. Przekł. Z. Podgórzec. Warszawa: Czytelnik 1979, s. 340. Ocena ta, choć sardoniczna, pozwala inaczej spojrzeć na kalumnie rzucane przez Strachowa w jego listach.

¹¹ B. Urbankowski: *Dostojewski – dramat...*, s. 21.

¹² S. Mackiewicz Cat: *Dostojewski...*, s. 21.

¹³ Tamże, s. 19.

¹⁴ M. Bierdiajew: *Światopogląd Dostojewskiego*. Przekł. H. Paprocki. Kęty: Wydawnictwo Antyk 2004, s. 65.

¹⁵ B. Urbankowski: *Dostojewski – dramat...*, s. 108.

¹⁶ Cyt. za: *Anna Dostojewska: Wspomnienia*. Przekł. Z. Podgórzec. Warszawa 1974, s. 447-448. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że Turgieniew nie pałał do Dostojewskiego sympatią, zresztą z pełną wzajemnością. Istniały nawet przypuszczenia, że incydent z dziewczynką opisany przez Strachowa wymyślony został przez autora *Biesów* po to, żeby dokuczyć Turgieniewowi. Patrz: A. de Jonge: *Dostojewski i wiek...*, s. 36.

¹⁷ F. Dostojewski: *Gracz*. Przekł. W. Broniewski. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1984, s. 877.

¹⁸ A. de Jonge: *Dostojewski i wiek...*, s. 26.

¹⁹ F. Dostojewski: *Bracia Karamazow*. Przekł. A. Wat. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1984, t. II, s. 136. Alex de Jonge zestawia słowa Dymitra Karamazowa z okrzykiem Baudelaire’a: „Cóż znaczy wieczne potępienie dla tego, kto w przeciągu sekundy odnalazł nieskończoną rozkosz”. A. de Jonge: *Dostojewski i wiek...*, s. 22. Wspomniany artykuł zawiera interesujące rozważania dotyczące komparatywnych analizy motywów związanych z intensywnością przeżyć, obecnych w twórczości Dostojewskiego oraz Baudelaire’a.

²⁰ F. Dostojewski: *Bracia Karamazow*. Przekł. A. Wat. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1984, s. 15.

²¹ Tamże, s. 133.

²² Tamże, s. 134.

²³ S. Mackiewicz Cat: *Dostojewski...*, s. 139.

²⁴ F. Dostojewski: *Gracz...*, s. 947.

²⁵ Tamże, s. 899.

²⁶ Tak też Mikołaj Michajłowski – krytyk i publicysta – zatytułował swój znany esej poświęcony twórczości Dostojewskiego: M. Michajłowski: *Okrutny talent*. Przekł. L. Liburska. W: *Okrutny talent. Dostojewski we wspomnieniach...*, s. 245-298.

²⁷ Tamże, s. 249.

²⁸ Tamże.

²⁹ Problem okrucieństwa wobec zwierząt w twórczości Fiodora Dostojewskiego szczegółowo opisany został przez J. Tymieniecką-Suchanek w: tejsze: *Literatura rosyjska wobec upodmiotowienia zwierząt. W kręgu zagadnień ekofilozoficznych*. Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2013, s. 105-123.

³⁰ F. Dostojewski: *Bracia Karamazow...*, s. 676-677. Bohaterka opisuje swoje psychopatyczne pragnienie, porównując je z przypisywanymi Żydom rytualnymi morderstwami chrześcijańskich dzieci. Dostojewski, który przez całe życie wykazywał postawę skrajnie antysemicką i tym razem odwołał się do dość powszechnego wówczas przekonania, że obserwacja stylu życia przedstawicieli narodu żydowskiego przynosi materiał, dowodzący niezniszczalności zła w naturze ludzkiej. Przekonanie stanowiło rezultat dyskusji, sprowokowanych sensacjami, które masowo w latach siedemdziesiątych pojawiały się na łamach rosyjskiej prasy konserwatywnej. Rzecz dotyczyła żydowskich mordów rytualnych, a także procesów sądowych osób oskarżonych o rytualne zabójstwa dzieci. Zob. T. Poźniak: *Dostojewski i wschód. Szkic z pogranicza kultur*. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1992, s. 121. Zagadnienie stosunku Fiodora Dostojewskiego do narodu żydowskiego podjęte zostało w artykułach: M. Michalska-Suchanek: *Żydowski „marsz na Rosję”. O judofobii Fiodora Dostojewskiego*. W: „Migotania. Gazeta literacka” 2013, nr 1 (38), s.15-16 oraz M. Michalska-Suchanek: *Żyd oraz Rothschild. Wokół dwóch „słów kluczowych” w twórczości Fiodora Dostojewskiego*. W: *Language And The Environment*. Tom I. Red. U. Michalik, M. Michalska-Suchanek. Gliwice: Gliwicka Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości 2013, s. 31-40.

³¹ F. Dostojewski: *Bracia Karamazow...*, s. 677.

³² Tamże, s. 675.

³³ Tamże, s. 674.

³⁴ F. Dostojewski: *Biesy*. Przekł. T. Zagórski, Z. Podgórzec. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1984, s. 682.

³⁵ Twórca kulturowo-historycznej teorii rozwoju psychiki, która do czasów obecnych inspirowe psychologów na całym świecie. Prace Wygotskiego w stalinowskiej Rosji były zakazane, a jego teorię określano jako „burżuazyjną pseudonaukę”. Najważniejsze dzieła uczonego, takie jak *Psychologia Pedagogiczna* (1926), czy *Myśl i Język* (1932) musiały czekać na tłumaczenia i publikację aż do drugiej połowy XX wieku. Wtedy też ogólnościowe zainteresowanie Lwem Wygotskim na nowo zaczęło się rozwijać.

³⁶ L. Wygotski: *Psychologia sztuki*. Przekł. M. Zagórska. Kraków 1980, s. 129.

³⁷ Tamże, s. 130.

³⁸ Tamże.

³⁹ Tamże, s. 131.

⁴⁰ M. Michajłowski: *Okrutny talent...*, s. 279.

⁴¹ F. Dostojewski: *Młodzik*. Przekł. M. Bogdaniowa, K. Bleszyński. Warszawa: PIW 1956, s. 65.

⁴² H. Kryształ: *Problem zła...*, s. 195.

Fot. Wojśław Brydak

Roman Warszawski

POWRÓT

– W pańskich opowiadaniach często pojawia się motyw podróży i ludzie z walizkami. Nie czuje się pan teraz trochę jak bohater własnych opowiadań?

– Oczywiście, że czuję się jak człowiek z walizką, mieszkam w walizce i jeszcze pomieszkam tak jakiś czas. Walizki są nieodłącznym elementem mojego życia od co najmniej kilku tygodni. Nie zastanawiam się jednak, czy jestem kimś z moich opowiadań, czy nie, bo trzeba po prostu żyć – na goło i bezpośrednio.

– Ale te walizki towarzyszą panu nie tylko od kilku tygodni. Pan przecież całe życie podróżuje...

– Nie przesadzajmy. Między etapami moich podróży są zwykłe duże przerwy, a wtedy walizki są gdzieś na boku – tam, gdzie na co dzień jest ich miejsce.

– Czyli – jakieś stałe lokum już pan znalazł...

– Wynająłem mieszkanie.

– Rada Miejska w Krakowie nie była tak szczodra, jak w stosunku do Czesława Miłosza?

– Na pewno. To była kombinacja bardzo wielu różnych okoliczności. Tam po prostu dłużej normalnie żyć się nie dało. Poza tym mieszkalem tam siedem lat. Kiedy się tam ustawiłem, miałem lat sześćdziesiąt, teraz mam sześćdziesiąt sześć. Z czasem, z wiekiem przychodzi na człowieka coś takiego, że jest się znużonym ciągłym przebywaniem w obcych sytuacjach.

– Ale to jest jakby pańska specjalność. Od 1963 roku jest pan przecież nieustannie w drodze...

– Owszem, można powiedzieć, że to moja specjalność. Ale weźmy pod uwagę także mój wiek i coraz większe zmęczenie. Jest to bardzo ludzkie, bardzo oczywiste. Ktoś, kto ma trzydzieści trzy lata nie jest tym samym człowiekiem, jak ten, kto jest dwa razy starszy.

– Gdy decydował się pan na wyjazd do Meksyku, czy była to jakaś prywatna próba poszukiwania – nazwijmy to tak – raju?

– Nie, bo raju nie ma. Była to po prostu, jeszcze jedna potrzeba zmiany, sprawdzenia się w innych okolicznościach i w nowych sytuacjach. W moim wypadku nie było to akurat nic nadzwyczajnego, bo przez całe życie gdzieś się sprawdzałem, gdzieś mieszkalem, gdzieś byłem, a potem czułem, że trzeba się ruszyć i posprawdzać jak to jest ze mną jeszcze gdzieś indziej.

– Meksyk znał pan już poprzednio. O ile się nie mylę, były tam wystawiane pańskie sztuki...

– Tak, znałem, z tym że ten Meksyk, który się ustabilizował przez pół wieku, ostatnio zaczął się gwałtownie zmieniać. Od jakichś dwóch lat zaczęły zachodzić tam bardzo dramatyczne zmiany...

– Po załamaniu się peso?

czątku do końca zrealizować formułę życia, którą wymyśliłem i którą pojechałem obracać tam w czyn.

– Formułę samotniczą?

– Jak się mówi samotniczą, to brzmi jakoś tak ponuro. Po polsku brzmi to tak dziwnie. Chodziło o pewien spokój i o pewną koncentrację. Było mi po prostu potrzebne, żeby właśnie tak pożyć, no i pożyłem. W swoim czasie było to bardzo dobre, ale przestało być. Po pewnym czasie wszystko przestaje być tym, czym było na początku.

ABSURD

– Tu, w Krakowie nie będzie możliwe kontynuowanie tej formuły... Będzie pan bardziej osaczony...

– Bo też tu nie o to chodzi. Po tylu latach odludzia, nadszedł czas na życie wśród ludzi. Wahadło wychyliło się w drugą stronę.

– Pańska twórczość w dużej mierze eksploatowała absurd PRL. Czy nie obawia się pan, że po upadku starego porządku, to co pan pisze, może spotkać się z mniejszym rezonansem?

– Ja się nie obawiam o moją twórczość. Jestem natomiast bardzo zadowolony, że nie ma rzeczywistości, która powodowała, że należało używać formy absurda, żeby cokolwiek móc napisać.

– Ale pańskie ostatnie opowiadania nadal są groteskowo-absurdalne... Na przykład te, które ukazują się w „Tygodniku Powszechnym”.

Człowiek z walizką

Ze Sławomirem Mrożkiem, po powrocie z Meksyku, rozmawia Roman Warszawski

– Po pierwsze – nie ma takiej ustawy, że Rada Miejska daje komuś mieszkanie; Miłosz też mieszkania nie dostał całkiem za darmo. Po drugie – ja wcale nie uważam, że mi się coś należy za to, że wróciłem do Polski. Jest to w końcu moja prywatna sprawa.

– Wszyscy bardzo się cieszą z tego powrotu...

– Tak, zauważyłem. To strasznie sympatyczne. Spotkałem się z życiowością tak środowiska, jak i ludzi, którzy poznają mnie na ulicy. Jest to bardzo przyjemne, bo tak daleka podróż i sam powrót to nie jest prosta sprawa, więc gdyby do tego doszła jeszcze jakaś wrogość, to byłoby zupełnie niedobre.

– Słyszałem taką opinię, że przyjechał pan do Krakowa, żeby mieć bliżej do Sztokholmu...

– Do Sztokholmu?

– Bo jest pan podobno jednym z kandydatów do tegorocznej literackiej Nagrody Nobla.

– Takich kandydatów jak ja, proszę pana, jest chyba parę tysięcy – no, co najmniej paruset. To, że jest się kandydatem, jeszcze o niczym nie świadczy. Przyznawanie Nagrody Nobla zmieniło się w proces wielce biurokratyzowany. To cała wielka machina. Taka literacka maszyna do mielenia mięsa.

– W niczym nie zmienia to faktu, że w tym roku ma pan, ponoć, bardzo duże szanse...

– A skąd pan to wie?

– Od jednego z dyplomatów, który pracuje w ambasadzie w Oslo.

– Byłoby oczywiście bardzo miło, ale do takich zaszczytów naprawdę nie mam absolutnie żadnych pretensji.

– A kto, pana zdaniem, w tym roku powinien otrzymać literackiego Nobla?

– Nie mam pojęcia. Najmniejszego. Niech się martwią o to ci, którym za to płacą. I ci, którzy mają szansę.*

MEKSYK

– Pański wyjazd z Meksyku do Krakowa to była ucieczka?

– Nie tylko. To była strona ekonomiczna tego procesu. Ale nic nie stoi w miejscu. Cały system zarządzania, który funkcjonował tam przez tyle lat, uległ degeneracji. Zaczął się kryzys nie tylko ekonomiczny, ale i polityczny. Bezrobocie osiągnęło niespotykany poziom, nawet jak na tamtejsze warunki, zaczęła szerzyć się przemoc, rabunki, porwania. Zyskało to taką skalę, że pod koniec mojego pobytu, spałem z pistoletem pod poduszką.

– Jacy są Meksykańczycy?

– Tak zwany lud jest niezwykle sympatyczny. Nie powiem, że są oni dobrze wychowani, bo nikt ich nie wychowywał, ale w Meksyku nie wypada np. pchać się, nie wypada głośno mówić, nie wypada być zaświśnym. Te gorsze cechy pojawiają się dopiero w środowiskach, które mają kontakt z wielkim sąsiadem z Północy. To „zabawczy” wpływ tzw. wyższej cywilizacji.

– Czy starał się pan poznać ten kraj? Zwiedzał pan jakieś prekolumbijskie zabytki?

– Trochę jeździłem, byłem między innymi na Jukatanie. Jest to całkiem inny kontynent, inny klimat, inna przeszłość, tradycja. To całkiem coś innego niż Europa – do tego stopnia, że często trudno powiedzieć, o co im tak naprawdę chodziło.

– Próbował się pan tym bliżej interesować?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie miałem na to czasu. Woląłem zajmować się własnymi sprawami, własnym rzemiosłem.

– Nie chciał pan potraktować tego jako potencjalnego źródła inspiracji?

– Po co mi inspiracja? Z tą inspiracją to jakieś nieporozumienie. Po prostu człowieka siada i pisze, nie to, że lata jak pies za kielbasą i węszy inspirację. Ja mogę pisać wszędzie i zawsze, byle bym miał czas, zdrowie i warunki.

– Czyli – przez te siedem lat pozostawał pan na uboczu Meksyku? Był pan na Meksyk nieprzemakalny?

– Całkowicie. Był to mój świadomy wybór, taki był mój program. Mieszkalem na absolutnym odludziu, z dala od miasta. Nie miałem żadnych kontaktów z tamtejszym światem kulturalnym, z intelektualistami. Nie było p prostu takiej potrzeby, nie chciałem tego robić. Chciałem od po-

– Bo – szczerze mówiąc – są to opowiadania sprzed trzydziestu lat. Napisałem je w PRL i być może dlatego brzmią one teraz trochę staroświecko.

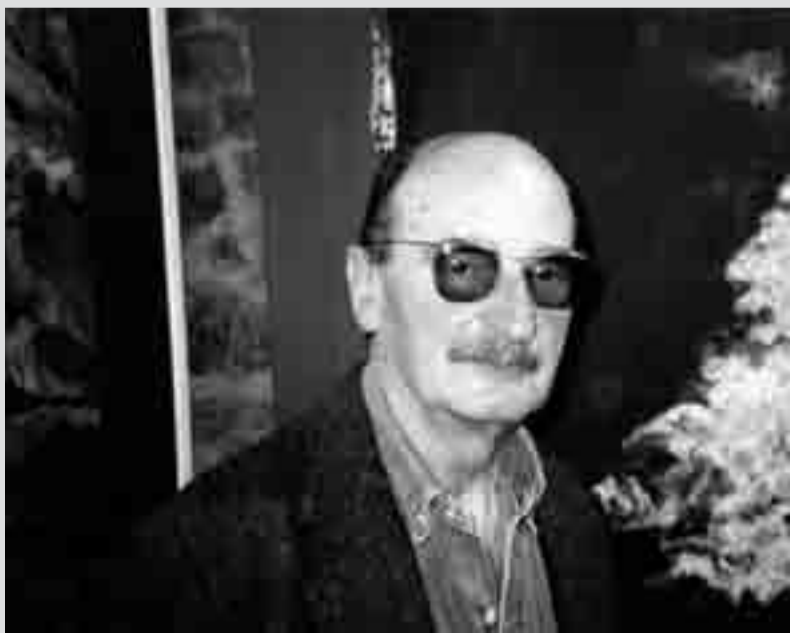
– A opowiadania z pierwszego tomu pańskich „Dzieł zebranych”?

– „Dzieła” rzeczywiście ukazują się od tyłu – zaczynają się od rzeczy, które powstały stosunkowo niedawno. Ale i te opowiadania nie są wcale tak bardzo ostatnie, bo mają co najmniej trzy lata. Większość z nich jest jeszcze starsza.

– Czyli – na dobrą sprawę – nie zdajemy sobie sprawy z tego nad czym pan obecnie pracuje?

– Ja w tej chwili nad niczym nie pracuję. Żeby pracować, musiałbym mieć odpowiednie warunki. Na razie jeszcze ich nie mam i trudno przewidzieć, kiedy to nastąpi. Mówiąc obrazowo – aktualnie pracuję nad tym, żeby po trzydziestu trzech latach pobytu za granicą znów dostać dowód osobisty...

– Niemniej w tych opowiadaniach sprzed trzech lat absurd jest nadal obecny...





– *Ja po prostu nie piszę opowiadań naturalistycznych. Taka jest właściwość mojego umysłu. Dlatego sądzę, że pod tym względem także w przyszłości chyba niewiele u mnie się zmieni.*

– **A czy ilość absurdu w świecie się zwiększa, czy zmniejsza? Świat staje się coraz bardziej czy coraz mniej absurdalny?**

– *Kiedy – pan wybaczy – ja naprawdę nie posiadam żadnego absurdomierza ani nie jestem przyrządem do mierzenia absurdu...*

– **Ale jest pan na absurd szczególnie wyczulony, pan znakomicie absurd wychwytuje...**

– *Nie sądzę, bym czynił to lepiej niż ludzie, którzy narzekają na różne absurdalne sytuacje. A że go opisuję... Opisuję, bo muszę coś pisać. Pisałem w ustroju, który był absurdalny i pisanie o absurdach było bezpiecznym szczypaniem tamtej rzeczywistości. Teraz sytuacja się jednak zmieniła...*

– **Pojawiły się nowe absurdy...**

– *Być może, ale ja na razie jestem tu dopiero trzy tygodnie i mam całkiem inne kłopoty.*

LITERATURA

– **A czy pana zdaniem literatura zmierza do miniaturyzacji formy?**

– *Nie wiem, bo nie jestem teoretykiem literatury – nie mam na ten temat ani informacji, ani nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jestem po prostu wytwórcą, producentem, a teoria, ani teoretyzowanie nigdy mnie za bardzo nie interesowało.*

– **Można jednak odnieść wrażenie, że krótka, impresyjna forma najbardziej panu odpowiada. Czy oznacza to, że nie należy się spodziewać, iż spod pana ręki wyjdzie np. powieść?**

– *Nie wiem, naprawdę nie wiem i właśnie to jest takie ciekawe. Gdybym wiedział, czego mogę się po sobie spodziewać, pisałbym chyba ze znacznie mniejszą ochotą. Bo również dla mnie w tym wszystkim musi być obecny element pewnej niespodzianki, nie tylko dla czytelnika.*

Wiem tylko, że ludzie mają coraz mniej czasu, są wychowani na telewizji, a to nie sprzyja długotrwałemu skupieniu uwagi. Mówiono mi kiedyś, że moje krótkie opowiadania całkiem nieźle funkcjonują wśród młodych ludzi w Niemczech właśnie dlatego, że są takie krótkie.

– **Miniaturyzacja formy dla pisarza jako tendencja ogólnościowa nie jest jednak chyba czymś pocieszającym...**

– *Oczywiście, że jest to niedobre, ale nie ma na to rady. Na pewno się to nie cofnie i trzeba jakoś z tym żyć, jakoś się z tym ułożyć. Co z tego wyniknie w przyszłości, to jeszcze zobaczymy. Kierunek zapewne wskazuje technologia.*

– **Umberto Eco twierdzi, że książka, dobra książka, obroni się przed inwazją audiowizualną...**

– *To sobie twierdzi. Nie sądzę, by mogło to mieć wpływ na to, co rzeczywiście się zdarzy.*

POLSKA

– **A dlaczego na miejsce swojego kolejnego życiowego etapu nie wybrał pan np. Nowego Jorku?**

– *Bo bardzo nie lubię tego miasta.*

– **Wydawałoby się, że to takie wspaniałe miejsce dla dramaturga...**

– *Ale ja przede wszystkim jestem człowiekiem, dopiero w dalszej kolejności dramaturgiem. Jestem człowiekiem, który ma określone potrzeby, określony temperament i według tego żyję. Szczerze mówiąc, Nowy Jork w ogóle nie wchodził w rachubę. Kiedy żonę zapytałem, dokąd się ruszamy z Meksyku, powiedziała, że do Krakowa. Dlatego tu jesteśmy. Choć teoretycznie – bo świat jest otwarty – mogło to być prawie każde inne miejsce...*

– **W 1963 roku, gdy pan wyjeżdżał za granicę, uciekał pan od Polski, jako od pewnej prowincji, czy też chciał się pan uwolnić od PRL?**

– *To są zawsze tak złożone sprawy, że zwykle trudno znaleźć jedną zasadniczą przyczynę. Jak człowiek jest młody, to się rusza. Przypuszczam, że gdybym był innej narodowości i mieszkałbym w innym kraju, też bym starał się stamtąd wyjechać, choć w tym wypadku byłoby to oczywiście dużo łatwiejsze. Myślę, że w moim przypadku chodziło przede wszystkim o to, żeby zafunkcjonować poza krajem, poza tym, co już znałem. Sądzę, że każdy młody człowiek w którejś chwili staje przed taką pokusą, a jedyna różnica polega na tym, że nie wszyscy jej ulegają.*

– **Jak pan ocenia zmiany, które ostatnio zaszły w Polsce? Jest duża różnica w porównaniu z tym, co pamięta pan ze swoich ostatnich bytności w Krakowie?**

– *Jest duża różnica, choć – moim zdaniem – jest ona wciąż za mała.*

– **A co się panu nie podoba?**

– *Właśnie to, że różnica jest za mała. raków pod koniec PRL był na granicy ruiny. Gdyby nie zmiana, która nastąpiła, to miasto najprawdopodobniej w którejś chwili by się zawaliło.*

– **Czy dostrzega pan w Polsce jakieś analogie z Ameryką Łacińską?**

– *Właśnie łacińskość – bo my też wyrastamy z tej tradycji. Z Meksykiem i innymi krajami regionu łączy nas na pewno niezdolność do zbornego działania, wykańczania, brak umiejętności organizacyjnych – cechy raczej negatywne.*

– **Czy to znaczy, że nasz kapitalizm może z czasem okazać się zbliżony do kapitalizmu latynoskiego?**

– *Nie sądzę. Mimo wszystko nasz kapitalizm zapowiada się na sprawniejszy. Tradycja też jest tu całkiem inna. Polska jest przecież krajem, który samodzielnie zaistniał, natomiast cały Meksyk wziął się z podboju, z rzezi.*

– **W Krakowie, przez sześć miesięcy w roku mieszka Czesław Miłosz, mieszka tu też Stanisław Lem. Będziecie panowie tworzyć jakąś grupę?**

– *Grupy zakłada się, jak się jest młodym i gdy jeszcze nie bardzo się wie, co dalej. Starsi, zawodowcy, mają swoje firmy. W tym sensie więc grupy nie będzie ale na pewno od czasu do czasu będziemy spotykać się towarzysko.*

– **Nieustannie podkreśla pan znaczenie wieku. Czy to rzeczywiście tak istotne?**

– *Oczywiście. Co w tym dziwnego? Młody i stary człowiek to dwa całkiem różne światy. Jest to całkiem ludzkie, zupełnie naturalne.*

– **Ale pan z natury jest chyba bardzo młody. To wynika z pańskich tekstów, które są rześkie i młodzieńcze. Może właśnie dlatego są one tak dobrze przyjmowane na Zachodzie, a nie tylko z tego powodu, że są krótki...**

– *Jeżeli rzeczywiście tak jest, to świetnie – nic lepszego nie mógłbym sobie wymarzyć.*

WARSZTAT

– **A czy to, co w Polsce dzieje się w polityce, pana choć trochę nie śmieszy?**

– *Ja jestem – znowu to pana obruszy – już za stary, za bardzo doświadczony, żeby się zajmować takimi rzeczami. Nie jestem nawet kibicem tego, co się dzieje w polskiej polityce. Polityka, choć na pewno jest czymś bardzo ważnym, w tej chwili w ogóle mnie nie interesuje.*

– **Ale kiedyś było inaczej – kiedyś był pan wielbicielem Lecha Wałęsy...**

– *W pewnym okresie wszyscy byli jego wielbicielami. To była absolutnie wyjątkowo sytuacja narodowa. Ale minęła i chyba nigdy już się nie powtórzy.*

– **A to, co potem stało się z Wałęsą, zaskoczyło pana%**

– *Nieszczególnie. Później nie było groźnej sytuacji narodowej i – po prostu – przestałem się tym zajmować.*

– **Jako producent książek dużo pan czyta?**

– *Nie tak dużo, bo żyję w sposób zbyt nieustabilizowany. W tej chwili w ogóle nie mogę czytać, bo nie mam na to czasu. Pochłanianie mnie zbyt wiele nudnych, przyziemnych czynności, przed którymi – w związku z przeprowadzką – nie sposób uciec. Jak każdy człowiek muszę najpierw mieć jakiś dach nad głową...*

– **Ale z drugiej strony jest to jakieś kolejne doświadczenie...**

– *To nie jest już doświadczenie, to jest po prostu nudne.*

– **To powrót do Itaki...**

– *W innym sensie na pewno, ale w sensie administracyjnym j8ż tyle razy w tylu tak różnych krajach przez to przechodziłem, że jest to dla mnie już tylko prawdziwa udręka.*

– **Prowadzi pan jakiś dziennik?**

– *Nie, nigdy nie prowadziłem.*

– **A ile czasu poświęca pan na pisanie?**

– *Nie wiem, bo nigdy tego nie liczyłem. Za dużo nie, bo coraz bardziej mnie to męczy. Ale parę godzin dziennie na pewno. W ogóle, życie za bardzo mnie absorbuje. Niech pan szczegółowo skalkuluje, a okaże się, że najwięcej czasu zabiera to, żeby wstać, umyć zęby, zjeść obiad. Dopiero reszta pozostaje na robienie czegoś konkretnego.*

– **Jest pan zwolennikiem podejścia Mannowskiego – że codziennie pisze się stałą liczbę godzin, całkiem tak jakby pracowało się w urzędzie?**

– *Tak być powinno, ale rzadko komu to się udaje. Najpierw trzeba by być chyba Tomaszem Mannem, a to – jak wiadomo – nie jest takie proste.*

– **Jaki jest pański twórczy algorytm?**

– *Nie ma algorytmu. Nie ma żadnych tajników. To tak samo jak z tą inspiracją. Trzeba po prostu sięść i pisać. To jest jednak możliwe tylko w życiu ustabilizowanym. Tymczasem na razie moje życie jest wszystkim innym tylko nie tym. Pisanie jest dla mnie procesem naturalnym i ja się nie zastanawiam nad tym, jak on się dokonuje. To tylko kwestia czasu i pewnej koncentracji. Przede wszystkim koncentracji. Reszta wynika już sama z siebie.*

– **Dziękuję panu za rozmowę!**



* Rozmowa została przeprowadzona na kilka dni przed przyznaniem literackiej Nagrody Nobla Wisławie Szymborskiej.

Jerzy Niesiobędzki

Jednym z podstawowych mierników znaczenia i rangi artystycznej krytyki jest harmonizowanie obserwacji jednostkowych przejawów sztuki z formułowaniem ocen sytuujących to, co estetycznie konkretne, incydentalne w ramach szerszych artystycznych procesów. W dziedzinie krytyki teatralnej, jak w każdej innej, harmonizacja taka, choć pożądana nie bywa atoli zbyt łatwo osiągalną. Krytykowi wypowiadającemu się od premiery, do premiery, trudno ad hoc tworzyć syntezy, czy natychmiastowe uogólnienia. Siadając za biurkiem teatralny krytyk koncentruje się na analizie, opisie dopiero, co obejrzanego spektaklu. Sytuacja wymagająca szybkiej reakcji ogranicza zakres refleksji. Uogólnieniom potrzebny jest dystans. Odsunięcie od codziennego teatralnego zgiełku i wrzawy, owszem, osiągalne bywa na piętrze teatrologii., Ale tam powoduje z kolei utratę świeżości spojrzenia, kontaktu z bieżącą teatralną praktyką. A jednak!.. Mimo wszystko bieguny doraźnie recenzenckiego i syntetyczno teatrologicznego oglądu teatru mogą się do siebie przybliżać. Całkiem wyraźnie, zaznacza się to w dorobku takich krytyków jak Jan Kott, Konstanty Puzyna, Marta Fik, czy Andrzej Żurowski

Wszyscy oni pisywali recenzje, wszyscy do szerszych przemysłów dochodzili równolegle z obserwacją konkretnych spektakli. Jan Kott, zanim sformułował teorię szekspirowskiego Wielkiego Mechanizmu Historii, systematycznie omawiał kolejne przedstawienia sztuk autora „Hamleta” w „Przeglądzie Kulturalnym”. Późniejsza jego książka – *Szkice o Szekspirze* – w zakresie interpretacji szekspirowskich kronik zyskała opinię nowatorskiej. Ale zawarta w niej nowatorstwo wyłaniało się właśnie w trakcie recenzenckiej działalności krytyka. I było implikowane nią tak dalece, że w drugim wydaniu książki – już pod zmienionym tytułem: *Szekspir współczesny* – mimo licznych korekt, niektóre z zawartych w niej rozważań zachowały pierwotny charakter recenzenckich uwag pisanych na gorąco. W podobny sposób rodził się zbiór szkiców Konstantego Puzyny *To, co teatralne*. Przesłanie książki, *Reżyser ma pomysły* określiły penetracje krytyczne Marty Fik inscenizacyjnej działalności reżyserów określanych mianem *młodych zdolnych*. W znacznej mierze na wcześniejszych recenzjach opierało o *Myślenie Szekspirem* Andrzeja Żurowskiego. I do tego typu działalności krytycznej z pewnością trzeba również zaliczyć książkowe publikacje Zygmunta Grenia: *Godzinę przestrogi*, *Teatr i absurdy*, *Wejście na scenę*, *Gdzie nas nie ma*, *Czwartą ścianę*, *Rok 1900*.

Refleksja krytyczna Zygmunta Grenia rozwija się przede wszystkim w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego stulecia. Poczynając od pamiętnych tak zwanych wydarzeń październikowych są to lata odwilżowo rewizjonistyczne; w kulturze, teatrze przynoszące zmiany istotne i płodne. Greń – ogólnie rzecz biorąc, – jako krytyk nie poddawał się łatwo bieżącym nastrojom, zawroty głowy od nadmiaru teatralnych sukcesów były mu obce. Wstępny okres działalności krytycznej Grenia wyodrębnia się jednak, jako czas ferowania opinii głównie optymistycznych. Optymizm czerpie Greń z obserwacji niewątpliwej dynamiczności rozwoju popaździernikowego życia teatralnego i tak, dominującą zwykle w jego piśarstwie orientacja postulatyczna, zostaje przygaszona. Maria Czanerle, pisząc o zbiorze recenzji Grenia z lat 1955 – 63, o *Godzinie przestrogi*, stwierdza, że „Świadomość artystyczna Grenia idzie wtedy w parze z świadomością kilku namiętnie eksperymentujących artystów” 1/ Jest zdania, że właśnie wówczas krytyk stosował w swoich ocenach kryteria obiektywnie sprawdzalne. Ale nie poprzestając na tym stwierdzeniu wygłasza następne. Mówiąc o zbiorze szkiców, *Teatr i absurdy*, dowodzi, iż „Dawne ideały Grenia zostały w nim przekreślone, że „Greń stracił wiarę prawie we wszystko, co sam uprzednio kultywował, odebrał zaufanie artystom, którym sam budował pomniki, młodzieńczy racjonalizm zastąpił subiektywistycznym relatywizmem, ekwilibrystykę ocen opartych na przypadkowych przesłankach wprowadził w miejsce miar rzeczywistych” 2/

Diagnoza Marii Czanerle, poparta – trzeba to przyznać – szeroką argumentacją była sugestywna. Ale była też arbitralna. Czanerle pisała o zmianach w usposobieniu Grenia nie podejmując kwestii zmian, jakie zachodziły w samym teatrze. Wytykała Greniowi nadmierną swobodę w formułowaniu sądów nie podejmując polemiki z kryteriami, jakimi się posługiwał. Atakowała nie tyle przesłanki opinii krytyka (te przecież z góry uznała za subiektywne), co same opinie. Więc może kryteria Grenia w *Teatrze i absurdach* wcale nie uległy tak wielkim zmianom, może tylko uległy właśnie wyraźniejszemu doprecyzowaniu. Osobiście uważam, że *Teatr i absurdy* to książka podsumowań, to eseje, w których Greń podejmował próbę pełniejszego samouświadomienia sobie własnej krytycznej postawy.

W latach 1956 – 1963 kształt wielu scen określa synchronia ich działalności z poszerzaniem się politycznej aktywności Polaków. Inszenizacje Kazimierza Dejmka, Erwina Axera, Krystyny Skuszanki, Ludwika Rene spotykają się z żywym społecznym rezonansem. Greń tropi reguły wzajemnych relacji między teatrem a społeczeństwem, widzi w nich dynamizm mechaniki sprzężenia zwrotnego. W trakcie lat sześćdziesiątych rzeczona mechanika,

choć nie od razu, wytraca swój impet. Przez sceny polskie przetoczyła się już lawina dramaturgii zachodnioeuropejskiej, od której przed 56 rokiem byliśmy odcięci; minął czas repertuarowych odkryć; przygasały traumatyczne urazy wyniesione z lat okupacji; oddychano swobodniej po, powierzchownych co prawda, rozliczeniach stalinowskiego totalitaryzmu. Następował czas małej stabilizacji już nie tak bardzo przychylny dalszym zmianom w teatrze. Następował czas teatralnego zastoju. Zaczęto ogłaszać kryzys. Poszukiwano zbawienia to w teatrze epickim, to w dramaturgii groteski, to w eksponującym brutalność weryzmie, to w spokojnym z weryzmem tak zwanym teatrze fak-

ZYGMUN

tu. Mówiono, że osłabienie kulturowej pozycji polskiego teatru wynika z niedomagań aktorskiego rzemiosła, z dławiącej aktorstwo przerostów inscenizacji, bezrefleksyjnego małpowania przez polskich artystów modnych widowiskowych estetyk teatrów Zachodu. Greń także to stwierdzał, lecz ostatecznie opisywaną sytuację diagnozował nieco inaczej.

Zapytywał o treści, jakie teatr ma do zakomunikowania widzowi. Deklarował się, jako zwolennik priorytetowego traktowania literatury i jako zdecydowany opozycjonista koncepcji zakładających możliwość owocnej działalności teatru bez solidnego zaplecza dramaturgicznego. Dawał przykłady wtórności ówczesnej polskiej dramaturgii wobec publicystyki, niechęci piszących dla teatru autorów do drażenia sytuacji przedtem już niezanalizowanych i niezdefiniowanych na gruncie pozaliterackim, o unikaniu w dramacie prezentacji konfliktów prawdziwie poruszających, drażliwych. Dowodził, że główną przyczyną kryzysu jest przytępienie nurtu ideowego i ekspansywności artystycznej. Oczywiście próby zastąpienia tych niedomagań wprowadzaniem modnych środków ekspresji, wpisywaniem w klasykę aktualizacyjnych aluzji, mnożeniem „efektów specjalnych”, wszystko to – jak już wspomniałem – Greń odnotowywał. Ale zwolennikiem teatru pysznącego się możliwościami tak zwanej „inscenizacyjnej samoobsługi” z pewnością nie był. A ponadto wysuwał zarzut, że działalność inscenizatorska nawet naszych wybitnych reżyserów jest pozbawiona najczęściej szerszej świadomości teoretycznej, ➡





programu opartego na założeniach z zakresu filozofii sztuki. To zdaniem Grenia jest przyczyną nadmiernej swobody, z jaką teatr polski, raz po raz, zmienia artystyczne orientacje.

Temat znaczenia teorii w teatrze podejmuje Greń jeszcze w *Wejściu na scenę*. Podejmuje by doprecyzować swe stanowisko. Tym razem mówi o teorii, jako o koniecznym moście porozumienia między pisarzem a inscenizatorem. Most winien być budowany z obydwu stron, a jeśli strony są porozumieniu niechętne, powstaje między nimi po prostu przestrzeń jałowa, próżnia. Ale kto tu jest bardziej oportunistyczny? Zdaniem Grenia raczej Teatr. „Wszystko, co mówią dzisiaj nasi pseudonowocześni reżyserzy o nieza-

NT GREŃ

ležności swej sztuki od literatury – pisze Greń – (...) ma w teatrze polskim wcale długą tradycję, sięgającą jeszcze *Rozmaitości* Warszawskich. Jest wynikiem nie tyle nowoczesności ich spojrzenia na teatr, ile zwykłą polską niechęcią do jakiegokolwiek kontroli intelektualnej, do dyscypliny, którą twórca teatralny musi się wykazać w dwójnásób, gdy własną wizję artystyczna kształtuje nie w próżni scenicznej, lecz posługuje się kryteriami, jakie proponuje mu tekst dramatyczny³. Teoria ma w teatrze znaczenie fundamentalne, nie stanowi jednak przeciez o wszystkim. I dlatego Greń jeszcze dodaje: „Teoria jest solą wszelkiego myślenia, (...) także myślenia teatralnego. Jest wszakże siłą inspirującą twórczość a nie samą twórczością, może niepokoić i pobudzać rozległością problematyki, ale nie będzie nigdy dostatecznym alibi dla realizacji samej problematyki⁴. Chodzi, więc właśnie głównie o to, by teoria zespałała praktykę teatralną z praktyką dramaturgiczną by dla obu stawiała się wspólnym drogowskazem. Wzorcowym reżyserem jest tu dla Grenia Leon Schiller – artysta, który miał szeroką koncepcję teoretyczną opartą nie tylko na określonych preferencjach inscenizacyjnych, lecz także na najlepszych tradycjach polskiego dramatu. Kontynuatorów Schillera Greń raczej nie widzi. Reżyserom współczesnym wytyka wstręt do teorii. Odnotowuje, że nawet tak zdecydowane indywidualności jak Dejmek odżegnują się od niej. I tu jednak nieco przesadza. Dejmek, w perspektywie całokształtu swojej twórczości, w końcu objawił się przeciez właśnie, jako kontynuator

Schillera. Według wyraźnych teoretycznych założeń – kultywującej koncepcje Brechta – kształtowały się inscenizacje Konrada Swinarskiego, jako teatr o konsekwentnie inspirowany określonymi założeniami filozofii egzystencjalnej – co zresztą zauważał już i sam Greń – prezentowała się laboratoryjna działalność Jerzego Grotowskiego.

W swych ocenach krytycznych, postulatach teoretycznych Zygmunt Greń czasami przesadzał? Nie ma krytyki stuprocentowo obiektywnej. Ważne, że, jeśli Greń stawiał teatrom określone zarzuty, nie stawiał ich bez analitycznych uzasadnień. Ważne, że należał do krytyków – a tych jest raczej niewielu – posiadających własną filozofię teatru. Chodziło mu by teatr oddziaływał nie tylko emocjonalnie, lecz aby zapładniał myślowo, prowadził z widownią ustawiczną dyskusję. W recenzjach, felietonach, esejach wysuwał postulaty inspirowane społeczno polityczną aktualnością. Dołączał jednakże do nich propozycje zakorzenione w historii teatru. Chętnie nawiązywał do modernizmu. Uważał, że modernizm był u nas okresem, w którym teatr najpełniej wywiązywał się ze swych zobowiązań, bo poprzez Wyspiańskiego ukazywał polityczną niedojrzałość polskiego społeczeństwa, bo – wystawiając sztuki Zapolskiej, Rittnera, Kisielewskiego – obnażał istotne konflikty obyczajowe, bo wreszcie – wprowadzając do teatralnego repertuaru Przybyszewskiego i Micińskiego – podejmował temat podświadomości osobowej kreatywności, gry między intelektem a sferą pierwotnych spontanicznych reakcji człowieka

Najciekawiej w krytycznym dorobku Grenia rysuje się *Rok 1900* – zbiór szkiców o Przybyszewskim, Zapolskiej, Staffie, Micińskim. Książka uzasadniała, że aczkolwiek, po latach – po odmieniających tak wiele burzach dwu Wojen Światowych – dewaluacji uległy poetyka i styl modernizmu polskiego, to nie uległa przedawnieniu modernistyczna problematyka. „Rok 1900” był sugestywny, stymulujący. Niedługo po ukazaniu się książki w teatrach poczęto praktycznie. rewidować stosunek do modernizmu. Uważany przez kilka dziesięcioleci za epokę zamkniętą, rażącą właściwościami form wypowiedzi, stylu, okazywał się, koniec końców, epoką – jak przekonywał Greń – naprawdę wartą by o niej nie zapominać. Udowodniały to inscenizacje lat siedemdziesiątych. Przedstawienia sztuk Tadeusza Micińskiego: „Bazyliśsy Teofanu” (Teatr Polski w Poznaniu) „Termopil Polskich” i „Księcia Patiomkina” (Teatr Wybrzeże w Gdańsku) i przede wszystkim dwa spektakle, bliższej modernizmowi niż dramaturgii okresu Polski międzywojennej, „Sprawy Dantona” Stanisławy Przybyszewskiej (Teatr Polski we Wrocławiu i Teatr „Wybrzeże” w Gdańsku). Greń oczywiście witał te zmiany z aprobatą. W roku 1971, – akcentując, że „Chyba żaden z pisarzy polskich nie wystawił tak gorzkiego rachunku polskiej myśli politycznej jak Miciński

w *Termopilach*” – wysoko oceniał inscenizację Teatru „Wybrzeże”⁵. W kilka lat później „Dialog” zamieścił obszerny erudycyjny esej Grenia „Noc listopadowa w starych dekoracjach”. Było w nim wyliczenie przedstawień „Nocy listopadowej” realizowanych po wojnie. Wyliczenie z entuzjastyczną pointą, Z entuzjastycznym potraktowaniem przedstawienia Andrzeja Wajdy w krakowskim Teatrze „Starym”. A właściwie – przywracającej blask autentycznej widowiskowej aury Listopadowego Powstania – telewizyjnej wersji spektaklu. Szczególnie wartościowej również, dlatego, że „Niewielka dotąd liczba premier [*Nocy listopadowej*] wzmocniła została masowym rezonatem”.⁶

Zygmunt Greń debiutował recenzjami w 1950 roku w tygodniku „Odrodzenie”; publikował w „Życiu Literackim”, „Teatrze”, z „Dialogu”, „Twórczości”; pracował w Telewizji Kraków. Przemierzał trasy między Krakowem, Warszawą, Poznaniem, Gdańskiem, nie pomijał przedstawień w mniejszych miastach tak zwanej polski prowincjonalnej. Teatr potrzebuje krytyki, krytyka teatru. Ale jest to odwracalne stwierdzenie. Teatr artystycznie jałowy, rozmijający się z ważnymi problemami politycznymi, filozoficznymi i społecznymi obezwładnia krytykę Traci dlań zainteresowanie publiczność, trąca zainteresowanie krytycy. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w dwu następnych dekadach teatr przyciągał. Równocześnie jednak, mimo sezonów udanych, stopniowo tracił wigor i błyskotliwość. Lata osiemdziesiąte przyniosły zapaść. Długotrwałą, bo dzisiaj, choć z innych już przyczyn, teatr nadal jest w niedyspozycji. Ale to już temat do osobnych rozważań. Tu wypada mi zauważyć, że pod koniec minionego stulecia, aktywność krytyki malała. Konstanty Puzyna postrzegał na scenie już „tylko „Czasem coś żywego”. Jerzy Koenig, Jan Paweł Gawlik przyjęli postawę bliższą organizowania niż oceny teatru. Zygmunt Greń zamiast jak dawniej bujać po festiwalach, jeździć po kraju, zaszył się w swoim ulubionym Krakowie. Próbował prozy; napisał dwie powieści: *Olśnienie* i *Zielona zasłona*. W „Życiu Literackim” ukazywały się jeszcze jego felietony o teatralnych książkach z znamienym nadtytułem „Teatr zamknięty”. I tak Zygmunt Greń ogłosił dla siebie koniec teatru.

Jerzy Niesiołbędzki

¹ Maria Czanerle: „Tak jest jak się państwu zdaje”, „Dialog”, str. 104, nr 12, 1967 r.

² Tamże, str. 107.

³ Zygmunt Greń: *Wejście na scenę*, str. 279, Wydawnictwo Poznańskie, 1968 r.

⁴ Tamże, str. 278.

⁵ Zygmunt Greń: *Czwarta ściana*, str. 288. Wydawnictwo Literackie Kraków, 1972 r.

⁶ Zygmunt Greń: „Noc listopadowa w starych dekoracjach”, „Dialog”, str. 117, 1978 r.



Sławomir Majewski

Wspominając matkę, wspominał czasy kiedy pracował w sklepie z używanymi fortepianami. Bo tak się złożyło, że kiedyś pracował w sklepie z używanymi fortepianami w przerwach na lunch pieprząc na zapleczu żonę właściciela, Sylwię, która domagała się żeby lizał jej krocze ale w lizaniu przeszkadzał mu jej sflaczały brzuch. No to jak?

Pewnej środy zbrzydził sobie ten obwisły, pomarszczony bandzioch i rozstrojone instrumenty więc kiedy do salonu przyjecha-

Przyznała mu rację mówiąc, że jest mądry jak stary rabin i w biały dzień na parkingu McDonalda zrobiła mu łaskę. Następnego dnia siedzieli w knajpcie i omawiali plan napadu pijąc wódkę z tonikiem. Kiedy poszła do kibla zmył się, wskoczył do międzystanowego autobusu z napisem *Nowy Orlean*.

W Nowym Orleanie trochę mieszkał to tu, to tam, trochę jadł nie zupełnie świeże potrawy z kubłów na śmieci przeróżnych jadłodajni i nieraz porównywał siebie do parszywego kundla ryjącego pyskiem w śmieciach. Jednej nocy, sądząc że dobry Bóg odwrócił odeń swe lico, ułożył się wygodnie w kartonie rozważając warianty samobójstwa. Zasnął i śnił o Samancie, jak mu robi łaskę w biały dzień na tym parkingu a już następnego poranka spotkał przemłą niewiastę, która ze zrozumieniem wysłuchała jego opowieści o życiu i Samancie i też zrobiła mu łaskę, choć

POMYSŁ NA POWIEŚĆ



ła Samanta, taka chuda jak suka wyżyła nauczycielka ze szkoły dla niewidomych, wszedł do jej samochodu. Ze śmiechem spytała dokąd chciałby pojechać, no to powiedział żeby skręciła w lewo i jechała dokądkolwiek, byle dalej. Skręciła i jechała, jechała aż dojechała do małego, brudnego jak świnia motelu. Wzięli pokój z łazienką i wesołymi karaluchami wielkości kciuka i pieprzyli się bez sensu godzinkę z kawałkiem a potem ona powiedziała, że musi jechać do kliniki odwiedzić Adelę. Była ona jej młodszą siostrą, schizofreniczką ze skłonnościami do autodestrukcji, miała metr pięćdziesiąt wzrostu i włosy poфарbowane na niebiesko.

- Witaj, siostrzo! Powiedziała całując Samantę a do niego skierowała mniej czułe powitanie pod tytułem
- A tyś co za kutas?
- Nic ci do tego, odpowiedział i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę. Nadpił łyček, podał Samancie, Samanta wypila, podała Adeli, Adela wypila, podała Samancie, Samanta wypila i chciała podać Adeli, ale wtedy on się wkurwił, wyrwał flaszkę, wypił resztę i zapytał z niesmakiem
- Czy ja wyglądam na jakiegoś pierdolonego frajera? No tylko weźcie i powiedzcie mi do cholery: czy ja wyglądam na jakiegoś pierdolonego frajera?

Samanta roześmiała się i objęła go za szyję.

- Daj spokój, słodziutki, nie jesteś żadnym frajerem. Za dobrze dymasz jak na frajera czy jakiegoś takiego.
- Pewnie, że nie jest frajerem, powiedziała Adela. Nie jest frajerem, bo to dęty kutas.

Patrząc mu w oczy przeciągnęła kantem dłoni po grdyce. Że niby zarżnie go przy najbliższej okazji.

- Pocałuj mnie w dupę ruco, powiedział otwierając drzwi.
- Usiadł na masce samochodu i zapalił papierosa myśląc że chyba pora mu zbierać dupę w troki.

- A na cholerę mi jakaś Samanta i jej porąbana siostra?
- Poczekaj aż Samanta wyjdzie a kiedy wyszła, wrócili do tego motelu. W barze kupił flaszkę a potem wrócił do pokoju w którym Samanta brała kąpiel.

- Możesz mi nalać drinka? Poprosiła przez szum prysznica, więc jej nalał i powiedział że wątpi aby ich związek przetrwał. Goła i ociekająca mydlinami weszła do pokoju
- O co ci chodzi?
- Jak to, o co mi chodzi?
- Chodzi ci o Adelę? Adela jest popierdolona ale zamknięta na długie lata i nie będzie się nam wtrącała.
- Co się nam nie będzie?
- Wtrącała. No, wpierdalać. Wpieprzać. Wtrącać w nasze życie, kapujesz?
- Kapuję. Skąd ci to *wtrącała*...?
- A tak sobie.

Objęła go, przewróciła na łóżko i po chwili znówu pieprzyli się jakąś godzinkę a potem ona zaproponowała, żeby pojechali. Zapytał dokąd a wtedy ona powiedziała, że do sklepu z bronią kupić *Smith And Wessona* kaliber 9,45. Takiego, jaki nosił Callahan

- Kto?
- Jejuśku, inspektor Callahan, no Dirty Harry, nie kapujesz? Gdzieś ty się kurwa chował, w Eskimosji?
- Gdzie?
- W Eskimosji, w Rosji. Z niedźwiedziami i takimi tam...

Rycząc ze śmiechu kilka razy powtórzył w *Eskimosji* i wtedy ona też zaczęła się śmiać i było im ze sobą dobrze aż do chwili, w której rzeczywiście kupiła tego *Smith And Wessona* kaliber 9,45. Takiego samego, jaki nosił inspektor Callahan czyli Dirty Harry czyli Clint Eastwood.

Załadowała naboje i powiedziała, że teraz będą jak Bonie i Clyde i że muszą zrobić jakiś sklepik z wodą i fajkami. Ot, dla prawy, bo potem zrobią kilka banków. Wytlumaczył jej, że skoro mają *zrobić kilka banków*, to cholernym idiotyzmem byłoby wpaść podczas napadu na pieprzony sklepik z wodą i fajkami.

była niewiastą w mocno zaawansowanej sile wieku a w dodatku ze zmarszczkami głębokimi jak Wielki Kanion. Ale że miała fajny wielopiętrowy domek na przedmieściu Bogalusa, białego *Rollce-Roycea* i na koncie z milion zielonych po mężu, udziałowcu w wielkim tartaku, uznał że warto podtrzymać znajomość.

Jednak jakoś tak na jesieni zauważył że mężczy go literacka bezpłodność w otoczeniu palm, *Rollce-Roycea* i basenu, więc wskoczył do Amtracka i zlądował w Nowym Jorku. W Nowym Jorku chadzał do tanich knajp, ubierał się tanio, kopulował z tanimi dziewczkami i pisał tanie artykułiki do paru szmatławców. Pewnego wieczora siedząc w podłym barze z tanią dziewczką zasłyszał opowieść o kobiecie i mężczyźnie, którzy uratowali się z katastrofy statku dopływając do maleńkiej wysepki. I że po powrocie do Stanów nie mogli znieść cywilizacji, więc zapakowali to i owo i wrócili na wyspę.

Postanowił wykorzystać tę historię na potrzeby swojej powieści.

Słyszysz ogłuszający ryk wody, kneblującej pianą korytarze. Słyszysz nieludzki wrzask, z którym przedziera się schodami do jaśniejącego w suficie wyjścia. W ustach mu zasycha, choć wody w bród, ale chce mu się żyć, bo nie chce jeszcze umierać, *tak* umierać. Wbiegając na przechylający się pokład, widzi rtęć księżycy a słyszy kwiczenie koni.

- Skąd tu konie? Wrzeszczy bez sensu w tej kruchcie piekła, a potem skacze i płynie bez wytchnienia w smolistej, ciepłej sepii oceanu, byle dalej od zanurzającego się statku, prosi matkę, ojca i Pana Boga
- Nie dajcie mi utonąć!

Płynie jak oszalały, byle dalej od strasznego końskiego kwiku i ssącego, cmokającego bulgotu niewidzialnej, wodnej bestii.

Budzi się na piasku plaży, a stopy obmywają mu fale. Słyszysz szczebiot ptaków, szum drzew i ciszę nagrzaną słońcem. Podniósł głowę, zobaczył przez drobiny soli na rzęsach wydmy porośnięte krzakami a za nimi spiętrzone głązy. Usiadł, rejestrując bolesność ciała i suchość gardła. Oczywiście w tej sytuacji pytanie: gdzie jestem, oczekiwało pilnej odpowiedzi, więc jeszcze chwiejny i słaby podniósł się. Powoli siedł w kierunku wydmy mając nadzieję, że jakoś da sobie radę z miękkością kolan i drżeniem łydek. Sapiąc i przygryzając język, na czworakach, obsuwając się i zaczynając od nowa mozolną, żucząc wędrówkę, dotarł na wzniesienie a potem, wspierając dłonie na gorących skałach, stanął na szczycie. Mdląco pachniało jaszczurzym guanem.

Stwierdził, że znalazł się na wyspie i ten fakt ucieszył go jak dzieciaka, który leżąc w zaciszu traw kładzie na piersiach *Przypadki Robinsona Crusoe* marząc, by słowo stało się ciałem. Stało się; przed nim rozciągała się skalista, porośnięta splotawymi krzakami przestrzeń, podziobana lejami, uskokami i rozpadlinami. Smętne palmy i drzewa, których nazw nie znał, zaczęły na wietrze. Pragnienie nakazało mu poszukiwanie wody, więc ruszył przed siebie z niepłonną nadzieją, że znajdzie jakiś strumyk albo jezioro. I że natknie się na łagodnie usposobionych tubylców, którzy dadzą mu pić i jeść, a wódz ich plemienia da mu córkę za żonę i będzie tutaj żyć długo i szczęśliwie. Jak ci marynarze z *Bounty*. Rozumiał, że zaczyna mu odbijać, więc przysiadł w cieniu palmy.

Jakiś czas później wstaje i chwiejnie, zataczając się, idzie przed siebie, szukając jakiegoś rozpoznawalnego obiektu: szałas, lepianki, domu, komina, obłoków dymu. Nasłuchuje znanych mu dźwięków w postaci buczenia syren portowych, policyjnych karetek, gwaru targowiska, zgrzytu tramwajów, łomotu pociągów, klaksonów aut, rogowaru dziecięcego, jaki zazwyczaj oferuje cywilizacja, ale słyszał tylko ciszę Wyspy, otulonej nieskończonością Pacyfiku. Zrezygnowany popatrzył w niebo, powoli napęniające się ciemnymi chmurami, usłyszał cichy szmer i spo-

glądając łapczywie, niecierpliwie i drapieżnie, dostrzega kilkanaście metrów niżej strumień jasnej, krystalicznej wody. Polizał spieczone usta. Wiedział już, że jest uratowany. Cokolwiek to oznaczało.

Idąc wzdłuż strumienia, dotarł na plażę. W pianach przyboju zobaczył końskie trupy, trupy ludzkie i resztki zatopionego statku. Stał z dłonią przy oczach patrząc, jak fale szurając przesuwają zwłoki ludzi i zwierząt i pomyślał, że obowiązkiem chrześcijanina jest pochować te opuchłe kobiety, dzieci rozdęte jak kleszcze a nawet tego starca w samych majtkach. Nie był chrześcijaninem, lecz tylko zmęczonym rozbitkiem. I nie miał sił do wywlekania z piany nabrzmiałych topielców, wleczenia ich do jakiegos dołu, który przecież musiałyby wykopać gołymi rękami, do zasypywania tego dołu, do sporządzenia krzyża, albo tabliczki i do wyrzucia na niej jakiejś sentencji i daty. Ale nie miał siły, łopaty, piły ni ryłca. Ani ochoty.

Przeliczył zwłoki; ponad dwadzieścia ubranych wieczorowo, w pidżamach, nagich. Jedne nietknięte, inne zmasakrowane przez rekiny, nadżarte przez kraby, żółwie, ptaki i inne stworzenia. Nad jednym trupem powstał dłużej; dziewczyna miała ze dwadzieścia lat, leżała zupełnie nago niepokalana w swej nagości i nienaruszona zębem, paszczą czy pazurem. Opatulona włosami i wodorostrami, lyskała wzgórkiem łonowym. Patrzył zastanawiając się, ile czasu upłynie nim zobaczy jakąkolwiek nagą dziewczynę i jakkolwiek wzgórek łonowy. Odszedł, bo nic go nie zatrzymywało.

Zachciało mu się palić i wtedy pomyślał, że w kieszeni jakiegos trupa mogły być papierosy. Chodził, przeszukując ubrania. W spodniach kelnera znalazł benzynową zapalniczkę i szylkretową papierosnicę a w niej dwanaście suchych papierosów. Zapalił, zaciągnął się głęboko i pomyślał sobie, że kiedy tonie statek pełen dzianych turystów, no to nie ma możliwości, żeby nie rzucono całej armady morskiej i powietrznej na poszukiwania i ratunek.

Te cztery traty wypatrzył kilkaset metrów po lewej, zaplątane w skołtunione zarośla. Wiedział, że zawierają żelazne racje, lekarstwa, rakietnice, zestawy do przetrwania, latarki i proste urządzenia do odsalania wody. Łapczywie pożerał znaną czekoladę. Miał papierosy, wodę, jedzenie, trawy. I nieograniczoną ilość czasu na cokolwiek.

Samotność i świadomość samotności napęniały go otuchą i nadzieją, że oto nigdy nie pomyślałby o takim rozwiązaniu, które w jego sytuacji wydawało się idealne: samotna wyspa na Pacyfiku, jakiś strumyk, jakieś żarcie, papierosy. Przydałby się alkohol ale mniejsza. No i jakaś dziewczyna, na przykład taka jak ta naga, leżąca kilkaset metrów dalej. Co jeszcze? No jasne, książki! Przypomniał sobie telewizyjne quizy: *Co zabrałbyś na bezludną wyspę?* Hemingway, Faulkner, Steinbeck. Biblia? Nie był zbyt religijny. Ale tak, pomyślał, Biblia jak najbardziej.

Kiedy żar nieco opadł i nadciągnęły skłębione chmury, ruszył przed siebie, zarzucając na plecy nieprzemakalną torbę z czekoladą, manierką, latarką i zapasowymi bateriami. Nie wiedział dokąd zmierza, ale chciał zbadać jak wielkie jest to królestwo nie z jego świata. Kobiętę znalazł po kwadransie marszu. Leżała na boku jak embrion, z policzkiem w piasku. Była nieprzytomna albo spała ale żyła, bo widział drganie powiek. Miała trzydzieści kilka lat i była pospolita ową pospolitością kobiet, których twarze nie pamięta się na drugi dzień, jak twarze starych kobiet na gankach starych domów. Miała krótkie czarne włosy, białą twarz topielicy, perkaty nos. Leżała w cieniu palm, ubrana w dżinsy i czarny T-shirt z napisem *UCLA*. Przysiadł obok, ponad smuzką papierosowego dymu patrząc na jej włosy.

- Zobaczymy, co dalej, pomyślał.

Jak napisał w konspekcie, miała to być powieść której bohaterowie *uwikłani przez los w traumatycznej sytuacji nowoczesnych Robinsonów, świadomie rezygnują z cywilizacji technologicznej. Uwikłani w szarżyznę i kłopoty codziennego życia, decydują się porzucić wielkowiejski rozgwar, powrócić na Wyspę, do natury, w ten sposób podejmując walkę o swoje szczęście*.

Kolejny raz przeczytał konspekt a szczególnie te zdania, które wyróżnił kursywą. Słodki Chryste, czy ja mam ochotę pisać takie gówna? *Decydują się powrócić do natury?* Czyli co, w wyniku katastrofy statku baba i facet lądują na małej pacyficznej wysepce, zakochują się w sobie a potem, odnalezieni i uratowani wracają do cywilizacji żeby stwierdzić, iż życie w mieście jest trudne, pełne zasadzek i szalenie nieprzyjemnych zapachów. Więc kiedy ich związek zaczyna przechodzić kryzys, wracają na tamtą wysepkę, budują sobie szałas pod palmą i żrąc surowe frutti di mare latają na golasa wymachując wszystkim, co im zwisa i powiewa. Czy w tej sytuacji wycieranie tyłka palmowym liściem można zakwalifikować do *walki o szczęście?* A coż to za pierdoły?

- O nie, tak to my pisać na pewno nie będziemy! Uderzył pięścią w udo, aż zabolało.

- Cholera, zabolało, powiedział na głos i wałnął jeszcze raz. Guzik mnie obchodzą ociemniałe goryle we mgłę; mnie chodzi o kulturę. No dobra. To co, pomysł jest do dupy? Przyznał szczerze, że tak, jego pomysł jest do dupy a skoro tak, pomyślimy, pomyślał, pomyślimy nad czymś podobnym, ale w innym klimacie. W charakterze ściągki wspomina *Przypadki Robinsona Crusoe* i brodziatego Thora Heyerdahla w slipach na tratwie *Kon-Tiki*, przemierzającego z kumplami pustacie Pacyfiku a także Heyerdhalowe wspominki o pobycie z żoną na takiej rajskiej wyspie gdzie nic, tylko komary, malaryczne powietrze, głód, awitaminioza i szkorbut. O mały włos, a zdechliby od tego powrotu do natury, pomyślał. Jego koncept na powieść w takiej formule dobiły wspomnienia filmu *Castaway* z Tomem Hanksem. Przygłębiło go to że bohater, niby inteligentny facet, doskonały

Piotr Piątek

* * *

idę polną drogą
jakbym nią nie szedł nic by się nie
stało
wiatr byłby tym samym wiatrem
powietrze wirowałoby podobnie

podlewam sobą przydrożne kamienie
a one nie rosną

kurz tańczy ze mną w każdym
oddechu
choć znam taniec
nie wiem kim jest tancerz

podlewam sobą każdą modlitwę
jakbym milczał nic by się nie stało
cisza nie urosłaby wcale

W LEPSZYM ŚWIECIE 2

pod kloszem chmur pogoń za światłem
gromadzimy bezcenne promienie w słoikach wekujemy
uszlachetniamy horyzont wywarem z kopru i solankowej
wody
zapasy falującej radości przydadzą się na zimę

wycięty z zasłony życia klosz w pstrokate kwiatki
tło z imion które trwają do następnego porywu wiatru
ktoś zdmuchnął komuś elektryczność
czyis knot dymi brakiem zasilania

czasami zasłona śmierci unosi się i na chwilę
widzimy bardzo młode twarze prababć i pradziadków
słyszymy dziecięce rozmowy
a nauczyciel z podstawówki sprawdza obecność

W LEPSZYM ŚWIECIE

w lepszym świecie wiersz czyta się papierosem przepalając kartkę
oczy mruży się coraz bardziej tak do zamknięcia by nie widzieć
niektórzy potrafią czytać w ciemności święte słowa

tu pełno jest miejsc na odpadki z życia idealisty
marzyciele żerują nad ranem w kubłach na śmieci
przewalają sterty szmat i opakowań

tu fermentują uczucia w wino z dodatkiem siarczanów
patykiem pisane kocham cię to wszystko na co stać naturystów na plaży
stoją potem dumnie ciężąc zmarszczkami ku wydomom

w lepszym świecie mam na języku ukryty smak
choć papierek lakmusowy w mózgu człowieka rzadko zabarwia się
a zmarszczka na środku czoła jest jak opustoszała ulica

W LEPSZYM ŚWIECIE 3

przemiana grudki ziemi w krajobraz przemiana dźwięków
w melodię przemiana pustych naczyń w modlitwę
moja przemiana w lepszego ja

by przemienić chleb w ciało nie potrzeba boga wystarczy w lustrze
zobaczyć twarz na obraz i podobieństwo by przemienić wino w krew
wystarczy na czas nie schować noża do kuchennej szuflady

organizator w swojej firmie wprawdzie miał przy sobie zegarek
-cebulę z wielkim szkiełkiem ale nie wpadł na to, żeby za jego
pomocą rozpałić ognisko, tylko robił za jakiegoś popieprzone-
go neandertalczyka trac do utraty tchu jeden patyczek o drugi
patyczek. To było chore!

– Jestem twórcą ambitnym i nie będę pisać żadnych holly-
woodzkich gówn. Napiszę coś, co będzie manifestem i zarazem
osobistym protestem wobec świata, który nieuchronnie zmierza
w intelektualną i kulturową otchłań, w której jest nicość i bar-
dzo ciemno.

Jakiś czas temu poruszył ten sam problem na spotkaniu z miłoś-
nikami jego nad wyraz szczupłego dorobku literackiego.

– Odkąd wszelkiej maści dysponenci show-businessu i mediów
nastawili się na ten wiecznie nienasycony rynek zbytu, którym
są małolaty, skończyła się kultura tradycyjnie pojmowana. Teraz
wszystkim niepodważalnie i bezapelacyjnie rządzą popyt i podaż.
Podobnie jak współczesną miłością i seksem. Paradoksalne jest,
proszę państwa, że to nie młodzież stała się zakładnikiem mediów
i koncertów wciskających im do ogolonych łbów wszelki śmieć,
tylko odwrotnie. To pazerne koncerty i media uzależniły swo-
je być albo nie być od środowisk ludzi bardzo młodych i teraz
muszą produkować to, czego ten ćwierćinteligenty, bliski wtór-
nemu analfabetyzmowi odbiorca chce. Nie mają wyboru. Szach,
mat, przejebane! A z koncertami przejebane mamy i my.

Rozległy się brawa, więc korzystając z okazji napił się z termo-
su dobrze schłodzonej wódki, zezując czy wystarczy do końca
spotkania. Chuda jak patyk dziewczyna z lekkim stritem, łudzą-
co podobna do Avy Gardner puściła do niego oczko robiąc z ust
kółko. Wrzucił ją do pamięci.

– Trzeba dodać, dodał wznosząc rękę jak Archaniół Gabriel
miecz, że nasz intelekt i naszą kulturę ostatecznie ukrzyżuje
Internet, biada nam!

Prorokował, że ten sam Internet i jego nośniki mnożące się
jak lemingi, za kilka lat sprowadzą wszelką kulturę a literaturę
w szczególności, do roli nieprzeżutej, nieprzetrawionej, skonden-
sowanej papki dla sepleniących małolatów w ortopedycznych
butach na koturnach. Dla skinów, skejtów i panków.

Nadpił z termosu.

– Szlag mnie trafia, krzyczał rozszalały, że ten pierdolony Inter-
net jest nie do powstrzymania w swoim rozwoju tak, jak wszyst-
kie inne epokowe wynalazki! Jak pismo, koło, żelazo, druk, war-
sztaty tkackie, penicylina czy loty w kosmos. O kinie, telewizji,
komputerach personalnych i lateksowych vibratorach nie zapo-
minając ani na chwilę. Powiem więcej, powiedział, nie ma takie-
go bata, żeby można było wrócić do ery sprzed Internetu. Tak
jak od roku 1455 roku, w którym Gutenberg wydał swoją czter-
dziestodwuwierszową *Biblię* nie można było zatrzymać rozwo-
ju druku i wrócić do ręcznego przepisywania ksiąg. Nie, Interne-
tu nie da się powstrzymać czy ograniczyć. A już na pewno nie
da się go zlikwidować. Zgadzać się ze mną?

Sala chwilę milczała a potem wszystkich siedmioro słuchaczy
zgodziło się z nim bezwarunkowo.

Podpisał cztery egzemplarze swojej książki i poszedł się uchłać
do pobliskiego baru w towarzystwie tej wysokiej, chudej jak

patyk dziewczyny z lekkim stritem, łudząco podobnej do Avy
Gardner. Poklepała go po dłoni i poprosiła, żeby się nie martwił.

– Nie martw się. Bardzo lubię twoje pisanie. Ciebie też lubię.

Wiem, że cierpisz.

– To prawda, cierpię! Dobrze, że chociaż ty mnie rozumiesz.

Kiedy to mówił, kręcił głową i głęboko wzdychał. Zawsze kręcił
głową i głęboko wzdychał, kiedy chciał zaciągnąć jakąś babę do
łóżka a na baby był żarty jak świnia na rdest. Szczególnie pożałował
towarzystwa dam kiedy miał chandrę albo czuł się niedowartoś-
ciowany, nie przejmując się zbytnio ich fizjonomiami, budową,
wzrostem czy intelektem. W tych sprawach jego dewiza brzmiała

– Nie ma brzydkich kobiet, są tylko nierozebrane.

Z Avą Gardner wypili po kilka drinków, pojedli cannelloni
z sosem cebulowym, zapłacili rachunek na spółkę i wyszli. Troszkę
pospacerowali mokrymi od deszczu ulicami, rozmawiając o poe-
zji, gwiazdach, siedemnastowiecznym malarstwie flamandzkim,
nowoczesnej architekturze i różnych smacznych potrawach z cie-
cierzycy. Wyszli do jego mieszkania.

– Ty, słuchaj! Ja ciebie lojalnie uprzedzam, że jestem płodna
jak króliczka i zachodzę z szybkością światła, wiesz? Dlatego nigdy
nie dymam się bez gumki, powiedziała rozrzucając na podusz-
ce włosy jak Ava Gardner w takim jednym amerykańskim filmie,
w którym owa aktorka rozrzucała włosy na poduszcze. Zaapelowa-
ła, żeby bardzo dokładnie, ale bardzo szybko przeszukał aptecz-
kę, portfel, kieszenie spodni i marynarek. Więc kiedy w smokin-
gu znalazł gumkę, odetchnęła z ulgą, rozrzuciła nogi i zaczęła się
dymać. W telewizorze akurat pokazywali Ruandę pełną trupów
porąbanych maczetami na kawałeczki, potem głodujących w Ery-
trei oblepionych muchami a na koniec Matkę Teresę w Kalkucie,
karmiącą umierającego malca o szczurzym, zapleśniałym pysz-
czku. Wyłączył telewizor, nim Ava zaczęła krzyczeć

– Oooooooooaaaaaak!

No, więc tak: ma ten do dupy pomysł na powieść, której *boha-
terowie, uwikłani w szarżynę i kłopoty codziennego życia, decydu-
ją się porzucić wielkomięjski rozgwar, powrócić do natury, podejmu-
jąc w ten sposób walkę o swoje szczęście*. Ale na swoje szczęście
kilkakrotnie, bardzo uważnie przeczytał to, co napisał kursy-
wą i sam sobie przyznał zdecydowanie, że tak, ten pomysł jest
do dupy. No to może inaczej? Może nie będzie pisać o żadnej
wyspie, tylko stworzy jako przestrożę jakąś obłądną, katastro-
ficzną wizję? Takie nowe *Day After*. OK. Napisze.

– A więc nie będzie o żadnej wyspie, tylko jako przestroga
wizja obłądna i katastroficzna? Takie nowe *Day After*? OK.

Wstał, podszedł do barku, wyjął flaszkę nalewając czubato.
Usiadł w fotelu przy oknie i patrząc na parszywego kundla ryją-
cego pyskiem w śmieciach z pizzerii, wspomniął nieodległe cza-
sy. Choćby ten wieczór autorski. Bo nie zaniedbywał spotkań ze
swoimi wielbicielami. Szczególnie jedno utkwiło mu w pamięci.
Spojrzał w okno i zobaczył tamten wieczór.

Na zakończenie uklonił się i usiadł. Słuchacze milczeli sie-
dząc, wstając a potem w milczeniu zaczęli wychodzić, szurając
nogami w różnokolorowych, wielokształtnych butach. Żadnych

oklasków. Żadnych, jeśli nie liczyć klaskania tamtej kobiety przy
barze. Ruda, stara, pomarszczona fanka. Albo inaczej: stara, ruda,
pomarszczona pijaczka. Mogłaby być moja matką, pomyślał.

Sala prawie opustoszała, tylko pod oknem siedziała smętna
para emerytów. Chciał się przyjrzeć tej rudej przy barze która
nadal klaskała, więc zmrużył oczy i zobaczył że to naprawdę
jego matka; stara, pomarszczona, ruda pijaczka, fanka poezji.
I wódki. Wódki z tonikiem i lodem. Wstał i ruszył w jej kierunku.

– Byłeś cholernie dobry, powiedziała.

Skinęła na barmana.

– Dwa razy to samo. Dla mnie i dla mojego synka. Wiesz Jack?
Mój syn jest wielkim poetą. Siadaj, Mały.

Usiadł, kładąc tomik z wierszami na bufecie.

– Zaskoczyłaś mnie mamó. Skąd wiedziałaś, że będę czytać
swoje wiersze? To naprawdę miłe, że przyszłaś.

Pogłaskała go po ramieniu

– Nie wiedziałam kochanie. Nic a nic nie wiedziałam. Po pro-
stu, wpadłam tutaj na jednego. Zawsze przychodzę tutaj na
jednego.

– No tak, rozumiem, powiedział mocno rozczarowany i poczuł
w gardle gorzki smak pustyni.

– Samotność, rozumiesz Mały? Samotność, Mały, to upierdli-
wa towarzysza a ja jestem samotna jak cholera. I jak cholera
stara. No cóż, kiedyś twój ojciec... A, mniejsza!

Popatrzyła na wódkę w szklance i topniejące okruchy lodu.

– A jak tam twoje sprawy, Mały? No wiesz, z kobietami.

– Z jakimi... Aaa, z kobietami!

– No tak, tak, z kobietami. Z babami, z dziewczynami, z dupa-
mi czy jak tam sobie chcesz nazywać te stwory, które mają po
dwa cycki i na nieszczęście tylko po jednej cipie. No więc tak,
synku, o nie mi chodzi.

– Cóż, ostatnio jakoś nie bardzo. Mam mało czasu. Praca i.
Dużo pracuję, mamó. Sporo piszę.

– Pisziesz... No tak, w końcu jesteś cholernym poetą jak twój
pieprzony ojciec.

Pili w milczeniu a z głośnika snuł się oślepiająco samotny blu-
es Earthy Kitt. Ten o czarnej dziwce i że jej życie było jednym
pasmem bólu.

– Słyszysz Mały? To jest poezja! To jest najprawdziwsza poe-
zja a cała reszta, to jeden wielki chuj. Twoje zdrowie, Mały!

– I twoje, mamó.

– I zdrówko Earthy.

Schował maszynopis do szuflady, obiecując sobie, że najpóź-
niej za tydzień-dwa wróci do tematu i zobaczy, co i jak. Bo prze-
cież nic nie jest doskonałe. Z barku wyciągnął flaszkę *Beefathe-
ra*, nalał sporą miarkę, dołał *Seven Up* i pomyślał, że teraz bardzo
dobrze by mu zrobiła mała, niekrępująca popierdółka. Ot, dla
relaksu po tym pisaniu. Zastanawiał się, do której zadzwonić.
Zadzwonił do tej chudej jak patyk i płodnej jak króliczka; niech
rozrzuci włosy na poduszcze jak Ava Gardner.

Sławomir Majewski

Elżbieta Musiał

Poniżej fragmenty poematu

„Na zdjęciu wciąż żyjemy”

7.
Ty przynajmniej się nie starzałeś, Giordano.
Geniusz w ciele zuchwałego nie zazna
powolnego umierania. Dlatego pozwól,
że kobieta opowie mężczyźnie.
Podnosił się dzień,
jak tobie wtedy.
Słońce jeszcze niskie zwoływało przekupniów
na jarmark codzienności.
Dotknęło i mnie z ukosa.
Właśnie pochylałam się, by obmyć sen.
Skóra w lustrze.
Ona tuż nad jedną i drugą piersią
i aż do wgłębienia obojczyków.
Misterna draperia utkana
na krosnach dni,
które rozsypały się pomiędzy „teraz”
a „od pierwszego kształtu”.
Nigdy wcześniej aż tak.
Nigdy pod takim kątem.
Nie mogłam oderwać oczu.

8.
Dotykać skóry, ale tak, jak fresku Rafaela.
A potem milczeć, jakby się szło
przez cmentarze.

9.
Chwytam się życia i twojego wiersza, Anno.
Boskie udo, ślubne udo, pogańskie udo
– wyborny projekt;
do miłosnych obrządków powołał je czas,
a potem łupił je ten sam czas i odrywał
od drugiego ciała.
A w trakcie – biczowanie ironią i zimną wodą,
mój Boże, jakbym była przy tym.
Inne daty, odmienne imiona, a te same
upływały nam porządki
i klucze żurawi
przybyłe z nie wiadomo której jesieni.
Kochanki świata. Wygnanki królestwa.
Jak dobrze, że to było,
*jak dobrze, że tego już nie ma*⁶.
Dwa szczęścia po sobie żyjące,
puchnące w krtani metafizyczne drożdże.

⁶ Anna Świrszczyńska, „Gdy budzimy się rano”, z tomu *Ogromniejszą perła samotności*.

10.
I znów kipi niedziela Wniebowzięcia.
Malowanie lewego ucha Gali
z pieprzykiem⁷
domykającym jej ciało
i to poczucie boskiego efektu
przepelnia popołudnie w Port Lligat⁸.
Salvador nawet w myślach
nie może pozwolić sobie na rozstanie się
z tym światem
choćby dla kawału.
Bo też niepodobna, by świat umiał się obyć bez
geniuszu i jajek sadzonych na talerzu bez talerza⁹.
– Niedługo będę Dalim – wsłuchuje się w swój
oliwkowy głos. – Udowodnię złożoność
geniuszu – powtarza i podkręca wąż. – Wmyślony
w jądra Fidiasza już niebawem
osiągnę
doskonałość,
która
przychodzi do nas tylko raz i dlatego
zdaje się odległa, choć jest tak bliska;
osiągalne w nieosiągalnym.
O gdybym tak jeszcze nie bał się
malować. I gdyby nie ten
nadmiar ostrożności we mnie.

A teraz w obecności wszystkich
śledzących mnie oczu¹⁰
muszę poprawić prawe udo Gali.
Wzmacniam kolor i... brudzę obraz. Zaprzeczam
własnym słowom zapisanym strukturą węgla
na obrzeżach obrazu, że błędy
są prawie zawsze
rzeczą świętą.
Nie próbuj ich naprawiać.

12.
Przekonują mnie słowami bogów,
a ja utraciłam pewność, co jest złem
i gdzie w nas grzech;
zakładam tylko, że być muszą,
bo sędziów wokół pełno.
Tkwiąc w wiecznym szachu,
można mieć wątpliwość.
Nieopatrznie nadepnęłam
na całe życie chrząszcza,
zmierzałam do kościoła zbyt prosto.
Czy będzie mi odpuszczone, gdy już uklęknę
na szachownicy posadzki
w ósmy dzień tygodnia?
Białe pole, czarne pole.
Ocenzurowane szachowsko,
a figury rozdane.

24.
To trudny związek: twój głos,
w tle symfonia i mój żołądek
w strzelistym akcie złączony
z podniebieniem.
„Bohemian Rhapsody”¹⁷
wchodzi ze mną w sekretną alchemię,
do której należy ostatnie słowo.
Żaden sztylet tak dobrze
nie wdzierają się w ciało jak
ten promień.

25.
Tragarzu serca, zakładniku talentu,
stokrotko nienawrócona!



Już moszczą ci przytułek
na ziemi.
Zawieruszyłeś w tej drodze
treść przepowiedni,
dano ci wybór, a ty
osierociłeś
nuty i słowa.
Ze skrzydła uwileś pętlę na szyi.
Już są, już przyszli
inni po tobie – wyznawcy bitów
wciśniętych
pod żebra.
Zaczną od wymiany barterowej
kredek
temperowanych
na oręż nową –
na dostęp do sieci.
Ale im także słońce stopi воск skrzydeł.
I żaden oracz pól Internetu, poganiacz bydła
i ani jeden handlarz tuszu do rzęs
nie spostrzeże
tego lotu,
stokrotko nienawrócona.

26.
Czas obraca nas w palcach i odbiera po kawałku.
Nie pamiętam, czy jeszcze
mam wyraz twarzy.
Już nie noszę
zwierciadeł przed sobą
i nie trzymam
róży.
Moje przemijanie sprzyja mi coraz bardziej.



POWOPZĘ, ŻE BÓG ISTNIEJE

PROPOZYCJA JACQUESA MARITAINA

Wielu badaczy, nawet przychylnych postawie konfesyjnej, uważa, że tak zwane dowody na istnienie (lepiej powiedzieć: konieczność istnienia) Boga nie tworzą niczego więcej, jak tylko pobożowisko dziejów filozofii i pozostają w gruncie rzeczy nieudanymi przedsięwzięciami. Są jednak i tacy, którzy w tego rodzaju próbach dopatrują się swoistej siły niesionej przez naturalną ludzką intuicję oraz rozum, dzięki któremu w medytacji nad realną rzeczywistością dochodzi się do niezaprzecznego wniosku (tzw. prawdy filozoficznej) o istnieniu Boga jako pełnego samoistnego istnienia (*Esse ipse Subsistens*).

Nie mam tu na myśli narzucenie na Boga wyjaśniającej siatki znaczeń; nie jest to w ogóle możliwe, ponieważ istnienie Boga nie jest dla ziemskiego umysłu oczywiste, uchwytne w zmysłowym doświadczeniu, chyba że ktoś doświadcza stanów mistycznych, które jednakże charakteryzują się brakiem intersubiektywności; można natomiast, zastanawiając się nad tym, co jest, w aspekcie istnienia odkrywać Boga. Dlatego nie należy mówić o dowodach poświadczających, że Bóg rzeczywiście istnieje, jak istnieje krzesło, jaskółka czy przekrój stożka; warto natomiast wejść na intelektualne drogi doń prowadzące. Będzie to świadczyło zarówno o szlachetności człowieczego umysłu, zachowującego zdolność do myślenia metafizycznego, jak i o tym, że jest w ogóle możliwe poznanie Boga, zwłaszcza wówczas, kiedy będzie się rozważać rzeczy tego świata, jak i status ontyczny człowieka jako osoby, nie pomijając jego aktów myślowych.

Dlatego w intelektualnej kulturze Europy pojawiło się wiele propozycji, których autorzy starali się wykazać za pomocą specjalnego dowodzenia, że Bóg faktycznie istnieje. Mają one słabszą lub mocniejszą moc uzasadniającą, wszystkie jednak, wychodząc z rozmaitych założeń, chcą wykazać przynajmniej potrzebę przekonania o istnieniu Boga okazywaną przez ludzi. Niektóre z nich zdobyły trwale miejsce w historii filozofii, szczególnie te nazwane kosmologicznymi i ontologicznymi. Inne, pozbawione metafizycznej struktury, mające raczej charakter humanistyczny bądź moralny, wiążące się też często z doświadczeniem religijnym, nie wzbudzają tak szerokiego entuzjazmu.

W tradycji filozofii klasycznej wyodrębniono nawet specjalną gałąź wiedzy nazwanej, dosyć przypadkowo, teodyceą (grec.: *theós* – Bóg i *dike* – prawo, obyczaj, sprawiedliwość, sąd, kara). Jej zadania sprowadzają się do refleksji nad istnieniem i naturą Boga, a specyfika polega na tym, że w owej procedurze bierze się pod uwagę jedynie dane zmysłowego doświadczenia i analizuje w świetle podstawowych zasad ludzkiego rozumu. Stawia się po prostu zasadnicze pytanie: na ile człowiek może, tylko o własnych przyrodzonych zdolnościach, wykazać istnienie Boga, uzasadnić, że jest On ostateczną przyczyną rzeczywistości, pojętej jako całość (grec. *kosmos*).

Z jednej przeto strony Bóg zdaje się być węzłowym przedmiotem tej nauki, z drugiej zaś jej zwolennicy nie pomijają w badaniach zmysłowo spostrzegalnego świata (a w nim samego człowieka), ponieważ pozostaje on punktem wyjścia wszelkiej proponowanej przez nich argumentacji za istnieniem Boga.

Tomizm egzystencjalny Maritaina

Jacques Maritain (1882-1973) – filozof, pisarz i autorytet duchowy, należał do grona autorów, którzy filozofii Boga poświęcili sporo twórczej uwagi. Wychodząc od propozycji św. Tomasza z Akwinu starał się odpowiadać na problemy nurtujące jego czas, zwłaszcza przeciwstawiać się panoszącemu się sceptycyzmowi, agnostycyzmowi oraz obojętności religijnej. Nie znosił idealizmu, nawiązującego wówczas do systemu Hegla, opanowanego przez totalistyczny racjonalizm, propagując filozofii kończącego się dwudziestego wieku aparaturę pojęciową wypracowaną przez Doktora Anielskiego. Chciał, aby myśl Tomasza została oczyszczona z historycznych, ideologicznych naleciałości i zajaśniała swym czysto metafizycznym blaskiem, rozwijając się autonomicznie jako filozofia aktu istnienia (*esse*). Nie czynił tego jednak w sposób eklektyczny czy utylitarnie. Był otwarty na nowe idee, na przykład propagowane przez Heideggera, choć nie oddalał się przez to od klasycznych pryncypiów.

Reprezentował tak zwany tomizm egzystencjalny, będący realistyczną mądrością wskazującą na zasadnicze znaczenie istnienia (nie: istoty) w strukturze bytu, czyli tego właśnie, co jest lub co może istnieć. W latach 30. XX wieku Maritain odkrył i docenił naczelną rolę istnienia w Tomaszowej koncepcji bytu. „*Esse*” jest czymś najgłębszym, najszybszym (*magis intimum*) w bycie; czymś, czego nie można ująć w pojęcia, ale co realną rzeczywistość łączy z Bytem czystym. Wielką bowiem pokusą dla filozofii i filozofów pozostawało „zapomnienie o istnieniu” i kierowanie uwagi na łatwo narzucający się porządek treści – esencji. Toteż jedynym sposobem uniknięcia izolacji od istnienia, jest ustanowienie istnienia jako granicy filozofii, która w pewnym sensie posiadałaby z nią wspólną istotę i którą filozofia musiałaby włączyć w definicję swojego przedmiotu.

W ten sposób *istnienie* stało się znakiem wywoławczym nurtu filozofii zwanego tomizmem egzystencjalnym. Dzięki niemu poruszamy się w realnym świecie, a nie w obszarze przejawów czy marzeń. To ono sprawia, wyjaśniał Maritain, że byt wymyka się nicości. Wskazywał przy tym na niezbywalne znacznie sądów egzystencjalnych, afirmujących i chwytających analogicznie pojęte istnienie, rolę spontanicznego poznania i intuicji bytu (*l'intuition de l'être*), pojmowanej jako bezpośrednie, dynamiczne i nieomyłne „wejście w rzeczywistość”. To specyficzny i naturalny dar, jakim dysponuje intelekt, kiedy styka się z bytem, nie zaś pewna „intuicja twórcza”, którą w swoim czasie propagował Bergson.

Duchowość intelektu

Maritain przedstawił własny autorski projekt; nie mający w sobie, jak zauważył, królewskiej prostoty dróg Tomaszowych, niemniej jednak uzasadniony, prowadzący do solidnie ugruntowanej pewności. Nazwał go „szóstą drogą”, dodając niejako do wzorcowych dróg Tomasza z Akwinu, traktując jako godny przyjęcia argument przekonujący, że Bóg istnieje.

Początek tej strategii tkwi w doświadczeniu realnie istniejącego świata i człowieka. Naturalnym bowiem przedmiotem ludzkiego poznania jest „coś istniejącego”, „coś”, czego zawartość treściowa w spontanicznym ujęciu nie jest człowiekowi bliżej znana, choć na niego oddziałuje, zmuszając do poznawczej aktywności. Maritain przyjmuje ugruntowaną w historii filozofii różnicę między potoczną, przednaukową świadomością ludzkiego istnienia, zakorzenioną w zdrowym rozsądku, a poznaniem dokonującym się na wyższym, refleksyjnym poziomie ludzkiego doświadczenia.

Nie sposób poddawać w wątpliwość tych podstawowych dla człowieka doświadczeń, „cudu bycia”, świadomości siebie i otwar-

cia na to, co każdego z nas przerasta, określa horyzont ludzkich możliwości i pragnień. Maritain mówi tu wręcz o „szoku”, jakiego doznaje się w kontakcie z rzeczywistością, Gilson natomiast wspominał o lęku pokrewnemu zawrotowi głowy, dosięgającym człowieka z chwilą, kiedy stwierdza ten cud nad cudami, że istniejący jest (*que l'étant est*). I to one właśnie – wspomniany szok i lęk – wskazują człowiekowi kierunek jego refleksji: musi być coś wykraczające poza widzialną rzeczywistość, coś istniejące „dalej”, „głębiej”. Te przestrzenne metafory wyraźnie przybliżają znaczenia – które już w religijnym wymiarze – będą określały „doświadczenie” Boga.

Wstępna afirmacja rzeczywistości mówi więc, że człowiek dysponuje w naturalny sposób pierwotną intuicją bytu, wypełniającą i dynamizującą wszelką jego aktywność, zmuszającą do przyjęcia tezy, że każdy wymiar ludzkiego życia domaga się istnienia kogoś, kto nada egzystencji sens ostateczny, pozbawiony ograniczeń ludzkiego sposobu bytowania. Oto bowiem w każdym akcie poznania, rozum poznający spontanicznie odczuwa swą niewystarczalność, swoją *jakby nicość*; doznaje samotności i trwogi; wie że jest narażony na unicestwienie. Ma wrażenie „posiadania istnienia”, także istnienia własnego umysłu, ale nie bycia samym istnieniem. Maritain zwraca tutaj uwagę przede wszystkim na osobę, na wyróżniające ją spośród innych bytów życie intelektu.

Uświadomienie sobie tego faktu powoduje swoiste oszołomienie wywoływane przez owo doświadczenie intuicyjne. Jest ono pozbawione jakichkolwiek zapośredniczeń, ujawnia pełnię egzystencjalnych możliwości człowieka; sprawia, że odkrywa on swój autentyczny związek z rzeczywistością. Wówczas rodzi się w nim jakieś mgliste wyobrażenie o istnieniu lub co najmniej o rzeczywistej możliwości istnienia Boga. Na tym instynktownym etapie nie padają jeszcze żadne potwierdzenia; mamy tylko do czynienia z pewnego rodzaju nikłym rozumowaniem, którego źródło pewności znajduje się właśnie w tym przedrefleksyjnym odczuciu.

Maritain koncentruje się na „duchowości intelektu”. Odkrywa bogactwo i oczywistość ludzkiego wnętrza, osobliwy fakt, że człowiek wciąż jest „zajęty myśleniem”, że dokonuje refleksji nad nim i w ogóle nad samym sobą. Konsekwencją tego rodzaju sytuacji jest pytanie: *jak to możliwe, że się urodziłem?* Lecz gdzie znajduje się źródło tego pytania, dlaczego pytamy o to? Otóż, zdaniem Maritaina, tkwi ono w najgłębszych pokładach ludzkiej podmiotowości, w tym, czym jest sam człowiek. Należy zatem związać ze sobą myśl i podmiot poznający, czyli ludzkie „ja”. Ale dochodzi tutaj do przeżywanego paradoksu domagającego się rozwiązania: myśl ze swej natury ma duchowy charakter, jest trwała i niezmienna, wykracza poza materialne ograniczenia, człowiek natomiast zaistniał w określonym czasie. Te porządki wymagają pogodzenia, choć intuicja podpowiada, że są one integralnie zjednoczone? Łatwo przecież spostrzec, że człowiek działa w podwójnym wymiarze: praktyczno-społecznym oraz intelektualno-poznawczym. Wytwarza określone rzeczy, spotyka się z innymi ludźmi, projektuje najróżniejsze sposoby opowywania świata. Zawsze jednak owa pragmatyczna strona życia bywa sprzężona z umysłem i przez niego kontrolowana.

Niemniej jednak Maritain zwraca szczególną uwagę na ten czysto intelektualny akt myślenia, mający – jak wciąż podkreśla – charakter duchowy, pewny, trwały, ponadczasowy. To nader charakterystyczne dla człowieka: doświadcza on w sposób intuicyjny własnego myślenia, pozostaje świadom swej sytuacji bytowej, jego umysł ma charakter kreujący pytania i w gruncie rzeczy nastawiony jest na poszukiwanie prawdy. A skoro tak, skoro człowiek jest zagłębiony w ogień (*le feu*) poznawania i intelektualnego ujmowania tego, co jest, wówczas nie może odwrócić natarczywego pytania: czy jako istota obdarzona samoświadomością i myślą przekraczającą materialność mózgu kiedykolwiek nie istnieje, być *czystą nicością*?

Aby nie popaść w logiczną i egzystencjalną niedorzeczność, należy stwierdzić: nie jest to w ogóle możliwe. Człowiek zawsze istniał, choć zapewne w jakiejś innej niż ta ziemską postaci ontycznej. W każdym razie Maritain nie widzi sprzeczności w tym, że ludzie rodzą się w historycznie uchwytym momencie czasowym, a równocześnie – dzięki intelektowi – zdają się przynależać do sfery wieczności. Te „dwie przeciwne pewności” potwierdza spontaniczno-intuicyjne poznanie, jakiego doświadcza człowiek, poznając samego siebie.

Wieczne życie myśli

Gdzie znajduje się to źródło wiecznego życia myśli? Maritain odpowiada: w bycie o osobowości transcendentnej, w Bogu, w którym w sposób najdoskonalszy znajdowało się wszystko, co jest doskonale we wszelkiej ludzkiej myśli. Inaczej być nie może, bo przecież myśl jako taka, choć uwikłana w czas, z racji



przynależności do ludzkiej natury człowieka, ze swej istoty jest ponadczasowa, więc nie może pochodzić od czegoś, co nie istnieje, co jest nicością. Ta ponadczasowość myśli sięga Boga, ponieważ nicость jest absolutną negacją czasu i rzeczywistości. Nie jest ona też – powtórzmy: z powodu swej duchowej natury – emanacyjnie wyprowadzana z jakiegoś bytu materialnego; wskazuje natomiast na konieczność istnienia Bytu Pierwszego, Absolutnego. W ten sposób przedfilozoficzny etap refleksji Maritaina doprowadza do następującej konstatacji: człowiek – osoba obdarzona myślą i duchową aktywnością zawsze istniał; – w określonym momencie czasowym pojawił się w przygodnej rzeczywistości; – stąd też tylko Bóg może być ostateczną podstawą jego ziemskiego istnienia, ostateczną racją myśli i jej przekraczającą sferę czasoprzestrzeni natury. Tutaj kończy się niejako przedfilozoficzny etap procedury uzasadniającej istnienie Boga, proponowanej przez Maritaina i rozpoczyna etap rdzenia filozoficzny, gdzie będą zastosowane zasady przejęte z tradycji tomistycznej oraz platońsko-augustyńskiej.

Chodzi o zasadę *intellectus supra tempus*, mówiącą o ponadczasowym wymiarze intelektu, jak też o zasadę *actiones sunt suppositorum*, podkreślającą, że działania człowieka są zawsze związane z ich podmiotem i zasadę *partycypacji*, czyli uczestniczenia bytu niedoskonałego w pełnej postaci tej doskonałości. W ich perspektywie okazuje się, że ludzki intelekt dysponuje swego rodzaju autonomicznością w stosunku do czasu, przekracza go, pozostając z nim związany jedynie zewnętrznym (*d'une manière extrinsèque*), z racji materialności porządku zmysłowego i wyobraźni. Przedstawia się w swym działaniu jako narzędzie naśladowe, chociaż w niedoskonałym stopniu, wieczność.

To myślowe trwanie w bycie, przypomina błysk istnienia nieustannego, trwałego, jak nieco metaforycznie określa francuski tomista; ujawnia duchowe akty rozumienia bądź pojmowania kontemplacyjnego. Tutaj najwyraźniej uwypukla się zasadnicza różnica między tym, co duchowe, a tym, co materialne, spięte kłamrą doczesności. Wydarzenia duchowe są bowiem wydarzeniami „metahistorycznymi”, gdyż ich „treść” (*contenu*) zyskuje poziom wobec historii nadrzędny. Pojawiają się, co prawda, jakby na pewien czas, lecz w istocie trwają na stałe dopiero w istnieniu dusz oraz myśli.

Powyższe stwierdzenie wprowadza na kolejny stopień czynności badawczych. Maritain wskazuje, że wszelkie ludzkie działania dotyczą podmiotu osobowego, stąd też myślenie to czynność w najwyższym stopniu osobowa, gdyż wykonywana jest przez jakieś „ja” cielesno-duchowe. Czy jednak ten osobowy byt ma również, jak myśl, istnienie wykraczające poza czas? Naturalnie, konstatuje filozof; to „ja” zaczęło się w czasie, ale przecież nie mogło powstać z nicości, lecz w pewien sposób istnieje wiecznie w swoich przyczynach.

Tak oto człowiek ujmowany przez Maritaina jako jedność psychofizyczna traci ostatecznie swoje materialne „ja” w śmierci, natomiast „ja” duchowe-myślące pozostaje, przekraczając czas, dokładnie mówiąc, ludzkie „ja” rozpoznawane w aspekcie materialnym istniało uprzednio w przyrodzie, w jej energiach fizykochemicznych, zaś „ja” duchowe – jako że duch może pochodzić tylko od ducha – nie podlega tego rodzaju zatraceniu. Zakorzenione jest bowiem w Istocie Pierwszej Egzystencji, w Jaźni będącej w czystym akcie, jak to zwie Maritain, mając na uwadze strukturę uzasadniania budującą „drogi” Tomasza z Akwinu.

Tę Pierwszą myśl Maritain nazywa osobowym Bogiem, ponieważ tylko osoba jest w stanie być przyczyną bytu mającego osobowy profil. Zakłada się tutaj, co oczywiste, nie tylko fakt partycypacji w porządku osobowym, myślnym, ale uczestnictwo wszystkiego, co istnieje w Bogu-Przyczynie wzorczej, sprawczej i celowej całej rzeczywistości. Maritain baczny jednak pilnie, aby właściwie rozumiano jego interpretację. Wyjaśnia, jak należy pojmować to preegzystowanie rzeczy w Bogu. Nie polega ono na tym, jakoby ludzkie „ja” odwiecznie myślało w Bogu albo współstanowiło Boski akt myślenia, gdyż równałoby się to tezie przyznającej ludzkiemu „ja” status bytu (lub części) boskiego. Różnica między Stwórcą świata a Jego stworzeniami zawsze musi być przecież zachowana. Ludzkie „ja” istniało w Bogu intencjonalnie, jako przedmiot Bożego umysłu, boskiego poznania i myślenia, w sposób wirtualno-ontyczny, by użyć współcześnie nośnej terminologii.

Bóg przedstawia się więc jako ostateczna racja uzasadniająca osobowe (właściwie: wszystkie istniejące byty) istnienie w Nim bytu ludzkiego, istnienie pełniejsze jednak bytowo i doskonalsze niż pozostałe istoty stworzone. Dlatego Maritain – w stylistyce typowo augustyńskiej – pisze o tych bytach osobowych, że są „obrazami Boga, skąpanymi w Jego światłości”. Nie dziwi wobec tego nadzwyczaj emocjonalne sformułowanie, zwiercające prowadzone przezeń rozważania: „Ja, który w tej chwili myślę, jestem w akcie myślenia – zawsze istniałem w Bogu”.

Dodaje przy tym akapit, że zaproponowana przez niego „szósta droga” nie nosi najmniejszych nawet powinowactw z myślą hinduską; jest w zasadzie oryginalnym tworem samego filozofa, choć

badacze zwracają uwagę na liczne zbieżności między nią a hinduistycznymi tekstami sakralnymi.

Wnioski końcowe

Swą szóstą drogę Maritain rozwinął w tle porządku przedfilozoficznego i ściśle filozoficznego. Już na poziomie spontanicznym, gdzie działa intuicja, zyskujemy pewność, że jako osoby obdarzone myśleniem istnieliśmy zawsze, choć zaistnieliśmy w określonym czasie i miejscu, że istnienia Boga wydaje się pewne, który pozostaje racją i uniesprzecznieniem ludzkiego myślenia. Ale ten właśnie fakt wymaga tłumaczenia: fakt ludzkiego myślenia, jego duchowa natura i racje istnienia. Analizując doświadczenie wewnętrzne (*cogito*) dochodzi się tutaj do przekonania, że myśl, choć uwikłana w czas, przekracza materialność; nie zdoła się jej jednak pojąć bez związania z intelektem osoby, a ta nie może być wytworem kosmosu, ani nicości, lecz musi preegzystować wirtualnie w Bogu, w Jego odwiecznych ideach wzorczych. Myśl jako taka pochodzi bowiem z myśli, a duch z ducha, aforystycznie konkluduje Maritain.

Pamiętajmy przy tym, że doświadczenie umysłowe, jako punkt wyjścia szóstej drogi jest realne, choć niematerialne. Dlatego nie mamy w tym przypadku powtórzenia ontologizmu Anzelm z Canterbury czy Kartezjusza. Istnienie Boga nie wynika przecież z treści myśli, lecz jest konsekwencją jakiegoś „minimum rozumności”, pojawiającego się na etapie spontanicznego doświadczenia rzeczywistości.

Maritain stosuje świadomie metafizyczne zasady: tożsamości, przyczynowości sprawczej, racji wystarczającej, analogii bytowej. Ludzka myśl to określony, o relacyjnej strukturze, niezwykły fakt, ale – co warto podkreślić – z tego myślowego faktu wcale nie wynika natychmiastowe i bezproblemowe istnienie Boga. Stąd też filozof łączy nastawienie antropologiczne z metafizycznym, co sprawia, że zabarwienie idealistyczne, aprioryczne czy ontologiczne wyraźnie się umniejsza.

Fundamentem dowodu pozostaje osobowe doświadczenia ponadczasowego myślenia, aktywności intelektu, po prostu sfera wewnętrznych intuicji, emocji, asercji, scalonych słowem „ja”. Skoro świat niezależny od ludzkich możliwości poznawczych domaga się przyczyny sprawczej, to i świat osoby wymaga podobnego trybu wyjaśniającego. Ten antropocentryczny punkt widzenia przystaje do wrażliwości i świadomości człowieka dwudziestego pierwszego wieku. Zdaje się zespalać w jedną całość dorzecznym językiem realistycznej metafizyki, z egzystencjalno-artystycznym językiem tradycji platońsko-augustyńskiej, żywo reagującym na niuanse i bogactwo ludzkiej duchowości.

Wiele zarzutów postawionych przez krytyczne spojrzenie interpretatorów projektu Maritaina pozostaje w mocy (np. platonizm, idealizm, emanacyjna geneza myśli i osoby, aprioryzm, słabe wykorzystanie partycypacji bytowej, ograniczenie aktywności osoby do aktów tylko intelektualnych), wiele wymaga dopełnień i metafizycznych przekształceń, zwłaszcza gdy chodzi o sferę moralności i estetyki.

W sumie jednak szósta droga przywraca istotny walor duchowej przestrzeni ludzkiej osoby. Każe zastanawiać się nad naturą myśli i świadomości, pytać o racje podmiotowych aktywności człowieka. Warto wykraczać poza ścisłe ramy dociekań substancjalnych, by, także z antropologicznej perspektywy, poszukiwać dróg, które mogą prowadzić ku tajemnej sferze absolutności.

ks. Jan Sochor

Pisma Jacquesa Maritaina:

- *Approches de Dieu*, Paris 1953 [tłum. polskie, w: Jacques Maritain, *Pisma filozoficzne*, przekł. Janina Fenrychowa, Kraków 1988, s. 189-196];
- *Approches Sans entraves*. Ouvrage publié par le Cercle d'études Jacques et Raïssa Maritain, Paris 1973;
- *Bóg a tajemnica świata*, przekł. Anna Gowin, „Znak” 1987 nr 1-7, s. 3-25;
- *Court traité de l'existence et de l'existant*, Paris 1947;
- *De Bergson a Thomas d'Aquin*, New York 1944;
- *Dieu et la science*, „Nova et Vetera” 1961 nr 36, s. 241-251;
- *Dziewięć wykładów o podstawowych pojęciach filozofii moralnej*, tłum. Jarosław Merecki SDS, Lublin 2001;
- *Éléments de philosophie. Introduction générale de la philosophie*, Paris 1920;
- *Grandeur et misère de la métaphysique*, w: Jacques Maritain, *Distinguer pour unir ou Les degrés du savoir*, Paris 1963, s. 3-37 [tłum. polskie Przemysław Mroczkowski, *Wielkość i nędza metafizyki*, « Znak » 1948 nr 13, s. 525-543];
- *Humanizm integralny. Zagadnienia doczesne i duchowe nowego świata chrześcijańskiego*, (b.n.t.), Londyn 1960;
- *La signification de l'athéisme contemporain*, Paris 1949;
- *Le song de Descartes. Suivi de quelques essais*, Paris 1932;
- *L'intuition créatrice dans l'art et dans la poésie*, Paris 1966;
- *Nauka i mądrość*, tłum. Marian Reutt, Warszawa-Ząbki 2005;
- *Religia i kultura*, tłum. Halina Wężyk-Widawska, Warszawa 2007;
- *Sept leçons sur l'être*, Paris 1934;
- *Trzej reformatorzy. Luter, Descartes, Rousseau*, tłum. Konstanty Michalski, Warszawa-Ząbki 2005.

Karol Samseł

Witkacy mówi do swojego ojca

marmur i sperma, ojcie. czy pojąłeś już, jak jedno złączyło się z drugim?
z uczuciem jakiego – niewypowiedzianego przecież – ucisku wniknęły w siebie plecy mężczyzny i grzbiet delfina? upał przemienienia,
powiadam ci, a ty uwierz mi na słowo: moje oko obrosło naskórkiem,

by jak to Joba – nie widzieć nieszczęścia.
o szkaradne, szkaradne.

zająłbyś wieś i tak zgwałciłbyś kobietę, wybijając jej miednicę.
zadenuncjowałbyś i tak kastrowałbyś szpiega znalezionego w domu. ale zrobić to ze mną, przekłety Kronosie, idioto

z Jeruzalem? pleść księżycowy alarm i wbijać w moją dłoń gwóźdź zakopiańskiej różdżki? oszalałeś do cna? chciałeś coś zlepić, widząc śnieg i białko trące o siebie? zapewne tak, ku mojej trwodze tak – góra z moich ust wybiegła

więc do ciebie – mała armatka drżąca na wietrze, trzcina cukrowa i kulka z podbrzusza. spe salvi, spe salvi – jęczała oczekując, łaszcząc się do rąk.

10.05.2013

Czechowicz rozmawia ze swoją matką

spójrz matko na usta wypełnione torfem, tej nocy je opróżnisz.
niech mówią językami wieczorów świata: to nasze Aberdeen,
nasze zbocze zdarzeń. Najdelikatniej – ząbkami grabi – rozerwałaś balon w moim podniebieniu, nadpłynęło kargo w morzu białej

krwi – łepkę jaskółki owiniętą w afisz „La Belle Dame sans Merci” z Teatru Starego. to wiosna tępiciele – piszemy nadal listy z prośbą o ratunek, tytułujemy: żuk na bransoletce. Lublin naszych ciał: skrzydła tomahawku i kija wędrowca – opowieść o obrozach

pozmienianych w igły babiego lata. dojrzeliśmy matko, zjawiamy się więc nago na drodze do Piask, chusty spadają do samych stóp, ostatni lot koloru: nośny, nieustawny –
– wielka unia domów stawianych w zimnym państwie.

eksplozja w kolebce.

12.05.2012

NA POCZĄTKU BYŁO PIWO

Nie, nie od poroża marala wszystko się zaczęło, lecz od piwa! Bardzo dobrze pamiętam ten dzień. Rok też łatwo sobie przypomnieć: to były pierwsze miesiące gorbaczowskiej pieriestrojki. Gdy słów było już dużo, a piwa mało i jeśli do Klubu Pisarzy dostarczano świeże „Żygulowskie”, to przy stolikach było gwaro i wolnomyślnie. Wspaniałe to były czasy: naszemu ufnemu narodowi wtedy już dano do rączki grzechotkę głośności, lecz jeszcze nie odstawiono go od piersi socjalizmu. Zresztą, nie!

niekochanej kobiety. Z powodu tej smutnej, ale uzasadnionej przyczyny książki pisarzom załatwiał za darmo, licząc na to, że wyrazem wdzięczności polecą jego wiersze jakiemuś popularnemu czasopismu. Jednak, najczęściej, po otrzymaniu pożądanej książki wiarołomny pisarz na prośbę o „poparcie” zaczynał marzyć czoło i kartkując wiersze Stasia, mamrotał coś o jeszcze nie osiągniętym przez autora konsensusie pomiędzy egzystencją i poetycką odmiennością logosu... W przekładzie na zwykły język to oznaczało: „Stasiu, mimo że jesteś fajnym facetem, twoje słabo zrymowane gównu polecieć gdziekolwiek jest bardzo ciężko, chyba że załatwisz dla mnie dzieła zebrane Arcybaszewa”. A gdy w końcu dostarczywszy Arcybaszewa i na dodatek jeszcze komplet powieści Régnier’a Żgutowicz zaczynał mówić o tym, że wierszy już uzbierało się na trzy tomiki, a poeta bez książki jest jak Paryż bez Sekwany, do niego mamrotano coś o losie jako kształtującym czynniku twórczości...

Ale wtedy... Wtedy na każdego, kto zjawiał się w wydawnictwie z rękopisem patrzono jak na maniaka, który uciekł z wariatkowa razem ze swoją historią choroby, o opublikowanie której teraz właśnie prosi i na dodatek zamierza otrzymać za to honorarium.

A żeby wyjaśnić do końca, przez jakie ciernie musiało przejść poetyckie słowo w drodze od pierwszego grymasu natchnienia na twarzy poety do pachnącego świeżą farbą drukarską egzemplarza sygnałnego, muszę opowiedzieć, jak została wydana moja pierwsza i jedyna książka. Zdarzyło się to wyłącznie dzięki temu, że pewnego dnia po rozwodzie z żoną zamieniłem nasze wspólne mieszkanie i zostałem właścicielem garsoniery przy ulicy Komandarma Tiatina (teraz 2-a Wzdymbieńska) w bloku, wybudowanym w latach siedemdziesiątych. Te obłupane białe wielopiętrowe budynki przypominają mi stare zepsute lodówki, wywiezione przez letników do lasu i tam porzucone... Dlaczego rozwiodłem się z żoną pozostaje pytaniem niejasnym, nawet

KOŻŁĘ W MLEKU

powieść-epigramat
(fragmenty)

To się zaczęło trochę wcześniej, tuż przed głośnością. Ależ oczywiście, jak mogłem się pomylić? Przecież cała ta głośność pieprzona rozpoczęła się właśnie od tej historii, od mojej niewybaczalnej głupoty.

A było to tak. Staś Żgutowicz, Arnold i ja siedzieliśmy w Sali Dębowej Domu Literatów i piliśmy piwo z rakami, które wtedy, w Moskwie, można było spotkać tylko tu i jeszcze czasami w Domu Dziennikarzy. Arnold cały czas usiłował postawić na stół nalewkę z poroży marala. Bowiem jest ona, jak tłumaczył chowając uśmiech w brodzie, najlepszym środkiem przeciwko rogom małżeńskim. A tak w ogóle, u nich na Syberii taka nalewka jest nazywana „amoralówką” – z powodu jej nieodwracalnego pobudzającego działania. A niedawno, na przykład, próbną partię „amoralówki” zakupili prawie całkiem opanowani Finowie i po prostu zwariowali. Arnold, wyczuwając korzyści, zaczął starać się o zorganizowanie spółdzielni produkcyjnej, które, dopiero co, odpowiednim postanowieniem zostały zalegalizowane przez KC KPZR.

– Pokrzepmy się, chłopaki! – zaproponował Arnold, mrugając kusząco.

Lecz skupieni na piwie pozwoliliśmy mu wystawić tylko słoik solonych rydźów, które z „Żygulowskim” idą lepiej niż raki. Zdeprawowawszy nas rydźami, w końcu zrobił to, przed czym powstrzymywaliśmy go przez cały wieczór: zaczął opowiadać nam fabułę swojej nowej powieści. Szczegółów, oczywiście, już nie pamiętam, ale sedno powieści było w tym, że pewien syberyjski myśliwy imieniem Albert tropi i zabija samicę rysia, żeby uszyć czapkę dla ukochanej kobiety. I właśnie tu zaczyna się najważniejsze. Straciwszy przyjaciółkę samiec zaczyna mścić się za swoje zniszczone zwierzęce szczęście i goni myśliwego aż do samego Krasnojarska, gdzie zagryza go na progu pracowni kuśnierskiej, dokąd Albert przyszedł, żeby odebrać gotową czapkę. Mściwego samca odstrzelił milicjant, który znalazł się w pobliżu. Razem z czapką przyniósł straszną wiadomość ukochanej zagryzionego myśliwego. I pozostały na świecie dwie samotne samice, które straciły swoich mężczyzn – jedna w postaci kobiety, druga w postaci czapki...

– I jak? – zapytał Arnold i, oczekując odpowiedzi, skromnie opuścił oczy.

– Gówno! – wygarnąłem, żeby uprzedzić jakieś straszne faux pas ze strony Żgutowicza i nie zbyt urazić ambitnego провинjonalnego autora.

– Za co wy tu w Moskwie tak nie lubicie Syberii? – w zamyśleniu zapytał Arnold.

– Tyś czytał, chociażby, Melville’a? – ciężkim od piwa głosem zapytał Staś.

– Nie miałem okazji.

– Gdy będziesz miał okazję, zwróć uwagę: tam u niego wieloryb faceta ściga... „Moby Dick”.

– Przecież to wieloryb!

– A u Rasputina niedźwiedź też jednego gościa tropi – dodałem.

– Przecież to niedźwiedź – nie poddawał się Arnold – a ja mam rysia! A o czapce oni mają?

– O czapce nie mają – pokręcił głową Żgutowicz – ale na aluzjach daleko nie zajdziesz!

Arnold zamilkł, pewnie obliczając jak daleko można zajechać na aluzjach, a przede wszystkim zastanawiając się, co to są aluzje. Dyskutować ze Stasiem nawet nie próbował, bowiem Żgutowicz był człowiekiem przytłaczająco czytany, na dodatek pracował w księgarni, antykwariacie „Książkowe znalezisko”, przy Łubiance, obok pomnika pierwszego drukarza Iwana Fedorowa. Stasia znała cała literacka Moskwa, ponieważ pomagał pisarzom w warunkach ostrego książkowego deficytu, załatwiając rzadkie i niejednoznaczne ideologicznie książki. Mógłby się wzbogacić na tym, ale miał jedną zgnąną i nieuleczalną chorobę, w porównaniu z którą dziedziczny alkoholizm z ciągami alkoholowymi i halucynacjami jest tylko drobną dolegliwością. Staś pisał wiersze. Ohydne, jak poranne resztki makijażu na twarzy

Tak oto Staś męczyłby się do emerytury, lecz pewnego razu zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: jakiś wyglądający na menela gość przytargał do antykwariatu ogromne tomisko *Encyklopedii Masonerii*, która została wydana tuż przed rewolucją. To był niesamowity fart, no tak, jak gdyby teraz ktoś przyniósł cały worek części elektronicznych, zawierających platynę, i poprosił za to pięćdziesiąt dolarów. Facet nieśmiało poprosił pięćdziesiąt rubli. Staś hojnie zapłacił za *Encyklopedię Masonerii* dziesięć rubli z własnej kieszeni, czym uszczęśliwił lumpa, ponieważ ten przebywał w tym specyficznym stanie, kiedy za szklankę jabola mógłby sprzedać siebie do pracy na galerach. Oczywiście, Żgutowicz od razu zrozumiał, że wybiła jego szczęśliwa godzina i że teraz nareszcie zostanie autorem tomiku wierszy, bez którego poeta jest jak Londyn bez Tamizy. Wiesz o *Encyklopedii Masonerii* rozpowszechniła się po literackiej Moskwie z prędkością epidemii. Do antykwariatu obok pomnika Iwana Fedorowa pisarze powędrowali jak mędrcy do dzieciątka Jezusa: wszyscy chcieli zawładnąć unikatową encyklopedią i zgłębić tajemnicę wielkiego zakulisia, tajemnicę, w porównaniu do której marksizm jest dziecięcą



bajeczką o Wańce-Wstańce. Lecz napotykali się na twardą kontrfartę: Staś, jak już pewnie domyśliliście się, stanowczo żądał jako wynagrodzenia wydania jego własnej książki i nie śpieszył się rozstać z *Encyklopedią Masonerii*, wyczekując na wiarygodnego kandydata, niezawodnego jak karabin maszynowy Kałasznikowa. Pomylić się Żgutowicz nie miał prawa. Teraz, gdy kruchy szkielet narodu pękł w objęciach kapitalizmu, możesz przyjść, zapłacić i twoja książka składająca się z przezręcznych erotycznych, którymi obdarzały cię kobiety, zostanie natychmiast wydana.

bardziej niejasnym, niż dlaczego z nią się ożeniłem. Była sympatyczną pulchną damą, nieźle gotowała, wypowiadała się na literackie tematy i zadreślała siebie aerobikiem. Wieczorami, zanim zaczynaliśmy się kochać, leżeliśmy w łóżku i czytaliśmy: ja – wiersze jakiegoś łajdaka, który prześlizgnął się na łamy czasopisma, ona – miesięcznik „Zdrowie”. Sygnałem przejścia od czytania do ponuro-wazelinowego stosunku zazwyczaj służyło naciśnięcie guzika lampki nocnej. Zauważywszy, że moja ręka zbliża się do wyłącznika, ona odwracała do mnie swoją gęsto nasmarowaną nocnym kremem twarz i mówiła: „Kochanie, zaczekaj, doczytam stronek!” Co ranka żona chodziła na stadion (było go widać przez nasze okno) i dla podtrzymania sylwetki robiła kilka okrążeń na torze żużlowym. Pewnego dnia popijając kawę i obserwując przez szybę, jak ona porusza się wzdłuż terakotowej otoczki zielonego pola, niespodziewanie pomyślałem o niej jak o satelicie, który może w każdej chwili zejść z swojej orbity i na zawsze zniknąć w wiecznej zmarzlinie kosmosu.

Po dwóch miesiącach rozwiedliśmy się. Wtedy jeszcze nie opublikowałem ani jednego swojego wiersza i zarabiałem na życie tym, że po pierwsze, pracowałem jako korespondent w gazecie zakładowej 4-go Przedsiębiorstwa Transportu Samochodowego „Za wzorcowy rejs”, a po drugie, tym, że pisałem rymowane przywitania dla Organizacji Pionierskiej imienia W. I. Lenina oraz jubileuszowe dzieje fabryk i zakładów. Na ten temat, już pakując moje rzeczy, żona zauważyła, że to jest typowo rosyjską tradycją – armata *Car puszka*, która nie strzela, dzwon *Car kołokoł*, który nie dzwoni i poeci, których wiersze nie są publikowane...

Gdy po zamianie mieszkań otrzymałem do własnej dyspozycji garsonierę, z początku nie rozumiałem, że w ten sposób zapewniłem sobie przyszłość literacką. Po prostu rozkoszowałem się prawie zapomnianym szczęściem niekontrolowanej samotności. Oczywiście, mieszałem dziewczyny, ale nie tak często, bowiem wolność wprowadza mężczyznę w filozoficzny nastrój i robi z niego smakosza. Zdrada w małżeństwie jest czymś profilaktycznym. Gdyby zdrada wchodziła w zakres ciekawych badań medycznych, myślę, że większość mężów przestałaby zajmować się tym głupstwem...

Moje życie zmieniło się niespodziewanie. Pewnego razu przetaszczyłem do swojego mieszkania krytyka Zakusońskiego. Przetaszczyłem w sensie dosłownym, bowiem tego dnia dostałem zaliczki za pozytywną recenzję oraz za dwukrotne wymienienie w artykule przegładowym i w związku z tym po prostu nie był w stanie dotrzeć do domu. Po przebudzeniu rano Zakusoński spojrzawszy mętłym wzrokiem na moje mieszkanie i wystękał na wpół pytająco, ponieważ nie miał sił na pełnowartościowe pytanie:

– Gdzie jestem?

– U mnie.

– Mieszkasz sam? – zdziwił się.

Wydało mi się że ten wysiłek emocjonalny będzie kosztował go życie, więc wyjąłem z lodówki butelkę piwa.

– Teraz sam...

– Niewiarygodne! – zakrztusił się ze zdumienia albo przez zbawienny łyk piwa.

– Co niewiarygodne?

– Mieszkasz sam i jeszcze ani razu nigdzie cię nie wydrukowano?

– Ani razu.

– Niewiarygodne...

Po kilku dniach do mnie podszedł tęgawy poeta, który pracował w młodzieżowym czasopiśmie.

– No wiesz, nie masz racji! – skarcił mnie poklepując po ramieniu, chociaż przed tym nawet nie witał się ze mną. – Przynieś niezwłocznie! Sztuk pięć. Jeden – o władzy radzieckiej. Reszta może być o... I wkręcił potoczne nieprzyzwoite słówko, które oznaczało mniej więcej to, co w jego à propos, niezłych wierszach oznaczał wyraz „mechata róża miłości”. Przez kilka dni w mękach wybierałem wiersze, a potem specjalnie kupiłem świeżą taśmę dla maszyny do pisania i starannie przepisywałem je, zginiatając i wyrzucając do kosza kartki, nawet gdy w nich była jedna



jedyna literówka... Przyjął mnie w swoim zawalonym rękopisami gabinecie, wziął moje wiersze i nie patrząc wsadził je w braterski grób zakurzonych manuskryptów.

– Czekaj! – powiedział.

Czekać długo nie musiałem. Niebawem przyszedł do mnie z długonogą młodą poetką, która mogłaby być jego córką. Stojąc obok siebie przypominali postacie z bajki „Bąbelek i Słomka”. Wypiliśmy, porozmawialiśmy trochę o poezji, a potem on zaczął jak rak kręcić oczami, wskazując mi na drzwi mojego własnego mieszkania. Na wszelki wypadek zostawiłem na stoliku w kuchni krople na serce i wyszedłem w noc, którą spędziłem na ławce w poczekalni dworca Jarosławskiego. Gdy wróciłem rano, lekarstwo znalazłem nietkniętym, natomiast z lodówki bez śladu zniknęły owoce i kilogram kielbasy. Od tamtego czasu zaczął pojawiać się u mnie dosyć często, dzięki czemu w krótkim okresie wystarczająco blisko poznałem kwiat młodej poezji kobiecej. Muszę powiedzieć, że wśród tych wszystkich panienek były nie tylko długonogie, ale również niebezpieczne w sensie literatury osoby. Później niektóre z nich po przetartej ścieżce wpadały do mnie już bez niego, tłumacząc, że po tym „bąblu” chcą czegoś bardziej męskiego – zarówno w formie jak i w treści.

Moje wiersze wydrukował dokładnie rok później, a krytyk Zakusoński, który również kiedyś przyprowadził do mnie jakąś brzydką okularnicę w pomarszczonych pończochach, opublikował w „Tygodniku literackim” ciepłą recenzję pod tytułem „I powódz uczuć...”. Wtedy do mnie chadzało już kilku współpracowników grubych czasopism, zastępca kierownika działu jednej z centralnych gazet, trzech dziennikarzy radiowych oraz operator dźwięku z telewizji. Musiałem sporządzić ścisły harmonogram, zaprzyjaźnić się ze wszystkimi bezdomnymi i milicjantami na dworcu Jarosławskim, ale za to moje wiersze często ukazywały się w prasie, brzmiały w radiu, a pewnego razu pojawiłem się w telewizji w programie „Robocze południe”, gdzie wśród maszyn czytałem swoje utwory robotnikom zakładu „Elektrolit”, tęskniącym za straconą przerwą obiadową.

Nareszcie wydarzyło się to, co miało się wydarzyć. Zadzwonił do mnie poważny jegomość z solidnego wydawnictwa i powiedział dość ponuro, że chciałby przejąć rękopisy moich wierszy, i jeśli spełnią wysokie wymagania, które wydawnictwo stawia przed swoimi autorami, to, prawdopodobnie, można będzie spróbować pomyśleć o możliwości wydania książki. Mdlejąc ze szczęścia, zapytałem, kiedy można przywieźć rękopis. Sam przyjadę – padła odpowiedź.

Przyjechał tego samego wieczoru w towarzystwie trzech kompletnie pijanych pań lekkich obyczajów, które zaczęły go rozbiierać nawet nie czekając na moje odejście. Gdy zobaczył, że pośpiesznie zmierzam do wyjścia, machnął mi włochatą ręką po przyjacielsku i wspaniałomyślnie zaproponował: „A chodź do nas, do kupy!” Zamamrotałem coś o babci, która nagle się rozchorowała i odmówiłem, bowiem koziołkować nago w kupie z nieznanymi panienkami i brzuchatym ledwo znajomym facetem – to nie jest żaden seks grupowy, lecz prawdziwa rozpusta!

Gdy zaistniała perspektywa wydania książki, harmonogram odwiedzania mojego mieszkania zrobił się tak napięty, że nie raz musiałem wynajmować łóżko od staruszki w sąsiednim bloku, ponieważ dworcowe ławki są zbyt twarde do spania, na dodatek zacząłem przeziębzać się na skutek przeciągów. Oprócz tego wyszła jakaś ustawa o zwalczaniu bezdomnych i bumelantów. I przez to pewnego razu mnie aresztowano i przeprowadzono na posterunek milicji, lecz puszczono po tym, jak wytłumaczyłem naczelnikowi posterunku, że jestem poetą i nawet zaśpiewałem piosenkę do wiersza Jesienina. Nie mogłem nawet zaprosić do siebie Anki i żeby zsynchronizować pożądania, musiałem wlec się do niej na dachę do Pierepiskina.

Ale tu ukazał się mój tomik. Wciągnąłem świeży zapach farby drukarskiej. Przeczytałem go od początku do końca najpierw bardzo szybko, a następnie jeszcze raz, bardzo powoli i zrozumiałem, że moje wiersze nie to, żeby były złe... Nie! One nawet na swój sposób były dobre, a jednak urządzić w swoim mieszkaniu miejski burdel i wynajmować od staruszek łóżko tylko po to, żeby zobaczyć je wydrukowanymi i zszytymi w ciekawą książeczkę nie było warto. Oczywiście, sztuka zawsze wymaga ofiar, lecz tylko geniusze i kretyny składają jej ofiary z ludzi. Nie będąc pierwszym i nie chcąc zostać drugim, ogłosiłem wszystkim gościom, że zwijam interes, i przewiozłem dobytek z powrotem do swojego mieszkania, które w ciągu dwóch lat na tyle zostało przeniknięte potem pożądania i innymi towarzyszącymi aromatami, że musiałem pilnie zrobić remont. Wydałem na to prawie całe honorarium za tomik.

A propos, zawsze mi się wydawało, że jeśli ukaże się moja książka, życie moje kompletnie się zmieni – nawet po ulicach będę chodził inaczej i przechodnie będą na mnie patrzyli całkiem inaczej... Nic z tych rzeczy. Nikt nawet nie zauważył. Jedynie krytyk Zakusoński, którego spotkałem w Centralnym Domu Literatów, radośnie bodnął mnie głową w ramię, pogratulował ukazania się tomiku, ale zażądał za recenzję taką niedorzeczną kwotę, że ze względu na to, że przed tym sporo wydałem na remont, musiałem odmówić.

Oprócz tego nagle zadzwonił Kostożogow. Akurat leżałem pod kołdrą i z niecierpliwością oczekiwałem na wyjście Anki z łazienki.

– Gratuluję! – powiedział Kostożogow.

– Spodobało się panu? – rozpromieniłem się.

– Jest pan człowiekiem zdolnym. Już to panu mówiłem. Ale przecież pierwsza książka jest tylko powodem zastanowić się, czy warto pisać dalej.

– Dziękuję, zastanowię się...

W tej chwili z łazienki wyszła Anka. Zawsze robiła ze swego wyjścia małe przedstawienie erotyczne, a tego dnia, niby udając

Japonkę, ciasno zawięła się w ręcznik i szła do mnie orientalnie drepzcząc nóżkami. Na środku pokoju ciężkie frotowe „kimono” nagle rozpadło się i runęło na podłogę...

– Cóż, w istocie, w tomiku jest kilka całkiem profesjonalnie napisanych wierszy – kontynuował Kostożogow – ale profesjonalizm w literaturze jest tym samym, co dobre trawienie. Pytanie tylko po co! Czy pamięta pan, co mówiłem panu o trzech drogach? Wydaje się, że pan o tym nawet nie myślał. Nad wyborem pan jeszcze się nie zastanawiał...

– Przepraszam, co pan powiedział? – zapytałem. Anka już wlaża pod kołdrę i rozpraszała mnie, odrywając od rozmowy w najbardziej wyrafinowany sposób.

– Pan jest zajęty? – speszzył się Kostożogow.

– Odrobinę – odpowiedziałem omdlewając. – Oddzwonię do pana...

– Do mnie nie ma gdzie oddzwaniać. Lepiej niech pan przyjedzie kiedyś do mnie do Caplina. Porozmawiamy. Przeczyta pan wiersze moim uczniom. Dzieci są znakomitymi krytykami! Mam nadzieję, adresu mojego pan nie zgubił?

– Nie – skłamałem.

– Niech pan przyjedzie! Będę czekał.

I Kostożogow odłożył słuchawkę. A Anka nagle wydostała się spod kołdry i zaczęła ubierać się w milczeniu.

– Ty dokąd?

– Mam dość – odpowiedziała.

Ale ubłagałam ją i Anka została. Ostatecznie pokłóciliśmy się dwa miesiące później.

Nikt więcej z powodu książki do mnie nie dzwonił, telefon jednak odzywał się non stop: moi dobrodzieje, którzy pozostali bez kawalerki, żądali, namawiali, nawet grozili... Prosił, żebym przyniósł wiersze, przekonując mnie, że bez nich wymagający czytelnik radziecki po prostu nie może znaleźć sobie miejsca, a proces literacki marnieje nieuchronnie, lecz odmawiałem grzecznie, usprawiedliwiając się głębokim kryzysem twórczym i niezbyt udanymi próbami przejść z wierszy na prozę. Powody były uzasadnione i przez kilka dni mój telefon milczał. Ale po tym dorwał mnie kierownik działu prozy grubego czasopisma i zdecydowanie oświadczył, że się nie uspokoi dopóki nie dostanie ode mnie opowieści albo w ostateczności opowiadania! Wtedy zadzwoniłem na centralę telefoniczną i poprosiłem, żeby tymczasowo odłączyli mi telefon.

– To jest zabronione! – odpowiedziano mi. – Gdyby pan nie zapłacił rachunku za rozmowy międzymiastowe – to co innego.

– Bardzo panią proszę!

– Nic z tego!

– A czy ktoś pani mówił że pani ma głos jak Sophia Loren?

– Nie-e-e! – głos się ocieplił.

Co prawda, trochę skłamałem: głos miała nie jak Sophia Loren, lecz jak nasza rodzima aktorka, która zawsze dubbingowała gwiazdę filmową. Ale telefonistka zrobiła się miłsza i telefon mi odłączyła. Wtedy wydawcy, którzy namiętnie pragnęli mnie opublikować, zaczęli dzwonić do drzwi, nawet przysyłali telegramy, ale w końcu jednak uspokoił się, a razem z nimi zainteresowanie do mnie stracił również wymagający czytelnik radziecki. Zresztą, pora wrócić do restauracji Domu Literatów do piwa i rydzów...

ZAKŁAD KSIĘGARZA Z POETĄ

Cicho dopijaliśmy piwo i dojadaliśmy rydze. Kelnerka już cztery razy odnosiła z naszego stołu puste butelki. Zbliżał się wieczór. Sala restauracji powoli się wypełniała. Przyszedł i zajął swoje miejsce w kąciку krytyk Zakusoński, jak zegarmistrz czekający na klientów. Jeśli wcześniej zobaczywszy mnie zrywał się z miejsca, podbiegał, owijał ręce wokół mojej szyi i, łagodnie bodnąwszy mnie w ramię, mówił: «No, cześć, stary!» – to teraz tylko przywitał mnie na wpół przymkniętymi jakby ze zmęczenia oczami.

Po nim pojawił się poeta Odujew. Dzisiaj był nie jak zawsze ze swoją przyjaciółką z telewizji Stellą, a z jakąś długonogą nastolatką. Uważnie obejrzawszy salę kiwnął mi głową po przyjacielsku, zamówił dziewczynie lody i głośno wyjąc zaczął recytować wiersze, a ona patrzyła na niego z takim ślepym uwielbieniem, z jakim melomanka pewnie patrzyłaby na świnię, która nagle zaśpiewała głosem Pavarottiego.

Gdy dopiliśmy piwo, zaproponowałem by zamówić jeszcze kilka butelek, lecz ani ja, ani Staś nie mieliśmy więcej pieniędzy.

– No cóż... – powiedział Arnold, wygrzebuając z kieszeni ostatni bilon. – Sukinsyny wszyscy jesteście tu w Moskwie!

– Dlaczego sukinsyny? – spytałem leniwie.

– Wszystkie soki z Rosji wyssałicie...

– A co, według ciebie, Moskwa to nie Rosja? – wstał się za stolicę Staś.

– Nie! Nie Rosja. Moskwa to guz na zdrowym ciele nacji – odezwała się Arnold, ciężko wdychając.

Już kilkakrotnie próbował przenieść się do stolicy, dawał ogłoszenia do gazet w dział „Między miastowa zamiana mieszkań”, nawet ożenił się fikcyjnie, ale panienka najpierw pieniądze wzięła, a później okazało się, że sama do Moskwy przyjechała dla zarobku, a na stałe jest zameldowana w mieście Orzeł. Musiał rozwieść się...

– Moskwa to dżungla – kontynuował Arnold. – Co innego – tajga! Ja, chłopaki, kiedy wiewiórkę w oko trafiam, czuję to samo, gdy dobry rym znajduję...

Dyskretnie wymieniliśmy ze Stasiem spojrzenia: Arnold pracował jako korespondent gazety „Krasnojarski hodowca zwierząt futerkowych” a wiewiórki prawdopodobnie widział wyłącznie w klatkach.

– A bywało – nie uspokajał się Arnold – siedzisz sobie przy ogniseczkę, drewno potrzaskuje, iskierki do nieba skaczą, a w duszy tak pięknie tak wierszotwórczo... I wiersze nawet nie tworzą się, a wypływają z serca, jak chrząszcze wodne z przydennej trawki. Chociaż ja na ogół prozę piszę, ale niedawno też stworzyłem. Zaraz... czekajcie... Aha...

Arnold profesjonalnie zrobił martwą minę, przypominając wiersze. Znów wymieniliśmy ze Stasiem spojrzenia i bez słów umożliwił mi się nie powtarzać błędów, który popełniliśmy poprzednio z fabułą powieści Arnolda. Jeśli poeta, nieważne jaki, ten ze stolicy, czy ten z prowincji, przeczyta przy stole chociażby jeden swój wiersz, już się nie powstrzyma i wywali na twoją głowę wszystkie wierszowane śmiecie, które uzbierały się w jego duszy. Takie próby trzeba niszczyć w zarodku.

– Aha, zaraz, zaraz... – Twarz Arnolda zaczęła niepokojąco ożywiać się.

– A ja na przykład – Staś gwałtownie przejął inicjatywę – gdy patrzę na zakurzone szeregi książek w księgarni, czuję się jak chłopiec, który zamierza zadowolić nienasycone łono Astarte...

– Kogo? – zapytał ze smutkiem Arnold, mając jeszcze nadzieję, że mu jednak pozwolą poczytać wiersze.

– Ta-ak, baba jedna... – wyjaśnił wyniosły Staś.

– Nam strasznie nie poszczęściło się, ponieważ żyjemy w epoce przesyconego roztworu kultury. Niedawno do mnie do antykwariatu Lubin-Lubchenko przychodził i opowiadał. To jego teoria. Żebyś, Arnoldzie, zrozumiał, to jest jakby bardzo gęsta zupa rybna!

– Jak można nie zrozumieć! – pokiwał głową Arnold.

– Jesteśmy ofiarami przeładowanych książkami regałów

– westchnął Żgutowicz, widocznie przypominając o swoim wciąż nie wydanym tomiku.

– Ofiarami – zgodził się Arnold. – W mojej powieści o tym też jest...

– Nawet nie wyobrażam sobie – nie poddawał się Staś – co takiego dzisiaj trzeba napisać, żeby cię usłyszano?!

– A ja niedawno napisałem! – również nie uspokajał się Arnold.

– Nic nie trzeba pisać – wyręczyłem Żgutowicza. – Tekst nie ma żadnego znaczenia.

– Absolutnie żadnego – zgodził się Arnold. – Zaraz wam o tym opowiadanie przeczytam!

– Co to znaczy – nie ma znaczenia? – nie załapał Staś.

– Właśnie to znaczy, że można w ogóle nie napisać ani jednej linijki i być znanym pisarzem! O tobie będą pisać rozprawy, dyskutować, cytować... – rozwijałem myśl, która nagle wpadła mi do głowy.

– Cytować? – zwątpił Staś.

– Tak – cytować! – nie wycofywałem się, ponieważ piwo w dużych ilościach sprawia, że człowiek staje się nadzwyczajnie upartym.

– Nonsens!

– Co takiego? – nie rozumiał Arnold.

– Oczywiście, możecie zadać pytanie, – kontynuowałem, unosząc się co raz bardziej, – dlaczego klasycy jednak mają teksty? Odpowiadam – dlatego, że byli niewolnikami profesjonalnych konwencji: krawiec powinien szyć, stolarz – strugać, pisarz – pisać! Załóżmy, że nie czytałeś Szekspira, a to jest w istocie równoznaczne z tym, że nic nie napisał. Ale przecież Szekspir mimo wszystko jest geniuszem!

– Mimo wszystko, – zgodził się Arnold.

– Sofistyka! – uśmiechnął się Staś.

– Co takiego? – nie rozumiał Arnold.

– Nie, to nie sofistyka – zaprzeczyłem uparcie. – Sofistyka to oszustwo rozumu, które rozsypuje się przy pierwszym zetknięciem się z rzeczywistością. Natomiast swoje słowa mogą udowodnić w praktyce. Jestem gotów wziąć pierwszego z brzegu człowieka, który nie ma zielonego pojęcia o literaturze, i w ciągu jednego – dwóch miesięcy zrobić z niego znanego pisarza!

– Nonsens! – zamachał rękami Staś.

– Co takiego? – znów nie rozumiał Arnold.

– Gówno prawda! – sprecyzował Żgutowicz.

– Ach, gówna prawda? – oburzyłem się i krew z piwem uderzyła mi w głowę. – Jestem gotów założyć się, że z pierwszego spotkanego debila w ciągu dwóch miesięcy zrobię znanego pisarza, jego będą rozpoznawać na ulicy, krytycy zaczną pisać o nim artykuły, a wy będziecie dumni z tego, że go znacie!

Mimo zdecydowanego tonu powiedziałem to wszystko, oczywiście, w retorycznym porywie z odcieniem wyraźnego alkoholowego romantyzmu. Ale Staś rozumiał to inaczej.

– Co stawiasz? – spytał z gorliwym uśmiechem.

– W jakim sensie? – nie rozumiałem.

– W bezpośrednim. Proponujesz założyć się? Jestem gotów.

O co zakład? Czyżbyś stchórzył?

– O co chcesz! – odpowiedziałem, nakręcając się.

– I ten twój debil nie napisze ani linijki? – szyderczo spytał Żgutowicz.

– Może być nawet analfabetą! – rzuciłem niedbale.

– Nonsens! – rzekł Arnold.

– Dobra. Jeśli przegrasz, a to jest nieuchronne, to będę mógł w każdej chwili zadzwonić do ciebie i skorzystać z twojego mieszkania! Zgoda? – ożywił się Żgutowicz.

Tu muszę znów zrobić dygresję wyjaśniającą. Chodzi o to, że Staś z natury jest cichym babiarzem, na dodatek książkowy kurz, jak gdzieś przeczytałem, nadzwyczajnie pobudza pożądanie. We Włoszech, na przykład, osłabionym mężczyznom lekarze nawet zalecają częściej być w bibliotece. Jednak Stasiowi bardzo nie powiodło się z żoną: z pochodzenia jest Kozaczka





z Kubania, zazdrosną do obłędu, która nie tylko szpera po kieszeniach, ale co wieczór bardzo dokładnie sprawdza jego ubranie w poszukiwaniu damskich włosów i nawet obwąchuje, tropiąc zapachy pozamążeskie. Pewnego razu prawie śmiertelnie pobiła Stasia żeliwną patelnią za to, że na jego podkoszulku czuć było zapach „Diora”. Dopiero po tym, jak już pobiwszy trochę się uspokoiła, przypomniała sobie, że sama nasmarowała się tymi perfumami u koleżanki, do której wpadła po wykreje. Oprócz tego żona dzwoni do niego do pracy co godzinę – sprawdza, a o godzinie dziewiętnastej zero zero codziennie czeka na niego na progu antykwariatu z torbami pełnymi produktów, które on potem dźwiga na plecach do swojego mieszkania w Ciepłym Stanie.

Rzecz jasna, Staś nie mógł sobie pozwolić nawet na najbardziej niewinne męskie przyjemności, a tamtym wieczorem pokazał się w restauracji naszego klubu tylko dlatego, że popołudniu miał wyjechać na kursy dokształcające dla sprzedawców antykwariatów księgarskich, lecz szkolenia zostały odwołane z powodu choroby wykładowcy. O czym, rzecz jasna, Staś małżonki nie poinformował. Ale takie prezenty los mu fundował nie często. Swoje życie sam nazywał cnotą o zaostrozonym rygorze. A przecież w nim, jak w każdym mężczyźnie, kotłowały się kipiące namiętności: zakochiwał się w swoich stałych klientkach, potwornie cierpiał z powodu braku perspektyw i stopniowo jego twarz nabrała wyrazu stałego niewyżycia, które często jest mylone z oznaką docieklivego umysłu. Swoje seksualne niezadowolenie Staś sublimował w twórczości, lecz za absolutnie wyimaginowany „zmysłowy lok popielaty”, który przewinął się w jego wierszach, został bezlitośnie pobity dzbankiem do parzenia kawy. Przed bardziej okrutną karą Staś został uratowany tylko dlatego, że żona z dziesięć lat temu przez głupotę pofarbowała włosy w jakiś pstrokato-popielaty kolor, o czym przypomniała sobie, gdy już podniosła dzbanek, żeby zadać ostateczny cios... Metodą bezlitosnych prób i fatalnych błędów Staś odkrył bezpieczną dla życia tematykę. Zazwyczaj jego wiersze i poematy nosiły skrajnie filologiczne tytuły – „Czytając trzeci rozdział *Opowieści kanterberyjskich*”, albo „Modigliani pije absynt w *Rotundzie*”, albo „Śmierć Alberta Camusa w wypadku samochodowym 4 stycznia 1960 roku”. Czy trzeba tłumaczyć, że Żgutowicz marzył o czymś więcej? Właśnie dlatego moje jednopokojowe mieszkanie, znajdujące się w odległości pięciu minut biegu od antykwariatu „Książkowe znalezisko”, było jedynym wyjściem z tego koszmaru, w którym mijały jego lata dojrzałości płciowej.

- A więc, będziesz korzystał z mojego mieszkania? – spytałem figlarnie.
- W dowolnej chwili i w dowolnym celu! – sprecyzował Staś.
- Zuch jesteś! – Arnold klepnął Żgutowicza w ramię.
- Dobra – zgodziłem się i zamilkłem znacząco. – Ale jeśli przegrasz, będę mógł w każdej chwili skorzystać z twojej *Encyklopedii Masonerii*!
- W jakim sensie? – zaniepokoił się chciwy Staś.
- W bezpośrednim. Ty mi ją po prostu oddasz!
- Zuch jesteś! – Arnold klepnął mnie w ramię.

Na sekundę Żgutowicz znieruchomiał, i na jego twarzy żywo odzwierciedliło się zmaganie tajnej lubieżności z jawną ambicją, lecz ambicja dość szybko pisała i podniosła do góry swoje szczurze łapki.

- Zgoda – kiwnął głową. – Tym bardziej, że nigdy nie wygrasz!
- Pomyśl – uśmiechnąłem się, żeby go podreżczyć. – Tracisz jedyną szansę. Jeśli oddasz mi encyklopedię, nikt nie wyda twojego tomiku i wymagający czytelnik nigdy nie będzie mógł rozkoszować się twoim poematem „Iwan Turgieniew czyta Pauline Viardot fragmenty powieści *Dym*”.
- Powieści *Nowizna*, – poprawił urażony Staś. – Zawsze byłeś Tersytesem z natury...
- A kim jest Tersytes? – wtrącił się Arnold.
- Tak, pewien facet, – wyjaśnił Staś i dodał: – Pomyślałem.

Nigdy nie wygrasz! – i wyciągnął do mnie dłoń. Ja wyciągnąłem swoją. Nie, to nie był uścisk ręki, to było starcie dwóch chytrłości.

- Rozbij! – rozkazałem Arnoldowi. Tamten najpierw zdecydowanie podniósł rękę, lecz nagle zawahał się:
- Nie-e, tak się nie godzi...
- Dlaczego?
- A wytłumaczcie mi, co to znaczy – pierwszy spotkany?
- Jak co? – wzruszyłem ramionami. – Wychodzimy na ulicę, zatrzymujemy pierwszego spotkanego człowieka i proponujemy mu wziąć udział w naszym eksperymencie – wytłumaczyłem.

- A jeśli odmówi? – spytał Arnold.
- Wtedy zatrzymujemy drugiego.
- A jeśli i ten odmówi?
- Wtedy trzeciego – i tak dopóki któryś nie zgodzi się.
- Ale wtedy to nie będzie pierwszy spotkany! – logicznie zauważył Arnold.
- Nie czepiaj się słów! – wstał się za mną Staś, który już niecierpliwił się, żeby zacząć uprawiać nierząd w moim mieszkaniu.
- Dobra – zgodził się Arnold – w końcu to wasz zakład, a nie mój. Sami będziecie wyplątywać się.
- Co? – nie zrozumiałem.
- Zastanówcie się: a co jeśli pierwszą spotkaną osobą okaże się, na przykład, Françoise Sagan? W telewizji powiedzieli, że ona teraz akurat jest w Moskwie...
- Dobra – zgodziłem się. – Znane osoby odrzucamy jako klasę!

- A jeżeli pierwszym spotkanym będzie twój kumpel, z którym ty wcześniej wszystko obgadałeś? – spytał Arnold i spojrzał na mnie z chytrym syberyjskim uśmiechem.
- Wasze nieuzasadnione podejrzenia mnie dziwią! – odpowiedziałem i mimo, że nie miałem żadnych oszukańczych planów (w ogóle nie miałem żadnych planów), moje policzki zarumieniły się, jak każdemu porządnemu człowiekowi, którego posądzono o świństwo.
- Rzeczywiście – zasępił się Staś – chciałbym mieć gwarancję.
- Moje słowo honoru to dla ciebie nie gwarancja? – oburzyłem się fałszywie, mimo czystości swoich zamiarów.
- Pisarz, który daje słowo honoru, jest tym samym, co prostytutka, która przysięga na swoją niewinność! – odrzekł Żgutowicz.
- Jak powiedział! – zawołał Arnold i jego twarz napięła się w wysiłku, żeby zapamiętać.
- No cóż, w takim wypadku nasz zakład jest odwołany – stwierdziłem z ulgą.
- Nie przejmujcie się, chłopaki – uspokoił Arnold patrząc na zegarek. – Akurat teraz ma przyjść Wituś, siostrzeniec naszego redakcyjnego kierowcy. Przywiozłem mu rydze od wujka – kiwnął na pusty słoik – i butelkę „amoralówki” – wskazał wzrokiem na swój plecaczek.
- Kim jest z zawodu? – podejrzliwie zapytał Staś.
- Cumownikiem.
- Co to za jeden? – kontynuował wywiad Żgutowicz.
- A tak, facet z cumkami – odpowiedział pamiętliwy leśniczy.
- Wykształcenie? – nie zwróciwszy na to uwagi spytał posiadacz „Encyklopedii Masonerii”.
- Jakże może mieć wykształcenie cumownik? Niedokończone...
- Konkretniej! – zażądał Żgutowicz.
- Za dwóje z zawodówki go wyrzucili...
- Bardzo dobrze!
- Z Witusia zróbcie znanego pisarza. On wujkowi listy z takimi błędami przysyła, że cała nasza redakcja chichocze. Oto i będziecie mieć czystość eksperymentu. A z pierwszego spotkanego każdy geniusza *skonstruluje*!
- Zgoda! – ucieszył się Staś i dosłownie wczepił się w moją rękę.

Niechętnie ścisnąłem jego spoconą od przeczuwanego fartu dłoń, a Arnold rozbił nasz zakład. Oblewając zakład dopiliśmy resztki piwa i zakąsiliśmy po bratersku ostatnim rydзем z wujkowego słoika. Arnold poszedł spotkać przy wejściu przyszłą gwiazdę literatury. Według jego oszacowań Wituś powinien być już podjechać.

- A ty masz łóżko czy kanapę? – w zamyśleniu żując grzyb spytał Staś.
- Tapczan – burknąłem. Przeklinając siebie w myślach za ten idiotyczny zakład.

Przełożył z rosyjskiego Wladimir Sztokman

Janina Barbara Sokołowska

cztery obrazki świata

1. w nocy szumi morze. kobiety zdejmują jedwabne pończochy często uważając aby nie zaciągnąć oczka. wychodzą na balkon otaczają się kwiatami. patrzą jak ogień zamienia się w popiół traktują marzenia jak zamykanie oczu. czasem udają pełnię księżyca
2. w nocy szumi morze. mężczyźni zamykają okno komputera z prędkością światła pokonują kontynentalną odległość między przedpokojem a zwitkiem skarpetek. czują jeszcze odcisk kierownicy by precyzyjnie się przez tunel jezdni. leżąc na wznak planują remont sufitu
3. w nocy szumi morze. dzieci kaszlą przez sen grypa tym razem przebiega bez powikłań. dotąd nie pojmują dlaczego kasia z sąsiedniego bloku nie wychodzi na dwór
4. w nocy szumi morze. bóg na rozgwieżdżonym niebie wygląda tak kolorowo. co chwilę mruga oczami komet otwiera i zamyka powieki

wiersze są jak pałace

każde pisanie jest aktem pierwszym trącaniem oka o poślinione kamyczki i suchy żwir kładzeniem nierównej fugi między cegłami wszystko to co odrywa stopę i rzuca pod koła skrzypiące żdźbło mieli w gardle krople krzyku

pisanie jest przekleństwem ale sztuką jest przestać

siedząc nad ranem patrzę w drżący knot lampy fragmenty starego domu zamazane mgłą przelotowy zegar kłamie jak najęty w zielonych cyfrach w ceglach schnie i kruszy się glina jakby nie było nic więcej oprócz bełkotu fosy

pytam tego który podarował mi cieknące berło pokoje przestronnego pałacu i trąd

odwrócona do ściany

posłuchaj ściano jak drżą pióra we mnie

zewnątrzny jazgot tworzy dramaty a szkiełko cyfrowego aparatu fotografuje coraz bardziej plastikowy świat tak realny jak drzazga pod skórą gdy przenika do wnętrza ścian osiada na najniższej kondygnacji. w piwnicy śpią gryzonie

najbezpieczniej jest za ścianą. pamiętasz paliliśmy ognisko nie bojąc się żądła pszczoł. słuchaliśmy szczebiotu ptaka i ze śmiechem zabijaliśmy larwy much nawet gwiazda polarna nad żaluzjami wie jak ciężko oddychać w dole i w noc wchodzić samotnie wyrwij ten gwóźdź z tynku jakbyś chciał wyrwać duszę

kochanie przecież jutro też pójdziemy wlokąc za sobą echo

Anna Szudek

W polskim dyskursie społeczno-politycznym coraz wyraźniej manifestuje się potrzeba zdefiniowania feminizmu na nowo. Ujawnia się ona przede wszystkim na granicy badań feministycznych i tak zwanych *Gender Studies*, czyli dziedziny podejmującej problematykę społeczno-kulturowej tożsamości płciowej. Termin *gender*, pierwotnie oznaczający w języku angielskim rodzaj gramatyczny, zaistniał w obecnym kontekście w 1964 roku za

ności układowych. Czy sformułowanie „urodził się martwy” jest zgodne z konstytucją? Bo z logiką – nie jest⁵.

Za sprawą fragmentarycznej i chaotycznej formy książki, wspomniane przeze mnie „ja” mówiące staje się trudne do zidentyfikowania. W winietach powraca jednak motyw narratorki-fotografki martwych płodów (sic!). Kobieta fotografuje je na zamówienie zrozpaczonych rodziców, którzy w ten sposób pragną ocalić swoje nienarodzone dzieci od zapomnienia.

Ta nietypowa profesja (którą, *notabene*, wykonywała przez pewien czas sama Bargielska) koresponduje z językiem krótkich opowieści, nawiązującym do najróżniejszych form wypo-

Żeby uczcić pamięć naszych utraconych dzieci, w słoneczne jesienne popołudnie zbierzemy się w parku miejskim i wypuszczymy w powietrze napełnione helem błękitne i różowe baloniki. Kolory: różowy i niebieski symbolizują solidarność z osieroconymi rodzicami, którzy stracili swoje dzieci również w wyniku poronienia lub porodu przedwczesnego, w każdym razie przed narodzeniem. Rodzice będą mogli napisać na baloniku imię dziecka, tydzień ciąży, w którym odeszło, cokolwiek, co przyjdzie im do głowy. (...) Ludzie są życzliwi, pomagamy sobie nawzajem (...), część z nas przychodzi z dziećmi, więc jest gwarno i kolorowo. Punktualnie o zaplanowanej i podanej w informacji prasowej godzinie każdy dostaje do ręki balonik

Cudzoziemki w raju kobiet,¹ czyli nowe pokolenie polskiej literatury kobiecej



sprawą amerykańskiego psychoanalityka, Roberta J. Stollera. To rewolucyjne pojęcie, negujące tradycyjną (uwarunkowaną biologicznie) dychotomię płci, zostało niezwłocznie przejęte przez nauki feministyczne, a po paru latach rozwinęło się w samodzielną dyscyplinę akademicką. *Gender Studies* miały z założenia charakter indywidualistyczny – przedmiotem ich zainteresowania stały się związane z płcią biologiczną (sex) role i konwencje społeczno-kulturowe, rozumiane jako przemoc symboliczna względem jednostki. Te wzorce, narzucone ludziom arbitralnie i często akceptowane przez nich mimowolnie, miały tworzyć skuteczny aparat represji, zniewalać w taki sposób, aby człowiek współczesny – nowe wcielenie niewolnika – pozostał tego nieświadomy.

Początkowo koncepcja *gender*, odwołująca się do dorobku *Women's Studies* (nauk kobiecych), stanowiła jedną z osi dyskursu feministycznego, konsekwentnie poszukującego nowych punktów wyjścia dla rozwoju akademickiego feminizmu. Tym samym problem roli kobiety w świecie i płęć społeczno-kulturowa zdawała się być ze sobą organicznie sprzężone. Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych narodziła się odrębna dyscyplina naukowa – *Men's Studies* – badająca wpływ szablono-ego postrzegania roli mężczyzny na rozwój jednostki. Taki kierunek ewolucji badań nad płcią warunkuje dziś przebieg debaty o stereotypach kobiecych i męskich w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że polskie ruchy emancypacyjne, łącznie z mniejszością LGBT (zrzeszającą lesbijki, gejów, osoby bi- oraz transseksualne), stale zyskują na znaczeniu, a ich interesy wybrzmiewają w mediach z rosnącą siłą. Postulaty tych grup spotykają się jednak z oporem środowisk konserwatywnych – należy do nich nie tylko polityczna prawica, lecz także przedstawiciele kręgów artystycznych².

Ofiarą bezwzględnej krytyki pada nawet na dobre – wydawałoby się – zdomowiony w naszym rodzimym dyskursie społeczny ruch feministyczny. Ponadto nie da się ukryć, że przeciwnicy zmian obyczajowych często stosują retorykę agresywną, obraźliwą i uwłaczającą ludzkiej godności, co najlepiej ilustruje wypowiedź posłanki Prawa i Sprawiedliwości, Krystyny Pawłowicz, o tegorocznym Marszu Szmata. Niewykluczone, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest poszukiwanie przez feministki nowych środków wyrazu: raz ironicznych, raz konfrontacyjnych. Niemniej starcie tych opozycyjnych stanowisk sprawia, że społeczeństwo polskie trwa w negocyjacyjnym impasie.

W świetle medialnej walki między zwolennikami postępu a reakcjonistami, literatura piękna zdaje się oferować inną płaszczyznę debaty – umiarkowaną, kulturalną i merytoryczną. Głos w niej zabierają liczne przedstawicielki polskiej literatury kobiecej, odchodzące od utożsamianego z *écriture feminine* języka seksualności i erotyzmu na rzecz niejednoznaczного komentarza społeczno-kulturowego.

Szczególny odłam polskiej literatury kobiecej reprezentuje Justyna Bargielska, urodzona w 1977 roku. Zaczynała jako poetka, a obecnie z sukcesem tworzy formy prozatorskie, niewątpliwie zawdzięczające lirycę swą abstrakcyjność, dwuznaczność i nieprzejrzyistość. Tymi cechami charakteryzują się *Obsolętki*, wydany w 2010 roku zbiór wstrząsających winiet o (Schrödingerskim wręcz) paradoksie ciąży obumarłej – *gravid obsoleta*³. We fragmencie zatytułowanym *Jak myślałam, że co jest w słoiku?*, narratorka definiuje zjawisko, umieszczając je w kontekście kobiecego ciała:

Przeczytałam (...) siedmusetstronicowy kryminał w miękkiej okładce w jedną noc, czekając na wypis, zamiast się zastanawiać, czy jeśli ewentualnie moje dziecko składało się z większej liczby elementów, dołożyli po zabiegu te brakujące elementy do słoika. Kiedy po jakimś czasie odebrałam wyniki badań jego zawartości, nie dowiedziałam się z nich niczego ponad to, że przez jakiś czas byłam grobem⁴.

Z kolei w rozdziale pod tytułem *Tammy likes grief*, „ja” mówiące książki pyta wprost:

Tammy likes grief, nawet dęby pamięci zasadziła swojemu synkowi, który urodził się martwy z powodu jakichś niewydo-

wiedzi. Taka różnorodność tworzy stylistyczny kolaż, w którym język prosty i codzienny (a niekiedy nawet wulgarny) spotyka formalne komunikaty. W jednej chwili pierwszoosobowa narratorka zdaje ironiczne sprawozdanie:

Termin porodu przez cesarskie cięcie miałam naznaczony na dziewiątego maja na dziewiątą rano. Termin był ustalany za pomocą czterech kalendarzy, to jest kalendarza mojego, położnika, anestezjologa i rzecznika prasowego urzędu dzielnicy. Naczelnym dążeniem naszym było, by się ten termin we wszystkich czterech kalendarzach pokrywał. Pokrył się, choć dzień przed miałam w, wybaczcie mój francuski, macicy, poważną obawę, że chyba się wyłamię z ustaleń (...)⁶

Zaś w innej sięga po język urzędowy czy kojarzący się z publikacją naukową:

Piszę teraz taką książkę *Organizacja i utrzymanie życia po poronieniu i martwym porodzie. Poradnik*.⁷

Bargielska obficie nawiązuje do form inter- i hipertekstualnych, cytując *e-mail*, internetowe wiadomości, a także komentarze do filmików w sieci:

Piękny poród siłami natury oglądałam wczoraj w internecie. Laska parła, jakby całe życie nic innego nie robiła, a pod filmem komentarze, że musiała być na prochach, bo normalna kobieta tak nie prze⁸.

Pisarka parafrazuje też formuły rodem z broszur reklamowych, powołuje się na istniejące media: kanały telewizyjne (TVP3), prasę („Tygodnik Powszechny”), utwory muzyczne (*Sztuka fugi*, *Road to Nowhere* zespołu Talking Heads), filmy z Jamesem Bondem, Kabaret Starszych Panów. Z tą językową polifonią współgra użycie wywodzących się z angielskiego neologizmów („długie noce p h o t o s h o p i z m u”). Odwołania do konkretnych, rzeczywistych bytów stoją w opozycji do poetyki surrealizmu, którą reprezentują w utworze opisy marzeń sennych. Wymienione elementy składają się na polemiczny i ironiczny portret kobiet, dla których życiowym punktem odniesienia stała się dotkliwa osobista strata – strata dziecka, które pozostało poniekąd częścią ich samych.

Tak chaotyczna i rozproszona struktura utworu łączy prozę Bargielskiej z opartym na „zmysłowości” programem literackim *écriture feminine*. Jak pisze Anna Burzyńska:

Gdy chodzi o style czy sposoby pisania, najczęściej dostrzeżaną właściwością *écriture feminine* jest (...) cielesność albo zmysłowość. (...) Przede wszystkim cechą tego stylu (...) jest daleko posunięte zindywidualizowanie (...) i usytuowanie się poza obowiązującymi modelami dyskursywnymi, które zakładają spójność wypowiedzi, jej wewnętrzną organizację i porządek oraz które są adekwatne do uznanych modeli racjonalności, poznania i konwencji komunikacyjnych. (...) Wypowiedzi *écriture feminine* są najczęściej autoekspresyjne, charakteryzuje je chaotyczność, wieloznaczność, nielinearność i rozchwywanie struktur zdaniowych. Zakwestionowane zostają w tym wypadku tradycyjne formy narracji (...). W zamian za to pojawiają się formy symultaniczne, polifoniczne i heteromorficzne, nierządno balansujące na granicy komunikatywności⁹.

Z drugiej strony, to właśnie *heteromorficzny* – jak określa go Burzyńska – styl Justyny Bargielskiej zdecydował o tym, że jedno z wydawnictw odmówiło wydania *Obsolętek*, zarzucając autorce zbyt nonszalanckie podejście do materii językowej. Jednakże to, co dla czytelniczek powieści Katarzyny Grocholi może stanowić barierę nie do pokonania, dla odbiorców literatury eksperymentalnej (opartej na strumieniu świadomości czy technice *cut-up*) staje się niepodważalnym walorem. Wszak Justyna Bargielska nie pisze po to, by poprawić kobietom samopoczucie – przeciwnie, wytyka im bierność i opieszałość, wynikającą z powierzchownej jednomyślności. Z jednej strony tytułowe „obsolętki” potrafią – niczym sekta – zrzeszyć się w określonym obrządku:

i pisak. „Synku, zawsze będziemy o tobie pamiętać”, „Groszku, kochamy Cię – tata i mama” – piszą albo rysują serduszka. Na trzy-cztery wypuszczają baloniki, część kamer śledzi ich lot, część skrzętnie nagrywa łzy na twarzach obecnych¹⁰.

Z drugiej jednak strony – idyllę zgromadzenia i pozornej wspólnoty wkrótce przerywa przeżywany w odosobnieniu, indywidualny ból uczestników:

– Wiecie co – mówię – spierdalajcie, dziwki. Chcę teraz spędzić tysiąc lat sama ze swoją lalczką na dnie brudnej rzeki.
– Sama spierdalaj, dziwko – odpowiadają. – A my niby nie?¹¹

Pozornie wszystko przemawia za tym, by zarzucić Bargielskiej brak empatii i obracanie cierpienia w groteskę. Należy jednak pamiętać, że sama pisarka przeszła przez doświadczenia swoich bohaterów, miała zatem bezpośredni wgląd w środowisko niedoszłych matek. Zresztą „ja” mówiące książki – które w kontekście autobiograficznym można by utożsamiać z autorką – stosuje wobec siebie ironiczną krytykę:

Chciałam napisać „Kobieta karmiąca”, a napisało mi się „Kobieta pijąca”. Krowa robi mleko z trawy, a kobieta z bułki, i to jest jedyna między nami różnica¹².

Proza Bargielskiej jest wyjątkowa, bo opisuje macierzyństwo w sposób, który nie przystaje do zakorzenionego w polskiej kulturze wizerunku matki. Pisarka kreśli sylwetki zwyrodniałe, szpetne, skrajne – kochające do szaleństwa lub, jak w *Małych lisach*, wyrodne. Krótko mówiąc – takie, które nie budzą w czytelniku ciepłych uczuć. Tym samym podważa jedną z głównych *genderowych* ról kobiecych. Pokrewny zabieg zastosowała Sylwia Chutnik w powieści *Kieszonkowy atlas kobiet*, jednak trudno zachować dystans wobec precyzyjnie naszkicowanej postaci Czarnej Mańki, reprezentującej stereotyp kobiety niewykształconej, uzależnionej od mężczyzny.

Podobny wizerunek kobiet – trzymających się razem, lecz odosobnionych i skoncentrowanych na sobie – wyłania się z powieści Doroty Masłowskiej *Kochanie, zabiłam nasze koty*. Już sam tytuł książki stanowi ciekawą grę słów, podważając kulturowy stereotyp kobiety delikatnej i czulej, strażniczki domowego ogniska. Młoda autorka (urodzona w 1983 roku) podejmuje jednak problematykę innego aspektu *gender* – wizerunku kobiety we współczesnym społeczeństwie zachodnim. Aby zmierzyć się z problemem bardziej bezpośrednio, miejscem akcji czyni fikcyjne amerykańskie miasto Bath, a bohaterkom nadaje anglosaskie i podlegające zdrobnieniu imiona: Farah (Fah), Joanne (Jo), Go. Podobnie spieszczono jest imię głównej bohaterki filmu Leszka Dawida *Ki* (jak Kinga), która już jako dorosła kobieta i matka zmaga się z kryzysem tożsamości. Nie jest on jednak pochodną infantylności *Ki*, lecz – jak przekonuje Masłowska – podporządkowania się dominującym obecnie w całym pokoleniu młodych kobiet schematom. To nowe, współczesne oblicze Gombrowiczowskiej maski i formy, od której nie sposób uciec. Wszak pozornie amerykańska sceneria *Kochanie, zabiłam nasze koty* tak naprawdę odnosi się do polskiej rzeczywistości, pozostającej w stanie zawieszenia między afirmacją zachodniej obyczajowości a kompleksem niższości.

Polemiczność języka Masłowskiej wynika – podobnie jak u Bargielskiej – z licznych i ironicznych aluzji do świata pozaliterackiego, choć pierwsza z autorek odwołuje się do tych jego elementów, które w ostatnich latach zostały przeniesione z Ameryki do Polski i niemalże bezkrytycznie zaakceptowane. Tym samym Farah i Joanne idą razem na kawę

(...) do tego kompletnie trendowego Bad Berry, gdzie jak dzień długi wysiadują rozmaite dziwadła, manifestując światu swą wyjątkowość, której trzpień, jak się potem okazuje, zlokalizowany jest w oprawkach od okularów... Kawa jak to kawa: smakowo była wcale bez rewelacji i Fah pomyślała, że chyba oszalała, żeby płacić osiem dolarów za zwykłą kawę. Za szybko rozciągał się widok na opalizujące w upale, zakurzone





Bath, pełne rozgardiaszu i popołudniowego ożywienia, matek z dziećmi i wymiętych hipsterek w czapkach do wspinaczki górskiej mimo upału, z torebkami przypominającymi stare moszny¹³.

Użycie mowy pozornie zależnej doskonale oddaje kondycję bohaterek, stosujących projekcję, niedostrzegających u siebie wad, które zarzucają otoczeniu. Niekiedy ta pogarda łączy się w jedno z tęsknotami, przypominającymi komentarz do fotografii reklamowej:

Będą [Farah z Joanne – A. Sz.] znowu chodzić na kawę, chichocząc na widok tych superprzystojniaków wychodzących z Chase w swetrach Bossa, upychających po kieszeniach tysiącdolarówki na drobne wydatki... Na których zaraz za rogiem czekał w kabrioecie charakterystyczny typ ważących dwa-dziesięć kilo wolnych od zmyły defekacji dziewczyn z diastemą, w beżowych mokasynach, sukienkach z brzoskwiniowego papieru i futerkach z zarodków świnki morskiej, odżywiających się wodą Perrier i zapachem czekolady...¹⁴

Można wyczuć w powyższym pragnieniu nutę tragicznej samoświadomości. Bohaterki doskonale zdają sobie sprawę z tego, że mimo wszelkich starań, by sprostać wymaganiom, jakie stawia przed nimi nowoczesny świat, nie są w stanie ich spełnić. Te starania są bowiem pustą, pozbawioną refleksji mimikrą. Działania bohaterek w zakresie stylu życia mają na celu kreację wizerunku, który jest nieskazitelny nie tylko fizycznie (uprawianie jogi, noszenie modnej odzieży, zdrowe odżywianie się), ale też intelektualnie i duchowo (fascynacja buddyzmem, oglądanie kina europejskiego). Takiej postawy wymaga od nich towarzystwo, w którym niezrozumiałe sny uchodzą za „totalnie lynchowskie”, jednak koniec końców joga sprowadza się do lektury magazynu „Yogalife”, zdrowa dieta przegrywa z *fast foodem*, a kino artystyczne – nuży:

Zdezynfekowawszy gruntownie dłonie, z ponurą rzetelnością śledziła film, jeden z tych niezrozumiałych europejskich smętów, w których wszyscy tak długo na siebie patrzą, by na koniec powiedzieć nagle „rozkosz”, podczas gdy kamera śledzi już latającą siatkę. Co gorsza, sama się uparła, by na niego poszli zamiast na *Naprawdę szklaną pułapkę 134* czy ten kolejny sequel *Śmiertelnej biegunki* (...) ¹⁵.

Ten dysonans między autentyczną tożsamością a autokreacją bierze się z toksycznej koncentracji na sobie, która znajduje

ujście w dialogach postaci. Wszak pozorna w y m i a n a zdań jest w istocie monologiem każdej ze stron, która poszukuje dla swoich wypowiedzi pokornego i cierpliwego odbiorcy. Pozorna jedność, rozumiana jako zgodność wysławianych poglądów i myśli, kontrastuje ze skupieniem uwagi na swoim indywidualnym, wyjątkowym „ja”, co skutkuje wyobcowaniem:

Zupełnie inaczej niż mężczyźni, ci rozmiłowani w rozgrywkach, konkursach, we wszelkiego typu „ja mam bardziej” wojownicy, kobiety uwielbiają uciąć sobie partyjkę w „mam tak samo”. Wpadłszy na siebie, dniami i nocami potrafią rozprawić i zapewnić się w bliźniaczym podobieństwie doświadczeń i przeżyć (...). Wtedy popijają smakowe kawki i dziwią się w nieskończoność cudownej paralelności swoich traum, gustów kinowych i ulubionych jedzeń (...). „Jeśli mnie lubisz, masz tak samo” – deklarują sobie w tej niemej przysiędze dożgonnej empatio-symetrii.

(...) Ale niech raz która kiedyś powie: „mam zupełnie inaczej” albo „ja to nie lubię koziego sera”. Niech podniesie rękę na tę słodką, idylliczną, pachnącą pudrem i gumą Orbit programową jedność. Przerwie korowód empatii, odedrze od siebie siostrę syjamską jak nieważny kupon. Niech któraś nagle wyjdzie za mąż, a druga zostanie panną, niech jedna zacznie głosować na ugrupowanie prawicowe, choć druga deklaruje liberalizm, ta misterna, lecz chwiejna konstrukcja wpada w zło-wrogi dygot, by często w ciągu paru chwil złożyć się jak domek z kart, jedno szczęście, że nikt w nim nigdy nie mieszkał¹⁶.

Ironia narratora zdaje się być dwuznaczna – kryje się za nią nie tylko krytyka bohaterek, lecz przede wszystkim współczucie. W tej kwestii Dorota Masłowska i Justyna Bargielska istotnie osiągają „cudowną paralelność” światopoglądową. Rodzi się z niej ponadto rdzenna dla *écriture feminine* „wywrotowa myśl, ruch wyprzedzający przemianę struktur społecznych i kulturalnych”¹⁷.

W *Kochanie, zabiłam nasze koty* wybrzmiewa także poparcie dla tak zwanej „drugiej fali” amerykańskiego feminizmu, zapoczątkowanej wydaną w 1963 roku książką Betty Friedan *The Feminine Mystique* (*Mistyczna kobiecość*). Jak pisze Anna Burzyńska:

Omawiając sytuację kobiet w USA, autorka zwracała uwagę na mechanizmy mistyfikacji, którym podlegają kobiety amerykańskie, próbując dostosować się do wymogów idealnej kobiecości. Badania dwustu absolwentek Smiths College, które nie podjęły po studiach pracy zawodowej, wykazały, jak duża jest dysproporcja pomiędzy życiem tych kobiet a wyidealizowanym wzorcem, któremu usiłowały sprostać¹⁸.

Nie bez znaczenia są w powyższym kontekście wspomniane już przeze mnie aluzje do amerykańskich marek. Nieskazitelny wizerunek kobiety zawładnął bowiem przestrzenią publiczną polskich miast podobnie jak filie Starbucks czy McDonald's (wystarczy przywołać *billboardowe* reklamy znanych zachodnich sieci odzieżowych).

Zarówno Justyna Bargielska, jak i Dorota Masłowska stosują w swojej prozie zabiegi, które stanowią o jej świeżości i nowatorstwie, jednocześnie odwołując się do korzeni amerykańskiej i europejskiej myśli feministycznej. *Obsoletki* i *Kochanie, zabiłam nasze koty* sytuują się bowiem w awangardzie rodzimej literatury kobiecej, zdominowanej przez książki Katarzyny Grocholi i Małgorzaty Kalicińskiej. Tym samym Bargielska z Masłowską rzucają wyzwanie polskiemu rynkowi wydawniczemu, hołdującemu kliszy *happy endu*. Nowe pokolenie piszących feministek stawia odważną tezę: aby polska kultura patriarchalna zadrzęła w posadach, kobiety muszą odrzucić swoje jednostkowe ambicje i ujrzeć siebie jako społeczność o wspólnym celu. W społeczeństwie, w którym decyzje zapadają w skali „makro”, siła sprawcza staje się przymiotem silnych i zmobilizowanych grup. Tylko one mogą przerwać obecny w polskim dyskursie obyczajowy kłincz – zarówno polityczny, jak i językowy.

Anna Szudek

¹ W tytule nawiązuję do tytułu piosenki Katarzyny Nosowskiej *Cudzoziemka w raju kobiet*, [sic!], Warner, 2001.

² http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,103086,13983567,Polanski_ostro_w_Cannes___Rownosc_plci_to_idiotyzm.html

³ <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,9625264,Obsoletki.html?as=2>

⁴ Justyna Bargielska, *Obsoletki*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s. 28.

⁵ *Ibidem*, s. 42.

⁶ *Ibidem*, s. 7.

⁷ *Ibidem*, s. 81.

⁸ *Ibidem*, s. 76.

⁹ Anna Burzyńska, Michał Paweł Markowski, *Teorie literatury XX wieku*, Znak, Kraków 2007, s. 415.

¹⁰ Justyna Bargielska, *op. cit.* s. 57-58.

¹¹ *Ibidem*, s. 58.

¹² *Ibidem*, s. 77.

¹³ Dorota Masłowska, *Kochanie, zabiłam nasze koty*, Noir sur Blanc, Warszawa 2012, s. 16.

¹⁴ *Ibidem*, s. 17-18.

¹⁵ *Ibidem*, s. 21.

¹⁶ *Ibidem*, s. 29-30.

¹⁷ Anna Burzyńska, Michał Paweł Markowski, *op. cit.*, s. 418.

¹⁸ *Ibidem*, s. 395.



Fot. Wojciech Brydak

Roman Ciepliński

Czy lepiej być kimś czy raczej nikim? Pytanie, które jedni uważali za tak oczywiste, że nawet nie raczyli na nie odpowiadać z góry przechodząc do wariantu „lepiej być kimś”, a inni od razu przekształcali w bardziej efektowną ostateczność w rodzaju „być albo nie być” uznając, że jeśli się już jest, to jest się kimś, choćby się nawet nie chciało. Kimś jest się zawsze, jeśli się jest. Jest oczywiście jeszcze potoczne rozumienie „bycia kimś lub nikim”, ale ono odnosi się raczej do subiektywnego wartościowania i oceny dorobku czyjegoś lub swojego życia.

Był to z pewnością paranoidalny pomysł, ale w żaden sposób nie mogłem się od niego uwolnić. Nie wiedzieć dlaczego myślałem, że słowa Adriany leżącej już od lat w grobie mają moc spełniania się, ale by się tak stało – ja musiałem je ujawnić. Pewnego dnia powiedziała: „Spróbuj zostać kimś. Chociaż ty!”. Wydawało mi się, że słowa te ciągle jakby płynące do mnie spod ziemi nabierają w tym kontekście nowego znaczenia. Co to znaczy być kimś? Wiedziałem, że nie ma na myśli kariery, czy tak zwanego sukcesu. Od razu wiedziałem, o co jej chodzi. Chciała, bym był do... końca i bym sam sprawdził, co tak naprawdę to znaczy. Była okrutna. Spychała mnie na głęboką wodę... „Śmiertelny człek, tchórz i leń skazany jest na brak i zapomnienie lecz żyje mu się wygodnie. Nie ma bowiem nic bardziej wygodnego niż być miernotą. Nic tak nie boli jak brak owoców nabrzmiałego, duszącego się w sobie samym talentu.” Tak kiedyś powiedziała. Czy lepiej być kimś czy raczej nikim? Gotowi więc jesteśmy uznać, że istnieje nie tylko osoba, o której możemy powiedzieć „ktoś”, ale także osoba „nikt”. Pierwsza z nich rości sobie pretensje do niepowtarzalności i wyjątkowej tożsamości, druga jest synonimem braku, powtarzalności lub nieistotności. Wyimkiem z wielości. Jest jeszcze inna interpretacja osoby „nikt”. To ktoś nieważny. Pozbawiony woli górowania i obojętny dla ogółu. To ktoś osądzony i skazany na bycie nikim. A w ogóle co to znaczy być kimś lub nikim? Czy bycie kimś oznacza zbiór konkretnych wartościowanych pozytywnie? Słowem: ktoś, to podmiot decydujący o sobie samym, zmieniający świat, ktoś obdarzony władzą posiadania samego siebie, tożsamością i świadomością. A nikt? Czy to jego przeciwieństwo? Raczej to ktoś nie tyle pozbawiony tych wszystkich przymiotów, co raczej postrzegany jako podmiot mało znaczący. Bliższy przedmiotowi. Nikt nie ma wyraźnej tożsamości. Dla świata. Kiedy Nikt znika nikt nie zauważa tego braku. Lecz kiedy znika Ktoś, wówczas wszyscy mówią: nikt go nie zastąpi. Wiemy jednak, że jest to tylko zwrot grzecznościowy, zdanie retoryczne, wzniosłe, swoiste pożegnanie. Praktyka jest inna. Jednego zastępuje drugi. Lepiej lub gorzej. Z drugiej strony jaki sens miałoby zastąpienie jednego Mozarta drugim Mozartem? Jednego Hitlera drugim? A jeśli bycie kimś polega na dążeniu by być kimś jak najmniej, jeśli polega na dążeniu by raczej stawać się nikim? I na odwrót – jeśli bycie nikim jest tak naprawdę usilnym staraniem się, by stać się kimś? Jeśli rozdawanie siebie innym, umniejszanie siebie, a nawet poświęcanie swojego życia, gotowość do rozplynięcia się w Bogu czy miłości i rezygnacja z siebie samego to szczytowy moment w dążeniu do bycia kimś, to bycie tym KIMŚ polega na wyrzeczeniu się siebie, oddaniu siebie. Na ofierze z samego siebie. Pożegnaj więc siebie i oddaj i stań się kimś. Lub buduj siebie, gromadź i powiększaj. W drodze do nicości. Te dwie osobne drogi – od nicości do bycia (kimś) i od bycia (kimś) do nicości i ta trzecia – cokolwiek byś nie robił, kimkolwiek byś nie był zawsze jesteś kimś, lecz nigdy nikim. Te drogi właśnie przemierzamy.

Tamtego dnia, kiedy obudziło mnie natarczywe, zbyt głośne tykanie zegara, uświadomiłem sobie, że każdy choć raz w życiu ma swój pluton egzekucyjny (powiedzmy, że jest to alegoria punktu zwrotnego w życiu, wywinięcia się śmierci, kiedy się dostaje od losu – drugie życie), przed którym stoi i coś mu się przypomina. Raz zdarza się, że pluton ten wykona rozkaz oddania salwy, raz – co rzadziej – że nie. Bo nieczęsto też w ostatniej chwili nadchodzi akt ułaskawienia. Jeśli dzieje się to drugie, moment ten podobno zmienia na zawsze resztę życia i dzieli je na dwie osobne części jak dzieli rozległą krainę graniczna rzeka. Myśl ta miała pewnie podobny rodowód jaki mają niektóre sny, których przyczyn szuka się a to w przejędzeniu lub niestrawności, a to w wydarzeniach ostatnich dni czy nawet godzin poprzedzających sen a nawet w przeżyciach odległego dzieciństwa czy w podświadomości. W każdym bądź razie zanim zasnąłem tamtego wieczoru czytałem rozważania Szestowa na temat Dostojewskiego. A zwłaszcza cezury jaką wyznaczyła w jego życiu nieudana na szczęście egzekucja. Zanim straciłem kontakt z rzeczywistością i zapadłem w sen być może zastanawiałem się, o czym może myśleć skazaniec chwilę przed salwą. Rankiem więc leżałem jeszcze z zamkniętymi oczami próbując wyobrazić sobie scenę własnej śmierci, którą poprzedza ostatnie życzenie (by być wolnym i żyć inaczej!) i ostatnia myśl (być może o tych,

których kochałem lub może raczej chciałem kochać). Mówię więc: Chcę być wolny i żyć inaczej. Żołnierz jednak odpowiada: Nie mam w wykazie takiego życzenia. Może pan jedynie zapalić papierosa lub wypić setkę wódki. Niech będzie setka wódki, mówię. Strażnik nalewa mi i podaje. Piję wolno (tymczasem żołnierz krytycznie przygląda mi się jakby chciał powiedzieć – tak się wódki nie pije... Pan oszukuje, przeciąga, gra na czas...) i w tym momencie przychodzi akt ułaskawienia... Ktoś przybywa na koniu z rulonem w ręku. Widziałem to na filmach. Nie byłem w stanie po prostu wstać i zacząć tego dnia od kubka kawy z mlekiem, i ciągle leżałem. Stała mi przed oczyma inna scena, kiedy pozostawiony na chwilę samemu sobie w mieszkaniu mojej świeżo poślubionej żony, zacząłem pośpiesznie przeszru-

KTOŚ

kiwać wszystkie zakamarki. Wreszcie udało mi się znaleźć jakiś stary rodzinny album. Z uczuciem satysfakcji i mieszaniny lęku przed odkryciem cudzej tajemnicy, ciekawości i niecierpliwości otworzyłem tę księgę. Odnalazłem tam to, czego się spodziewałem. Pierwsze strony wypełnione były nagimi ciałkami leżącymi w różnych pozach, pulchne rączki wyciągały się do niewidocznej na zdjęciach mamusi. Na kolejnych zdjęciach niemowlę otoczone było dorosłymi. Kobiety i mężczyźni wśród domowych sprzętów, w jadalni, w sypialni, w kuchni. Raz dziecko trzymała kobieta, a raz mężczyzna. Najczęściej jednak dzieciątko było samo; leżało w swoim łóżeczku, później raczkowało, a na kolejnych stronach próbowało chodzić. Wszystko było normalnie. Chronologia była zachowana, opowieść toczyła się zgodnie ze wskazówkami zegara i układem kalendarza – później była wiosna, lato, jesień i znowu zima. Były zdjęcia robione z lampą błyskową i w świetle dziennym. Lata mijały i wypełniały kolejne stronicie tej kroniki. Dziewczynka była coraz większa. Na jednym ze zdjęć wykonanych na nadmorskiej plaży widać już jak jej drobne piersi zaczynają się zaokrąglać, na innym późniejszym ujrzałem już dorodną dziewczynę. Na jednej z ostatnich stron serce zabiło mi mocniej, gdy zobaczyłem obok niej młodego człowieka w mundurze i nie byłem to ja. Ale był to tylko incydent. Może pierwszy prawdziwy chłopak. Czas? Początek lat dziewięćdziesiątych, kiedy budowaliśmy kapitalizm bez kapitału, a naszymi nauczycielami demokracji byli nawróceni komuniści. Tło historyczne na tych fotografiach było zresztą zarysowane lekko, niemal niedostrzegalnie. Nie można było wymyślić sobie bardziej normalnego i uroczego zarazem rodzinnego albumu. Tylko jeden szczegół sprawiał, że album ten inny był niż wszystkie pozostałe albumy – główna bohaterka tych fotografii nie miała twarzy. Na każdym zdjęciu twarz wydrapana była jakimś ostrym narzędziem. Iglą a może szpicem cyrkla.

Moją pamięcią zarządza wyższy reżyser. Nie jest to jednak gość z klasą, pełen godności i wyrozumiałości dyskretny przyjaciel. Czasem myślę, że to zwykła kanalia, a może i sam diabeł. Wyciąga z mojej pamięci wspomnienia przykre, a często i dołujące. Gdy mu to wypominam, rzuca mi w twarz bezlitośnie i okrutnie: Trzeba było żyć inaczej. Mieć więcej szczęścia raczej, mówię. I żyć w innych czasach, nie wtedy, gdy trwał karnawał ludów, gdy niewolnicy smakowali wolności, a wyposzczeni rozkoszy życia i gdy robole z dnia na dzień stawali się burzujami, a pierwszy sekretarze i politycy ekspertami demokracji. Raczej być odporniejszym i dzielniejszym, odpowiedział. Lecz nieważne. Żyłes jak umiałeś – burknął. Czy naprawdę nie mam innych wspomnień? Czy nie pamiętasz jak było pięknie nad Rzeką Snów w Starej Skrzynce? Miłe złego początki, odpowiedział. Ludzie znają jednak pojęcie czyszczenia pamięci. Zamieniania w mit zwykłej przeszłości. Nawet nieszczęścia, klęskę i śmierć zamieniają w produkty dające nadzieję. Bo czymże jest tragedia wyciskająca łzy jak nie maszyną do oczyszczania duszy? Pamiętasz, jak pojechałeś wtedy do Skrzynki na mały cmentarzyk, gdzie pochowana jest Adriana?

Było to niemal dokładnie pół roku wcześniej zanim odnalazłem w pokoju mojej świeżo poślubionej żony jej rodzinny album. Wówczas nawet nie śniło mi się, że poznam kogoś takiego jak „moja żona”. Nie przyszłoby mi do głowy, że chcę mieć żonę...

Jak to się stało, że w ogóle tam pojechałem? To też było nienormalne. Od śmierci Adriany nie bywałem zbyt często na jej grobie, dokładnie raz w roku, a nawet unikałem wszelkich myśli o niej. Wyjątkiem była rocznica jej śmierci. Nigdy też nie kontynuowałem tamatu, ilekroć ktoś próbował coś ze mnie wyciągnąć czy nawet po prostu nawiązać do osoby, która „kiedyś była tak waż-

na”. Tamtego dnia, a był to z pewnością ciemny, styczniowy dzień, kiedy to niebo nad Szczecinem przypomina kolorem olów, a brunatna woda w Odrze płynie płaską bagnistą rynną do płytkiego jak wielka kałuża szybko zamarzającego zalewu, odsłaniałem zasłony w mojej sypialni, gdy nagle jakiś nagły błysk, ledwo dostrzegalny mikroblask starego złota zmienił bieg wypadków. W ciszy, której nie zagłuszała jeszcze denerwująca krzątanina Korneliusza znieruchomiałem z dłonią na lince rolety. Skierowałem wzrok dokładnie w to miejsce, skąd pochodził refleks. Nieco ponad moją głowę dostrzegłem po chwili wpleciony w sploty tej bawełnianej linki włos. Włos był długi, jasny, z pewnością kobiecy. W porannym mętным świetle rozświetlił jednak jak mikroskopijna błyskawica półmrok zimowego poranka. Od czasu śmierci Adriany w mojej sypialni nie było żadnej kobiety.

Korneliusz jak zwykle się spóźniał i ciągle musiałem go poganiać, by punktualnie o 7.30 usiadł do śniadania. To nie był już zwykły poranek, choć chłopak odtwarzał codzienny ceremoniał marudzenia przy śniadaniu i narzekania na niedolę licealisty. Tego dnia po raz pierwszy od pięciu lat znowu była ze mną Adriana. W jakimś sensie. – Do kitu są te parówki – powiedział. – To nie jedz. Możesz zjeść twarożek, a parówki oddać Bełkotowi. Kiedyś to skutkowało, ale nie teraz. Korneliusz przywołał Bełkota i włożył mu do pyska parówkę. Pies zjadł i czekał na drugą. – Babcia robi lepszy twarożek – zauważył. Jeszcze wczoraj warknąłbym na niego. Wtedy jednak uśmiechnąłem się tylko do swoich myśli i spojrziałem na zastonkę, gdzie ciągle wpleciony w linkę roletki błyszczał włos Adriany.

To właśnie z powodu tego włosa pojechałem do Starej Skrzynki. Wcześniej jednak wypłatałem go ze splotów sznurka i powodowany jakimś najwyraźniej sentymentalnym przywiązaniem do rzeczy znaczących coś więcej niż tylko to, czym są – umieszciliśmy go w małym foliowym woreczku jakich używają jubilerzy lub dilerzy narkotyków i schowałem do portfela. Znalazł się między zdjęciem Korneliusza, a moją legitymacją stowarzyszenia artystów amatorów, gdzie pod folię chroniącą plastikowy dokument wetknąłem kiedyś czterolistną koni-czynkę, którą latem znalazłem na wzgórzach nad Bałtykiem, nieopodal Rewala, w trakcie owego pamiętnego pleneru, który w jakimś sensie całkowicie odmienił moje życie. Głębiej była tylko Matka Boska z Fatimy od mojej rodzicielki. Włos Adriany stał się więc niemal relikwią, częścią mojego prywatnego ołtarzyka, który nosiłem w tylnej kieszeni. Tak więc wszystko co najważniejsze sąsiaduje z dowodem osobistym, prawem jazdy i pieniędzmi.

Na cmentarzu panowała martwa zimowa cisza. Gałęzie cisów sterczały wycelowane w niebo zupełnie nieruchomo. Odszukałem grób Adriany bez trudu. Magnolia, którą posadził ktoś przy grobie była już spora, a granitowy krzyż pokryty był patyną zielonkawego porostu.

Siadłem na kamiennym lekko ociosanym bloku, który służył jako ławka. Dlaczego przed laty nie potrafiłem porozumieć się z moją narzeczoną? O co poszło, już nie pamiętałem. Wreszcie pokłóciliśmy się tak, że spotkaliśmy się dopiero wtedy, gdy było już za późno. Była w ciąży, ale pod sercem nie nosiła mojego dziecka. Przerastało mnie to. Pierwsza miłość przypomina śliwki robaczywki – mówili mi pocieszyciele. Ale mnie to nie pocieszało. Nieudana pierwsza miłość to coś w istocie swej dobrego – mówili inni. – Ostatecznie kończy młodziemczy idealizm i wprowadza młodego człowieka w życie dorosłe. Musi boleć, bo gdyby nie bolało, niczego byśmy się nie nauczyli, a może i nie potrafilibyśmy pokochać naprawdę dojrzałe... Wyprowadza bowiem z fikcji, a wprowadza w realia. Co cię nie zabije to cię wzmocni. To rozbieszało mnie jeszcze bardziej niż „śliwki robaczywki”. Jeśli się kogoś kocha, to się po prostu kocha i nic na to poradzić nie można. Żadna pedagogiczna paplanina nie pomoże. Kilka lat później, Adriana popełniła samobójstwo skacząc – dokładnie w Dniu Matki, czyli 26 maja, do Odry ze słynnego w naszym mieście „mostu samobójców”. Kilka dni temu, kiedy przechodziłem obok, zauważyłem, że na prześle mostu powieszono wielką planszę z napisem – „Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe”. A pod spodem był numer telefonu ratunkowego. Adrianie nikt nie pomógł. Wybrała dobry moment na śmierć. Błady świt.

W ostatnich tygodniach swojego krótkiego życia powtarzała słowo „otchłań”. Dzisiaj daje mi to sporo do myślenia. Chyba wiem, co miała na myśli wypowiadając je. Otchłań to rozpacz, brak zrozumienia dla cierpienia, które trzeba znieść. Złowroga tajemnica. I coś poza życiem. Przecucie piekła? Ludo stwierdził, że nie potrafiła żyć. Ale czy to też cokolwiek wyjaśnia? Czy my jeszcze żyjący umiemy żyć? Każdy potrafi, dopóki żyje... można by powiedzieć. Od tego czasu co roku w Dzień Matki przyjeżdżałem na mały cmentarzyk w Starej Skrzynce, siadałem na kamiennej ławce i zapadałem w przyjemny letarg. Wówczas zawsze myślałem to samo – „tu, dwa metry ode mnie, tyle, że pod ziemią, leży ostatnia kobieta na ziemi”.

Roman Ciepliński

Fragment powieści „Nikt”



Wytęskniony Kraków nie wszystko tłumaczył.

Tuż po wojnie zaczęło się od poronień. Przyczyną pierwszego był wypadek mleczarnianej ciężarówki; przewrócił się bedford z demobilu, zepchnięty z drogi przez kolumnę wojskową, a mama jechała na pacy. Bywa. Ale przy drugim, nie tyle nawet poronieniu, co przedwczesnym porodzie, już bez drogowych katastrof, wyszły na jaw niespodzianki: to była nieodpowiednia kombinacja krwi. Padły uczone słowa o *morbus haemolyticus*, o antygenie *rh*, o małpach, od których wywiedziono ten skrót, o konflikcie serologicznym, wreszcie, że w tym małżeństwie lepiej się już niczego nie spodziewać po kolejnych ciążach.

Udar przyszedł w rok później.

Skończył się niczym, jeśli pominąć trzy miesiące bełkotania; potem mama mówiła już normalnie, chociaż lewy kącik ust nigdy nie wrócił na miejsce i nie unosił się w uśmiechu.

Powtórzył się po roku. W kinie „Rialto” w Katowicach, gdzie grano amerykański wojenny kawałek *Mściwy jastrząb*, mama zwymiotowała i straciła przytomność; z sali, w której przerwano projekcję, zabrała ją karetka. Do domu przywiozła mamę dopiero po dwóch tygodniach.

Zostawił jeszcze mniej śladów niż poprzedni. Z wyjątkiem tego, że mama zaczęła się bać. Podobno w takiej sytuacji niektórzy chłoną czas chwila po chwili, umiają lek zamienić w zachwyt życiem, w ekstazę. Mama nie zaliczała się do tego szczęsnego grona.

Od komunijnych czasów z respektem i ufnie powtarzała „Jest jeden Bóg, który stworzył niebo i ziemię. Który za dobre uczynki nagradza, a za złe karze”. I teraz nie miała pojęcia, o co Bogu chodzi. Ludzi nie krzywdziła, żyła w zgodzie z katechizmem i sakramentami. Nagrody nie zaznawała. Wręcz przeciwnie. Coś szwankowało.

Lekarze wytropili u mamy znaczne nadciśnienie; w ślad za tym poszły w ruch próbówki, strzykawki, diety, nawet sanatoryjne wanny i wodne bicz, a wszystko podszyte cichą niewiarą medyków, ich przekonaniem, że nieszczęścia i tak nie odepchnie się na dobre. Po pewnym czasie mamine ciśnienie podskakiwało na widok białego kitla.

Za radą siostry, szwagierek i przyjaciółek odwiedzała znachorów. Ci kazali się zdawać przede wszystkim na Opatrzność Boską i na Miłosierdzie Boskie, które w ich ustach wydawały się suwerennymi bytami, innymi niż sam Bóg, dość obojętny na mamine nieszczęścia. Polecali natomiast świętych – zwłaszcza św. Ritę i św. Kamila de Lellis – a także cudowny obraz z Kalwarii Zebrzydowskiej oraz, po sąsiedztwie, lipową figurę Matki Boskiej od bernardynów w R.. Od paru wieków rzeźba przywracała czasem niektórym głuchym słuch, czasem niektórym ślepom wzrok, czasem niektórym fajdakom sumienie, na ogół dawno temu. Niemniej, w drewnianej rzeźbie chętniej dopatrywano się krynic ciepła, niż w patetycznych obrazach Najwyższego, spowitego w przesćieradła, chmury i obfity zarost.

Znachorzy uchodzili za posiadaczy wiedzy sekretnej, dla wybrańców i jakoś mądrzejszej niż medycyna uniwersytecka wykładana bez skrępowania byle profanom. W końcu przesławny znachor z Leopoldowa był księdzem, a znachor Krasnożon z Jarosławia przewiercający wzrokiem słoik moczu sprawiał wrażenie maga, ale nie heretyka. Zdawało się, że mają kontakt z jakąś drugą stroną, lichy wie czego, ale pal sześć, bo jeśli jest wierzch, to musi być podszełka. Zapisywali pijawki, w robocie były dziurawiec, głóg, jemiola, ruta, miód. Niekiedy pouczali jak zbierać te zioła, przed pełnią księżyca, po pełni, na nowiu, z poranną rosą, po burzy albo pianiu koguta, jak suszyć, nad ogniem, w szopie, miesiąc, albo dwa lata. I wyglądało na to, że ich recepty nie są najgłupsze, bo kolejny udar nie nadchodził, a ciśnienie – skądinąd regularnie dławionemu szwajcarskim bellergalem – znudziły się skoki.

Żeby przeniknąć niepojęte wyroki boskie, mama – zgodnie ze starym zwyczajem krakowskim – odwiedzała co pewien czas wróżkę. Ciotunia Niusia, chuda jak patyk daleka krewna, uchodziła za znakomitość w stawianiu kabały. Znała też niezliczone historie podszyte cudami, zwłaszcza o duchach. Podczas przedłużanego w nieskończoność tasowania kart opowiadała, jak w kogoś umarłego wstąpił bies i oto umarły wyskakiwał z łoża śmierci wprost na rozpaloną blachę kuchenną, żeby się ogrzać, przywrócić ciepło tchnieniu i krwi, wrzeszczał przy tym w niebogłosy, a dom wypełniał się swądem przypalanego ciała; Niusia była przekonana, że takie wskoczenie biesa w zwłoki źle się kończy dla zmarłego, skądinąd pocziwiny, który teraz w najlepszym razie zarobi parę wieków czyśćca. Albo opowiadała jak z kłębu mgły nad łąką wynurza się dziewica i wiedzie do parowu dzieci idące do szkoły; potem te dzieci, które całe poczerniałyte znajdowano zaplątane w głogi, już nigdy nie doszły do siebie, nie otrzeźwiały, by w końcu trafić z czapkami pod kościół. Dopiero po takich wstępnych opowieściach kabała ciotuni Niusi naprawdę robiła wrażenie: wiadomość z dalekiej podróży, list, który wszystko odmieni, tu choroba, tam radość, walet winny, siódemka kier, żółędy as.

Z kolei ślaska wróżka Mitzi, Niemka o śnieżnobiałych włosach zaczesanych jak na manekinie, kalecząca polszczyznę i jakimś cudem nie przesiedlona za Łabę, przyjmowała klientki na tle biblioteki, w której grzbiety solidnie oprawionych tomów ozdobione były napisami srebrnymi i złotymi, w rodzaju *Das Reich der Dämonen*, *Kötü Ruh* czy *Lichtbringer*.

W końcu jednak czy to kabała ciotuni Niusi, czy przepowiednie Mitzi chętnie wróżącej z ręki – podtrzymujące na duchu, co tu gadać – po kilku dniach traciły wigor, moc ośmielania wyobraźni, rozmywały się, świat baśni i cudów odpływał, a mamę po staremu czekała wizyta u pielęgniarki z ciśnieniomierzem i następną receptą na bellergal.

Na nowy udar czekała pięć lat. Znowu zaatakował oględnie. Po nim powłóczyła trochę prawą nogą. Ulubione spacerysty stały się teraz trudniejsze.

Na tym nie koniec. Nadszedł udar następny i jeszcze następny, coraz trudniej było się ich doliczyć. Los oszczędzał mamie nieodwołalnej i ostatecznej katastrofy, w zamian obdarzając katastrofą na raty. Nie wiadomo jaką rolę grały w tym sojusznice siły medycyny, znachorów i wróżek. Na razie każdy udar był zaledwie *knock downem*, który jeszcze pozwalał wstać i przyjąć postawę. Ale w interpretacji uwzględniającej wymiar nadprzyrodzony trudniej było uwierzyć, że oto mama doznaje od Boga szczególnej łaski i wyróżnienia. Wręcz przeciwnie. Wyglądało na to, że Wszchemogący bawi się mamą w najlepsze.

Jak kot myślał.

Mama z coraz większym lękiem pilnowała teraz praktyk religijnych: nie tylko msza co niedzielę, ale i komunie w pierwszy piątek, czasem nieszpory, zawsze nabożeństwo majowe. Nie na wiele to się zdało, bo na tym polu możliwości nie znają granic, o poczucie winy zaś bardzo łatwo. W rachubę wchodziły natychmiast praktyki niewypraktykowane: nie tylko różaniec, ale i różańcowa koronka, różańcowa rodzina, różańcowe tajemnice i ich zmiana, nie tylko szkaplerz, ale i szkaplerzna modlitwa, szkaplerzne ślubowanie, szkaplerzne obietnice, szkaplerzny różaniec, do tego nowenny, posty, nabożeństwa czerwcowe, październikowe, liturgia godzin, nie mówiąc już o tercjarstwie; krańca możliwości w praktykach nie ma. Lecz z drugiej strony miało się to wszystko z pytaniem o uczynki, te dobre i te złe, za które Bóg nagradza albo karze. Mama nie zaczytywała się Pismem Świętym (mało pobożny ojciec znał je dużo lepiej) i pewnie nigdy by nie dostrzegła sensu w hazardowaniu się Boga z diabłem o lojalność Hioba, na tę okoliczność maltretowanego przez Boga tylko dlatego, że był pobożny. W kościołach aż roi się od wizerunków miłosiernego Chrystusa, ale na innych wizerunkach występuje nieprzenikniony Bóg Ojciec, ten zaś na miłosiernego nie wygląda. Jest też wreszcie nieodgadniony Duch Święty, przedstawiany w postaci gołębicy, owszem, istoty lotnej i promienistej, obdarzonej wszakże ptasim mózgiem. Naprawdę, coś tu szwankowało.

Z Krakowem mama pożegnała się wkrótce po moim przyjeździe na świat. Trzynastolecie wędrówek zaczęło się za okupacji.

Nie była to ucieczka, lecz wyrzucenie z kamienicy, która wpadła Niemcom w oko. Już czwarty rok tkwili w Krakowie, dawno się umościili w stolicy ówczesnego Generalnego Gubernatorstwa, a wciąż im było mało.

Ruszył więc w drogę dobytek komponowany pieczołowicie z myślą o wnikięciu w krakowskie mieszczaństwo. Porcelanowe i kryształowe kruchości spoczęły na miękkich wódrach w drewnianej skrzyni, obrazy starannie owinięto w szary papier, cały zaś pakiet w płachtę brezentu. Pospolitą zastawę otulały okupacyjne gadzinówki, podobnie garnki i sztucce, po innych skrzyniach upchano buty, bielizna, książki. Z wędrówką musiał się też zmierzyć zestaw mebli, których politura i fornir dostawały gęsiej skórki, w przeczuciu twardej łapsk tragarzy, wnoszenia i znoszenia po ciasnych schodach, rozładunków na deszczu i śniegu.

Wywleczona za próg mieszkania, rzucona na pakę ciężarówki czy konny „platon” sterta skrzyń, kufrów, mebli i tobołów wydawała się czystym nieszczęściem: klęską i rozkładem. Meble oderwane od zaprzyjaźnionych pajęczyn, książ-

ki wysiedlone z należnych im pólek, ociemniałe lampy, kieliszki, które zapominały bukietu wina, wnoszone, wynoszone, odwijane, zawijane przemierzyły wpiętro trochę dróg podbeskidzkich, z Krakowa do Łososiny, potem do Jordanowa, Poronina, wreszcie w ostatnich miesiącach wojny – ku radości mamy – znów do Krakowa, ale na krótko, bo potem poznały stary mleczarniany budynek w Katowicach, później nowe mieszkanie w Bogucicach, trafiły pod trzy adresy zakopiańskie, wreszcie do nowego bloku w R. (ze schronem przeciwatomowym pod dziedzińcem), by na koniec znaleźć się w piętrowym domu w sąsiedztwie mleczarni, w którym ojciec kazał wreszcie porąbać skrzynię.

Mama lokowała ziemię obiecaną w przeszłości. Ojciec w przyszłości. Inaczej mówiąc, mama była konserwatystką, ojciec zaś szanował postęp.

Przypisany do zawodu, widział w tych przeprowadzkach to awans, to degradację, ale w sumie przygodę. Nie raniły go koczownicze niedole. Okupacyjna odyseja po beskidzkich wsiach i miasteczkach – kiedy Niemcy histerycznie pilnowali żywności, a nie-dobór kalorii przewidzianych dla walczącego *Herrenvolku* mógł zaprowadzić pod ścianę – zakończyła się szczęśliwym powrotem do Krakowa; krótkotrwałym, bo w kilkanaście miesięcy po wojnie ojciec doczekał się kuszącej propozycji: pilnowania spółdzielczego skupu mleka na Śląsku, na dużą skalę. Ale w kilka lat później spółdzielcy podpadli władzom państwa jako element problematyczny i niegodny pełnego zaufania, dzięki czemu ojciec wyładował karnie w małej mleczarni w Zakopanem. Zesłania akurat pod Tatry nie odczuł dotkliwie, ale trudno je było uznać za sukces. Kiedy w połowie lat pięćdziesiątych dziennikarze zaczęli przebąkiwać o „odwilży”, a władze znów dopatrzyły się w spółdzielniach zalet (ludzi nie zachwyciła żywność na kartki), ojciec – któremu już się znudziło raz być w wozie, raz pod wozem – wykorzystał jeszcze jedną okazję i wrócił po latach do rodzinnego R., na stanowisko podobne do śląskiego. Rąbaniem skrzyń oznajmił światu, że – jeśli chodzi o niego – przygód i postępu już starczy. Owszem, aromat przedwojennych żywic, uszlachetniony przez lata, a wydobywający się z desek roztrzaskiwanych w piwnicy, przyprowadził o zawrót głowy, ale żadnym drogowskazem nie był i po chwili rozwiął się bezpowrotnie.

W ciągu tych kilkunastu lat, kiedy jedna przeprowadzka goniła drugą, mama nieraz narażała ojca na śmieszność. W Katowicach zażądała krat w drzwiach i oknach, bo zdaniem mamy poza Krakowem rozpościera się dzika kraina, w której wszystko się może zdarzyć, szczególnie kiedy ktoś mieszka na parterze. W R. chętnie zasłaniała w dzień okna; sprawiała wrażenie, że wobec obcych czuje się naga, wstydzi nieforemne już ciało, które coraz mniej miało wspólnego z figurą młodej wioślarki z krakowskiego Zwierzyńca.

O przestrach i opór przyprowadzali ją goście, obcy w przestrzeni jej wstydu, jakoś tam znośnego w odosobnieniu, ale nie przy świadkach. Dla ojca ów przestrach i opór były niepojęte, niechcące wymierzone w ojcowskie upodobanie do gwarnych spotkań, biesiad i żartów, poznawania ludzi. A doszły jeszcze napady przerażenia. Mama ni stąd ni zowąd wpadała w panikę, to w kinie, w ciemności kryjącej tłum, a tłumowi zawsze się bała, to w fotoplastykonie, przekonana, że metalowa osłona okularu razi ją prądem, to u fryzjerki, pewna, że od żelazka do trwałej zapłonęły jej krucze włosy. Napadem trwogi mogło się skończyć spotkanie z dorożkarskim koniem; gorzej, bo u żony mleczarza szczególnie śmieszył paniczny lęk przed krowami. Lekarze nie byli zgodni czy chodzi o nerwicę czy hipochondrię, depresję czy fobię, bądź też o nic nie chodzi. Niestety, próby oddzielenia przekonania od przywidzeń, wrażeń od faktów, a jednych i drugich od prawdy, często zawodziły. Na tych zagadkach potykały się nawet asy uniwersyteckich katedr. Tak czy inaczej każdy atak paniki owocował u mamy skokiem ciśnienia, ten z kolei groził kolejnym udarem, groźba udaru powodowała wzmożenie lęku, skutkującego rzeczą jasną skokiem ciśnienia. I tak dalej.

Wojśław Brydak

Dariusz Filar

Zapytała go, czy lubi Bacona. To było proste, bezpośrednie, nie poprzedzone żadnym wstępem pytanie: „Lubisz Bacona?”. Na dźwięk tego nazwiska jedynym odzewem, jaki w pierwszej reakcji podsunęła mu pamięć, był szesnastowieczny angielski filozof. Dlaczego miałby go lubić albo nie lubić? Wyrwany znie-nacka do tablicy nie potrafił precyzyjnie odtworzyć żadnego z jego poglądów. Gdzieś z zakamarków mózgu wydobył strzęp o metodzie badań – „poprzez zgromadzenie jak największej liczby pojedynczych faktów możemy dojść do sformułowania zasady” – ale nie był całkiem pewien, czy brzmiało to dokładnie tak i czy nie powiedział tego ktoś inny.

Dostrzegła jego zakłopotanie i pospieszyła z pomocą: „Francis Bacon. Malarz. Jeden z najwybitniejszych w dwudziestym wieku. Anglik, a chyba raczej Irlandczyk, bo urodził się w Dublinie...”

Musiał przestawić filtry pamięci z uczonych ksiąg na obrazy i zajęło mu to chwilę.

– No nie mów mi, że nigdy nie słyszałeś o Baconie! – wykrzyknęła parszkając pełnym niedowierzania śmiechem.

– Nie popędzaj mnie! – zaprotestował.

Zaraz potem wpadł na właściwy trop. I spróbował jej wyjaśnić, dlaczego zabrakło mu natychmiastowych skojarzeń i co było przyczyną opóźnienia: „Ja nie mam twojej usystematyzowanej wiedzy o malarstwie. Udać mi się oczywiście dostrzec różnicę między pulchnymi naguskami Rubensa i Renoira, ale z rozróżnieniem Rubensa i Bouchera miewam już kłopoty. A dokładnych katalogów malarzy i ich prac z całą pewnością w mojej głowie nie ma...” Przerwała mu: „Nie tłumacz się ze swoich braków w wiedzy o sztuce. Bacon. Pytałam cię tylko o Bacona”. Ale on chciał, żeby zrozumiała wszystko: „Już, jeszcze chwila, zaraz będzie i o nim. Lubię chodzić do muzeów i na wystawy, ale zawsze zapamiętuję ze zgromadzonego tam bogactwa tylko pojedyncze dzieła. To jest tak, że widzę jeden czy dwa obrazy i czuję, że chętnie patrzyłbym na nie dłużej, że dobrze mieszkałoby mi się we wnętrzu, które byłoby nimi ozdobione. Czasem zapamiętuję nazwiska malarzy, ale czasem nie. Jeśli w sklepiu przy galerii trafię na pocztówki z reprodukcjami właśnie tych obrazów, które zrobiły na mnie wrażenie, to oczywiście je kupuję i wtedy związek obrazu z malarzem utrwała mi się lepiej. Ale tak naprawdę zatrzymuję w sobie jedynie emocje, które narastały w czasie oglądania obrazu, ślad nastroju, w jakim od niego odchodziłem, jakieś szersze tematy i wątki, na które mnie naprowadził. No więc teraz ten twój Bacon: po pierwsze – Wenecja, po drugie – zbiory Peggy Guggenheim, a po trzecie – korytarz na prawo od wejścia...” Zmarszczyła czoło.

– Widzisz, ekspercie! Też wszystkiego nie wiesz! – wykrzyknął w przekonaniu, że i jemu należy się szczypta tryumfu – Właśnie tam wisi obraz Bacona, który kiedyś bardzo mocno do mnie przemówił: cały czerwony, z drewnianą skrzynią w prawym dolnym rogu i małpą siedzącą na tej skrzyni...

– Szym-pan-sem! – przesylabizowała dobitnie na nowo odzyskując nad nim przewagę – To jest „Studium szympansa”. Rzekiwiście wspaniałe...

Od ostatniego pobytu Krzysztofa w Wenecji minęło już sporo lat, ale wciąż pamiętał sprężoną energię i pasję, jakie tchnęły z obrazu. „To chyba właściwie nie czerwień, tylko raczej karmin” – szukał właściwych słów – „Tak czy inaczej jest to barwa bardzo silnych emocji. Skrzynia ma taki kształt, że mogłaby spełnić rolę trumny, a małpa przykucnęła... no, dobrze, szympanś przykucnął na jej brzegu – muskularny, zwarty, w każdej chwili gotowy do tego, by jednym skokiem rzucić się w tę jednokolorową

przestrzeń wokół albo nawet dalej, gdzie poza ramy obrazu. Tak to chyba odebrałem: prymitywna siła życia, która w każdej chwili może odbić się od pułapki zastawionej przez śmierć i poszybować w obszary najwyższych temperatur. To był kiedyś jeden z moich obrazów” – uniósł obie dłonie i po dwa palce każdej z nich ułożył w znak cudzysłowu – „Więc jeśli na tej podstawie mam prawo oceniać mój stosunek do Bacona, to pewnie go lubię”. Wydawała się zadowolona z jego odpowiedzi, ale nie chciała wyjawiać, co było przyczyną postawienia pytania. „Tajemnica, tajemnica...” – mruknęła tylko.

Po kolejnych dwóch dniach spytała go, czy ma jakieś szczególne plany na 11 listopada, na dzień swoich urodzin. Gdy okazało się, że żadnych planów nie ma, zaczęła prędko mówić o tym, że w Tate Gallery w Londynie już od początku września trwa wielka retrospektywna wystawa Bacona, że wielu jej znajomych zdążyło ją obejrzeć i uznali, iż jest świetna oraz że będzie można ją oglądać jeszcze do końca grudnia.

– Ale chciałabym, żebyśmy tam pojechali już w listopadzie, w piątek, siódmego, po południu albo wczesnym wieczorem – powiedziała – Wystarczy, że wezmę tylko dwa dni urlopu i możemy zostać do środy, ty przecież też zdołasz jakoś odwołać swoje

znacznie lepiej docierało, co mówili tubylcy. Pokierowała nimi przez miasto, załatwiła wszystkie formalności w recepcji hotelu, odnalazła i otworzyła ich pokój dziwnym, staromodnym kluczem. Krzysztof czuł się trochę jak dziecko prowadzone za rękę na nowy, nieznany plac zabaw.

– Wiesz, że pierwszy raz będziemy ze sobą w innym miejscu niż moja sypialnia? – spytała Misinka, gdy tylko wnieśli walizki. Zdjęła z klamki ozdobną zawieszkę ze słowami „Tranquillity. Do not disturb”, umieściła ją po zewnętrznej stronie drzwi, a potem starannie je zamknęła. Przytuliła się do Krzysztofa, a on poczuł, że całe jej ciało drży. – Nie uważasz, że to piekielnie podniecające? – zadała szeptem kolejne pytanie całując równocześnie jego ucho. Mógł tylko przytaknąć.

Śniadanie było dokładnie takie, jakiego należało oczekiwać w starym, londyńskim hoteliku: smażone jajka z płatkami bekonu, grillowana kielbaska pełna nieznanych, trochę dziwnie smakujących przypraw i duża porcja fasoli w pomidorowym sosie. Gdy tylko zjedli, wyruszyli piechotą nad Tamizę, ku Millbank; Misinka uważała, że nie warto tłoczyć się w metrze, jeśli nie muszą nigdzie dotrzeć o ściśle wyznaczonej porze, a Krzysztof w pełni podzielał ten pogląd.

Bacon, Aronofsky, Chelsea



środowe zajęcia... A we wtorek obejdziemy tam twoje sześćdziesiąte urodziny... – To będzie mój urodzinowy prezent dla ciebie – dodała szybko.

– Nie możesz mi robić takich drogich prezentów – powiedział.

– Ależ mogę, wiesz, że mogę! – zaprzeczyła żywo – No, nie rób mi przykrości i nie zapieraj się zadanymi łapami. Nie chcę ci dawać na urodziny żadnego przedmiotu, jakiejś rzeczy... Co by to zresztą miało być? Jeszcze jedno wieczne pióro? Jeszcze jeden krawat? Wolę, żebyś w sześćdziesiąte urodziny przeżył coś niezwykłego, i żebym ja mogła być wtedy z tobą...

Przytuliła się do niego i z bardzo bliska patrzyła mu w oczy: „Zobaczysz, jak nam będzie fajnie. Zamieszkamy w mojej ulubionej dzielnicy, w Chelsea. To tam mieszkalam przez te moje trzy londyńskie lata. Znam tam bardzo miły, bardzo angielski hotelik nieopodal Cadogan Square. I mam tam swoje sklepiki z ciuchami. Na Bacona i tak bym poleciała, ale bez ciebie to by była żadna przyjemność. No zgódź się, proszę.”

Dwa tygodnie później wylądowali na Heathrow i lotniskowym ekspresem przejechali na dworzec Paddington, a stamtąd metrem do stacji Sloane Square. Misinka powiedziała, że do hotelu mają bardzo blisko i nie muszą brać taksówki. Szła pewnie nieco sennymi uliczkami, przy których stały niewysokie domki, a Krzysztof podążał za nią wypełniony przyjemnym poczuciem uwolnienia od odpowiedzialności i całkowitego zdania się na kogoś, komu mógł zaufać; to dla niej Londyn był obszarem oswojonym, to ona знаła tutejsze ścieżki i zwyczaje, i to do niej

Gdy już weszli na wystawę, niemal natychmiast się rozdzielili. Przeczuli oboje, że ich sposoby patrzenia mogą być różne i że nie powinni sobie przeszkadzać. Zresztą Misinka od dawna zapowiadała, że chce skupić uwagę na portretach Isabel Rawsthorne, a Krzysztof nie miał żadnego sprecyzowanego planu zwiedzania. Zachował się tak, jak zawsze zwykł być czynić w podobnych sytuacjach – lawirując wśród setek skupionych przed obrazami ludzi, dość szybko przeszedł raz i drugi przez wszystkie sale. Ślizgał się oczyma po ścianach szukając tego, co przyciągnie go najmocniej, najbardziej bezpośrednio do niego przemówi. I wyłowił to przy drugim okrążeniu – niewielkie płótno, żadne dwa metry na półtora, po które Bacon tak często sięgał, ale najwyższej pół metra na sześćdziesiąt centymetrów, wiszące w trochę niepozornym miejscu, tuż obok przejścia z jednej sali do drugiej. Nazywało się „Study of a Nude” i przedstawiało nagiego mężczyznę, który stanął na samym brzegu czworokątnej przestrzeni. Czy był to głęboki basen o powierzchni wody tak odległej, że nie mieszczącej się nawet u spodu malowidła? Czy może raczej kanion ulicy biegnącej między ścianami wieżowców? I czy scena rozgrywała się nocą? Ograniczona gama kolorów – czerń, granat, szarość i ciemne zmieszanie zieleni z brązem – właśnie taką porę zdawała się sugerować. Nagi mężczyzna dotarł do krawędzi, za którą zaczynała się tonąca w mroku głębia. Skąd u widza brała się pewność, że dla mężczyzny nadeszła ostatnia chwila przed skokiem, że z tego miejsca nie mógł już zawrócić? To, czy roztrzaska się o bruk, czy też wyciągniętymi ramionami i głową



Grażyna Koszewska

uwaga! w mieście zlikwidowano lewoskręty

jestem przysposobiona jak wełna do drutów
albo maszyny dziewiarskiej narzut oczko prawe
oczko lewe można mnie łatwo zniszczyć trzeba
znaleźć początek przędzy
szukam cię w mieście pomiędzy objazdami tyle tu
zakrętów tej ulicy nie ma od dawna trafiłam pod zły adres
spomiedzy ud widzę jeszcze kontur twojej twarzy
zapadam się w ciemność to koniec motka

uniwersum

to miejsce mnie za chwilę wypłuje
jakby czerwień bluzki naruszała pełną
powagi strukturę marmurowych posadzek
lub kpiła z martwej dostojności zakładu pogrzebowego
mijają nas rośli tragarze
– ostatnie ogniwa na trasie dom-cmentarz
a może bliscy-trumna?
z boksu wychodzi rodzina w czerni
nasza kolej
*nie po trumnę prolongatę miejsca pochówku
my też możemy tam spocząć?*
wymykam się na ulicę pełną życia światła klaksonów
jeszcze mogę wybierać

mapa i terytorium

...mapa jest bardziej
interesująca od terytorium...
M Houellebecq „Mapa i terytorium”

na *ignacego posadzego* mogłabym być
twoją dziewczyną poczułabym się jak

matka boska z muzeum *na lubrańskiego*
– prawie otarłabym się o świętość nieśmiało

opuszkiem palców łagodzę szorstką skórę
mówisz że z tobą nie będę szczęśliwa

to nic mam tylko *teraz* kostka brukowa
zdradza naszą obecność: *oni tu są oni tu są*

wstydzę się swoich pragnień jakbym nie była
na swoim terytorium

mój weekend z edith

wszystko wraca na scenie *versailles edith*
hymnem do miłości wskrzesza *marcela*
dotkliwy ból może być wszędzie ale tego
wieczoru jest tuż obok tak blisko że *edith*
może tylko śpiewać tylko dla niego tylko o nim
tylko o miłości śmierć boli jak urwana ręka
a może bardziej jak suchy zębodół po ekstrakcji;
być może nawet nie widać skutków choć przyczyna
jest empirycznie dotykalna a wszystko wokół
nadal trwa kontrakty koncerty codzienność
ale i to się zmieni za chwilę obudzi się *jaques theo...*

rozetnie taflę ciemnej wody, by później wypłynąć na powierzchnię, nie było przesądzone, a przecież decyzja musiała zostać podjęta. Towarzyszyła dokonywaniu tego rozstrzygnięcia atmosfera kompletnej samotności; wobec nieuchronnego i niewiadomego nagi mężczyzna znalazł się zupełnie sam.

Kilka chwil później Krzysztof trafił na jeszcze jeden obraz z tego samego okresu i w podobnym nastroju. Uchwycony od tyłu, nagi mężczyzna przechodził przez wąską szparę między połówkami niezaciągniętej do końca kurtyny. Po drugiej stronie była czerń. I chociaż muskularne plecy i pośladki mężczyzny wciąż jeszcze widoczne były z tej strony kurtyny, po której do niedawna przebywał, to jego twarz, brzuch, przedramiona i kolana wsiąkły już w tę czerń strony przeciwległej. Tu także miała miejsce sytuacja przekraczania granicy czy progu, zanurzania się coś nieznanego i odmiennego od otoczenia, które mocarnemu nagusowi było dane dotychczas.

Krzysztof odnalazł w tłumie Misinkę i przyprowadził ją przed wybrane płótna. „To przecież niemal jego początki!” – prychnęła – „Krzysiu, ty naprawdę nie widzisz, jak bardzo się rozwinął w kolejnych dziesięcioleciach?”. Jej znacznie bliższy był kolorowy Bacon z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Portrety jej nie zawiodły, entuzjastycznie mówiła też o studiach, które uwieczniły George’a Dyer. W tej sytuacji każdemu z nich przyszło pozostać przy swoim.

W sklepiu galerii Misinka kupiła płytkę DVD z filmem „Love Is the Devil”. Słyszała o nim wcześniej i zaplanowała, że spokojnie go obejrzą po powrocie do Warszawy. „To historia romansu Bacona z Dyerem. Dyer grał Daniel Craig i to była jedna z jego pierwszych, naprawdę znaczących ról, na długo wcześniej, nim zrobili z niego Jamesa Bonda”.

Szli wolno przez Millbank, w stronę Westminster Abbey i Parlamentu. Gdy zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na wycieczkowe stateczki i barki płynące Tamizą, Misinka wyciągnęła z torebki plastikową kasetkę z filmem, wydobyla spod jej pokrywki dołączoną do filmu broszurkę i zaczęła ją przeglądać. „Między Baconem i Dyerem było dwadzieścia pięć lat różnicy” – powiedziała – „Dokładnie tyle, co między nami”. Wolno przewróciła dwie kolejne kartki. „Swoim postępowaniem wobec niego Bacon doprowadził Dyer do samobójstwa. Bo to chyba jednak było samobójstwo – w 1971 roku, gdy Bacon miał 62 lata, a Dyer 37”. Krzysztof wołał milczeć; znał już Misinkę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że pewne jej słowa i działania nie biorą się znikąd, że poprzedzone są znacznie wcześniejszymi, głębokimi przemyśleniami i mają doprowadzić do założonego z góry celu. Teraz w jednej chwili osiągnął niemal pewność, że całkiem dokładnie zapoznała się z biografią Bacona, a o filmie z Craigiem nie tylko słyszała, lecz obejrzała go już kiedyś w przeszłości i nie bez powodu pragnęła, by on, Krzysztof Merst, także go zobaczył. „Nikt, kto pragnie żyć, nie połyka garściami lekarstw i nie popija ich butelką whisky” – dodała jeszcze Misinka – „Ale przedtem, przez kilka lat, Dyer chyba był szczęśliwy ...”

Kilka kroków za mostem Lambeth, na szklanej wiacie autobusowego przystanku rozwieszony był plakat, który przyciągnął uwagę Krzysztofa. Zmęczony zapasnik całym ciałem opierał się ciężko na linach ringu, opuszczenie głowy sprawiło, że jego długie blond włosy niczym welon wisały w strąkach przed twarzą i niemal kompletnie ją zasłaniały. Wysoko nad zapasnikiem świeciły ułożone w półpiersiach jupitery, układały się wokół jego głowy w niekompletną aureolę. „The Wrestler”, tak brzmiał tytuł filmu. A w prawym górnym rogu plakatu umieszczono jeszcze skierowaną do potencjalnych widzów zachętę: „Witness The Resurrection of Mickey Rourke in Darren Aronofsky’s Deeply Affecting Film”. Ten „film” zamiast „movie” na końcu zachęty nieco Krzysztofa rozbawił; nie mogło być lepszego dowodu, że projekcję przewidziano w Londynie, a nie w Nowym Jorku czy San Francisco.

– Hej! Popatrz! – Krzysztof ścisnął rękę Misinki i pociągnął ją w stronę plakatu – Nowy film Aronofsky’ego! Pójdziemy?

– Ale Mickeeeeyyyy Roouuurke? – rozciągnięta wymowa imienia i nazwiska aktora miała zasygnalizować wątpliwości Misinki – Kto jeszcze jest w stanie go oglądać? I na dodatek w filmie o zapasniku ...

– A ja go lubię – powiedział Krzysztof – Poza tym to film Aronofsky’ego. Mogę przyznać, że jako twórca bywa nierówny. „Źródło” ocierało się o kicz. Ale przecież „π” to rewelacja: nie musisz znać matematycznego wzoru na spadający z drzewa liść, by dostrzec jego piękno. Wzór na liść znany jest wyłącznie Bogu ... I niech tak zostanie!

– Za kilka tygodni będą to na pewno grali w Warszawie – broniła się jeszcze Misinka – Nie możesz troszkę poczekać?

Ale Krzysztof, z powodów, których sam nie potrafił do końca wyjaśnić, koniecznie chciał obejrzeć „Zapasnika” jeszcze w Londynie i upierał się przy tym pomysłu. Uzgodnili ostatecznie, że we wtorek, po uroczynowej kolacji – jeśli nie będą nadmiernie pijani albo zmęczeni – pójdą do kina na późnowieczorny seans. Misinka dawała odczuć, że będzie to z jej strony rodzaj poświęcenia, ale nie czyniła tego w sposób przesadny.

Randy „The Ram” Robinson, tytułowy zapasnik, w którego postać wcielił się Mickey Rourke, w każdym z nich dwojga wzbudził odmienne uczucia. Misinka widziała w nim mężczyznę, który nigdy nie dojrzał i nieudacznika marnującego wszystkie nadarzające się okazje poprawienia własnego losu. Raziła ją także brutalność walk, bezsensowne okaleczanie ciał tylko po to, by zapewnić uciechę gawiedzi. Dostrzegała w tym chorą skłonność do autodestrukcji. Dla Krzysztofa był Randy przykładem człowieka, który nieuchronnie podąża drogą swego powołania i przeznaczenia. Jeśli ktoś urodził się zapasnikiem, to nigdy nie będzie w stanie zajmować się czymś innym. I nie jest aż tak bardzo ważne, czy będzie wygrywał, czy przegrywał wszystkie walki

– przede wszystkim liczy się bycie sobą, oddanie i poddanie osobistej pasji. I z całą pewnością taki człowiek nie odnajdzie się jako sprzedawca na stoisku garmateryjnym. Ale o wymowę przypadków Randy’ego zaczęli się spierać po wyjściu z kina, właściwie dopiero w nocy i następnego dnia. Wcześniej, pod sam koniec filmu, Krzysztof doznał czegoś w rodzaju olśnienia, dwukrotnie z ogromną gwałtownością ogarnęło go uczucie, że dostrzega coś, co mogło być dostępne tylko dla wybranych oczu. To stało się wtedy, gdy Randy minął zaslonę oddzielającą szatnię od ringu, na którym miał stoczyć ostatnią walkę. I gdy wspiął się na liny w narożniku, by z nich rzucić się do kolejnego, tym razem śmiertelnego starcia. Krzysztof ścisnął mocno rękę Misinki, ale na jej odwróconej ku niemu twarzy ujawniło się w półmroku kina jedynie zdziwienie. Niczego nie zauważyła! Tym większą odczuwał potrzebę, by podzielić się z nią swoim odkryciem natychmiast po zakończeniu projekcji.

– W ostatnich scenach Aronofsky inspirował się pracami Bacona! Dokładnie tymi dwoma obrazami z początku lat pięćdziesiątych, które najbardziej spodobały mi się przedwcześniej na wystawie!

Ponieważ Misinka nie wydawała się przekonana, Krzysztof wysunął poważniejsze argumenty: Aronofsky mógł oglądać prace Bacona kręcąc film o zapasniku, bo przecież Bacon splecione w walce ciała zapasników wielokrotnie malował, liny ringu układając się zupełnie tak samo jak obrys ciemnej przestrzeni na obrazie Bacona, Aronofsky w ostatnich scenach filmu posłużył się kolorami wczesnego Bacona – zieleniami, błękitami, szarością i czernią, i te sceny, i obrazy Bacona niosą ze sobą podobny sens – przekroczenia granicy, stanięcia w obliczu czegoś ostatecznego, zmierzania się z samotnością ...

– No dobrze, może masz rację – skapitulowała wreszcie Misinka – Ale potrafisz mi wytłumaczyć, co właściwie miałoby z tego wynikać? Napiszesz do Aronofsky’ego list: „Szanowny Panie Aronofsky, zauważyłem, że w ostatnich scenach filmu „The Wrestler” czerpał Pan inspirację z obrazów Francis’a Bacona ...”? A może chcesz napisać błyskotliwą recenzję, w której powiążesz ze sobą wystawę i film? Ale przecież ty nie pisujesz recenzji ...

– Nie, nie – pokręcił głową – Dla mnie ma to o wiele głębsze znaczenie. Przyleciałem do Londynu, by obejrzeć obrazy Bacona, a dwa spodobały mi się szczególnie. Potem zauważyłem plakat filmu, którego premiera dopiero co miała miejsce i poczułem silną, wewnętrzną potrzebę, by ten film zobaczyć. A co przeżyłem w kinie, to już wiesz – ujrzałem właśnie te dwa wyróżnione przeze mnie obrazy przełożone na język kamery. Zrozum – to się składa w pewną całość. A jeśli to jest taki strumień zdarzeń, to musi nieść ze sobą jakieś przesłanie dla mnie, jakąś kwestię, którą powinienem przemyśleć.

– Krzysieńku! Jaką znowuż kwestię?! – jęknęła Misinka – Szukasz magii tam, gdzie jej nie ma. Zmiłuj się! Jaka kwestia miała by wynikać dla ciebie z malarstwa Bacona i tego, że Aronofsky wplótł je w swój film o popapranym nieudaczniku? No jaka?

– Może taka – czy nie stoję za ladą garmateryjnego stoiska? Randy gotów był sam się poharatać, by stamtąd uciec. Bacon też jest niezłym przykładem bezkompromisowości. A ja brnąłem i brnę w kompromisy ...

Prowadzili taką rozmowę przez całą drogę do hotelu, i jeszcze w łózku, i jadąc następnego dnia na Heathrow. Na pozór była to wymiana myśli o malarstwie i filmie, o różnicy dzielącej prawdziwe życie i jego odbicie w sztuce, a także o tym, czy z biografii innych ludzi, choćby najwybitniejszych, można wyciągnąć jakieś wnioski dla siebie. Ale przecież oboje mieli świadomość, że to jeden z tych ich sporów, w którym prawdziwy nurt płynie znacznie głębiej i bezpośrednio dotyczy tego, co działa się między nimi. Wciąż istniało coś powstrzymującego ich przed otwartym mówieniem o tym, co rzeczywiście uznawali za ważne, ale przecież każde z nich w wyobraźni prowadziło z drugim dialog równoległy, w którym nie nakładali sobie ograniczeń. Może zresztą były to tylko dwa monologi.

– Złości cię moja fascynacja niezależnością Randy’ego, bo w dążeniu do niej odepchnął od siebie kobietę – mówił Krzysztof do Misinki w swojej fantazji – Nie wszyscy zostali stworzeni do spokojnego, rodzinnego życia. Ja raczej nie. Może kiedyś dawno, gdyby urzeczywistniły się moje romantyczne idealizacje, byłoby to możliwe. Ale się nie urzeczywistniły i teraz już nie czas na to – zbyt wiele wiem o tandetności związków kobiet i mężczyzn. Zbyt wiele jej widziałem i zbyt wiele sam doświadczyłem.

– Nie możesz się zachowywać, jakbyś miał czterdzieści lat i przechodził kryzys wieku średniego – w swojej fantazji do Krzysztofa mówiła Misinka – Skończyłeś właśnie sześćdziesiąt lat i najwyższy czas, żebyś zaakceptował życie takim, jakie jest. To śmieszne, żebyś teraz żałował popełnionych błędów czy fałszywie postawionych kroków i wciąż marzył o jakichś innych wymiarach spełnienia. Przecież moglibyśmy wszystko spokojnie poukładać.

Równoległość słów – tych, które wypowiadali i tych, które zatrzymywali w myślach – zrodziła między nimi napięcie, które w lejącym ku Warszawie samolocie zmusiło ich do pograżenia się w milczeniu. Właściwie nie byli skłóceni i obrażeni na siebie, ale przyjazne wzajemne otwarcie, z jakim lecieli w przeciwnym kierunku, gdzieś się zagubiło.

Rozpakowując walizki po przyjeździe z Okęcia, płytkę z filmem „Love Is the Devil”, tym ze znaczącą rolą Daniela Craiga, Misinka odłożyła na półkę, gdzie ustawionych było kilkadziesiąt innych płytek z jej ulubionymi filmami. I później jakoś nigdy nie znaleźli już czasu, by razem obejrzeć historię Bacona i Dyer.

Dariusz Filar

Aleksander Timofiejewski

I
 Nie chciałem stąd wyjechać i nie mogłem.
 Lecz wszystko tak się działo, jak nie bywa:
 Krajobraz świst wydaje, drżenie w oknie,
 Choć wagon stoi, peron w dal odpływa.
 Przez całą noc ode mnie, jak od dżumy,
 Odbiega Rosja, która mnie zrodziła,
 Wraz z nią mnie odbiegają i jej dymy,
 I ognie, i grzybowe jej kadzidła.
 Wolno pejzaż odjeżdżał aż do końca
 Nagle stając na kołach niewidocznych,
 I w dal poniosły go na dźwięków złączach
 Brzozy oraz osiki, z jodłą sosny.
 Kiedy dziwnie odchyliła się droga
 Zderzając się i na siebie wpadając...
 A wagon stoi. Jeden stoi wagon



TRAMWAJ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Chociaż prędkość się wzmaga obracając.
 To nie ja bagaż uwiązałem oraz
 Krypty spieszyłem opuścić rodowe,
 Lecz nieporadni, co zdarza się nieraz,
 Ślepi jak my, infantylni synowie.
 Oto na skraju skaczą chłopcy lasku –
 Odkarmieni, swobodni i brodaci,
 Bawią się w ciuciubabkę, ryją w piasku
 I umywają ręce jak piłaci.
 Wciąż zabaw i swawoli im za mało,
 Razem usiedli rzędem nad urwiskiem
 Nie widząc, że podłoże odjechało
 I że do diabła ich unosi wszystkich.
 W tartary, w karakany i już nie ma
 Lecących strzępów gazet, niedopałków.
 Od dziecka znany dom z oknami trzema,
 Parkan w zaułku z drewnianych kawałków.
 I wyskoczywszy na rozpędzony szlak
 Rosja ode mnie w locie się oddali...
 A ja wciąż powtarzam w kółko: Jakże tak?
 Gdzie jesteście, gdzie wy, tacy wspaniali?
 Gdzie jesteście? Gdzie jesteście – wciąż krzyczę
 Do sosen migających, jarzębiny,
 Tam, gdzie szczekanie słychać psów strażniczych,
 Także w stronę Katynia i Chatynia.

II
 Czas ku przeszłości wyrósł.
 Potoczył jak z wierzchu bochenka.
 To, co minęło – znów przyniósł.
 I straszy ta nazwa – Łubianka.
 Czas przeszedł jak koszmar woła.
 Czy diabła, czy Boga to woła...
 I nierozcięte na stołach
 Dzieła Puszkina, Gogola.

III.
 Żywi, poprzez królestwo podziemne Wija,
 Dźwigamy się wstecz. Jesteśmy w kamałoku,
 Dni przyszłości to czas, który przemija.
 A co bliskie, oddała się krok po kroku.
 Sukces pędu. W detalach przemysłany.
 Zbieg o pędzie pomyślał byle prędzej.
 Śnimy się sobie. Przedtem wszyscy się znali.
 I we śnie powtarzamy, co było będzie.
 Boże Narodzenie, cytrusy, i śnieżki,
 I trudno pojąć, ile to już razy
 Adapter odgrywa z roztrzaskanej ścieżki
 Tę całą z rozumu zwodzącą nas frazę:
 W zaułki krzywe od nowa wchodzimy,
 I bić się będziemy w śniegu potykając,
 To bez znaczenia czy martwi, czy żywi,
 Żegnaj Rosjo, do ucieczki się gotując.

IV
 Rozebrane domy
 Umarłego Arbatu,



Ocalone tomy
 I wiersze samizdatu.
 Pustki kołatania
 I roztrzaskane arki
 Oraz biedowania
 Cenne nam podarki.
 Ta odwilż i płasy,
 Ta kapela uliczna
 I dom, gdzie raz pierwszy
 Śpiewaliśmy Galicza.
 I kuchni tych ośmio-
 Metrowa swoboda,
 Powiew, w diabły poślą,
 I nawet nie pogoda.

Oto ja, cóż powiem...
 Tam stoję, w tym portalu –
 I tydzień już przebiegł,
 Ledwo coś pozostało...

V
 On ich spotykał w dymie mroźnym
 Przez lat dwadzieścia, dzień po dniu.
 Zamordowany przez nich został,
 Pudło z betonu dano mu.
 On myślał, oni są na wieki,
 Ale, jak widać, myślał źle:
 Nie ma ulicy i apteki,
 Kanał, latarnia znikły też.



VI

Wrzawę słyszę...
A. Błok

O, rwąca uszy wrzawa, okrzyki.
Po co katownia, która duszę męczy?
Na dno doliny biegną kamyki
I wypadają mi słowa z pamięci.
Zapaść, zsunięcia oraz strącenia.
I zator w rurze tej kanalizacji.
Bęc! Nie starczyło blasku oświecenia
A także innych dóbr cywilizacji.
Ziemi zwierzęce słysząc warczenie,
Oswobodzenie ciemnych sił agresji.
Wzajemne rośnie niezrozumienie
W skrytym postępie niewidzialnej presji.
Proces poznania rwie się na strzępy
Bezpłodnym czyniąc ludzi wykształcenie.
Tak postępuje zdziczenie tępe,
A także ziemi nastaje trzęsienie.

VII

No bo przecież takiego od sił wyższych
Nie oczekiwaliśmy kurażu.
Świat się zmarszczył, stał się nie prawdziwszy
I skurczył do rozmiarów garażu.
Tu było miasto, a nie ma już miasta.
W domu mieszkaliśmy – nie ma domu.
Pod niskim niebem wszystko kurz porasta,
Ten pejzaż nie mówi nic nikomu.
Świat jest dla nas tym, czym dla dziecka pianka,
Brzydki, niesmaczny, dotykasz z przykrością.
A spróbuj tylko wetknąć palec w ściankę,
Dziurkę w niej wówczas zrobisz z pewnością.
I siedzimy, jak wytrawni złodzieje,
Aż przed strasznym sądem ktoś odpowie.
Spójrzysz w dziurkę – coś takiego się dzieje,
Że niezręcznie powiedzieć, panowie!

VIII

Rosję zwinęli obcoplanetni,
W pięć minut ją zgrawitowali
I sprasowaną wsunęli w bagaż.
A nam, gdy marzyliśmy z wami
W jej podstawili miejsce ten miraż.
I cieszą się, że nas oszukali.
Nie można mnie oszukać. Figa!
Dom oraz auto poprzesztawiane,
Gdzie siedział dziad, siedzi dziadyga.
Wszystko jest inne, niż było znane.

IX

„To wszystko, Sasza, idź do domu” –
„A jak mam teraz żyć?” – „Ja nie wiem...” –

„A ja myślałem, że nikomu
Nie jesteś bliższa, kocham ciebie”.
On myśli sobie: zadecyduj,
Bo babskie serce nie jest stałe.
I zmierza ku niej już bez wstydu,
Gwiżdżąc na wszystko pozostałe.
Pędzi taksówką. Zajął miejsce,
Gały wytrzeszcza pod oknami
I widzi gdzieś na piątym piętrze
Helenki postać, co go mami.
Usta jak kreda – błaga, prosi,
Szepcze w oddaniu drogie imię.
Kiedyś mój paszport facet nosił.
Dziś dla mnie nikim. Wszystko inne.

X

Śnieg pada, śnieg pada,
A w dole idą sługusi,
Nosy wetknęli w palto,
Tylko śnieg jak parada.
Z nieba nie padają tu płatki,
Lecz diabli wiedzą co.
Śnieg pada, ale to bzdura –
Z nieba się sypią opłatki.
Nie śnieg, lecz karykatura
Sezonowych opadów.
Śnieg kruszy, śnieg kruszy
Tylko dla ceremoniału.
Wcale na brwi nie naprószy,
Na policzki nie napadało.
Na dłoni się nie osadza
Szybki gwiazdny kryształek,
Do fałszu tylko odraza,
To nie czyjś tajemny podarek.
Nie będzie też na polanie
Stał jutro śnieg po kolana,
Ponieważ każdy nam kłamie
I wszędzie wokół podmiana.

XI

Do nogi Kasztankę zwołuje,
Kto ostro pieścił to psisko
Oraz kto wszystko nicuje
Tak, by mu kęs wyrwać z pyska.
Kasztanka w mig zapomina,
Co było ciepłem i dobrem,
Co wczoraj ją weseliło,
Dziś snem się wydaje lotnym.
Gospodarz pod nosem mamrocze,
Śnieg całkiem pokrył już trawy
I nozdrza Kasztanki łaskocze
Znajomy zapaszek siwawy.
Latarni światła ukośne
Już śnieżny opad wygasił.

Kasztanko, Kasztanko ty, Rosjo,
Dlaczego cofasz się w czasie?

XII

Rosja. Jest noc Bożego Narodzenia.
Moskwa w ogniach. W reklamowym raju
Obce słowa kolorami się mienią
A na Twerskiej słysząc wizg tramwaju.
Moskwiczanki przyspieszają wciąż kroku,
Z prezentami pędzą niemal biegiem.
Nikt nie spostrzegł, że w zasięgu ich wzroku
Wszystkich dognał już „trzydzieści siedem”.
Jedzie tramwaj numer trzydziesty siódmy,
A w nim siedzą i trzęsą się ludzie,
Ale tramwaj ma bieg trochę nierówny,
Koła kręcą się wstecz, jak po grudzie.
Wśród jadących jest dziad, ojciec mej matki
I drugi dziad, ojciec mego ojca,
W potylicach mych bliskich, nad karkiem
Obciążenia ołowiana porcja.
Na cycu się koleś wiesza tramwaju,
Na buforach zasiadła ferajna,
Wszyscy oni jednym głosem śpiewają:
„Niech powstanie ojczyzna ogromna...”
I oprawcy, i kable, i kapusie,
I ci, co są przez nich katowani
Odnajdują się nocą w wspólnym chórze,
Śpiewa cały ten wagon z widmami:
„Pełna mocy i zwycięstw swych syta,
Przez nikogo nigdy nie pobita...”
A na drogach zabawiają się dzieci –
Chłopiec Adolf i chłopiec Soso,
Ach, być może pod koła dzieciak wleci?!
Patrzyć trzeba, jak te koła niosą...
No już, synku, zabieraj się z tej drogi,
Zejdź gdzieś na bok, małeńki figlarzu!...
I konduktor za sznurek ciągnie, dzwoni,
Motorniczy hamuje od razu.
Słyszą ludzie wyraźnie, jak brzmi dzwonek,
Jego głos z odległych lat wszak znają.
Dzwonek dźwięczy. Co się stało z wagonem?
Wagon zniknął, nie ma już tramwaju.
Rozpłynął się, rozwiął jak jakiś dymek,
Nie zostawił już po sobie śladów.
Jakże zresztą tu możliwe by było
Widzieć tramwaj, gdzie nie ma przewodów?
Wszyscy gnają i spieszą się do domu,
Chcą Nowy Rok powitać, ale jeden
W uszach dźwięczy wibrujący ton dzwonu,
W którym słysząc wciąż: trzydzieści siedem.

1992 – 2003 – 2005

Tłum.: Leszek Szaruga



Anna Frajlich

Dziennik, I – VII 1990 rok

Środa, 3 stycznia 1990

Wizyta u dr Springera. Moja początkowa reakcja na jego sugestię, że muszę przejść terapię i jego reakcja: „if you don’t have time, make time”. Dał mi listę terapeutów w Manhattanie i Brooklinie.

Poniedziałek 8 stycznia

Wizyta u dr. Bermana.

Wtorek 9 stycznia

Pierwsza terapia. Sobota 13 stycznia. Zamówiliśmy krzesła do stołu kupionego dwadzieścia lat temu. Wówczas, po przyjeździe miałam taką niechęć do wszystkiego, co amerykańskie, że tę odrobinę mebli (dwa łóżka, stół i krzesła) kupiliśmy w niedrogim wówczas „Workbench”. Za łóżeczko Pawła zapłacili Maryla z Siomą. Na łóżko nasze i stół mieliśmy z zasiłku, który miał nam wystarczyć na wyposażenie całego mieszkania. Zabrakło nam na przyzwoite krzesła. Wówczas Sioma poradził, żeby kupić tymczasowo te po 12 dolarów, a za dwa, trzy miesiące – lepsze. Parę tygodni po otrzymaniu mebli Władek stracił pracę. Na długo musieliśmy odłożyć nasze plany meblowe. Z konieczności więc wzięło się nasze zainteresowanie używanymi meblami, które coraz bardziej zaczęły nam się podobać. Krzesła przetrwały wiele lat, jedno wciąż stoi w sypialni.

Poniedziałek, 15 stycznia

Skończyłam tekst właściwy pracy doktorskiej.

Czwartek, 18 stycznia

Rano terapia. Potem dwie godziny dyżuru w gabinecie. Przedtem jeszcze lunch z Jamie. Dla Joe Develina kupiłam butelkę wina, potem dowiedziałam się, że on nie pije. Powiedziałam mu, że wiem o tym, ale on uspokoił mnie: Don’t worry, I’ll find a use for it.

Piątek, 19 stycznia

Przyjechał Andrzej Milczanowski. Poszliśmy na lotnisko; mnie zawiózł Kuba, a Władek przyjechał prosto z pracy. Samolot spóźnił się półtorej godziny. Ale odprowadziliśmy go do samego wejścia do samolotu do Bostonu i tam trochę pogadaliśmy. Był też jego przyjeciel, z którym siedział w więzieniu. Andrzej bardzo źle wygląda. Zgubiłam rękawiczki.

Poniedziałek, 22 stycznia

Pierwsze zajęcia po przerwie. Vira ma żal, że nie jej postawiłam A+. Największy o Rebeke. Wieczorem przyszedłam i zastałam „Kulturę”: z moim felietonem „Kształt bukszpanu...” Jest tam też dobrze napisany (nie wiem, na ile bezbłędny) artykuł Skalmowskiego (Brońskiego) o „Dziadach”, a także czyjś artykuł o emigracyjnej poezji bez wzmianki o mnie. Czułam się jak Vira.

Wtorek, 23 stycznia

9:30 – terapia. Fryzjerka, kosmetyczka. Kupiłam ryby. Telefon do Teda.

Środa, 24 stycznia

Zrobiłam kopię notatki, którą opublikowałam w „Nowym Dzienniku” o wydaniu zbioru Szymborskiej w tłumaczeniu Maguire’a i Kryńskiego. Dzwoniłam do Krystyny Olszer. Oddałam Virze egzamin. Rozmowa z Frankiem. Frank upewnił mnie w tym, że stopnia nie należy zmieniać.

Czwartek, 25 stycznia

Terapia. Zakupy, gotowanie. Bibliografia. Robię ją posługując się specjalnym programem, który wymaga studiowania dość skomplikowanej instrukcji. Przejście przez każdy stopień wtajemniczenia sprawia mi pewną satysfakcję. Ale nie obywa się bez momentów rozpacz, kiedy wydaje mi się, że to wszystko na nic, a odwrotu nie ma ze względu na termin.

Piątek, 26 stycznia

Wysyłam czek za parogodzinną komputerową lekcję.

Sobota, 27 stycznia

List do księgarni Nowego Dziennika, kartka do Joanny Bielo-bradek i do Ewy z rodziną. Ojciec Władka na obiedzie. Władek wrócił z pracy o 7:30!

Niedziela, 28 stycznia

Władek pracuje. Rano list do Sławki. Potem bibliografia. Telefon od p. prof. Yurieff, że konkluzja zaakceptowana. Farbowanie włosów. Bibliografia.

Środa, 31 stycznia

O pierwszej przyszedł do gabinetu Ted i poszliśmy na umówiony lunch do Jewish Theological Seminar. Przedtem jeszcze przeszliśmy się, bo on musiał przeparkowac samochód. Byłam w swojej granatowej garsonce z Benetton, która jest bezbłędna i często wywołuje komplementy. Tym razem też. Ale na jego „You look very nice”, odpowiedziałam „thank you, you too”, czym naturalnie strywalizowałam sytuację i nawet chyba zauważyłam jego niezadowolenie, że tak pokwitowałam. Ale z siebie byłam zadowolona. Lunch był przyjemny. Zauważyłam, że kobiety nosiły jarmutki. Ted powiedział mi, że to jedna z koncesji na rzecz równouprawnienia.

Czwartek, 1 lutego

Terapia. Telefon do dr Springera, który zarządził jeszcze 3 tygodnie terapii. Kolana jakby się poprawiły, ale wiem, że wszystko zależy od dalszej gimnastyki. O 11:30 u dr. Markusa – działąła, czyszczenie zębów. Pranie.

Piątek, 2 lutego

Kupiłam Władowi swetr, który w odróżnieniu od wszystkich innych kupionych przeze mnie dotychczas podobał mu się bardzo. Rano dzwoniła Lena z Londynu z wiadomością, że „Jewish Quaterly” przyjęło dwa wiersze“Birds” i „Curriculum vitae” tłumaczone przez Renię.¹ To była dobra wiadomość. Lekcje przeszły dość dobrze. Na zaawansowanym lektoracie zrobiłam rozgrzewkę z czasowników, trudniejszych na podstawie Schenkera. Było pewne zakłócenie w komunikacji, toteż musiałam jechać autobusem aż do 57. ulicy i siedząc w autobusie miałam szaloną satysfakcję, że nie jestem na Jurzykowskim². Kiedy przyszedłam do domu, Władek już się golił i około dziewiątej wyszliśmy do „Mirage’u”. Już parkując spotkaliśmy Marka i Edka. Było nadzwyczajnie. Tamara i Izio zebrali grupę i naszych serdecznych przyjaciół. Byli Szczeciniacy ale i Webowie, Fela z Saszą, Lusia z Kubą, Chmielnicy. Słowem ...

Sobota, 3 lutego

Telefony, prasowanie, obiad. wieczorem zadzwonił Janek Kott i chciał wiedzieć o Jurzykowskim, powiedziałam mu, że z przyjemnością skorzystałam z innego zaproszenia na ten wieczór. Janek powiedział: „Barańczak rozdzielił nagrody swoim kolegom, ale myśmy w „Kuznicy” to samo robili.” Trudno o lepszy komentarz do całej sprawy. Janek ma bardzo dobry okres. Włosi chcą wydawać wszystkie jego książki. Coś tam, coś tam. Między innymi jedzie na trzydniowe seminarium do La Jolli, gdzie byliśmy z Władkiem półtora roku temu. Miejsce niezwyklej urody. Renata³ pośredniczy w wydaniu jego biografii w Paryżu. Janek mówi, że po wydaniu tej biografii (za parę dni) wszyscy rzucą się na niego i zostanie z niego kosteczka.

Niedziela, 4 lutego

Rozmowa z Ojcem, Mamą, Renią, Iziem, Markiem. Władek poszedł do pracy, ja wpisałam parę tych notatek (wczoraj przyszedł kalendarz) i zaraz zaczynam pracę właściwą.

Środa, 7 lutego

Od rana siedziałam przy poprawianiu ćwiczeń, przygotowywaniu lekcji, listy obecności, itp. Przyszła p. Jadzia. Jej syn nabiwił się choroby wrzodowej po dość krótkim pobycie tu – aspi-ryna, spirytus, itp. Potem zakłócenia w komunikacji, ledwo zdążyłam na lekcję. Po zajęciach z Tenley czytałam „Rzecz listopadową” Brylla, bo ona to czyta jako lekturę i wielu rzeczy nie rozumie. Mnie to śmiertelnie nudziło i męczyło analizowanie. Jest tam masa przejrzystych dość aluzji. W domu byłam o ósmej, obiad skończyliśmy o dziewiątej, oboje śmiertelnie zmęczeni. W nocy obudziłam się o drugiej i czytałam wstęp Datnera do wypisów z Talmudu.

Czwartek, 8 lutego

Dziś rano terapia, potem poczta. Ponieważ jutro idę z Corą na lunch, to przygotowałam już dzisiaj lekcję, żeby mieć wolne przedpołudnie. Znów odczuwam zmęczenia, jakby ten miesiąc żelaza nic nie znaczył. Dziś dostałam od Heńka wycinek z „Kultury” – potworne rygowiny. Jakaś euforia drukowania najgorszych brudów, m.in. takiego Brychta.

Piątek 9, lutego

12:45 „Symposion” – lunch z Corą.

Wtorek 13 lutego

Oddałam bursztyny do nawleczenia. Są to bursztyny, które dostałam od Poli Lewin, której siostra była żoną Zyga – brata Mamy. Pola przyjechała tu raz i obdarowała nas bursztynami. Podobno chciała jeszcze czymś obdarować rodzinę, pozbiierała adresy, ale zmarła zanim to zrobiła, Tak przynajmniej uważa Mama. Pola powiedziała Mamie, że Zygo widział, jak zatłukli jego ojca, a naszego dziadka. Zygo i jego rodzina zginęli, Poli syn zginął. Myśmy byli dla niej czymś w rodzaju rodziny. Przed śmiercią miała atak serca i po ataku mąż już nie zabrał jej do domu. Oddał do jakiegoś domu opieki i tam zmarła. Podobno Heniek W. też zaniedbał Blumę przed śmiercią, a kiedy zmarł, 2 tysiące dolarów (prezenty Blumy siostry i innych, nasze też może) poszły na skarb państwa.

Czwartek, 15 lutego

Rano terapia. Potem wysłałam Pawłowi zreperowane buty, coś niecoś kupiłam. Sprawdzanie prac domowych. Sprawy, które wylatują z pamięci natychmiast po stracie czasu na nie.

Piątek, 16 lutego

Jest po dziewiątej wieczorem. Już drugi dzień biorę antybiotyki w wyniku własnej decyzji, ale nie mogę się zorientować, czy to infekcja po wyrwaniu zęba, czy ból innego zęba. Chociaż zapomniałam okulary w domu, lekcje przeszły dość dobrze, w dobrym tempie. W domu list od Halinki K. ciekawy i miły, ale te wszystkie historie o biednych emigrantach i opozycjonistach, którzy stali się senatorami i posłami, są dla mnie jakieś operetkowe. Z jednego nierealnego życia do drugiego nierealnego życia. Toteż odebraliśmy to z mieszanymi uczuciami. Teraz wysyłam do Reni wiersze: *Na autostradzie, Do archeopteryksa, Jeszcze w drodze, Choroba, Chłodna noc, wiedza ezoteryczna, Jak z baroku, Poetyka*. W „Nowych książkach” Krystyna Kofta pisze to, co i ja myślałam, że ten Kuczyński Nałkowskiej spalił egzemplarz Schulza z zazdrości nie o Nałkowską, ale o talent Schulza. Zmęczeni jesteśmy oboje. Władek zasnął na kanapie. Całe szczęście, że jutro nie idzie do pracy.

Środa, 21 lutego

Namówiłam Renatę, aby przyszła na PEN-owska uroczystość Spielvogel-Diamonstein Award (7 West 43 Street Gallery). Trochę dlatego, że nie byłam pewna, czy zdołam ją zobaczyć. Przyszła z Jurkiem Warmanem, nawet okazało się, że w jednej z nagrodzonych książek cytują jej przekład Zagajewskiego. Po eleganckiej przystawce w Gallery poszliśmy na obiad do jakiejś francuskiej restauracji, co naturalnie kosztowało dużo więcej niż miałam przy sobie. Ale ładnie wyglądałam (powiedziała Renata), dobrze się czułam, więc i odżałowałam ten obiad.

Przed południem przeprowadziłam Oral Proficiency Test z Timem i Elizabeth w związku z listami polecającymi, o które prosili.

Czwartek 22, lutego

Ostatni dzień terapii i nie dzwonię do dr Springera. 5:00 w Low Library uroczystość na cześć Vaclava Havela (Havla). Poznałam młodego specjalistę od literatury (powieści) południowo-słowiańskiej – Bogusława Zielińskiego z Poznania. A tuż przy wyjściu, prawie przypadkowo – Stanisława Stabryłę. Wymieniliśmy adresy podczas jazdy pociągiem. Przedtem Janek powiedział mi, że professor Harold Segel nie został zaproszony przez pomyłkę. Mój „złoty” orzeł w koronie robi furorę, ile razy go założę.

Piątek 23, lutego

Rano napisałam list do prof. Mieczysława Biskupskiego z Rochester, załączyłam resume i trzy recenzje z ostatniego tomiku. Na Columbii zaniósłam listy polecające, wreszcie udało mi się przyłapać Janka. Dałam mu wino, które leżało w moim biurku dobre



parę tygodni i załatwiłam spotkanie dla Andrzeja. Spotkanie będzie wieczorem, ja będę wprowadzać. Jak i zresztą w Instytucie. Właśnie dostałam list od prof. Gromady w tej sprawie. Zdołałam, czy też raczej zdążyłam, wcisnąć Jamie jeszcze jeden przypis. Od prof. Miodunki bardzo wzruszający list.

Wieczorem rozmowa z Zaremą i Andrzejem M.⁴ Próbowaliśmy ustalić inne szczegóły odczytu.

Tłumaczką ma być Ewa Brentley, profesor prawa międzynarodowego w TAFT (niewidoma).

Sobota, 24 lutego

Dzwoniłam do Biskupskiego i zostawiłam wiadomość, że oddzwaniam.

Czwartek, 1 marca

Od 10:00 do 12:00 byłam na tej lekcji komputerowej, ale nie byłam zachwycona. Niemniej jednak wiele informacji, które przydadzą się.

Piątek, 2 marca

Seminarium slawistyczne w Klubie Uniwersyteckim. Właśnie Bernice Rosenthal mówiła o wpływach Nietzche’go w Rosji porewolucyjnej. Dość naciągnięte, mało udokumentowania, dużo zgadywania. Zaatakowała ją Catherine Clark i inni.

Postanowiłam, że będę unikać tych obiadów poseminaryjnych, bo są trochę nudne.

Środa, 7 marca

Rano zadzwoniła Goga (Chełkowska) i zaprosiła nas na czwartek na drinka, którego oni urządzają na cześć p. Izabelli Cywińskiej – Ministra Kultury. Okazało się później, że Piotr⁵ i Pani Minister skalki kiedyś w Zakopanem przez ognisko. Przed lekcją miałam jeszcze godzinę czytania z Jonathanem, potem lekcje, potem

Wieczorem siadłam do bibliografii i robiłam to do wpół do czwartej nad ranem. Nie wszystkie wiadomości (rubryki) są „eksportowane” do gotowej bibliografii. Trudno mi powiedzieć, dlaczego. Musiałabym wczytać się znów w instrukcje, które mnie zabijają, ale z którymi daję sobie jednak radę. Ach i właśnie to jest dzień pierwszego mojego krachu na komputerze. Zadzwoniłam więc natychmiast do tzw. pogotowia komputerowego na uniwersytecie i oni, a właściwie pewien Jeff, mi pomógł. Psychicznie może bardziej sam fakt, ale też informacyjnie.

Czwartek, 8 marca

Przed południem prasowanie, fryzjer, kosmetyczka. Stwierdziłam jednak, że wolę prasować bez radia lub telewizora. Cisza, cisza

Wieczorem u Gogi i Piotra (Chełkowskich). Poznałam p. Minister – Izabelę Cywińską. Miałam książkę (przeznaczoną właściwie dla kogoś innego, kogo tam nie było), więc zapytana – podarowałam jej. Wszyscy byli bardzo serdeczni – szczególnie dla mnie p. Ada Lubomirska, Liz Lipton, p. Kropka Gośławska, Dudzińscy i Janusz Glowacki. On szczególnie. Powiedział, abym zdała sobie sprawę, że oferta z Czytelnika jest bardzo ważna, bo (o czym wiem) oni rozwiązują umowy z wieloma pisarzami. Wstyd mi było, bo okazało się, że nie czytaliśmy jego felietonu (zresztą bardzo dobrze) w Arts and Leisure New York Times’a.

Piątek, 9 marca

Andrzej (Milczanowski) i Maciek z Grażyną (Ołtarzewscy) przyjechali około 10:30, do tego czasu miałam już sprawdzone ćwiczenia studentów, zaadresowane i zważone koperty z bibilografią do profesorów Yurieff i Rudy’ego i inne drobiazgi. Zjedliśmy szybko śniadanie i Andrzej powiedział mi wszystkie nowe funkcje, które wprowadził do tekstu na komputerze. Dopiero czytając ten tekst wieczorem w Instytucie zauważyłam, że zamiast „tuż przed wojną”, napisałam „tuż przed pierwszą wojną”. Odczyt Andrzeja udał się doskonale moim zdaniem. Mówi z notatek, nie czyta, ale płynnie, bardzo żywo, prawdziwy orator. Przyszedł Adolf Reut, bardzo było to wzruszające spotkanie. Bardzo się postarzał – podobno żony go tak wyczerpały. Sam to powiedział o pierwszej. W trakcie przyszedł Kłopotowski, a potem Ruszar. Dowiedziałam się, że są bardzo zajęci (zrobiłam mu wymówkę, że WE (Wolna Europa) nie zajęła się należycie Andrzejem), bo wkrótce ma tu przyjechać Mazowiecki, a przedtem ktoś, kto to przygotuje. Zapomniałam nazwiska. Ruszar powiedział: cały rząd polski zamiast tam, to jest tutaj.

W skrzynce swojej w biurze znalazłam kartkę od Jeanne i czekoladki.

Sobota, 10 marca

Po raz pierwszy piszę piórem Mont Blanc, które wczoraj o dwunastej w nocy dostałam od Władka na urodziny. Pióro ma złotą stalówkę i Władek denerwuje się, że nie piszę nim dobrze. Wręczył mi je wczoraj o dwunastej w nocy, kiedy siedzieliśmy i gadali z Andrzejem Milczanowskim. Prócz Grażyny i Maćka, którzy przyjechali z Andrzejem, byli Kobylińscy. Było bardzo ciekawie, no i po całym dość napiętym dniu – relaksowo.

Zauważyłam, że szczegółowe sprawy rozgrywek politycznych nie tak mnie interesują.

Dziś wstaliśmy z Władkiem przed gośćmi, poszliśmy dokupić coś do jedzenia i przy okazji Władek (chciał iść sam) kupił mi różę. Poprosiłam więc o herbaciane, bo takie mieliśmy na ślubie. Gdzieś koło drugiej goście odjechali. Do tego czasu i potem kilka telefonów z życzeniami. Ja podziękowałam Bartkowi za piękne opracowanie „Ptaków”, które ukazało się dziś w „Przeglądzie”. Lusią z Kubą i dziećmi wpadli przynosząc wazon z dekoracjami. Dostałam wspaniałą kartkę od Kotta. Bardzo osobiste od Władka i Mamy, i od Feli to, co chciałam – dużą kosmetyczkę.

Niedziela, 11 marca

Jest godzina 12:33. Uzupełniłam notatki, rozmawiałam z Mamą, Liz L. i Renią. Okazuje się, że Biskupski rozesłał zaproszenia na piątek, nie na środę, ale podobno skorygował to zawiadamiając ludzi na jakimś zebraniu.

Renia też zajęta niesamowicie. Pisze pracę o Strykowski, niedawno zginęło jej 2 godziny pisania w komputerze. Ponadto zamówili u niej z Endowment of Humanities jakiś tekst o Miłoszu do Newsletter. To chyba wszystko, co mi powiedziała. Ona przyjeżdża z Bronką Karst.

Poniedziałek, 12 marca

Poniedziałek bardzo intensywny. Podczas dyżuru pracowałam z Jeffreyem, a tuż przed drugą przyszedł Jonathan. Dwie lekcje i potem Tenley poprosiła mnie, żebym z nią posiedziała i czytała Goetla, pewne miejsca, których nie rozumiem. Siedziałam do 7-mej. W domu byłam przed dziewiątą wyczerpana zupełnie. Nie znam tych tekstów w całości, nie znam dorobku autorów (Bryll, Goetel), ona rozumie dość dużo, ale też piąte przez dziesiąte, bo teksty są aluzyjne. I chciałabym wiedzieć, jaki cel ma w tym Segel i jaką korzyść ona odnosi z pisania tych prac, w których bibliografia składa się z dwóch pozycji.

Wtorek, 13 marca

dość pracowity. Sprawdzanie ćwiczeń i przygotowywanie pytań do „Wielkości i upadku pojęcia piękna” Tatarkiewiczza. To zajęło mi czas gdzieś do trzeciej. Potem napisałam list do Henryka Chłystowskiego z „Czytelnika” (pisałam przez kalkę) i do p. Stefy. Po obiedzie wieczorem ułożyłam program wieczoru w Rochester, wybrałam przekłady, zrobiłam spis na komputerze i przesłałam Reni. Skończyłam gdzieś koło dwunastej. Władek trochę źle się czuł i spał trochę w ciągu wieczora.

Rozmawiałam z Rochelle i z Marlene.

Rochelle po podróży pociągiem 24 godziny z dwojgiem dzieci na Florydę i po wizycie u matki. Marlene w dość ciężkim nastroju. Wciąż przeżywa tę sprawę z F., chociaż to już tak dawno się skończyło. Żał mi jej, ale też ona sama te związki ściąga na siebie.

Środa, 14 marca

Wysłałam wcześniej na Columbię, żeby załatwić sprawę reformowania dyskietki, powiedziano mi (to co mówiła mi Jamie, a czego jednak nie wiedział Jurek D. zapytany okazynie), że to sprawa programu, a nie dyskietki. Poprosiłam Franka i umówiliśmy się, że wieczorem do niego wejść.

Miałam trochę czasu więc weszłam do czytelni wydziałowej uzupełnić bibliografię. Po zajęciach poszłam do Franka. zrobił mi dwie kopie – Microsoft 4 i rosyjskie czcionki. Był u niego David, który tu często przyjeżdża. Frank znów ma dwa psy. Jednego ktoś wyrzucił z samochodu i odjechał, z tym psem odprowadził mnie na stację. W tamtej dzielnicy to rzeczywiście dobra inwestycja.

Wieczorem załadowałam ten program do mojego komputera. tym razem Władek stał przy mnie – trochę pokrzykiwał, ale zawsze było mi przyjemniej. Wszystko skończyło się dobrze, mogłam robić poprawki, co i robiłam do 12. w nocy.

Czwartek, 15 marca

Sen dziwny bardzo. Otóż przyjechała Małgosia Rz.(P.), piękna bardzo i miała być u mnie jeden dzień. W tym samy dniu miał być też Miłosz (sic!). Był tu niedawno w Nowym Jorku i nawet nie poszłam złożyć mu hołdu, jak niegdyś, czy też jak zawsze, kiedy przyjeżdżał. Ale wracam do snu: ponieważ rozmawiam z Miłoszem, Małgosia obraża się i znika. Potem ja muszę gdzieś wyjść, ale z dołu zawracam, żeby zostawić jej na drzwiach karteczkę. Tymczasem w domu śmiech, rozmowy, jest tam Małgosia, zaglądam do kuchni, a tam pełno Irańczyków. Siedzą tak, jak kiedyś Arabowie w „Gongu” w Alejach Jerozolimskich. Małgosia wprost mówi mi, że to z zemsty ich przyprowadziła. Weszli jakimś ukrytym w ścianie wejściem przez strych. Jestem dotknięta do żywego. Mój dom „najechany”, znają tajne wejście, krępują się, a może boję się ich wyprosić. Przychodzi Władek, nie wiem, czy oni wiedzą, że jesteśmy Żydami i czy Małgosia nie rozumie, że to dodaje sprawie jeszcze jakiegoś wydźwięku. Czy ona zrobiła to specjalnie, biorąc i ten fakt pod uwagę?

Dziś piórę przed południem, a potem na New York University i Columbię.

Piątek, 16 marca

W tym śnie „Małgosia” na tyle się zmaterializowała, że Fela dostała nagle list od swojej przyjaciółki Małgorzaty po wielu latach milczenia. Zdaje się, że wczoraj czy dzisiaj.

Przed zajęciami poszłam do International Literary Centre, gdzie Zdzisław Gremski zostawił dla mnie książki, z których mogę skorzystać i przekazać dalej do Polski.

Sobota, 17 marca

Wszystko idzie mi jak po grudzie i Władek mówi: „Welcome to the club”.

Parę dni temu widziałam w pociągu jednego z tych nienormalnych oratorów, których nieraz się widzi na mojej trasie. Szczupły, czarny i – choć młody – nieco pochylony. Co ciekawsze, mówił łagodnym głosem. Zwykle staram się nie zwracać uwagi lub udawać, że nie zwracam. Tu uderzyła mnie jedna dość ciekawa rzecz – on mówił do ludzi nie patrząc na nich. Linia jego wzroku padała dziwnie obok, w przestrzeń, poza linią wzroku osoby, do której mówił. Kiedy to zauważyłam, starałam się złapać jego wzrok, w sposób widoczny słuchałam i on na mnie spojrzał tym zupełnie niepatrzącym wzrokiem. Przypomniłam sobie wówczas, że wg. historyków sztuki tak właśnie przedstawiano osoby z rzymskich rodzin cesarskich, aby ich linia wzroku nie mogła zetknąć się z linią wzroku patrzącego. Było to wg. Rzymian atrybutem boskości.

Niedziela 18 marca

Władek po całonocnej pracy przyszedł o ósmej do domu, zjadł śniadanie i położył się. Ja natomiast wstałam trochę późno i po obłuczach usiadłam do komputera. Miałam trochę frustracji z pewnymi technicznymi problemami. Wyszliśmy z Władkiem na zakupy, kupiliśmy mięso w koszerным sklepie, bo w „Walbaum’s” niesamowita kolejka, a nasz mięsny – zamknięty. Zrobiłam kurę i klops, Władek wybrał klops.

Po obiedzie znów trochę pracowałam, ale mało wydajnie. To męczy mnie. Mało co udaje się za pierwszym razem.

Wczoraj Heniek powiedział, że nasze zajęcia są podzielone – on pisze, ja czytam. Może i tak. Ale wciąż jeszcze za mało czytamy. Rozmawialiśmy o „Annie Kareninie”, o tym, jak zmienia się percepcja (to moje zdanie) Karenina przy drugim i trzecim czytaniu. Heniek twierdzi, że też wmawiano nam, że Karenin to carski biurokrata.

Kupiliśmy z Władkiem nowy atrament – czarny.

Środa, 21 marca

Wyszliśmy z Władkiem parę minut po siódmej i o ósmej byłam już na lotnisku. Do odlotu (1.5 godz.) trochę czytałam – duży artykuł o Rosji w „New Yorkerze” Jamie Kramer. Samolot maleńki, na 22 miejsca jechało 7 osób.

W Rochester najpierw zobaczyłam Heńka a potem Ewę z jakimś kolegą – David Ost(?), był w Polsce na stypendium Fullbrighta. Heniek był lekko rozkapryszony, zdenerwowany; nie lubi podróżywać, ale na lunchu w eleganckiej restauracji, przy galerii, trochę jakby się rozpogodził. Przy okazji kupiłam masę drobiazgów na prezenty. Lunch, a potem obiad w hotelowej restauracji – doskonałe. Wieczór względnie udany, filmowany na video. Heńka wiersze wzruszyły mnie po raz n-ty. On też z większą uwagą przyjmował moje wiersze, bo o niektórych, znanych mu przecież, wypowiadał się z entuzjazmem. Po wszystkim – Ewa, Renia, Bronka i Heniek poszliśmy na drinka.

Czwartek, 22 marca

Kiedy wreszcie dziesięć minut przed odlotem wypuścili nas na płytę lotniska, poczułam zapach chakterystyczny dla syropu z klonów cukrowych. Może to tylko zawiąło z lotniskowej restauracji, a może właśnie od klonów, bo przecież to już Ontario a w każdym razie tu właśnie przechodzi kanał łączący te wszystkie jeziora, zbudowany dawno, w XIX wieku, może wcześniej. Tuż obok hotelu jest wiadukt nad kanałem i za hotelem tory kolejowe. Zresztą sam hotel „Depot” w miejscu dawnej stacji kolejowej. Dwa razy w ciągu nocy słyszałam przejeżdżający pociąg.

Podróż do domu bez specjalnych atrakcji. Samolot może za długo krążył w powietrzu, no i trochę za dużo podskakiwał.

Piątek, 23 marca

Od rana zabrałam się ostro do pracy. Wysłałam paczkę do Kowalików z prezentem dla malucha. Przeczytałam do końca i poprawiłam pracę, naniósł poprawki na tekst w komputerze. Zadzwoniłam do prof. Rudy’ego i on zapowiedział, że będzie miał drobne poprawki też.

Wieczorem przyjechał Paweł z trzema kolegami. Rozłokowali się (dwóch spało u nas, trzeci u Daniela) i poszli do miasta. Dwóch z nich nigdy nie widziało Manhattanu.

W nocy posiedziałam trochę nad antologią; teraz żałuję, że się zgodziłam to robić. Za dużo napięcia i praca trochę ponad siły, bo przecież moje wyczucie angielskiego nie jest najlepsze.

Sobota 24 marca

Rano brunch na 7 osób, z nami i z Danielem. Po wyjściu gości przygotowałam się do lekcji.

Po południu z Władkiem u Rodziców, wieczorem w domu. Kiedy szykowaliśmy obiad, przyszedł ci wszyscy chłopcy w przezwie pomiędzy jednym i drugim chodzeniem. Dwóch przespalo się, dwaj oglądali telewizję. Było trochę nieswojo jeść, kiedy oni byli głodni, ale wreszcie przed dziewiątą wyszli na ten swój obiad do Chinatown. I wieczorem oglądając telewizję wyprasowałam koszule.

⁴ Milczanowski

⁵ Piotr Chełkowski, znakomity orientalista, obecnie emerytowany profesor Uniwersytetu Nowojorskiego

Niedziela, 25 marca

Rano brunch, pogadaliśmy trochę z Pawłem i gdzieś koło trzeciej odjechali. Zadzwoniłam do Jamie i skonsultowałam się z nią w sprawie poprawek stylistycznych. Naniósłam na tekst. Trochę po piątę poszliśmy z teściem do restauracji na chiński obiad. Potem znów pracowałam trochę wieczorem, ale Władek oglądał film więc w końcu to mnie skusiło. Zdecydowałam się też odwołać lekcję na rzecz uroczystości w katedrze St. John the Divine, ale trochę mnie ta decyzja męczyła. Zresztą powodem psychologicznym były dwa wypracowania (Tenley i Sean’a), które uświadomiły mi, do jakiego stopnia wciąż jeszcze czytany tekst nie dociera do nich. Szczególnie rozczarowana jestem Tenley, bo ona właśnie przez swoją elokwencję niepoddana żadnej dyscyplinie intelektualnej jest męcząca. Jest dość sprawna językowo, tylko tu znów ponosi ją wypowiedanie i cierpi na tym poprawność.

Poniedziałek 26 marca

Wstałam o 6:30, przed ósmą wyszłam z domu i bez problemu zdążyłam na konferencję. Jeszcze przedtem weszłam do Janka, wziąłem telefon Sean’a, zadzwoniłam z budki i już spokojnie siedziałam i słuchałam sesji. Reni referat bardzo był dobry, jak również profesora z Jewish Theological Seminar. Był też profesor z Kijowa – Pohribny. Samo w sobie ciekawe, ale nie miało to w sobie tej ostrości i klarowności, do której już tu się człowiek przyzwyczaił, a ponadto dużo tam tzw. wishful thinking⁶. Nie mogłam niestety zostać na drugiej części konferencji. Podczas dyżuru – Jeffrey, a potem Grażyna Drabik przyszła po materiały do języka polskiego. Lekcja urwana o 3:30 ze względu na uroczystość w Katedrze. Wreszcie sama uroczystość⁷ (dość udana) choć z daleko mniejszą pompą niż ta dla Hawela i powrót z Kobylińskimi (częściowy). Po obiedzie tłumaczyłam jeszcze z Felą jakiś list na Zjazd Łódzian.

Środa, 28 marca

Poszłam na wieczór poezji ukraińskiej w Marymont Manhattan Theater 221 East 71 Street).

Sobota, 31 marca

Dean’s Luncheon z Geremkiem. Na liście gości znalazłam się na wniosek Franka. Przed lunchem prelekcja uniwersytecka. Bardzo wybrane grono, stamtąd na lunch już tylko 35 osób. Ze znajomych profesor Milenkovitch i Welliszowie. Poprosiłam ich, aby przedstawili mnie Geremkowej. I okazało się, że ona dwa lata temu będąc na stypendium w Waszyngtonie przeczytała mój wiersz (nasz z Heńkiem dwugłos) w „Kulturze”. Musiało to zresztą być wcześniej, ale pamiętała doskonale i było to naturalnie dla mnie wielką przyjemnością. Ona przedstawiła mnie Geremkowi.

Czwartek, 12 kwietnia

Rano, już po powtórny zaśnieńciu, piękny sen – po prostu pejzaż na jakimś intensywnym tle, tuż koło domu. Woda, niebo, ludzie weseli, kolorowi, ruchliwi. Dokończyłam recenzję dla N.V. Press, napisałam list do Fundacji Kościelskich w sprawie „Kadisu”, zaadresowałam kopertę z powieścią M. Keniga. Wyślę to już chyba jutro. Zaczęłam krótką kartkę do Bednarczyków. U Taty był terapeuta (terapeuta?). Będzie znów za dwa tygodnie.

Piątek, 13 kwietnia

Ponieważ nie ma w bibliotece „Żmuta” (zamówiłam przy okazji), wzięłam książkę o Fredrze Rymkiewicza i mniej więcej po przeczytaniu 1/3 zorientowałam się, że pisze on wciąż tę samą książkę, tylko zmienia temat. Zresztą z wierszami jest nieco podobnie. Przy tym ciekawe, że ta książka pisana w Oborach odzwierciedla pewną mentalność, która przy subsydiowaniu literatury wytworzyć się musiała. A więc pisarze swój status życiowy w nieprawdziwym świecie, swoją zupełną niezależność, czy brak związku z rynkiem księgarskim, rzutują niejako wstecz. A zatem doszukiwanie się różnych powodów, dla których Fredro mógłby dbać o opłacalność wydań, tylko nie fakt, że nie chciał dopłacać do tego z rodzinnego majątku. A także przez te ciągle dywagacje książka dość protekcyjna w stosunku do czytelnika. Toteż pożyczyłam „Pięknych dwudziestoletnich” i przeczytałam w ciągu jednego wieczoru. Pierwszy raz i z dużym przejęciem. Dramatyczny los Hłaski. A co ciekawe, Heniek jest mu bliższy bardziej niż przypuszczałam. I bardzo dobre to, co pisze o Wajdzie, krytyczne. To znów pisarz, który nie został zawodowcem.

Wieczorem zadzwoniła p. Geremkowa. Jej bardzo podobają się wiersze z „Którego lasu”, szczególnie te o śmierci J.⁸ Oni też stracili wielu przyjaciół. Spotkamy się w środę.

Sobota, 14 kwietnia

Dziś wybuchła bomba z moją obroną. Otóż wczoraj David Andrews podbudował mnie trochę, abym jednak przycisnęła Rudy’ego. Dziś dzwonię do niego, (Rudy’ego) i on mówi: zwolaj komisję. Wyprowadził mnie niezłe w pole, przecież czekałam na jego poprawki. Juriewa⁹ prawie (albo w ogóle) ze mną nie

rozmawia, tylko przez panią Walerię¹⁰. Czasu nie ma już prawie na czytanie, Fryśćák oburzony, że Rudy czyta przed innymi, radzi ustanowić obronę na siódmego rano. Charlotte Douglas wyjeżdża właśnie siódmego wieczorem, Juriewa 9., a Fryśćák 3. na dwa dni. On (Rudy) trzymał to nie wiadomo po co 6 tygodni. Fryśćák sugeruje, żebym może przełożyła na jesień i starała się o zwolnienie z opłaty za jesienny semestr. Praktycznie nie ma już czasu na zrobienie tego. I naturalnie wychodzą wszystkie anse jednych przeciw drugim. Teraz czekam na telefon prof. Douglas. Zobaczymy.

Poniedziałek, 16 kwietnia

Rozmowa z prof. Charlotte Douglas w sprawie obrony.

Wtorek, 17 kwietnia

Rozmowa z prof. Hanną Arie-Gaifman w sprawie obrony. Ojciec Władka na obiedzie.

Środa, 18 kwietnia

Jeszcze raz przekonałam się, że należy zawsze z pewną poprawką stosować się do rad innych kobiet. A.B. poradziła mi restaurację, która okazała się pełnym niewypałem. My, tj. ja i A.B. nigdy do niej nie chodzimy. Podobną radę dała mi kiedyś Z.B. – skrytykowała moją czarną sukienkę, ja jej nie włożyłam, a ona włożyła właśnie czarną.

Niemniej jednak, chociaż restauracja słaba, rozmowa bardzo przyjemna, powiedziałabym – szczerza, obejmująca sprawy rodzinne, intymne. Hanna będzie po raz drugi babcią.

Czwartek, 19 kwietnia

Rano z Władkiem do miasta. Odbieramy kopie pracy i rozwozimy do NYU¹¹ dla prof. Charlotte Douglas i Hanny Arie-Geifman, a potem do prof. Juriew na lunch, gdzie zostawiamy maszynopis dla prof. Fryśćąka. Lunch w bardzo miłej atmosferze.

Poniedziałek, 7 maja

Od godz. 4:10 egzamin dla grupy średniozaawansowanej.

Wtorek, 8 maja

Obrona pracy doktorskiej – NYU.

Środa, 9 maja

1:10 egzamin dla grupy początkowej.

Sobota, 12 maja

Obudziłam się 17 po piątę i już nie mogłam spać, toteż wykąpałam się i już o szóstej byłam prawie gotowa. O ósmej wyszliśmy z domu i gdzieś o dwunastę (z półgodzinną przerwą) byliśmy u Pawła.¹² Pogoda była piękna więc zamiast planowanych zakupów pojechaliśmy nad brzeg oceanu. Kilka odważnych osób uprawiało tzw. surfing. Widziałam też coś, co bardzo mi się podobało, tzw. „wind surfing” na piasku. Deska na kółkach i do deski przymocowany żagiel. Stoi się na desce i manipuluje żaglem przy pomocy specjalnej drewnianej obręczy przymocowanej wpoprzek do ramy żagla. Po mokrym piasku jechać można z dużą szybkością. Wieczorem zjedliśmy obiad we włoskiej restauracji i Paweł wypożyczył „The sea of love”. Był bardzo rozczarowany, kiedy powiedzieliśmy mu, że widzieliśmy ten film.

Niedziela, 13 maja

Od rana lało, co jeszcze potwierdziło słuszność decyzji Pawła, aby odłożyć zakupy właśnie na ten dzień. Gdzieś koło 12. wyszliśmy z domu, w „Herman” Paweł i Władek kupili sobie tenisówki (Paweł ma 20% zniżki), potem kupiliśmy prezenty dla Colleen na „graduation”. Paweł złotą bransoletkę, my – torebki do kosmetyków. Tu i tam starałam się złapać coś, ale Paweł nie miał za dużo cierpliwości, Władka bolał krzyż więc wróciliśmy do domu. Tymczasem wieczorem po przyjeździe do restauracji, na którą nastawałam, bo smakowała mi tam kaczka poprzednio, zobaczyliśmy puściutką restaurację i w dodatku nie mają kaczki. Było jednak nadzwyczaj przyjemnie. My sami ale jedzenie wyśmienite. Wieczorem Paweł zmusił nas do oglądania „Look who is talking”. Broniłam się trochę. Może się mylę, ale uważam, że film, sam pomysł, jest plagiatem pomysłu Białego „Kotik Letajew”.

Poniedziałek, 14 maja

Rano wstaliśmy, zebraliśmy się bez pośpiechu. Miałam okazję zauważyć, jak Paweł robi sobie kanapkę na lunch. Przed wyjazdem wstąpiliśmy do sklepu z przyborami piśmiennymi i kupiłam Pawłowi jeszcze parę drobiazgów. Jechaliśmy od 11.00 do 3.00 z półgodzinną przerwą na lunch i parominutową wizytą u Kuby. Wieczorem pojechaliśmy do Ojca (Władka) zobaczyć się z nim i odebrać dawno zamówione skarby – obraz i wazon. Chociaż było późno, rozpakowaliśmy wszystko i powiesili obraz na ścianie. Jest piękny i zmienia cały pokój. Oboje byliśmy bardzo zadowoleni.

¹⁰ Valeria Filip

¹¹ New York University

¹² w stanie Rhode Island

Wtorek 15 maja

Rano wypełniłam arkusze egzaminacyjne i pojechałam na Columbię. Z Felą Dobroszycką byliśmy umówione na lunch i zjadłyśmy w Olie’s. Było niezłe jedzenie, tylko może nie trzeba tam zamawiać kaczki, bo trudno ją jeść samymi widelcami lub pałeczkami. Potem oddałam wyniki egzaminów w sekretariacie, poprawiłam swoje C.V. – wpisałam obronę pracy i na tym praktycznie zakończyłam semestr. W skrzynce znalazłam propozycję napisania recenzji z jakiejś książki o Iwanowie. Byłam zdziwiona (już, tak szybko?), ale i nie mile zaskoczona – przecież chcę od tej tematyki odpocząć, Ale pewnie zgodzę się, bo z drugiej strony dość dużo o Iwanowie wiem, a to wymagałoby też postudiowania Dante’go.

Środa, 16 maja

Pierwszy dzień całkowicie w domu, tj. bez żadnego obowiązku zewnętrznego. Odmroziłam

lodówkę, napisałam kartki z podziękowaniem do członków komisji, adatowany list do Czytelnika w sprawie grafik Bartka Małysy. Może zechcą wykorzystać (grafiki). Potem kartki do Mani, Beaty, Barbary i Izia, Kowalików. Napisałam też krótki liścik do Hani Geremek, której zdjęcie znalazłam w *Columbia Record*.¹³ Zamówiłam też wizytę do lekarza i umówiłam się z Bolkiem Wierzbiańskim¹⁴ na lunch.

Zaraz przyjdzie Władek i pójdziemy na jakąś pizzę, bo już kupować i gotować nie miałam czasu ani chęci. Za to najważniejsze zadanie na dzień dzisiejszy – nieruszone. Miałam zdecydować, jakie wiersze powinny wejść do angielskiego wyboru Reni.¹⁵ No i wyprasować koszule. To odkładam już od wielu dni.

Czwartek, 17 maja

Spotkanie z Renią w Instytucie i potem spacer, a także posiłek w jakiejś japońskiej restauracji.

Poniedziałek, 21 maja

Na Avenue R i East 8. (ulicy) widziałam cudownego kardynała, na zielonym tle ogrodów wyglądał bajecznie.

Środa, 23 maja

Rano wizyta u lekarza, potem lunch z Bolkiem Wierzbiańskim w Grenouille na 55. ul. między 5. i 6. Ave. Bolek powiedział, że jest to ta sama restauracja, do której zaprosił Geremka.

Wtorek, 29 maja

Już czwarty dzień jesteśmy w domu razem. Władek idzie do pracy wieczorem. Po obłucjach, śniadaniu i wymianie zdań siadam gdzieś przed jedenastą do komputera. Wczoraj w nocy skończyłam poprawiać rozdział Briusowa. Dziś resztę z bibliografią włącznie. Niektóre poprawki Fryśćąka zanadto wyśrubowane. Np. wszystkie źródła brytyjskie, na których się opierałam, stosują pisownię Virgil, którą on poprawia na amerykańską Vergil. Ale trzeba przyznać, że przeczytał każde słowo i poprawił wiele z nich. Wstyd mi, bo Jamie przepuściła nieco gramatycznych i ortograficznych pomyłek. Moje transliteracje istotnie pod wpływem (przemownym i nieuświadomionym) polskiej pisowni. Zastanawiam się, czy nie podziękować mu w pracy(?). Deszcz leje od rana, bardzo dobra pogoda na siedzenie przy komputerze, ale wróble nawet mokną i chowają się pod klimatyzator, toteż w pokoju przez te cienkie ścianki rozlega się ćwierkanie zmokniętych wróbli.

Środa, 30 maja

Po dwugodzinnej przerwie w śnie (4-6) wstałam trochę później. Władek poszedł spać o 9. rano.

Różę przepięknę, zmieniałam wodę i nawet ta, co opuściła główkę, podniosła się i rozkwitła. Musi być jakiś silny narkotyk w tych kryształkach, które dają w kwaciarni.

Napisałam list do Tadeusza, Liny, Munira Sendicha w sprawie praw autorskich, kartkę do Ewy Hauser i Stanisława Olejniczaka. Wypełniłam większość papierów do złożenia pacy doktorskiej. Wciąż z lękiem, że się rozmyślą. Jest z tym jeszcze dość formalności. Poprawiłam tekst (na komputerze) wywiadu z p. Wittlino-wą¹⁶ i wydrukowałam na drukarce.

Czytam na zmianę rozmowy z Robertsonem Daviesem i książkę Pameli Davidson o Iwanowie.

Środa, 6 czerwca

Wstałam o siódmej i wyszłam po dziewiątę – gimnastyka (tylko terapeutyczna – na inną nie potrafię się zdobyć), kąpiel, decyzja w co się ubrać itp. O jedenastej byłam w swoim pokoju na Columbi, ale zadzwonił Patryk, że dopiero przyjechał. Odłożyliśmy spotkanie na po dwunastę, na które też się się spóźnił, w kawiarni. Bardzo tam przyjemnie się siedzi naprzeciw Kate-dry.¹⁷ W międzyczasie załatwiłam wizytę w Computing Center (nic

¹³ Periodyk uniwersytecki

¹⁴ Bolesław Wierzbiański (1913-2003) dziennikarz, założyciel i redaktor naczelny nowojorskiego Nowego Dziennika.

¹⁵ *Between dawn and the wind*, Nowy Jork 1991, Przekład i wstęp Reginy Grol.

¹⁶ ¹ Dr Halina Wittlin, wdowa po Józefie Wittlinie. Skamandryci w Nowym Jorku. Z Halina Wittlin rozmawia Anna Frajlich. (Interview). *Więź* XXXIII.11-12 (385-386) (1990) 106-116.

¹⁷ Węgierska kawiarnia, o której dość dużo napisano w różnych tekstach nowo-

nie mogą mi pomóc) i na pocztce. Niewiele czasu pozostało mi na rozmowę z Patrykiem, ale odprowadził mnie do sekrtetaria-tu, skąd Jean już wychodziła. Lunch z Jean i Jill zjadłyśmy w Barnard. Wysłałam listy do dr. Martyniuka z podziękowaniem i do Lublina z „no, thanks” na temat konferencji. Biblioteka i zebranie PEN, ciekawe, dość emocjonalne – sprawa dalszego istnienia naszego „in exile”. Gratulowano mi obrony. Potem bardzo przy-jemny, odprężający obiad w „Cabanie” z prof. Juriew.

Czwartek, 7 czerwca

Wczoraj w domu zastałam od Heńka dużą przesyłkę, m.inn. dwa numery „Tygodnika Powszechnego” z dyskusją o literatu-rze lat 80. i Miłosza „O poezji niezrozumiałej”. Jestem tym prze-sycona, a dyskusja dość taka sobie, wciąż z tej samej kawiarni. Pisze i dyskutuje się o ludziach, których się ciągle widzi. I tylko tych się zresztą czyta. Dziś rano przeczytałam Koczorowskiego¹⁸ bibliografię „Dante w Polsce” i szkic, który Barańczak przysłał Juriewej do „Nowego Żurnału”. Jak zwykle, Barańczak musi coś podzielić na dwie kategorie, w tym wypadku na Obserwatora i Wizjonera (romantycznego). Do tych ostatnich zaliczył Ficow-skiego i Rymkiewiczza, do tych pierwszych wszystkich, których nie pomija milczeniem. Jest on trochę jak Briusow, tylko bar-dziej apodyktyczny. Poeci polscy są albo z jego nadania, albo nie istnieją.

Piątek, 8 czerwca

Poszłam z Rochelle do Museum of Modern Art. Rochelle schud-ła 22 funty, świetnie wygląda. Powiedziała mi, że spotyka się ze mną „under the false pretense”, bo właściwym celem tego spot-kania dla niej jest poczuć się znów o ileś tam lat (18) młodziej i udać przed sobą, że istotnie może chodzić po Manhattanie i oddawać się takim wysublimowanym zajęciom.

Oglądałyśmy wystawę Francisa Becona. Bardzo przycgnębiają-ce. Wyróżniłyśmy dwie cechy chartakterystyczne. Ja (zapewne pod wpływem eseju „Mięso” Jolanty Brach-Czajny): Bacon dąży do znalezienia granicy, za którą istota staje się tylko mięsem.

Rochelle (pod wpływem psychologii): Bacon znęca się nad gło-wą głównie. Po obejrzeniu wystawy poznęcałyśmy się subtelnia nad sobą nawzajem, dotykając – jak dentysta – szpikulcem bolą-cych miejsc. Ona uważa, że ja rozpieszczałam Pawła, bo kupiłam mu komplet do grania w baseball; ja uważam, że ona na pierw-sze skrzywienie się dziecka bierze je na ręce.

Sobota, 9 czerwca

W rozmowach z Robertsonem Daviesem dostrzegam, że opo-wiada on dwa razy tę samą anegdotę o drodze. Raz, że Rzymia-nie zbudowali drogę i Walijczycy nigdy nie musieli im zapłacić, drugi raz, że Walijczycy zbudowali drogę i Rzymianie nigdy za nią nie zapłacili. Zresztą „kto komu” nieistotne, bo anegdota ma ilu-strować fakt, że Walijczycy mają silne poczucie historii i tradycji.

Przypomina mi to, jak Jerzy Szczygieł¹⁹ raz opowiadał, że leży na dachu szopy, wyciąga rękę i zrywa wiśnie z gałęzi, a drugi raz leży na dachu szopy, nad nim kwitnące wiśnie i on... Bałam się, że powie, że wyciąga ręce i zrywa wiśnie.

Przymierzam się do recenzji „Rozmów z Gliwą” Maji, ale coś nie mogę zdobyć się na rozpoczęcie.

Po obiedzie poszliśmy na spacer wzdłuż Ocean Parkway – bardzo dużo różnych drzew, z których wielu nie potrafię ziden-tyfikować.

Wtorek, 12 czerwca

Listy: Tomasz Zygmunt, Wanda Gołębiewska, Regina Grol (kopie), Ewa Hauser, Kartki: Jan Kott, Lena.

Niedziela, 17 czerwca

Drugie wielkie przyjęcie – 40 osób. Przyjaciele ze Szczecina, z Warszawy, z Rzymu i tu poznani w pierwszych latach. Przyje-chał Paweł z Colleen.

Poniedziałek, 18 czerwca

Władek został w domu i poszliśmy razem odnieść do „Prze-glądu Polskiego” recenzję książki o Gliwie.

Wtorek 19 czerwca

Spotkanie z amerykańskim kompozytorem, który chce pisać operę o Polsce, do polskiego tekstu. Nazywa się Roger Davidson.

Czwartek, 21 czerwca

Udało mi się kupić drugi stółek do kuchni. Na obiedzie u Mar-lene, po raz pierwszy w tym mieszkaniu.

Sobota, 23 czerwca

Przyjęcie u Broni i Alika Palmerów.

Wtorek 26 czerwca

Rozmowa z prof. Belknapem w sprawie ewentualnej podwyż-ki. Reszta dnia w katalogach i bibliotece.

Piątek, 29 czerwca

Odłożyłam nieco papierów (p. Jadzia sprzątała), tu i tam zadzwo-niłam i poczytałam. O czwartęj byłam w La Mama i jak się spodzie-wałam, spotkałam tam Janka Kotta. Dzięki temu miałam okazję uścisnąć dłoń Jerzego Grotowskiego. Był to *memorial* dla Ryszarda Cieślaka. Bardzo ciekawie mówili wszyscy, może najciekawiej Pola-cy – Stefan Niedziałkowski, Jerzy Grotowski (nawymyślał wszyst-kim od „obidient dogs”). Ogólna myśl była taka – szybki sukces, szybka realizacja przedstawienia kontra prawdziwa sztuka, praw-dziwe poszukiwania. Była to więc żałoba po Cieślaku, ale – jak powiedział Grotowski – także żałoba po amerykańskim teatrze.

Janek potem zadzwonił i podziękował za to wszystko, co powie-działam o Jego książce, a najbardziej Go wzruszyło to, że p. Lidę nazwałam chórem greckim tej książki.

W La Mamie wszyscy amerykańscy aktorzy cytowali Grotow-skiego dawne (z 60-tych lat) instrukcje po francusku, teraz on mówił po angielsku – nadzwyczajnie źle.

Niedziela, 1 lipca

Wyjechaliśmy z domu o dziewiątej rano i już koło pierwszej byliśmy u Pawła. Po południu obejrzeliliśmy ich (Pawła i Colleen) następne mieszkanie. Piękne, trzeba powiedzieć. Potem spacer nad morzem, obiad i film w domu – „Little mermaid”. Wniosek: kobieta nigdy nie powinna oddawać swego głosu.

Wtorek, 3 lipca

Wizyta w Bostonie. Obeszliśmy tzw. szlak historyczny. Władek posługiwał się mapą, ale można było i bez mapy, bo na chod-niku wyrysowany jest czerwony pas. Naturalnie nie widziałam w Bostonie tego, co mnie interesuje, tj. ani muzeum sztuki, ani jakichś eleganckich dzielnic. Za to byliśmy w prawdziwej włoskiej kawiarni, gdzie piliśmy mrożone capuccino. Wspaniale.

W pewnym momencie weszła bardzo elegancka, nie tak mło-da kobieta, zamówiła jakiś (zapewne) aperitif, wypiła dość szyb-ko stojąc przy barze i wyszła.

Zwiedziliśmy dom Paula Revere i w porcie dwa statki: jeden mały szkoleniowy, a drugi z okresu II Wojny Światowej.

Kolację zjedliśmy w irlandzkiej restauracji, ja – homara pierw-szy raz od lat. Restauracja nazywa się „Czarna róża” – symbolicz-ny kwiat nie tylko w historii Irlandii.

Środa, 4 lipca

Prawie cały dzień spędziliśmy nad morzem w tzw. Brenton Point. Bardzo pięknie – mewy podchodziły prawie pod nogi. Gdy-byśmy mieli jakieś żarcie, podeszłyby prawdopodobnie do rąk. Tymczasem na dzikich krzewach widzieliśmy kosy z tymi czerw-onymi naramiennikami. Potem odrobinkę „spięci” odpoczęliśmy w domu i pojechaliśmy do miasta. Tam mnóstwo ludzi, szliśmy dość daleko ulicą, której nie znaliśmy. Zjedliśmy raczej zły, ale tani, obiad i nagle zauważyliśmy, że coraz więcej osób wali w jednym kierunku – oczywiście w kierunku fajerwerków.²⁰ Poszliśmy i my, w rezultacie staliśmy pod samymi rozbijającymi się raketami.

Zawsze przy fajerwerkach myślę o „Pierścieniu Wielkiej Damy”. Paweł i Colleen byli na *barbecue*, przyszli wcześniej, bo ona musiała przygotować się do pracy.

Czwartek, 5 lipca

Paweł wziął wolny dzień, zwiedziliśmy „Marble House”²¹ i zjedli lunch w restauracji. Po południu wyszłam na dwie godziny nad basen. Bardzo było to dziwne przeżycie. Po jednej stronie krze-wy i dość piękne ptaszki, parę razy podleciał kardynał, którego widziałam już wcześniej koło domu, z drugiej – zwykły hałas basemu. Dzieci skaczą do wody, wołają rodziców, nawołują się nawzajem, bawią się piłką. W środku ja, z tekstem „Dantejski kod rosyjskich Symbolistów”, a więc Beatrycze, Sofia, templariu-sze, rycerze róży. Ciekawe, że książka Daviesa, którą też czytam, opiera się właściwie na legendzie Okrągłego Stołu, a teksty, któ-re czytam do recenzji też do tej legendy sięgają.

Wieczorem we czwórkę poszliśmy na elegancki obiad. Zapomnieli o nas trochę i w ramach przeprosin za czekanie oferowali darmową kolejkę, ale prócz Pawła nikt nie mógł pić.

Piątek, 6 lipca

Rano spakowaliśmy się i wyruszyli do Rimmy i Ralpha.²² Mają piękny osiemdziesięcioletni dom, bardzo duży teren za domem. Spędziliśmy parę godzin na nadzwyczaj ciekawej i przyjemnej roz-mowie. Nie obejrzeliliśmy się i była już szósta. Gadaliśmy przeska-kując z tematu na temat. Rimmy matka pracowała w Warszawie z ojcem Władka, a była także bardzo zaprzyjaźniona z Kuperber-gami, jeszcze sprzed wojny. Historia Rimmy jest też ciekawa. Mat-ka jej siedziała 10 lat w obozie w Rosji. Tam zginął jej (nieznany?) ojciec. Człowiek, który ją zaadoptował mieszka teraz w Kaliforni. Ralph nadzwyczajny.

Do domu wróciliśmy przed jedenastą.

Poniedziałek, 9 lipca

Zadzwo niła Renata i bardzo się ucieszyłam. Właściwie ciekawie nam się rozmawiało po półrocznej przerwie. Z miejsca umówi-łyśmy się na wspólną wizytę u Wittlinowej, a także Renata chce, abym wzięła udział w rozmowie na temat jakiejś książki dla WE.

Pomysł z kupieniem „karmika” za dolara okazał się wspania-ły. Cały czas mamy teraz ptaszki tuż przy oknie. Władek też bar-dzo zaintrygowany – bo to ładne ptaszki, zięby, ale z czerwony-mi łebkami i podbrzuszem (to chyba samce) i szarawe samiczki, a czasem jest ich troje – więc może i rodzina.

Przylatują też ładne wróbelki, ale tyle jest tych odmian, że nie potrafię zidentyfikować.

Piątek 20 lipca

Heńka i moje wystąpienie na wieczorze autorskim na Zjeździe Łódzkich Emigrantów z 1968 r. Publiczność doskonała.

Poniedziałek, 23 lipca (na wakacjach z Ojcem)

O drugiej w nocy zadzwonił telefon. Mirka. Ja spałam w kuch-ni więc pierwsza podniosłam, potem wbiegł Sasza, który spał w pokoju z ojcem. Z odpowiedzi Saszy i jego uspokajania zori-entowałam się, że po tamtej stronie reakcja histeryczna. Prosiła go, żeby poszedł do samochodu czy tam jest czek. Bronił się, rad-ził jej iść spać, ale po odłożeniu słuchawki ubrał się i w tę ulewę wyszedł. Powiedziałam: latarka jest za telewizorem.

Po chwili przyszedł, zadzwonił, poszedł jeszcze raz. Obudzi-łam się już i czytałam artykuł Hannah Pakuły w „Vanity Fair” o Helenie Caucescu.

Rano Sasza zaproponował, że zawiezie mnie do Supermarke-tu. W samochodzie jego matka zaczyna rozmowę:

– Dałam Mirce czek, 5.000 dolarów i ona nie wkłada go do banku. Czy myślisz, że te pieniądze jeszcze są w banku?

– W czymś innym banku – mówi Sasza. O wczorajszym tele-fonie nie wspomina. Obiecuje porozmawiać z Mirką.

Czytam artykuł Iwanowa o Sołowiowie, wczoraj wydawał mi się skomplikowany, dziś już przejaśnia się. A jednocześnie, czyli na zmianę tę pracę w „Tygodniku Powszechnym” o pogromie kie-leckim. O matce i dziecku przy pierśi, o kobiecie w siódmym miesiącu ciąży, o bohaterskiej pielęgniarce, która mogłaby się ukryć dzięki blond włosom, ale została, by opartywać rannych i tam nad nimi została zabita. I to, co wszyscy w zeznaniach podkreślają ze zgrozą, że trupy były nagie, że ściągali wszystko z trupów. A więc rozbój. Na spacerze, pięknym, podczas które-go widziałam masę drożdów, sójkę, jastrzębia (sępa?), myślałam o „Rozdziobią nas kruki, wrony...” Żeromski znał kielecczynę. Nie pamiętam, gdzie toczy się akcja noweli, ale Żeromski naj-lepiej znał kielecczynę.

Jest już po ósmej. Siedzę na tarasie, cicho. Ojciec siedzi obok.

– Słyszysz, jak śpiewa jakiś ptak? – pytam

– Tak, takie króciutkie trele...

Ciągle zaskakują mnie jego nagle trafne określenia, jak „jaki piękny nów”, „takie króciutkie trele”.

Dzień spokojny, dzwonił Władek, potem Fela. Sasza wyje-chał o drugiej i jeszcze o szóstej nie było go w domu. Wczoraj też znikł na jakiś czas. Ojciec dał się namówić na obranie ziem-niaków. Chciałam, żeby wiedział, że i on jakiś drobny wysiłek może wnieść.

Zadzwo niła też rano Mama. Wrócili późno, około pierwszej. Dziś rano, Dorothy jej sąsiadka, dała jej pocztę. Tadeusz przy-słał z Krakowa jakiś zrobiony przez siebie album ze zdjęciem – jeżeli dobrze zrozumiałam – Gliwy, a także swoim, jak składa w Płaszowie kwiaty m.in. i w naszym imieniu. Mama była uspo-kojona, nic z wczorajszego bolesnego podniecenia i pretensji.

Środa, 25 lipca

Wczoraj dzwonił Władek i przeczytał mi bardzo miły list Iwa-niuka przez telefon. Był na obiedzie z ojcem i u Lusi. Lisa zdra-dzona dość haniebnie przez koleżankę jest w domu. To ona wstawiła się i postawiła w obronie koleżanki, z solidarności zde-cydowała się na wyjazd i w ostatniej chwili tamta została. Cięż-kie przeżycie na samym progu nastoletniości.

Tu ciska, coś co można nazwać „serenity”. Leżę na leżaku i czy-tam „Boską komedię”, chociaż to wydanie Biblioteki Narodowej jednak są usterki i nawet nie znalazłam erraty. Po dwudziestej którejś księdze „Piekla” – czternasta księga „Czyścca”. Nade mną ptasi koncert.

Rano parę minut po ósmej byłam już na spacerze. Spotka-łam tam Renię i Ninę (starsze nieco roczniki). Renia opowiada-ła, że ojciec jej męża był oficerem w wojsku austriackim i spę-dził (włączenie z I wojną) siedem lat na koniu. Toteż kiedy wrócił do wsi, chłopci często do niego przychodzili ze swoimi zwierzę-tami. W niedzielę często nie chciał wychodzić, bo wszyscy kła-niali mu się bez przerwy. I kiedy przyszli Niemcy, oni, ci chłopci, jego pierwszego zabili.

Ciekawe, że Dante pomylił Attylę z Totilą tak jak Maksymilian Wołoszyn jakieś 600 lat później w swoim komentarzu do wier-sza „Preosuszcztwlenie” (Przeobrażenie).

Robi się coraz ciemniej, patrzę z wysokości tarasu na domki, w niektórych pali się światło. Z tyłu od lasu wyskoczył zajączek i przebiegł między domami. Dziś nagle zdałam sobie sprawę, że przeważają tu modrzewie i zachodnie słońce tak delikatnie zała-muje się na modrzewiowych igłach. Mama mówiła, że nie ma tu ptaków w tym roku, ale teraz w ciszy cały czas słyszymy ruch, to w trawie jeszcze skrzeczą – chyba jakieś ziemne, to na gałęzi sie-dzą tutaj dwa na tym najbliższym modrzewiu, który tyle kłopotu sprawia opadającymi igłami. Jak wczoraj o tej samej porze, tak i teraz, odzywa się dzięcioł, a raczej jego stukanie.

Czas wrócić do pogromu, a potem – Iwanow.

Anna Frajlich

jorskich Polaków.

¹⁸ Stanisław Piotr Koczorowski, Bibliografia Dantesca in Polonia. Dante w Polsce. 1921.

¹⁹ Jerzy Szczygieł (1932-1983) znakomity pisarz i dziennikarz, autor 12 powieści, twórca pisma „Niewidomy Spółdzielca”.

²⁰ Święto Niepodległości

²¹ Newport w stanie Rhode Island

²² Rimma Wołyńska i Ralph

Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz

Bye, bye panie Harasymowicz...

*Magnesy trwale
(do Jerzy Harasymowicz, Mój dom,
Monika Brodka, Krzyżówka dnia)*

Początkowo czytanie Harasymowicza było jak picie wody, nie czuło się smaku ani nawadniania, żyły rozpychały się jesienią bez żadnej świadomości. *Za dużo słów na marne*, za dużo rymów jak na te czasy. *Mój dom to kartka papieru* – przywiera do serca

i piszą się okna, ściany i drzwi, przez które wsypuje się puste odbijanie o słowo; kiedy czytałam pierwszy raz, nie zauważyłam nazwy autora, potem wyłaniał się po literze od samego *h* do końca alfabetu jakiś bukowy las i pachniało zielnikiem

i nagle urosło we mnie przekonanie, że nie uniosę dziedzictwa, póki nie rozmieszczę się w mchu, a mech potrzebuje źródła; teraz to wiem.

Chwilowa moc

(do Jerzy Harasymowicz, Madonna z Tęgoborza)

Niczemu nie dziwi się *Madonna z Tęgoborza*, krew namnaża się od wierszy wczytanych w siebie, miesza z kolorem kapliczki. Zbieram się do recytacji, przeszkadza mi przypadkowe niedoczytanie. Z Hiobem było łatwiej, może dlatego,

że Kamieńska przygotowała go na umieranie. Drabiniasty wóz kołaczę się do *wyjścia*, gdzie Różewicz żegna matkę. *Podróże z Herodotem* wytyczają starożytne szlaki: sznurowadła z hieroglifów i pasmo obrazkowe na YouTube. Za żadne skarby nie potrafię deklamować. Teledyski pompują hemoglobinę; Madonna contra *Madonna*.

Siła ciężkości

(Jerzy Harasymowicz, Barokowe czasy)

Zginam pokornie kolana i wchodzę po słowach, badam wielkość stopni do Kościoła bernardynów w Krakowie, mijam *Barokowe czasy*, które zjeżdżają po poręczach jak niesforne dzieci z wystawionymi językami. Ta gradacja wydaje się podobna do białych tarasów

z Pamukkale, nie ma tu przecież przestanków; tylko Maryja-disco stojąca na bramie rozbawia islamistów. Schody są wysokie na cztery

strony; zniechęcają trwałością, biegnę po nich wzrokiem, kościół stoi osłupiały jak żona Lota. Mówisz, że rozumiesz moje zafascynowanie, że nie jesteś zazdrosny; trudno dociec, do kogo piszę, przecież macie to samo nazwisko.

Kąt odchylenia

(do Jerzy Harasymowicz, Żony poetów)

Mój Harasymowicz jest mężem poetki i chyba od tego wyłysiał; karmienie sylabami odbija się w końcu czkawką. Bo czyż miłość do kobiety jest tym samym co miłość do poetki?

Wątpię. Z powiązań obrączkowych zostają w końcu łabędzie albo inne ptaki powracające. Nie przemieszczaj we mnie sporadycznych westchnień, uczyć się przecież pilnować mleka na kuchence i ciebie uczyć się doglądać na wszelki wypadek.

Andrzej C. Leszczyński

Moda

Rozumiana szeroko, ma dwie cechy, które ją konstytuują: przejściowość i wspólnotowość. Przejściowość (przemijalność, tymczasowość) widoczna jest w tym, że mówiąc o modzie mówimy w istocie o modach, o wielu modach, nie wiadomo dlaczego pojawiających się i równie zagadkowo znikających. W tym sensie moda może być naocznym znakiem kruchości świata w ogóle. Symbolizuje wariabilny świat Heraklita, a nie utrwalaony w swej bytowości świat Parmenidesa. Wskazuje na świat, którego postać przemija, jak pisał Paweł z Tarsu w liście do Koryntian i jak zatytułowała swą książkę Hanna Malewska. Jest znakiem tego, że świat, w którym żyjemy, raczej „staje się” nieustannie niż „jest”. Określenie „ostatni krzyk mody” rodzi podwójną asocjację. To coś świeżego, nowość, ale i coś, co wydaje właśnie ostatnie tchnienie. Z kolei wspólnotowość (niektórzy woleliby powiedzieć: staćność) związana jest z faktem, że moda odwołuje się do tego, co wyraża się w zaimku liczby mnogiej: „my”. Nie „ja” – ale „my”. Moda spłaszcza „ja”, każe zanikać odmiennościom naturalnym. W tym też kryje się podobieństwo mody do kultury rozumianej funkcjonalnie, czyli do reguł gry w życie zbiorowe – zasad i norm moralnych, prawnych, religijnych, obyczajowych, estetycznych, kulinarnych itp. Moda to także ogólnie przyjęte formy – konwencje, konwencje, wzorce estetyczne czy obyczajowe. Wszystkie one wpływają na to, co było i właśnie przestaje być indywidualne. Kształtują i formują gust, smak, wrażliwość, wyobraźnię.

Moda, o jakiej mówię, odciska swą obecność na życiu jednostek i trudno tego uniknąć. Gdy rozumieć ją głębiej – nie jest już strukturą glajchszaltującą i opresyjną, przed którą chciałoby się uciec. Przeciwnie, stanowi przedmiot usilnych dążeń i świadomych zapożyczeń. Stanowi punkt odniesienia, pozwalający utrzymać właściwy kierunek, chroniący przed zagubieniem w społecznym chaosie. Mniej więcej od połowy siedemnastego wieku takim punktem odniesienia był dla Europy Paryż. Tam można się było dowiedzieć, co „obowiązuje” dziś, w tym sezonie; co jest modne, a co *démodé* (*dépassé*). *Żona modna* Ignacego Krasickiego to dobry przykład osoby snobującej się, zapatrzonej we francuszczyznę, gardzącej swojskością. Współczesnym jej odpowiednikiem jest ktoś w rodzaju Madzi Karwowskiej z *Czterdziestolatka*, która oznajmia swemu mężowi: Stefciu, musimy mieć łuki! Kiedy zapytał, lekko skonsternowany, dlaczego łuki, a nie tradycyjne drzwi, odpowiada z wyższością: bo teraz się ma łuki. Właśnie owo „się” decyduje w ostateczności o wszystkim. Rezygnacja z „ja” (ze statusu osobowego) zaczyna się od zapatrzenia się w to, co cudze („on”, „my”) i prowadzi do pełnej depersonalizacji (Martin Heidegger nazywa to nieautentycznością) w partykule zwrotnej „się”. Zapewne dlatego można spotkać ludzi, którzy starają się chronić wewnętrzną suwerenność i ostentacyjnie podkreślają swą niedzisiejszość. Elżbieta Baniewicz w książce *Dziwny czas* stwierdza zwięźle: „Chrzanię modę równo”.

Do obowiązującego wzorca odwołuje się zazwyczaj osoba zakompleksiona, pozbawiona własnej miary wartości, „zewnątrzsterowna” (w rozumieniu Davida Riesmana), znajdująca potwierdzenie właściwych wyborów w tzw. trendzie (niektórzy nazywają to owczym pędem). Mentalny prowincjusz zapatrzony jest w „stolicę”. Ma silną potrzebę przynależności do głównego nurtu, więc określenie „niemodny” znaczy dla niego tyle, co niedzisiejszy, ktoś spoza rzeczywistości. Najprostszym punktem odniesienia dla prowincjusza jest idol (bożyszcze), celebryta (znakomitość) – ktoś znany wyłącznie z tego, że jest znany. Janusz Czapiński używa w tym wypadku określenia „oferta opakowania”, ja wolę mówić o „teatralności” (rekwizyty, kostiumy, wyuczone kwestie itp.). Niektórzy obserwatorzy kultury, m.in. Czesław Miłosz i Janusz Tazbir, zwracali uwagę na fakt, że Jan Paweł II dla większości Polaków był także kimś w rodzaju celebryty – nie starali się przemysleć jego słów, nie czytali nawet encyklik, jakie napisał, lecz znajdowali w nim łatwe antidotum na własne niedostatki.

Naśladownictwo zaspokaja potrzebę akceptacji społecznej, umieszcza wśród „swoich” i odróżnia od „obcych”. Moda jest czymś w rodzaju ramy, która ogranicza przestrzeń i pokazuje, gdzie jest obraz. Jest to szczególnie widoczne w tzw. subkulturach, które wyodrębniają się jako małe wspólnoty poprzez język, sposób chodzenia, ubiór itp. Podczas warsztatów, jakie prowadziłem kiedyś w Liceum Plastycznym w Orłowie, zobaczyłem małe getto: wszyscy uczniowie, podkreślający wciąż prawo do buntu i zachowania indywidualności, nosili identyczne glany, plecaczki, mieli w nosach te same kółka, na głowach kapтуры. Paradoks mody polega także na tym, że człowiek chce się dzięki niej wyróżnić – i gubi się w tłumie uformowanym, zuniiformizowanym przez tę właśnie, rozpowszechnioną już, modę. Wyróżnia jedynie moda „pierwsza” – innowacyjna, bulwersująca, łamiąca estetyczne i obyczajowe nawyki. Pierwsza – albo „ostatnia”: prawdziwa moda jest tym, mówiła Coco Chanel, co wychodzi z mody; dopiero wtedy na powrót indywidualizuje. Trudno dziś zauważyć takie indywidualizacje. Na ulicy uczniowie oraz studenci chodzą, także zimą, w trampkach i obszernych czapkach wełnianych, reżyserzy teatralni mają długie szaliki, lekarze stetoskopy przydające szyku, zule dresy – wszystko to przypomina kawiarniane kreacje młodopolskich kabotynów.

Moda, mody. Modne tańce, alkohole, domek za miastem, grill. Młodzieżowa moda na dorosłość i dorosła na młodzieńczość. Moda na stopnie naukowe, szczególnie żywa wśród polityków niemieckich; doktorem filozofii chciał być gangster Ramzes z fil-



Okruchy (22)

mu $E = mc^2$. Mody w sztuce: po stronie odbiorców na określone motywy, wzięte nazwiska; po stronie twórców na środki wyrazowe (performance, instalacje, obróbka fotografii), na uduziwnianie zapisów nazw, nazwisk. Mody teatralne: dekonstrukcja tekstu, publicystyczność, nagość wprowadzana nawet do bajek. Moda w polityce: stereotypy językowe („porażające”, „posiąść wiedzę”, podkreślające patriotyzm określenie „sowiecki”). Rafał A. Ziemkiewicz mówi o „klimatach epoki”, o tym, że przed wojna modne było nienawidzić Żydów, dzisiaj modne jest walczyć z faszyzmem. Nawet w nauce istnieje coś w rodzaju mody, czyli tzw. paradygmat naukowy (opisany przez Thomasa Kuhna w *Strukturze rewolucji naukowych*) – niekwestionowany zbiór pojęć, teorii, zasad metodologicznych, budujących obraz rzeczywistości.

Co będzie modne jutro, w dalszej przyszłości? Trudno oprzeć się wrażeniu, że z wolna wyczerpują się modowe możliwości i spełnia się mądrość Eklezjasty (*Nihil novi sub sole*). Coraz częściej widoczne są powtórki, trendy retro, właśnie wraca disco-polo.

Tak? Nie?

Autobus, stojąca obok pani kończy rozmowę przez telefon: „No dobrze, wtedy kończę, nie? Jakby co, to dawaj znak, nie? No, hej. No, na razie”. Chodzi mi o to „nie?” wypowiedziane dwukrotnie z intonacją pytającą. Byłem też świadkiem wielu rozmów, którym towarzyszyło podobnie wypowiedziane słowo „tak?”. W sensie logicznym oba wyrażenie są równoważne: mówiąc „nie”, mówimy „tak” („nie zabijaj” – „tak, chroń życie”). Nie są równoważne w sensie psychologicznym, „nie” jest zazwyczaj trudniejsze od „tak”, o czym pisał Albert Camus w *Człowieku zbuntowanym*. W tym jednak wypadku – wracam do rozmowy telefonicznej w autobusie – zachowują względną równoważność. I w jednym, i w drugim wypadku, niezależnie od tego, czy sięgamy do „nie?” czy do „tak?”, nie ma w nich żadnej zawartości semantycznej. Zastępują, podobnie jak ma to niekiedy miejsce w przypadku wulgaryzmów, przecinki, czyli pełnią funkcję przestanków, które – ładnie to ktoś określił – „rzeźbią frazę”. Stają się semantyczne i nabierają znaczenia dopiero w kontekście psychologicznym, gdy wyrażają potrzebę potwierdzenia, upewnienia się. Może tu chodzić o upewnienie się w dwóch różnych sprawach. O upewnienie się, że treść danej wypowiedzi jest akceptowana („nie?” znaczy tyle, co „nieprawdaż?”, a „tak?” to „zgadzasz się ze mną?”); lub że sama wypowiedź jest rozumiana, a słuchacz podąża za tokiem wyводу.

Odnoszę wrażenie, które trudno byłoby zobiektywizować, że „tak?” jest formą bardziej uprzejmą, przyjazną, może też świadcząca o wyrobieniu kulturalnym. Chyba częściej używają tego zwrotu osoby wykształcone. Kojarzy mi się z wypowiedziami ekspertów i ekspertek od spraw natury wychowawczej lub psychologicznej, w których owo „tak?” nie jest wolne od zabarwienia perswazyjnego. Pytajne „nie?” pojawia się częściej w mowie mało wyrobionej, bardziej naturalnej („co nie?”), gdzie wyraża raczej niepewność niż perswadowaną wiedzę.

Książki o dzieciach. Dzieci prawdziwe

Janusz Korczak nie założył rodziny, nie miał własnych dzieci. Tłumaczono to, sam też tak mówił, że jako pisarz i pedagog poświęcił się wszystkim dzieciom, a jako lekarz, zwłaszcza pod koniec życia, tym przede wszystkim, które do 1942 roku były jego podopiecznymi w Domu Sierot na Krochmalnej.

Czy jedno uzasadniało drugie? Czy wybrał samotność i bezdzietność po to, by – jako „fanatyk obcych spraw” – móc w pełni oddać się swej misji? Joanna Olczak-Ronikier (*Korczak. Próba biografii*) cytuje fragmenty prowadzonego jeszcze w ostatnich miesiącach życia pamiętnika Starego Doktora, w których mówi on o kobietach (dziewczynach): „[...] juchy zachłanne i na noce łase, no i rodzą dzieci. Paskudny obyczaj. Raz mi się zdarzyło. Pozostał niesmak na całe życie. Dość mi tego było. I grób, i łez”. Może zatem ważyły powody zupełnie inne, niż społecznikowskie, powody „szulzowskie”, „kafkowskie”? Sam Korczak podsuwa jeszcze inne tropy. Wspomina w pamiętniku chorobę psychiczną swego ojca, jego pobyty w szpitalu psychiatrycznym zakończone – być może samobójczą – śmiercią. „A więc ja – syn obłąkanego. A więc dziedzicznie obarczony. Parę dziesiątków lat i dotąd myśl ta mnie okresami dręczy”. A wcześniej, w 1938 roku, w liście do przyjaciela, pisze: „Przypominam sobie chwilę, gdy postanowiłem nie zakładać własnego domu. Było to w parku koło Londynu. Niewolnik nie ma prawa mieć dzieci. Żyd polski pod zaborem carskim. I zaraz odczułem to jako zabicie samego siebie. Z siłą i mocą poprowadziłem swoje życie, które było na pozór nieuporządkowane, samotne i obce. Za syna wybrałem sobie ideę służenia dziecku i jego sprawie”.

Diogenes Laertios (*Żywoty i poglądy sławnych filozofów*) pisze, że zgodnie z niektórymi poglaskami Tales z Miletu zaadoptował syna swej siostry. „[...] a kiedy go zapytano, dlaczego nie ma własnych dzieci, odpowiedział, że dlatego, iż kocha dzieci”. Nie mieć dzieci z miłości do nich. Nie pamiętam już wszystkich pomysłów interpretacyjnych, jakie pojawiały się podczas ćwiczeń poświęconych temu zdaniu. Nie dowierzał sobie, nie chciał ich skazywać na siebie (jednak siostrzeńca „skazał”?); unikał konfliktu między „życiem” (obowiązk) i „pisanie” (wolność). Powody

psychologiczne: łatwiejsza jest wyobraźnia dotycząca czystego dziecięstwa, niż użeranie się z dzieckiem realnym. Motyw ontologiczny: antycypował Platona, wołał odnosić się do idei dziecka niż do konkretnego. Aspekt egzystencjalny – nie chciał płodzić istoty śmiertelnej (Grecy często powtarzali, że co powstaje (*genesis*) znika (*phthinos*)). Ten aspekt znalazłem w szkicu Stefana Chwina pt. *Miłosz i samobójstwo egzystencjalne*, w którym jest mowa o „winie istnienia”, o „kołysce niebytu”, o aborcji jako wyrazie miłości. Miłości, która chroni przed życiem w tym świecie, zawsze okropnym. Chwini szuka stosownych odniesień u Czesława Miłosza, znajduje je także u gnostyków, Byrona, manichejczyków. Dodałbym dalekiego Miłoszowi Philipa Larkina, jego *Albę*. Także Stanisława Grochowiaka (*Płonąca żyrafa*), Emanuela Łastika („Umrę – więc jestem”). Oczywiście Artura Schopenhauera („Największą winą człowieka jest, że się narodził”). Przede wszystkim Samuela Becketta, którego zdanie: „Birth was the death of him” Antoni Libera tłumaczy jako „Urodził się i to go zgubiło”.

Najśłynniejszą książkę Jana Jakuba Rousseau (*Emil, czyli o wychowaniu*) rozpoczyna zdanie: „Wszystko jest dobre, co z rąk Stwórcy pochodzi, wszystko paczy się w rękach człowieka”. Pięcioro swoich dzieci, spłodzonych z Teresą Levasseur, oddał do sierotnica (sam także spędził dzieciństwo w przytułku). Nie chciał przykładać ręki do ich paczenia?

Attritiō

Niezmistyfikowana świadomość dzieci. – Patrzenie, przecież on jest nagi! – woła u Andersena małe niewiniątko, dopiero po nim ośmieli się powtórzyć to lud. Kiedy wyszliśmy z Klementyną z filmu *Pocahontas*, milczała, potem dość gwałtownie powiedziała, że oni się nie kochali. Kochali się, tłumaczyłem, tylko ona musiała być królową Indian, a on też miał w swoim kraju ważne obowiązki. Nie, upierała się, nie kochali się, to były wymówki. Po obejrzeniu w gdynskim Teatrze Muzycznym *Osroga* a nie miała złudzeń co do autentyczności moralnej poprawy bohatera. – On nie był wcale dobry, on się tylko przestraszył, co będzie, jak się nie zmieni!

Łacińskie *attritiō* to roztarcie (na proszek), zdarcie (skóry ludzkiej, obuwia), w przenośni – umniejszenie, uszczuplenie. W XII wieku słowo to znalazło miejsce w katolickiej teologii, gdzie oznaczało „skrucę mniej doskonałą” – taką, która bierze się nie z miłości do Boga (skrucza doskonała), lecz z lęku przed karą za popełnione występki. Lęk ten ma charakter utylitarny („nie opłaca się czynić źle”). Blisko stąd do planu pozytywnego („opłaca się być dobrym”), czyli do kalkulacji, inwestowania w Niebieski Zakład Ubezpieczeń, jak określa to o. Wacław Oszejka. Przed pokusą podobnej kalkulacji broni się protestantyzm: nie wolno wiązać zbawienia i życia, jedno nie wynika z drugiego, nic się od Boga nie należy.

Wschodnia przypowieść o kobiecie z kagankiem i miseczką wody. Mówi: „Idę spalić niebo i zgasić ogień piekielny, aby już nikt więcej nie czynił dobra po to, by uzyskać nagrodę w niebie, i żeby nie unikał zła tylko dlatego, że boi się ognia piekielnego”.

Wiara i życie

Zdarzyło się, że pewna zbuntowana nastolatka stanęła przed swym żydowskim nauczycielem i oznajmiła mu, że nie wierzy w Boga. Zaśmiał się tylko i powiedział: a kto ci każe wierzyć? Masz go słuchać! Posłuszeństwo, widać z tego, ma dotyczyć postępowania, dla którego wiara lub jej brak nie mają aż tak istotnego znaczenia. Izaak Bashevis Singer (w rozmowie z Richardem Burginem) zauważa, że na tym właśnie polega wielkość *Biblij* – że nie mówi niczego o tym, co jakiś człowiek pomyślał, tylko o tym, co zrobił.

W chrześcijaństwie też mówi się o posłuszeństwie Bogu i boskim przykazaniom, które może przekreślić skutki pierwszego nieposłuszeństwa Adama. Nie ma to być jednak ślepe posłuszeństwo („muszę”), ani takie, którego treść określona jest przez autorytet urzędu. Ma być aktem wolnym („chcę”) odwołującym się do sumienia, nie autorytetu. Dla św. Tomasza z Akwinu sumienie – ów głos serca, w który wpisana jest wola Boga – jest fundamentem wiary, która jest ważniejsza od postępowania jako takiego. Lepiej zrobić coś źle kierując się sumieniem, niż dobrze bez jego udziału.

Chrześcijaństwo, inaczej niż judaizm, do sfery intencjonalnej (wolicjonalnej) przywiązuje o wiele większą wagę niż do sfery behawioralnej. Bóg nie potrzebuje naszych prac. On potrzebuje naszej miłości – pisała św. Teresa z Lisieux. Wierzyć (*credere*) to ze zbawczego punktu widzenia coś bardziej podstawowego niż czynić (*facere*). Najpierw myśl, dopiero potem słowo i czyn. Co się w myśli (woli, intencji, pragnieniu) stało, w ogóle się stało. Wnętrze – dobra wola albo zła wola – o wszystkim przesądza. Nie chodzi o to, mówił Józef Tischner, żeby ludzie nie zabijali, ale o to, żeby nie chcieli zabijać. „Słyszeliście, że powiedziano przodkom: »Nie zabijaj!«; a kto by się dopuścił zabójstwa, podlega sądowi. A Ja wam powiadam: Każdy, kto się gniewa na swego brata, podlega sądowi” (M 5,21). „Słyszeliście, że powiedziano: »Nie cudzołóż!«. A Ja wam powiadam: każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa” (M 5,27).

Jak to pogodzić z postacią matki Teresy? W książce pt. *Pójdź, bądź moim światem* pisze o tym, że straciła wiarę i już jej nie

odzyskała. Braku Boga i męki osamotnienia doświadczyła nie długo po wieczystych ślubach posłuszeństwa, by pod groźbą grzechu śmiertelnego niczego Chrystusowi nie odmawiać. Píše wielokrotnie o wypełniających ją pustce i ciemności. Odczuwała nieobecność Boga, wątpiła w jego istnienie niezmiennie przez kilkadziesiąt lat aż do śmierci. Wtedy, gdy umacniał się w świecie wizerunek „świętej z Kalkuty”. Wizerunek jak najbardziej sprawiedliwy i zrozumiały, oparty na jej postępowaniu i ofiarnictwie. Nikt z ludzi nie miał wglądu w jej ciemną duszę. Podczas beatyfikacji w 2003 roku Jan Paweł II mówił, że postępowanie służebne matki Teresy brało się z „cichej kontemplacji Jezusa Chrystusa, Jego Świętego Oblicza, Jego Najświętszego Serca”. Pisała co innego. Może była to kontemplacja nieświadoma? Może przytłumiona została nawałem obowiązków (Thomas Merton: „Nie potrafiłmy się oddać rzeczom duchowym, jeśli ciągle porywa nas wielość zewnętrznych działań. Pracowitość nie jest najwyższą cnotą, zaś świętości nie mierzy się ilością wykonanych prac”)? A może matka Teresa została poddana duchowej próbie, zwanej czasem „nocą nicości”? Takiej samej próbie, jakiej poddany został pastor Tomas Ericson z filmu Ingmara Bergmana pt. *Goście Wieczerzy Pańskiej*?

Zdaniem Grace Davie (*Socjologia religii*) dzisiejsza religia w coraz większym stopniu staje się instytucją użyteczności publicznej. Określa to jako *vicarious religion* (religia zastępcza). Opisuje relację między „wiarą bez przynależności” i „przynależnością bez wiary”. Wierzący lecz niepraktykujący, wielu to deklaruje. Praktykujący, niewierzący – mało kto. Wyznała to matka Teresa z Kalkuty, która bez wiary praktykowała zbożne codzienne życie. Zastanawiam się, czy można bez wiary praktykować to, co niecodzienne – rytuały i czynności sakramentalne. Czy pozbawione wiary akty kapłańskie pozostają aktami zbawczymi? Nie kryje niepokoju, jaki towarzyszy mi, kiedy formułuję to pytanie; lecz jeszcze większym niepokojem napawa mnie to, co niekiedy robią i mówią ludzie w sutannach. Katolicka teologia odpowiada na powyższą wątpliwość pozytywnie: tak, sakramenty zachowują swą obiektywną skuteczność. Tłumaczy to formuła: *ex opere operato* („z czynu uczynionego”, czyli na podstawie dokonanej czynności). Leszek Kołakowski (*Świadomość religijna i więź kościelna*) pisze, że formuła ta wywołuje dwójaki efekt: „po pierwsze, akty liturgiczne są wedle niej ważne i udzielają odpowiednich łask niezależnie od jakości moralnych kapłana, lecz tylko w zależności od jego prawomocnego stanu kapłańskiego; po wtóre, łaski te zostają również w akcie rytualnym udzielane niezależnie od jakości moralnych tego, względem kogo odpowiedni akt (komunia, chrzest, absolucja) jest spełniony”. Znany reżyser, Iwan Wyrypajew, aprobeuje ten stan rzeczy, widzi w nim wyraz niezależności aktu religijnego od ułomnej ludzkiej kondycji. W rozmowie z Romanem Pawłowskim mówi: „Kapłan może być nawet pedofilem, ale w chwili spowiedzi, kiedy wypowiada modlitwę rozgrzeszającą, grzechy są rzeczywiście odpuszczane człowiekowi. [Kapłan] jest tylko formą, która wiąże nas z Bogiem za pomocą obrzędu. Grzechy odpuszcza nie człowiek, ale Bóg. Obrzęd to akt metafizyczny. Gdyby zależał od jakości człowieka, to jaka byłaby wartość tego obrzędu? Człowiek jest jak przewód elektryczny – nawet jeśli jest oblepiony brudem, to nie znaczy, że nie przewodzi prądu”.

Trudno mi pogodzić się z takim sposobem myślenia, choć nie wykluczam, że bierze się z wiary, jakiej nie umiem sobie uzmysłowić. Nie potrafię – i nie chcę – uznać sakramentalnego „automatyzmu”, skuteczności „bezwarunkowej”. Sakramentalność pojmowanej nie symbolicznie, lecz mechanicznie czy też magicznie. Kapłan niewierzący, krzywdzący, bluźniący Bogu i ludziom pozostaje nieumniejszonym w swej roli szafarzem sakramentów? Kapłaństwo jako stygmat, nie jako wyzwanie? Moje negatywne intuicje nie są czymś odosobnionym, skoro z podobnej niezgody wyrósł potężny ruch chrześcijaństwa bezwyznaniowego (poza-kościelnego), które opisuje Kołakowski we wspomnianej książce. Ruch będący wyrazem konfliktu między mistycznym subiektywizmem i urzędowym kościołem, konfliktu sumienia i instytucji. I dzisiaj mówi się o dwóch nurtach kościelnych – katechizmowym i ewangelicznym. Pisał o nich Józef Tischner: „Jedni są przekonani, że można wyprowadzić wiarę z czynków – praktykowanie wiary przyniesie w końcu wiarę, drudzy budują wiarę, by z niej wyprowadzać uczynki. Gdy jedni zabiegają o »manifestowanie« przekonania, inni chcą je nieskończenie »pogłębić«”.

Arcybiskup Juliusz Paetz, nie bezpodstawnie wszak oskarżony o molestowanie seksualne kleryków i usunięty ze stanowiska metropolity poznańskiego, uczestniczy gdzie może w życiu publicznko-kościelnym. Akceptuje to wielu przedstawicieli tamtejszych elit. Poseł Jan Filip Libicki mówi: „Oczywiście, kiedy spotykam arcybiskupa Paetza, całuję jego pierścień. To po prostu szacunek dla instytucji Kościoła”.

Sergo Paradżanow, ormiańsko-gruziński reżyser (m.in. *Cienie zapomnianych przodków*) i malarz, jeden ze swoich listów wysłanych w latach siedemdziesiątych z łagru zakończył słowami: „Kłaniam się wszystkim. A co, jeśli istnieje Bóg?”. Niejednemu kapłanowi, niejednemu hierarsze zadedykowałbym te zdania.

Uśmiech

Nie pamiętam nawet, gdzie to było, na pewno w jakimś miasteczku w Toskanii. Mężczyźni, który mijali mnie na rowerze, zleciał niewielki pakunek z bagażnika. Podniosłem go, mężczyzna zauważył stratę, zatrzymał się. Obok przejeżdżał samochód policyjny, kierowała nim młoda, ładna policjantka. Kiedy podawałem rowerzyście pakunek, zauważyłem, że uśmiechnęła się patrząc przed siebie. Ten uśmiech, czysty, nie zwrócony do kogokolwiek, nie wiem dlaczego wraca do mnie co jakiś czas.

Andrzej C. Leszczyński

Adam Majewski

Dwóch amerykańskich ekonomistów, poszukując odpowiedzi na pytanie, co wpływa na postawy graczy na giełdzie, podało analizie wpływ pogody, w szczególności dni pogodnych i pochmurnych, na trafność decyzji inwestycyjnych. Jak się okazało, ich zdaniem, czynniki atmosferyczne mogą kształtować wydarzenia na rynkach kapitałowych, przyczyniając się do wzrostu optymizmu, jak i większej stopy zwrotu w dni pogodne (*Good Day Sunshine. Stock Returns and the Weather*, „Journal of Finance” 2003, nr 58). A zatem jakiś wpływ na indeksy środkowoeuropejskie, w tym na najważniejszy z nich – Warszawski Indeks Giełdowy (WIG), powinna wywierać pogoda między Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem Stanów Zjednoczonych, skoro inwestorzy z całego świata spoglądają na NYSE (*New York Stock Exchange*) – kluczową dla gospodarki światowej giełdę zlokalizowaną na rogu ulic Broad Street oraz Wall Street w Nowym Jorku, czy rynek równoległy NASDAQ (*National Association of Securities Dealers Automated Quotations*).

Jednakże jedynymi pewnymi i miarodajnymi czynnikami wpływającymi na inwestorów giełdowych są te, które posiadają postać udokumentowaną. Do takich bodźców należą doniesienia prasowe, którym określona postać (możliwą do zweryfikowania oraz zarchiwizowania i pozwalającą na reprodukcję) nadają łamy gazet

postrzegania rzeczywistości gospodarczej. (Można by to nazwać *quasi* metodą krytycznej analizy dyskursu).

Indywidualni inwestorzy, którzy chcą grać na giełdzie samodzielnie i wykonywać własne, robocze „analizy”, muszą zmierzyć się z wyzwaniem, jakie stawia przed nimi pogłębiający się – w miarę gromadzenia kolejnych danych – szum informacyjny. Brak porządku informacyjnego jest powodowany silną (i zarazem komercyjną) rywalizacją poszczególnych mediów, prześcigających się w dostarczaniu treści atrakcyjnych dla odbiorców, w tym graczy giełdowych; dostarczane treści to przede wszystkim aktualne dane z rynku, a także rozliczne prognozy i analizy ekspertów, niejednokrotnie różniące się od siebie:

„Ktoś, kto pragnie zainwestować pieniądze na giełdzie, nie jest w stanie przeanalizować wszystkich dostępnych informacji. Codziennie generowanych jest mnóstwo danych dotyczących wielu różnych sektorów i spółek, w tym odnoszących się do: produktów, działalności, zawartych transakcji oraz rokowań. Część z nich to nic więcej, jak tylko plotki, ale renomowana prasa zazwyczaj wcześniej zamieszcza więcej rzetelnych informacji na temat sytuacji rynkowej, niż można uzyskać od maklerów. Oprócz tego, im bardziej jest wiarygodny autor komentarza, tym bardziej może on wpływać na opinię inwestorów na temat spółki, a przez to na kurs jej akcji”².

Wielość sposobów przekazywania informacji na temat rynków kapitałowych oraz częste przenikanie się odmiennych opinii na temat inwestowania, nierzadko amatorskich, co jest efektem przeogromnej popularności wygłaszania sądów (także na

innej formie. W okresie niespełna dziesięciu lat średni poziom inwestycji akcyjnych amerykańskich gospodarstw domowych wzrósł o około 50%. Im więcej mówimy o inwestycjach, tym więcej inwestujemy”³.

Na decyzje indywidualnych inwestorów wpływ mają doniesienia prasowe dotyczące istotnych danych makroekonomicznych (wskaźniki), wielkości sektora przedsiębiorstw, a także zapowiadanych zmian w ustawodawstwie czy podatkach. Kolejnym istotnym czynnikiem są nastroje konsumenckie, odczytywane także poza wskaźnikami – referowane przez massmedia są wrażliwe na dyskurs.

Można przyjąć, że wzrost notowań walorów bierze się nie tylko z okresowego popytu, odpowiadającego aktualnemu trendowi zwykłemu, lecz przede wszystkim staje się rezultatem rozpowszechnienia „dobrych wiadomości”, wyrażonych przez publikowane w prasie lub dostępne w Internecie doniesienia. Komentarze, analizy, artykuły, jak i wszelkie publikacje zainicjowane przez działy relacji inwestorskich spółek kapitałowych, stanowią zróżnicowany system informacyjny, złożony w szczególności dla osoby samodzielnie uczestniczącej w transakcjach giełdowych (indywidualnego inwestora) – posiada zatem fundamentalne znaczenia dla bezpieczeństwa na rynkach akcji.

Forma i gatunek dziennikarski doniesienia prasowego mają mniejsze znaczenie ze względu na często doraźny charakter publikacji i ogromną zmienność tego, co dzieje się na rynku kapitałowym. Dziennikarze i komentatorzy usiłują nadążyć za tempem wydarzeń, dlatego często wybierają „lżejszą formę”.

Massmedia, giełda i samotność

codziennych i czasopism, a także zasoby serwisów internetowych, przekazy radiowe i telewizyjne. Zaliczają się do nich komentarze analityków i maklerów, wywiady z liderami opinii, wypowiedzi ekspertów, artykuły o stanie, a także perspektywach gospodarki w kraju i na świecie (w szczególności w Stanach Zjednoczonych), rozliczne felietony i wpisy w internetowej blogosferze.

Publikacje prasowe, zasoby internetowe oraz treści emitowane w telewizji i radio przyczyniają się – w zależności od sytuacji – do rozbudzania swoistego „masowego” optymizmu inwestycyjnego, a nawet do wywoływania „masowych” obaw o możliwy do osiągnięcia zwrot z zainwestowanego kapitału. Media mają także wpływ na zawartość indywidualnych portfeli papierów wartościowych, tworzonych przez inwestorów pod wpływem napływających informacji – powodują powstawanie mód (trendów) na inwestowanie w określonego rodzaju walory lub fundusze akcji i obligacji. Ostatnio obserwowaliśmy wzmożone zainteresowanie inwestycjami w fundusze surowcowe i akcje spółek energetycznych, zaś obligacje skarbowe cieszą się zainteresowaniem nieprzerwanie, choć także – w kontekście problemów fiskalnych Unii Europejskiej oraz skali deficytu budżetowego Polski – wiążą się z pewnym, niemałym ryzykiem. Szczególnie jaskrawym tego przykładem jest również moda wśród drobnych ciulaczy na zakup złota w postaci kruszcu lub certyfikatów, które okazało się w ostatnich miesiącach fatalną inwestycją.

Indywidualni inwestorzy giełdowi kształtują swoją wiedzę (i swoje przeświadczenia) na temat rynku kapitałowego przede wszystkim w oparciu o doniesienia prasowe oraz nieodpłatne analizy, raporty czy rekomendacje specjalistów. Wszystkie one odnoszą się do ekonomicznych uwarunkowań oraz wydarzeń mających wpływ na kondycję notowanych na giełdach spółek. Szczególne znaczenie mają prasa – ze względu na opinio-twórcze komentarze analityków i dziennikarzy, a także Internet – z powodu przeważnie nieznacznego opóźnienia (przesunięcia w czasie) zamieszczanych treści w stosunku do źródłowych informacji (momentu ich zaistnienia lub ujawnienia) – także dotyczących rynków zagranicznych, stanowiących punkt odniesienia dla rodzimych inwestorów i swoisty papier lakmusowy stanu gospodarki światowej. Media z upodobaniem podkreślają połączenie polskiej gospodarki z gospodarkami Stanów Zjednoczonych czy Niemiec i używają tu nawet metafory „naczyń połączonych” – trudno byłoby się z tym nie zgodzić.

Wykorzystanie określonych mediów w celach informacyjnych (w tym w działaniach *media relations* spółek giełdowych)¹ jest mocno ograniczone charakterem wykorzystywanego medium. Z tego powodu doniesienia istotne z punktu widzenia indywidualnych inwestorów z reguły pojawiają się na łamach prasy codziennej (gazety prowadzące odpowiednie rubryki lub posiadające działy gospodarcze), w Internecie, telewizji i radio – jak w wylczeniu powyżej. Za wyjątkiem pobieżnych informacji o spółkach giełdowych, zwykle można zaznajomić się za pośrednictwem prasy i źródeł internetowych z relacjami o nowych inwestycjach, rodzących się trendach w biznesie, a także poznać sylwetki kluczowych menedżerów spółek kapitałowych emitujących akcje. To są informacje, które stanowią istotny przedmiot zainteresowania inwestorów giełdowych.

Należy mimo to założyć, że indywidualni inwestorzy w znacznej mierze nie korzystają w sposób usystematyzowany z dostępnych informacji ze względu na ich ogromną ilość i znaczne rozproszenie, a także ufają „autorytetowi słowa drukowanego”, zwykle nie weryfikując większości doniesień prasowych w oparciu o zasady zdrowego rozsądku (stają się w pewnym sensie „więźniami” dyskursu medialnego). Właściwa ocena sytuacji nie musi być wynikiem dogłębnej analizy, lecz może być tylko (czasem – co najwyższej) efektem zdystansowania się do informacji dostępnych w ramach określonego dyskursu, reprezentującego pewien model

użytek polityki), przyczynia się do przekłamywania obrazu giełdy w mediach. Wpływ na to mają także znikome bariery w postaci kosztów oraz ograniczeń technicznych podczas zakładania i prowadzenia bloga lub forum internetowego. Dostępność mediów tradycyjnych, jak i swoistej „wolnej przestrzeni” Internetu dla osób wyrażających opinie związane z rynkami kapitałowymi przyczynia się do wzmocnienia (lub osłabienia w okresie gospodarczych zawirowań) mody na inwestowanie, która jest pochodną całego tego dyskursu – jest on w znacznej mierze wykreowany przez massmedia:

„Dziś o finansach rozmawiamy wszędzie. Kanał telewizyjny o tematyce finansowej CNBC, który rozpoczął działalność zaledwie w kwietniu 1989 roku, oglądany jest niemal wszędzie, nawet w restauracjach podczas przerw obiadowych. Wkrótce po rozpoczęciu nadawania przez CNBC pojawiły się kolejne kanały o tematyce finansowej, takie jak CNN FN (grudzień 1995) i Bloomberg TV. Dziś w Stanach Zjednoczonych funkcjonują już dziesiątki regionalnych i ogólnokrajowych programów radiowych poświęconych inwestowaniu. Zmiana norm społecznych w odniesieniu do rozmawiania na tematy finansowe miała kolosalny wpływ na nasze zachowania inwestorskie. Im częściej rozmawia się o inwestowaniu, tym szersze grono ludzi zaczyna się nim interesować.

Ów przełom, który zaszedł w normach społecznych, wywarł ogromny wpływ na skalę inwestowania osób fizycznych. W roku 1989 tylko 31,6 % amerykańskich gospodarstw domowych inwestowało na rynku akcji. Ich portfele składały się z akcji, jednostek funduszy inwestycyjnych czy planów emerytalnych [...]. Do roku 1995 udział ten wzrósł do 40,4%. W roku 1998 już 48,9% gospodarstw domowych posiadało środki w akcjach w takiej czy

To poniekąd tłumaczy, dlaczego bańki spekulacyjne są niemal zawsze „tematyczne”, czyli dotyczą akcji spółek z danej branży (kryzys „dotcom’ów” z roku 2000) lub określonych indeksów giełdowych. Wybrane przejawy rynków kapitałowych, spopularyzowane przez media, przyciągają większą uwagę opinii publicznej – zachowania inwestorów giełdowych pod tym względem przypominają zachowania typowych konsumentów dóbr, ponieważ w taki sam sposób są determinowane przez sposoby przyciągania uwagi przy pomocy narzędzi marketingowych⁴. O tę uwagę walczy również rynek kapitałowy – rynek niedźwiedzia i rynek byka.

Zatem „kandydat na bankruta”, czyli podążający za modą (trendem) inwestor-amator, powinien dokonywać zakupów akcji na podstawie optymistycznych przesłanek, zaś „kandydat na profesjonalistę” powinien działać w sposób odwrotny – wyprzedzać swoimi działaniami fakty, które dopiero mogą zaistnieć na rynku (w trudnej do przewidzenia rzeczywistości gospodarczej, dodatkowo „przysłanianej” przez dyskurs medialny). Tak się dzieje, ponieważ doświadczeni inwestorzy („profesjonaliści”) wykorzystują tradycyjne modele analizy giełdowej (technicznej i fundamentalnej), „stawiając” zwykle na spadki pozwalające realizować zyski w czasie zwyżkowania indeksów – niemniej oni także popełniają błędy.

Tak widać, mniej doświadczeni inwestorzy giełdowi mogą zdobyć mylne przeświadczenie na temat aktualnej sytuacji, uzyskując bowiem informacje przetworzone, a także z pewnym opóźnieniem. Niejednokrotnie zasób informacji, jakim w danym momencie dysponują indywidualni inwestorzy, jest efektem przetworzenia losowo napływających danych z różnych, w szczególności bezpłatnych źródeł. Zatem nie ulega wątpliwości, że doniesienia massmediów wywierają silny wpływ na proces podejmowania decyzji o zleceniu zakupu lub zbycia walorów. Ton oraz język zamieszczanych i emitowanych wypowiedzi stanowi punkt odniesienia dla graczy giełdowych, dlatego „sensacyjne doniesienia” mediów w pewnym stopniu uniemożliwiają rzetelną ocenę sytuacji.

To oznacza, że wszelkie informacje dostępne publicznie (w większości wymagane przez ustawodawstwo) oraz prywatnie (pogłoska lub nielegalny proceder określany jako *insider trading*) natychmiast znajdują odzwierciedlenie w cenach walorów. Informacje udostępniane publicznie są z kolei prezentowane za pośrednictwem mediów tradycyjnych (działania *media relations*), jak i stron internetowych spółek giełdowych.

Adam Majewski



¹ Segmentacja odbiorców przekazów medialnych wydaje się nie dostarczać problemów służbom prasowym spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie ze względu na ograniczoną ilość gazet, stacji telewizyjnych i radiowych zajmujących się tematyką inwestycyjną. Komórki *media relations* (lub wyspecjalizowane agencje *public relations*) współpracują z wybranymi stacjami telewizyjnymi (TVN CNBC, TV Biznes) oraz rozgłośniami radiowymi (Radio PiN) w celu dotarcia do środowisk opiniotwórczych (dziennikarzy, liderów opinii, pracowników instytucji finansowych) – grup odbiorców o określonym charakterze, zwykle wywierających wpływ na zachowania rozproszonych inwestorów. Więcej na ten temat w studium przypadku poświęconym Domowi Inwestycyjnemu BRE Banku S.A. – A. Majewski, *Podział massmediów pod względem siły oddziaływania na indywidualnych inwestorów giełdowych w Polsce. Strategie media relations domów maklerskich*, [w:] praca zbiorowa, *Media, biznes, kultura. Tom II*, J. Kreft i R. Stopikowski (red.), Gdańsk 2010.

² M. Becket, *Jak działa giełda*, przeł. I. Wiśnios, Warszawa 2007, s. 128.

³ J.R. Nofsinger, *Psychologia inwestowania. Wydanie drugie*, Gliwice 2006, s. 157-158. Autor powołuje się na dane z ankiety *Survey of Consumer Finances* za: C. Bertaud, M. Sar-McCluer, *Household Portfolios in the U.S.*, Board of Governors of the Federal Reserve working paper, 2000.

⁴ Teorię ekonomii uwagi sformułowali Th.H. Davenport i J.C. Beck, *The Attention Economy*, Harvard 2001; por. praca zbiorowa, *Strategie zarządzania uwagą na współczesnym rynku*, M. Aluchna, M. Pindelski, P. Płoszajski (red.), Warszawa 2008.

Z cyklu: Dziennik włoski. Sycylia (16)

Czwartek, 16 maja, Ragusa

Ile tu bluźnierstwa, w tym „świętym” kraju! Wieczorem, gdy wracamy do hotelu, mój wzrok przyciąga piękny, czarno-biały plakat wielkanocnej Pasji, którą odgrywano tu na ulicach w dniu 24 marca. Widzę, że na obnażonej piersi rozpiętego na krzyżu Chrystusa, pod Jego umęczoną twarzą, ktoś drukowanymi literami nabazgrał GAY i kredką podmalował Mu usta, oczy... Słowo, kawałek po kawałku, zdarłem, ale makijażu nie dałem rady. Nawet Silvio się zasmucił. Powiedział, że nikt na świecie nie miałby nic przeciw gejom, gdyby nie robili takich rzeczy. Ale oni uwielbiają odgrywać uciskanych – a jakie to jest manipulowane, powierzchowne, widać po tym, jak tego Najbardziej Uciskanego potraktowali. W ferworze swej przemowy dotarł do puenty, którą prawie wykrzyczał pod hotelem, aż na balkonie pierwszego piętra pojawiły się dwie starsze panie. Że on sam nic przeciw gejom nie ma, „dopóki któryś nie położy mu ręki na siedzeniu”.... Ocho... a ja pewien jestem, że akurat ten typ ataku zupełnie Silvio nie grozi.

W recepcji, trafiam na kwadrans rozmowy między Silvium a recepcjonistą. Starszy, bardzo uprzejmy pan, dyżurujący w wyjściowym garniturze za ladą holu, oświetlonego jarzeniówkami i umeblowanego fotelikami z lat sześćdziesiątych, wygląda jak podróżnik w czasie, który zabłąkał się tu ze stron „Lamparta” Lampedusy. Zbliżyłem się i nie wierzę uszom: oni rozmawiają o van Dyck’u! Czy jest to możliwe gdziekolwiek indziej na świecie, poza Włochami? Włączam się z Antoniem da Messyną, który tu tworzył, a jego malarstwo właśnie było holenderskim idiomem, wprowadzonym do Quattrocenta; owocem miłości włoskich malarzy Renesansu do mistrzów flamandzkich. Mówię o wiszącym w National Gallery „Świętym Hieronimie w pracowni” – jednym z moich ukochanych obrazów; o drzemającym kocie, o pawiu spacerującym po komnacie, o mokrym ręczniku wiszącym na ścianie, kluczach na gwoździu, bamboszach porzuconych przy schodkach... O małym kosmosie wiecznych ludzkich spraw, uchwyconym w symfonii ich zwyczajności i przez to sięgającym nieba. Tylko Holendrzy tak potrafili uwielbiać Boga: w Jego prostocie i codzienności – także, dzięki wynalezionej przez siebie technice olejnej. Messyna to od nich wziął: niderlandzki absolut kosmosu, mieszczącego się w ziarnku maku: w nieporządku rzuconych trepach, w ręczniku, z którego jeszcze kapie woda, w zgromadzonych na stole księgach pełnych mądrości, między stronice których wetknięte są papierowe zakładki. Wysłuchawszy mnie, recepcjonista zapytał, jak długo tu będziemy. Zna parę rodzin w Raguzie, które są w posiadaniu obrazów da Messyny... Nie wiem, po co to powiedział. Może nie chciał być gorszy – skoro światowo rzuciłem Londynem? Przecież nie zamierzał chyba nas tam zaprosić. Ale, kto ich tam wie. Jesteśmy tu w takim sycylijskim Krakowie: tam też, co druga szanująca się rodzina, musi się bez przerwy chwalić jakimś swoim Kossakiem, jeśli nie Wyspiańskim.

Wieczorem czytam o sycylijskiej katolicyzacji. Jej korzenie, do jedenastego wieku, tkwią w Bizancjum – stąd te obłędne mozaiki. To najazd Normanów przyniósł Sycylii, w czasie Wielkiej Schizmy Wschodniej, rzymski katolicyzm – wyrrywając tę wyspę, rzuconą w odmęt arabskich mórz, z objęć Konstantynopola i przeistaczając ją w bastion Zachodu.

Piątek, 17 maja, Ragusa

Cuda poranka! Ósma rano, Ragusa otrząsa się z rosy. Ragusa piękna, jak wylaniająca się z fal rzeźba z marmuru. Ragusa znudzona, mimo poranka, jak przekwitająca, syta rozkoszy i piękna swej cielesności, odaliska. W chmurze ptasiego śpiewu, idziemy na plac katedralny: i znów żółta, barokowa fasada, portal, taras, kampanila, paradne sycylijskie schody, wypełniające pół placu... Brak tylko mafiosa w czarnej kamizelce, który spoczywałby na tych schodach, w kałuży krwi. – *A banal baroc* – mruczy Silvio, choć ja wziąłbym to cacko na dłoń i zaniósł na honorowy plac jakiegoś Kalisza czy Lublina, gdzie zlatywałoby się to oglądać pół Polski. Za to naprzeciw katedry, całą pierzeję zawala podarunek od Mussoliniego: faszystowski socrealizm w rozkwicie. Bure coś, na kształt warszawskiego CDT, tylko o dwa piętra niższe.

Schodami w górę, schodami w dół. Mijamy puste, senne uliczki z wywieszoną bielizną. Przejmująca cisza na schodkach, tarasach, małych podwórcach, na które szeroko otwarta kuchnia

wyrzuca ślad pary z syczącego gdzieś w głębi ekspresu. Nagle ujadanie psa z balkonu. Pod nim – usadowione na krzesłach, w półkolu, dziwne zgromadzenie starców w ciemnych marynarkach i kapeluszach. Gawędzą, palą, spoglądając w szczelinę nieba między węglami domów i widniejące w oddali, skąpane w bladym złocie kopuły i dachy Iblu. Na nasz widok, jeden z mężczyzn wstaje i podchodzi do nas: nie, on chce pieniędzy. Również nie oferuje siebie jako przewodnika. Jego intencje są czyste, jak sycylijskie niebo: pogadać. Pochwalić się pięknem miasta. Upewnić się, że nam się też podoba.

Cisza, cisza, koty, upał. Już znużeni, już zakurzeni, jak paladyni króla Rogera, wędrujemy przez tę baśń schodkami, które teraz dla odmiany biegną w dół, nad kanionem, w korycie skalnego grzebienia łączącego „naszą” Raguzę – zbudowaną wyżej, po trzęsieniu ziemi w 1693 r., w stylu bujnego, leniwego baroku – ze skalistą wyspą, usytuowaną nieco niżej i szczelnie zapelnioną domostwami i świątyniami starej szlachty sycylijskiej. To Ibla – uciepiona nitki mostu skalna oaza, której po trzęsieniu ziemi nie chcieli opuścić jej mieszkańcy. Dopiero zgładził ich czas – okrutnik większy, niż katastrofy żywiołowe. Został tu po nich melancholijny skansen najpiękniejszej sycylijskiej architektury.

Schody, schody, koty, upał. Gdy docieramy do Iblu, okazuje się, że tamto, to był dopiero początek. Ibla to nic innego, jak gęstwina schodków, zbiegających się i rozbiegających w różnych kierunkach. Prawie nie ma choćby skrawka normalnej uliczki. Wszystko rozpalone, suche, ptaki ucichły, puste kościółki na rogach zaułków z zabitymi deskami wejściach, na przekrzywionych wieżyczkach, spod odłupanych dachówek, sterczą zielone pędy jakichś badyli. Zagruchały gołębie, ukryte pod cienistym okapem. Serpentina uliczki, przez chwilę brukowanej, wije się w dół, zanim znów nie odmieni się w schodki u stóp jaskrawożółtej, łuszczącej się fasady kolejnej barokowej kapliczki. Jej kruszejący portal oblega kocia rodzina. Rozpościera się stąd widok na pędzącą w dół lawinę łupkowych dachów, które zaraz wspinają się wzwyż, do kopuły II Dumo, spozierającej już tylko Panu Bogu w okna i dalej, na wzgórze, pokryte winnicami. Co chwilę zaułki rozstępują się w placyk widokowy, kiedy uliczka nagle kończy się balkonikiem albo zawinie z powrotem, bo dotarliśmy do krańca skały, na której wyrosła Ibla. Toteż oglądamy ją raz tak, raz inaczej – jak w obrotowej camera obscura, tyle że nie Ibla się obraca, ale my ją obiegamy, oglądając pod różnymi kątami i przez kolejne wizjery. Widać w dole sieć schodków oplatających starą Raguzę i asfaltową nić szosy. Więc można tu było dojechać samochodem? Schodki tną skałę, jak sieć naczyń włosowatych, płacząc się w różnych kierunkach i nurkując w wąwozy, tunele. Ragusa Nova wygląda stad jak solidny, spokojny port w zatoce. Ibla – to obrośnięta chaszczami wyspa lub obalony na bok korab, który resztkami rdzewiejącego łańcucha czepia się

lądu, zanim kolejny przybój czasu nie oderwie go i na zawsze nie pograży w odmęt.

Wtem – w tej plątaninie zawijasów, akantów, balasek, amorków, jakby wysnutych z wyobraźni jakiegoś raguzańskiego Piranesiego, w tym gruzowisku minionej świetności, gdzie wśród strzaskanych marmurów baroku i rokoka brak tylko korowodu masek i arlekinów, biegnących w takt jakiegoś divertimenta ze szalonych skrzypek Stradivariusa – przycupnęła pod schodami mała, idealnie czysta, bezpłatna, toaleta dla turystów. Nad nią – kierunkowskaz: *Universita degli Studi a Facolta di Agraria*. Tu? W tym szaleństwie – studiować rolnictwo? Wewnątrz tego sennego majaku, tej groteski romantycznej i dantejskiej grozy – zgłębiać tajniki snopowiązałek? Zamiast imion wybrańców sztuki, jakich poza Włochami, nie zna świat – wkuwać odmiany nawozów? Ach, tu są przecież Włochy! To jest Sycylia! Kraina błogosławiona nie tylko przez swe wloty ducha, ale też swą praktyczność i trzeźwość. Oni tu przecież nie tylko malowali i tańczyli pawanę, ale przede wszystkim wydzielali tę ziemię wulkanom, pożogom wojen, cierpliwie uprawiali te cytrusy wśród burz historii i trzęsień ziemi, która w parę sekund unicestwiała trud pokoleń. Wielkość Włoch to nie tylko rycerskie zbroje i pióropusze, nie tylko rokoko katedr, szaleństwo marmuru i stiuku – ale także ta zupełnie prosta, codzienna „symfonia pastoralna”; trzeźwość i krzepkość tutejszych ludzi; nie tylko nieokiełznana wyobraźnia artystów, ale także – a może zwłaszcza – ich archimedesowski dar proporcji. Przywiązanie do prawdy świata, który w całym jego nieobjętym pięknie, Bóg pozwala zważyć, zmierzyć, ogarnąć nie tylko kategoriami piękna, ale też miarami sprawiedliwości. Tylko w Italii największa, najbardziej wzniosła sztuka potrafiła uczynić z całkiem przyziemnej praktyczności skrzydła, na których „geniusz Italii przelatuje przez pogorzelsko wieków”... – jak o pewnej odmianie sycylijskiego papirusa napisał Iwaszkiewicz...

Zrozumienie, uszanowanie tego, jest zupełnie niedostępne dzisiejszemu artyście. To sztuka utraciła – na zawsze – bo wraz z Bogiem, w którego gorącym sercem wierzyli dawni artyści. Oni nie rozumieli, jak można stanąć przy sztalugach, nie mając w sercu Boga – gdy dzisiejsi, jak złe, zdeprawowane dzieci, nie tylko chlubią się swym kalectwem utraty wiary i wystawiają na widok swoje rany, ale też szydzą z tych, którzy postępują inaczej. Łempicka – zakochana w dawnych Holendrach, w Cinquecentie – ujrzawszy na biennale w Wenecji, hen, jeszcze w latach sześćdziesiątych, jakiś obsypany nagrodami słoń z ludzkimi ekskrementami – musiała wyjść, bo „zaraz zwymiotuje”. A potem powiedziała do swej towarzyszk, już na ławce, paląc papierosa: – Sztuka umarła, moja droga. Zapamiętaj to sobie: sztuka umarła.

Grzegorz Musiał

Fot. Wojciech Brydak



Marek Czuku



Forever part 2

[dalszy ciąg tomu *Forever*, Biblioteka Toposu, Sopot 2010]

1991

kupuję komputer pc xt
składam na nim solidarność
ziemi łódzkiej i próbuję
palić fajkę

w gazecie wyborczej
wymyślam tytuł
palą się na zjazd
to o strażakach

pierwszy raz rejestruję
własną firmę i tyję
w ciągu dwóch miesięcy
szesnaście kilogramów

1992

w styczniu pracuję non stop
dzień i noc przez tydzień
potem będę to odsypiał

przez siedem dni
budząc się tylko
na posiłki wałęsa

obala rząd olszewskiego
a ja ostatecznie
rzucam palenie

1993

wybory wygrywa sld
serdel mówi do byłego
sybiraka ze mną jak
z armią czerwoną
byłem jestem i będę

serdel jest byłym
esbekiem i nie
zdaje sobie sprawy
że za kilka lat
umrze na raka

1994

w mieście tkaczy
chodzę na wątróbkę
do baru jagusia

nazywają go
pod trupkiem
bo sąsiaduje

z cmentarzem
gdzie wkrótce
wygłoszę ciepłą mowę

na pożegnanie szefa
który bardzo
mnie nie lubił

w kwietniu
jak gdyby nigdy nic
rodzi się ania

Małgorzata Dorna

Po tamtej stronie Lustra

„Kultura nie doprowadza do takiego nałożenia się na siebie różnych płaszczyzn i obrazów, aby żyjący nimi człowiek mógł być zakorzeniony w rzeczywistości. Aby być zakorzenionym trzeba oglądać siebie samego i swój świat w zwierciadle kultury i odnaleźć więź łączącą dawnych i nowych bohaterów, poczuć się dzisiejszym bohaterem, kimś ważnym, kimś zwielokrotnionym w sferze kultury.” – pisał przed ponad trzydziestoma laty poeta i krytyk literatury – Adam Zagajewski, współautor zbioru *Świat nie przedstawiony*.

Wówczas w „zwierciadle kultury” przeglądała się intelektualna i artystyczna elita, a w salonach sztuki można było oglądać obok (inspirowanych estetyką filmu i reklamy) dzieł hiperrealistów, malarstwo wyrosłe na gruncie tak zwanej „nowej figuracji”, mówiące w sposób bardzo emocjonalny, niekiedy chropawy, celowo niedoskonały i niejednoznaczny o egzystencji współczesnego człowieka.

I tak na przykład, utrzymane w tonacji mrocznych błękitów, wczesne płótna Antoniego Fałata zaludniały znieruchomiałe, pokazane frontalnie, upozowane postacie o smutnych i martwych oczach lalek, nawiązujące do uroczystego, sztucznego piękna mieszczańskiej fotografii. Artysta przypominał bezlitośnie, że żyjemy w świecie pustych gestów, umownych, konwencjonalnych zachowań, w świecie pozbawionym złudzeń, iluzji i nadziei.

Podobne myślenie o człowieku cechowało malarstwo Kiejstuta Bereżnickiego, tym bardziej sugestywne, że bohaterowie jego prac, smukłe postacie o wydłużonych, białych, pozbawionych wyrazu twarzach – wydawali się być istotami przeniesionymi z przestrzeni surrealistycznego, koszmarowego snu, makabrycznego widziadła. Owi „Szewcy” i „Krawcy”, o profilach powtórzonych w splekanych, matowych zwierciadłach, z ogromnymi szpulami i igłami w dłoniach, niby z wyrafinowanymi narzędziami tortur, w otoczeniu pustych klatek i białych, martwych ptaków – przekonywali o tragizmie istnienia, o groteskowej bezsensowności ludzkiego bytu.

Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia artyści sztuk wizualnych wypracowali wielce wyrafinowaną technikę uwodzenia odbiorcy, opanowując do perfekcji język symboli i metafor, subtelnych aluzji i niedomówień, prowokując do odkrywania, mimo wszystko czytelnych, pozaartystycznych treści.

W tamtych czasach każda większa prezentacja, każdy wernisaż okazywał się znaczącym wydarzeniem, publiczność przychodziła „na nazwiska” znanych buntowników czy może tylko – prześmiewców, tej miary co wyszydający bezlitośnie polską zaściankowość i kompleksy Duda Gracz, albo Zbylut Grzywacz, malarz narodowej Apokalipsy, dokonującej się w szarej kolejce złożonej ze znieruchomiałych, pochylonych, odzianych w pasiaki postaci, przygiętych ciężką kopułą nieba, gdzie zamiast barokowych chmur wielkie polćie rozrąbanego mięsa.

W latach siedemdziesiątych dobry (czyli akceptowany w środowisku) krytyk mówił tym samym językiem co artysta, a pisanie recenzji ograniczało się do wyjaśniania ukrytych w pracach sensów. Sztuka ocierała się o życie, które wymagało od twórcy postawy aktywnej, walczącej, zaangażowanej w bolesne sprawy codzienności.

Tych, którzy nie przyjmowali wyzwania, którzy uciekali od potrzeby komentowania i oceniania świata – traktowano na prawach mówiących martwym językiem „klasyków”, żyjących na wykreowanym przez siebie Parnasie, obcych i zimnych, posługujących się niezrozumiałą mową abstrakcji. Oni to właśnie pozwalali sobie na eksperymenty formalne, wierząc w bezinteresowność sztuki, w jej ponad czasową i ponad narodową wartość.

Do grona takich twórców, interesujących się przede wszystkim sprawami warsztatu, bez żadnych literackich, czy ideowych podtekstów należała Teresa Pągowska, autorka monochromatycznych kompozycji, w których fragment niezgruntowanego płótna, z widoczną fakturą i splotem sugerował umowność, zaznaczonej jednolitością, płaską plamą – sylwetę, profilu człowieka.

W obszarze formalnych poszukiwań zaistniał także Władysław Jackiewicz, autor tworzonego konsekwentnie cyklu abstrakcyjnych kompozycji, w formule którego mieściło się (powtarzane po wielokroć w różnych ujęciach i konfiguracjach) studium ludzkiego ciała, odrealnionego, złożonego z form przenikających się, świetlistych i lekkich jak obłok, ciała zapisanego połyskliwą, laserunkową plamą na matowym, neutralnym kolorystycznie tle.

W połowie lat osiemdziesiątych, w czasach rozwoju ekspresji „młodych dzikich”, uważano, że sztuce potrzeba „trochę chuli gaństwa”. Tak deklarował Edward Dwurnik, stosując z powodzeniem parodię, groteskę i pastisz, odwołując się do wizji krynickiego prymitywisty Nikifora, do kolorystyki i atmosfery jego prac, wprowadzając równocześnie własny, obcy malarstwu naiwnemu – sposób deformowania i demaskowania rzeczywistości. Ekspresja umarła jednak wraz z upadkiem „bananowej republiki” czyli Polski lat osiemdziesiątych, a nad szarym, zmęczonym, spracowanym tłumem przestał (jak pisała efektownie, sprzyjającą młodym krytyka) „powiewać kolorowy pióropusz artyzmu”.

Pod koniec dwudziestego wieku, gdy okazało się, że w plastyce, literaturze, teatrze i filmie „wszystko już było”, że powiedziano „wszystko”, wszystkimi możliwymi sposobami – artysta przestał być adorowany przez publiczność, która zaczęła szukać

spełnienia swych pragnień, emocji i marzeń w zunifikowanym świecie pop-kultury. Z teatru telewizji zniknęły, oglądane dla doskonałej gry aktorskiej spektakle, epoka gwiazd minęła bezpowrotnie. Na półkach przestronnych księgarni zaczęły się pojawiać coraz bardziej trywialne powieści sensacyjne, romansidła prawdziwie „second hand” oraz klasyka literatury sprowadzona (ku radości uczącej się młodzieży) do formuły bryku, streszczenia. W teatrach pokazuje się tanie farsy i wodewile, schlebając gustom niewyrobionej publiczności. Do sal koncertowych wkradła się nuda, a wielkomiejskie galerie sztuki stały się terenem spotkań miłośników przedmiotów drogiej i estetycznych, mogących pełnić funkcję opłacalnej inwestycji, lokaty lub dekoracji (nie zawsze gustownie urządzonego) wnętrza.

Wypadałoby zatem zapytać, wobec kresu ambitnej literatury, upadku teatru i autorskiego, intelektualnego kina – o miejsce sztuk wizualnych, malarstwa, rysunku i rzeźby w życiu współczesnego, pozornie zadowolonego z siebie, zafascynowanego konsumpcją, ogłuszonego nadmiarem materialnych potrzeb – człowieka. Człowieka świadomie odsuwającego kłopotliwe myśli, istotne doświadczenia codziennego życia, rezygnującego z prawa do ekstremalnych, spontanicznych uczuć, przeżywania wątpliwości i smutku, z prawa do poczucia wyobcowania i tęsknoty do kontaktu z drugą, często równie samotną osobą.

Prawdziwe dzieło wyprzedza swój czas, tworzy ledwie przeczuwalne, tajemne światy, w których (jak w magicznym zwierciadle) odbija się cień naszej niepoznawalnej, nieodgadnionej do końca Psyche. Niezależnie od tego, czy artysta posługuje się zapomnianym językiem abstrakcji, czy wchodzi w sferę surrealistycznych skojarzeń, czy epatuje widza szeregiem formalnych rozwiązań, łącząc doskonałość warsztatu z filozoficznym lub estetycznym przesłaniem – zawsze demaskuje, odkrywa, obnaża swoją osobowość i swój (bardzo osobny, indywidualny) świat.

Dyskurs podjęty z odbiorcą, adresatem i uczestnikami tej, jakże kameralnej, prowadzonej na półtonach rozmowy – okazuje się znaczącym wydarzeniem dla obojga. Współczesna sztuka wolna jest bowiem od propagandowego zadęcia, od służebnych wobec jakiegokolwiek ideologii, czy doktryny – funkcji, nie wdzierając się brutalnie w przestrzeń zaanektowaną przez odbiorcę, w przestrzeń w której przed laty doskonale funkcjonowała awangarda, prowokując happeningiem, denerwując murem, demaskując para teatralnym zdarzeniem.

Wydawać by się dzisiaj mogło, że po okresie fascynacji zjawiskami z pogranicza sztuk powracają do łask tradycyjne formy wypowiedzi, a plastyka w coraz większym stopniu zaczyna zbliżać się do artystycznego rzemiosła, tak jakby nie służył jej okres politycznej stabilizacji, przesytu dóbr materialnych, rozwoju cywilizacji i techniki, tak jakby nie służyła jej powierzchowność, konwencjonalność naszych gestów i przeżyć.

Czyżby zatem artysta nie był już buntownikiem, a jego dzieło – wyrafinowanym aktem protestu? Czyżby uległa zatarciu granica między kreatorem, a odbiorcą, który jak sugerują teoretycy „immanentnie w dzieło wpisany”? Czy może świat po tej i po tamtej stronie lustra okazał się tak samo nudny i bezduszny, że ma już powodu by rozbijać taflę zwierciadła?

Stoję samotnie przed kompozycją autorstwa **Anny Lejby**, przed kompozycją złożoną z szablonów liter, rozsypanych, zapisanych na płótnie. Litery układają się w rzędy, tworzą wiry, archetypiczne znaki, pozbawione sensu, wyrwane z kontekstu, odarte z treści. Litery tworzą strukturę, jakąś nową abstrakcyjną realność, w której tylko zapisany ślad myśli daje nadzieję, jakże złudną, ulotną, nietrwałą – na nawiązanie poważnej rozmowy z artystą, na ocalenie resztek człowieczeństwa.

Obrazy i rysunki Anny wypełniają litery. Litery uporządkowane w rzędach, tworzące domniemane szuflady i katalogi, litery rozsypane po formie koła, spirali, litery budujące strukturę, zamknięte w wielobarwnych trójkątach jak promień rozszczerzonego w pryzmacie światła, litery poukładane w warstwy lub spontanicznie rzucone, rozsypane na płótnie, nonszalanckim gestem artysty – eksperymentatora.

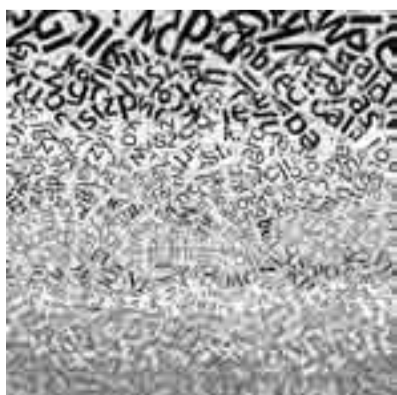
Jeżeli przyjąć, że u źródeł stworzenia było słowo – to literatura staje się nie tylko znakiem graficznym, ale symbolem, zapisem jakiejś części, niewielkiego fragmentu istoty uniwersalnego Wszechbytu, Kreatora, którego magiczne dotknięcia odczuwane są przez nas w każdym momencie życia. Patrząc z tej, jakże osobistej perspektywy – postrzegamy literę w oderwaniu od przypisywanych jej przez badaczy języka, czy uczestników procesu komunikacji treści i zaczynamy traktować jako doskonały, skończony, bo zamknięty w konkretnej, geometrycznej formie dowód na istnienie... Nieskończonego.

Analizując świat liter, śladów obecności Absolutu – Anna zaprasza widza do dyskursu, prowokuje do głębokich przemyśleń nie tylko na temat egzystencji człowieka, jego alienacji, samotności we wszechświecie, w którym krążą strzępy myśli, strzępy pozbawionych znaczeń słów, ale także na temat formalnej estetyki przekazu.

Jej kompozycje z cyklu „Materializacja myśli”, „Noosfera”, „Zapisz zmiany”, czy „Pryzmat” fascynują prostotą i wyważoną harmonią



– rozważania o obecności człowieka w polskiej plastyce współczesnej



Anna Lejba

kompozycji, dając dowód, że nawet w pozornym bezładzie, chaosie, zagęszczeniu form odnaleźć można celowość, dążenie do konstruowania struktury. Wysyłamy w Kosmos energię naszych myśli, zarówno tych pozytywnych, pogodnych, szlachetnych i dobrych, jak i tych przewrotnych, prymitywnych, budzących sprzeciw i ból. Zmaterializowane w formie liter, o standardowym, zunifikowanym kroju, a więc nie budzące poza artystycznych skojarzeń – myśli tworzą (zgodnie z teorią tak lubianego przez Annę – Teilhard de Chardin) sferę „psychizmu” lub może psychicznej energii, w materii której każdy ma szansę pozostawić swój, wydany na pastwę nieuchronnej unifikacji – ślad.

Patrząc na malarstwo Anny odnosi się wrażenie, że konfiguracje, strumienie, wiry i spirale skłębionych, poruszonych liter, precyzyjnie wyciętych lub wydartych, zapisanych na strzępach papieru lub misternie ułożonych – tworzą własną realność, pozostający poza czasem i miejscem, afabularny konstrukt, żyjący życiem własnym, niezależnym, niepodanym kontroli intelektu i emocji człowieka.

Budując swe dziwne, enigmatyczne, bo dotykające Tajemnicy Bytu, abstrakcyjne przestrzenie – malarka dokonuje zarówno aktu kreacji, jak i aktu destrukcji, zniszczenia. Drąc zapisane drukiem słowa na strzępy, odbierając im warstwę zrozumiałych, czytelnych znaczeń – konstruuje nowe, ledwie przeczualne światy, w których zmagają się ze sobą różne środki ekspresji, tak charakterystyczne dla popularnej niegdyś formy collage'u. I tak na przykład w jednej płaszczyźnie pojawiają się litery połyskliwe i chropawe, z wyrażeniem zakreskowanymi polami, litery zestawione na prawach kontrastu, położone, postawione w pionie, imitujące poprzez zmianę skali i świadomie stosowaną multiplikację – rodzaj surrealistycznego pejzażu.

– „Unikam takich skojarzeń.” – punktuje moje przemyślenia Anna. – „W każdej kulturze wypracowywano skomplikowane systemy komunikacji, na początku których był znak, gest, rysunek, później pismo. (...) Zawsze zastanawiam się nad tym, czy na początku był obraz, czy słowo.”

Skoro zatem słowem Stwórcy oddzielił światłość od ciemności – to litera, ta najmniejsza cząstka słowa urasta do roli magicznego znaku, swoistego archetypu przy pomocy którego – można stać się współtwórcą Noosfery, doświadczając równocześnie ciągłości bytu. Doświadczając istnienia i trwania, którego miarą okazuje się nieustanna transformacja, zbliżanie się do Punktu Omega, w którym dane nam będzie stopić się, zjednoczyć z Absolutem, dotknąć ostatecznej Tajemnicy.

Malarstwo Anny przybliża nas do tego doświadczenia za sprawą eleganckiej, wyważonej formy, kunsztownego rysunku, przemysłowej kompozycji. Malarstwo to przemawia do nas głosem spokojnym, ale stanowczym. Udawania, że aby nie roztopić się w Noosferze – musimy oswajać czas, pozostawiając znaki, ślady naszej obecności, znaki stanowiące ów istotny element ciągłości, w ramach której przyszło nam żyć.

Sztuka to jednak przede wszystkim zapis obecności człowieka, a jak wspomina malarka **Elżbieta Wasyluk** – „Kształt obecności jest rozleglejszy niż rysunek ciała gdy codziennością dopełniamy siebie kalejdoskop zdarzeń układa się w niebo.”

Współczesne malarstwo figuralne przedstawia człowieka w sposób coraz bardziej syntetyczny i anonimowy zarazem, sprowadzając jego postać do prostej, czytelnej formy, zarysu postaci, sylwety. Mimo wszystko jednak, stając przed kompozycją malarską czujemy się zdemaskowani, odkryci, odarci z iluzji prywatności, tym bardziej, że istnieje bolesny dysonans między naszym wyobrażeniem siebie, wizerunkiem jaki kreujemy na użytek publiczny, a obrazem zapisanym w świadomości odbiorcy.

Codziennie bowiem (jak pisał T. S. Eliot) umieramy wobec siebie i rodzimy się na nowo w kontakcie z drugim człowiekiem. Spotykamy się na scenie świata, nadajemy czytelny, jednoznaczny kształt naszej obecności i jak uczy filozof, twórca personalizmu, Józef Tischner – żadne spotkanie nie jest przypadkowe, przygotowujemy je bowiem uczestnicząc w całej sekwencji zdarzeń, które dokonały się wcześniej. Scenerię aranżujemy sami, tworząc specyficzną, nam tylko właściwą aurę, gromadząc nie tyle ukochane przedmioty, których w naszym życiu aż nadto, ale przeżycia, doznania, pragnienia i niespełnienia, tęsknoty.

To tutaj, na pozornie pustej scenie, w mroku lub w pełnym blasku reflektorów, w bezruchu i ciszy dokonuje się spotkanie z drugim człowiekiem, uczestnikiem dramatu, z Personą. To tutaj rozgrywają się największe tragedie i największe uniesienia, w przestrzeni wolnej od rekwizytów, w przestrzeni wydzielonej, osobnej.

W malarstwie Elżbiety Wasyluk – scena pozostaje symboliczną, metaforycznie pustą. Brak scenografii okazuje się także scenografią. Człowiek sprowadzony do formy syntetycznej sylwety, rozświetlonego, barwnego obrysu staje twarzą w twarz z drugim człowiekiem, nadając swej obecności intensywny, wyrazisty kształt, tak wyrazisty, że widać niemal tkankę materii, graficzną, perfekcyjnie narysowaną strukturę kręgosłupa, kości śródrečna, czaszki.

Nawiązując do myśli Tischnera można przyjąć, że twarz jest tu człowiekowi dana, nie jako teatralna maska, forma alienacji

i ukrycia, a jako zaskakujące doznanie, odkryte w nagłym błysku świadomości, w objawieniu, w epifanii. Twarz bowiem znamionuje odkrycie, otwartość na drugą personę dramatu, prowokując równocześnie do działania, do zawiązania intrygi, do kreowania wątku, akcji scenicznej.

Na płótnach autorstwa Elżbiety, tworzących cykl podobnych kolorystycznie ujęć – głowy (przesuniętych, przenikających się, powtórzonych obrysem postaci) odsuwają się lub chylą ku sobie, w ledwie uchwytnym napięciu, w oczekiwaniu, w jakiejś przerażającej zwykłe doświadczenie ekstazie, żeby doświadczyć i ośwoić skomplikowany świat ducha drugiej, jakże podobnej i odmiennej zarazem postaci. Oczy jednak pozostają wyraziste i uważne, a odsłonięta, świetlista, niematerialna tkanka czaszki, torsu, dłoni, czy szyi powala domyślać się przyspieszonego bicia serca, wzmożonego pulsu krwi, niepokoju.

Czasami graficznie zaznaczona sylweta wygina się w konwulsyjnym geście, czasami usta otwarte do krzyku odkrywają otchłń, kiedy indziej zdeformowana twarz, ruch ręki wyraża prawdziwe, obnażone do ostatka cierpienie.

W spotkaniu dokonuje się misterium Osoby, dlatego postaci ludzi namalowanych przez Elżbietę, nasycone metafizycznym błękitem, doświadczają owego (jak pięknie mówi malarka w swym wierszu) „trącenia skrzydłem Ikarą”, dotknięcia Kreatora Świata, Stwórcy, Absolutu. Stając naprzeciw siebie – bohaterowie obrazów rzucają wyzwanie, Losowi, Bogu, wreszcie – sobie nawzajem. Zawieszeni w głębokim błękicie, zatrzymują się w metafizycznej przestrzeni by doświadczyć życia ziemskiego i nieziemskiego zarazem, skończoności i nieskończoności bytu.

Spotkanie z drugim człowiekiem okazuje się zawsze spotkaniem z Bogiem, z ową utajoną, ukrytą częścią Boga w człowieku. Być może właśnie dlatego kompozycje Elżbiety, malowane zazwyczaj w dużych, monumentalnych formatach zawierają głębokie przesłanie religijne, filozoficzne, moralne.

Sylwety ludzi przenikają się, przeglądają w sobie nawzajem jak w lustrze, tworzą nową, mistyczną realność, znaczną intensywną obecnością Absolutu. Czasami wyrasta między nimi jakieś wyobrażenie, upostaciowienie wewnętrznego Ja, czasami pochyliła się nad człowiekiem Bóg, otaczając go światłem, spokojem gładkiej płaszczyzny błękitu.

W człowieku jest jednak także zło, cierpienie, destrukcja i nie nad każdym pochylił się aniołowie. Człowiek bywa demoniczny i mroczny, jak owa „czarna chmura” emocji, o której mówi malarka, że ma ją w sobie i która prowokuje wszelką artystyczną aktywność, gdyż sztuka wyrasta przede wszystkim z niepokoju, protestu, buntu, ze zwątpienia.

Tak jest w pojęciu krytyka, któremu wolno odbierać dzieło poza biografią, głoszoną światopoglądem artysty, nie bacząc na odniesienia filozoficzne, źródła inspiracji i deklarowane intencje twórcy.

„Jeżeli piszę o czarnej chmurze mózgu” – wyznaje Elżbieta Wasyluk – „to nie myślę o tym, że człowiek (ja) bywa demoniczny, ale zaciemniony poprzez wszelkiego rodzaju ograniczenia, również fizyczne i psychiczne. To nie czarna chmura mózgu prowokuje mnie do aktywności, ale prześwit, który się w niej pojawia. Prześwit – chwilowe rozumienie, widzenie, afirmacja, zachwyt. To co mnie prowokowało i prowokuje do twórczości to tęsknota za czymś lepszym; tęsknota za miłością jest źródłem mojego malarstwa, a z drugiej strony – chęć panowania, ustanawiania takiego porządku w obrazie estetycznym, takiego świata sztuki, poprzez który wyrażę konkretne treści – inaczej mówiąc – słowo i spotkam drugiego, podobnego, kochanego.”

W tryptykach Elżbiety powraca motyw trójdzielnej, symultanicznej sceny, znanej ze średniowiecznego misterium. Inaczej jednak, niż w średniowiecznym teatrum – podziały przestrzeni nie wydają się być nacechowane żadną interpretacyjną intencją, czytelnym rozróżnieniem: niebo – piekło, dobro – zło. Jak mówi bowiem autorka: „Szukając Boga, przechodzi się przez ciemną noc zmysłów i ducha.” Przez „ciemną noc” idzie się zatem ku światłu, które rozedrganą, charakterystyczną kreską, rozwibrowaną plamą i jasną, surreálną poświatą przenika wszystkie kompozycje artystki.

„Obrazy są we mnie – dorastają, miesiące, lata, wędrują ze mną, bywają pijane, bywają wściekłe, nienawidzą lub kochają. Twórczość nie znosi amoralności, imitacji odczuć, doznań. Jeżeli się ma trochę szacunku dla samego siebie trzeba się starać poprzez twórczość mówić prawdę o stanie swej duszy, trzeba to robić bez względu na cenę jaką przyjdzie zapłacić.” – powiedział kiedyś **Tadeusz Ogrodnik**, malarz i grafik, kiedy próbowano sformułować go do sformułowania artystycznego credo.

Teraz, w czasie spotkania w pracowni, gdy na ekranie komputera pojawiają się fotografie kolejnych rysunków i szkiców, cykli uporządkowanych zgodnie z czasem ich powstania obrazów – uświadamiam sobie ogromną konsekwencję artysty, dla którego każda kompozycja staje się wiarygodnym, odpowiedzialnym zapisem stanu umysłu i ducha, stanu własnego odczuć i przeżyć, przetworzonych, wzbogaconych o świadome nawiązania do tradycji, do rysunków Albrechta Dürera i Brunona Schultza, do ascetycznych, graficznych obrazów Andrzeja Wróblewskiego.



Tadeusz Ogrodnik

Ślad obecności człowieka lub może – obecności domniemanej kojarzy się z rolą obserwatora, patrzącego okiem chłodnym, bez egzaltacji, bez emocji, z uwagą i zainteresowaniem. Formy wykalkulowane, przemyślane i domyslane do ostatka, odtworzone w najdrobniejszych szczegółach – tworzą konstrukt, gdyż obraz to przede wszystkim kompozycja, architektoniczna struktura w ramach której zmagają się trzy żywioły: wody, powietrza, materii i niekiedy ognia. Materia żyje tu życiem własnym, mieni się, przeistacza. Muszle obrastają roślinnością, powielając same siebie w nieskończoność, kamienne, masywne bryły porastają gęstą siatką ornamentu, być może runicznego pisma, znane i pozornie oswojone sylwety łodzi, sterów i lin trawi rdza czyniąc z nich puste, wydrążone cienie, koronkowe skorupy, oderwane od pierwotnie przypisanych im funkcji i sensów.



Andrzej Tomaszewski

Olga Lalić-Krowicka

Ziemia to tylko nienazwany grób

Nie zwracaj mi imienia
to nie ja
to kształt hysterii i pogaństwa
niebo sięga ręką po owoce z mózgu
walczą odważni chłopcy
giną i kochają
a ty niebo zabierz wszystko
żeby już nic i nikt nie cierpiał
Moje imię nie składa się z liter
we śnie święci go mierzą w dłoniach
gdy Pantokrator patrzy wraz ze mną
na bruk prowadzący do żalosego
ludzkiego istnienia
Złap mnie motylku
kiedy kwiaty nie cierpią
przecież cierpienie potrafi się też śmiać
ze zła które przynosi w walizkach
z dna piekła
próbując
spakować wagę ze snów świętych
Zgaszone latarnie może gdzieś w Sarajewie
Mostarze lub Belgradzie
albo w Zagrzebiu nad brzegiem rzeki Sawy
chwytają mrok do duszy
zapomnienie leczy czas
czas nie leczy zapomnienia
wszystko jest grą fałszywych proroków
ich sprawki są przewidywalne
tylko obojętni i głupcy nie dostrzegają ich
Marząc o wykopanej ziemi bez rekwizytów i kwiatów
powtarzam sobie z ulgą: wreszcie odpoczywam!
imienia nie pisz na ziemi
jego nie ma tu
człowiek jest największym wrogiem dla ziemi
Jest pełen obłok
który go zabrał
wraz z Serafinami i Cherubinami
nie oczekuj na jego przywędrowanie bliżej łąk
on bezpiecznie krąży wysoko tam gdzieś w kosmosie
wraz z gwiazdami wysyła prorocтва
a ja odpoczywam nie spodziewając się nikogo
i niczego
ubrana w nicość opowiadam Bogu ziemskie bajki
gdy głębokie sny
krążą wraz z obłokiem
nie próbując odnaleźć przystanku
na wieki wieków wszystko jest pięknem ciszy

Pantokrator nasłuchuje

Oczekując niebo w duszy
Ty delikatnie pukasz bólem
Czy ból i czas to niebo?
Słyszę tupot obcasów
Skądś uciekam
Wyciągając mnie ze snu
otwierasz wrota z jednym drzewem
Czy to ja czy ja i wiosna?
Znowu rozdwojenie
Dzwono zaprasza na wieczernią
modlitwę a Rusinka zapatrzona w Twoje oblicze
odwraca się w moją stronę i uśmiecha
To ona. Tak, to ona. Znam ją.
To ona i tak to ona?
Czy to też rozdwojenie?
Nie, to uśmiechnięta kobieta -
odpowiadasz mi, podczas gdy owijam
Twoją ikonę chustą wiosenną.

Wszystko w tonacji ciemnych brązów, przygaszonych błękitów, czerwieni nieco zrudziałych i metalicznych, zimnych refleksów światła, które także materią, raz migotliwym blikiem znaczącym bryłę przedmiotu, kiedy indziej mleczną mgławicą bieli, sączą się z drugiego planu, nadając surrealny wymiar i tak obcym, nieprzyjaznym, bo niemożliwym do rozszyfrowania magicznym znakom, symbolom.

Asceza w stosowaniu koloru ma swoje teoretyczne podłoże, gdyż jak twierdzi (nie bez subtelnej ironii) artysta – „Farbkami się bawią dzieci i dorośli, bo to nikomu nie zaszkodzi. Malowanie można traktować jak terapię, ale ja traktuję jak zawód, w którym raz po raz spotykam się z WENĄ.”

Siedzimy w pracowni na szczycie wieżowca „Piła Wita”, za oknem kawałek betonu, deszcz, smuga szarego, jesiennego nieba. Tyle i tylko tyle. Stan z dnia 5 października 2012. Na ścianach kilka zatrzymanych w kadrze kompozycji. Biorę tytuły z ostatniego katalogu: „Leśne błyski”, „Wspominanie piramid”, „Kamienne organy”, „Barka”, „Muszelkowe zarostanie”, „Schody”. Nazwy konkretne, bez literackich odniesień, odrzucające wszelką narracyjność, czy tak cenioną przez niepewnych swego warsztatu – anegdote, narrację, fabułę.

Andrzej Tomaszewski koncentruje się głównie na warsztacie, na przyjętej przez siebie filozofii, którą możnaby opisywać jako wiarę w brak podziału na naturę martwą i ożywioną, jako fascynację energią i zdolnością Wszechświata lub może jakiegoś uniwersalnego Wszechbytu do autokreacji, trwania w określonym porządku, harmonii, poza czasem, poza ludzką wolą i potrzebą.

Wbrew temu, co przypisuje mu krytyka – Tomaszewski nie należy do ludzi

skromnych, nieśmiałych. Zna doskonale wartość swych prac, nie dorabia do nich żadnej ideologii, programu. Wydaje się prowadzić dialog z twórczym, z ową traktowaną odpowiedzialnie i z niekłamana powagą – materią, przede wszystkim – z materią obrazu przechodzącą od laserunków i graficznego rysunku po relief, gęstą strukturę, ciężką od balastu tworzywa, od faktury, pigmentu, od szpachlę kładzionej farby. W rozmowie, której przewrotnie narzuca lekkie, niezobowiązujący styl – posługuje się ledwie uchwytym odcieniem autoironii, bawi anegdotą, dowcipem. „Staram się malować porządnie. Nie wierzę że ludzie na tym się nie znają... Ktoś, kto ogląda moje obrazy, patrzy również od tyłu... dobry gatunek płótna, rama, dobry grunt, a nie żeby było jak najtańiej. Każdy obraz traktuję poważnie, bo jest dla mnie przygodą. Jeżeli ktoś się pojawi i podobnie czuje – to mogę mu nawet sprzedać.”

Tak, więc malarz mówi niewiele... konsekwentnie wyizolowany, tworzący teatr osobny, przyjmuje zapewne, że najlepsze źródło inspiracji to spojrzenie w głąb siebie, w owe wewnętrzne pejzaże, gdzie (jak w prozie Brunona Schultza) nagle z kamiennej bryły wysnuwają się koronkowe, świetliste pędy, tworzące złudną fatamorganę, „dziwną symulację materii, która podsywa się pod pozór życia.” Twórca bowiem ponosi odpowiedzialność wyłącznie przed sobą samym, prowadzi dialog z owym drugim lub możliwe nawet trzecim, czy czwartym światem. Patrzy okiem chłodnym, czujnie, bez znieczulenia, dokonując wiwisekcji i syntezy, wybierając między harmonijnym łańcem i równie harmonijną destrukcją.

„Dzięki sztuce, zamiast widzieć jeden świat, nasz, widzimy, jak świat się pomnaża, ilu jest bowiem oryginalnych artystów, tyloma dysponujemy światami, które bardziej różnią się między sobą od światów krążących w nieskończoności, i choć wygaśnie ognisko, skąd emanuje świat artysty, przez wiele stuleci świat ów (...) wysyła nam wciąż jeszcze specjalny swój promień” – pisał Marcel Proust w powieści *Czas odnaleziony*.

Czytając prozę Prousta należy wnikać w jego styl pisania, skomplikowany, z charakterystyczną długą, melodyjną frazą, z wielością metafor i symboli, bogaty a jednocześnie chwilami oszczędny aż po ascezę. Należy podjąć rodzaj wyrafinowanej gry, dać się uwieść urodzie dzieła, które w istocie pozwala zanurzyć się w magicznym czasie klasycznej europejskiej kultury, w czasie odnajdywanym, odkrywaniem przed oczami oczarowanego czytelnika, który aż do ostatnich stron powieści – nie bardzo zdaje sobie sprawę z zamiarów i intencji autora.

Podobnie dzieje się w przypadku twórczości **Eugeniusza Repczyńskiego**, która podobnie jak proza Marcela Prousta – fascynuje bezinteresownością. Artysta bowiem nie stara się nikogo o niczym przekonać, nie wypowiada arbitralnych sądów, nie kwestionuje poczucia estetyki odbiorcy, nie demaskuje i nie obala mitów, nie rani, nie prowokuje i nie wystawia na próbę uczuć religijnych widza, a przede wszystkim obcy wydaje się być mu ton owej „sztuki akcyjnej”, która tak boleśnie dotyka nas co dzień wytwarzanymi przez kulturę masową – artefaktami.

Czytając Prousta dajemy się ponieść urodzie stworzonej przez pisarza mitologii, owemu „zapachowi przeszłości”, która pozostaje zapisana w podświadomości wyedukowanego estetycznie odbiorcy. Wchodząc w świat malarskich wyobrażeń Repczyńskiego doświadczamy obecności czasu minionego, czasu przywołanego za sprawą mitologicznych i biblijnych odniesień, za sprawą techniki nawiązującej do płaskiego, operującego obrysem, miękkim i płynnym konturem malarstwa figuralnego, przypominającego dalekie inspiracje kulturą starożytnej Grecji.

Pobrzmiwa tutaj także nasycona, soczysta kolorystyka, z dominantą przechodzących w oranż i brązy czerwieni oraz błękitów, kojarząca się z kompozycjami Paula Gauguina.

Dzięki bardzo oszczędnej narracji przedmioty pokazane na płótnach (owoce, chleb, ryby, sylweta gołębia, czy drzewa), podobnie jak postacie – urastają do rangi symboli, ale podkreślić należy, że nie jest to powtórzenie modernistycznej, bliskiej dekadentyzmu, opartej na intuicyjnym i emocjonalnym poznaniu – estetyki.

Symbolizm wynika tu raczej z potrzeby pokazania w sposób pełen skupienia i zadumy, celowo mocno przeestetyzowany – postaci znanych z mitu i przypowieści biblijnej, umieszczonych w nowych konfiguracjach, graficznych układach, konstruktach.

Dla malarza liczy się bowiem konstrukcja lub może raczej – architektura obrazu, który powinien zastanawiać porządkiem, harmonią kształtów, jakimś wewnętrznym łańcem. Zatrzymując się przed płótnami pędzla Repczyńskiego odnajdujemy czas utracony europejskiej kultury, czas mitu, zapomnianego języka śródziemnomorskiej wyobraźni, czas w którym powracający wątek, celowo powtarzany typ narracji zaświadcza o potrzebie zapisu nieustannej płynności stanów psychicznych, stanów (mocno zakorzenionego w tradycji) ducha artysty, kreatora i obserwatora zarazem.

W ten sposób zaciera się granica między sferą sacrum i profanum, gdyż to właśnie sztuka (jako konkretyzacja idei, określonego systemu wartości), wykorzystując medium koloru i światła, formy płaskiej i fakturalnej, powierzchni matowych i połyskliwych, architektonicznej konstrukcji obrazu – daje odbiorcy szansę na doświadczenie emocji, duchowego i zarazem intelektualnego przeżycia.

W malarstwie Repczyńskiego, szczególnie w obrazach o tematyce sakralnej, mistycznej nie sposób oddzielić spokoju i może nawet chłodu intelektualnej kalkulacji od subtelnych niuansów uczuć, od ciepłej tonacji emocjonalnej uzyskanej za sprawą światła sączącego się jakby spoza obrazu, z wnętrza, z drugiego planu, światła rozproszonego, które w istocie uwydatnia płaskość i kruchość pokazanych na płótnie, symbolicznych postaci, obwiezionych finezyjnym, niekiedy barwnym konturem.

Być może także za sprawą obecności tak surrealnie potraktowanego światła, przenikającego transparentne płaszczyzny, formy przypominające tafle spatynowanego, noszącego piętno upływu czasu, piętno dawności witrażu – przypisuje się cyklom kompozycji, o znamiennych tytułach, układających się w przemysłane sekwencje („Chrystus i ryby”, „Emaus”, „Góra Oliwna”, „Zdjęcie z Krzyża”) walor marzenia sennego, przepojonych aurą poetyckości, onirycznych, wyobrażonych światów.

Nie znaczy to jednak, że pejzaże, czy też sceny inspirowane mitologią lub Biblią wolne są od pewnej staranności, precyzji bliskiej kaligrafii, którą podkreśla jeszcze rysunek i kontur, przypominający że wszystko to tylko gra umownych, bardzo oszczędnych form – symboli. I tak cykl pejzaży wiejskich nie odnosi się do konkretnych, zapamiętanych, czy podpatrywanych obrazów. Jest to raczej synteza tego wszystkiego, co z pejzażem się może kojarzyć, podobnie jak syntetycznym obrazem kultury antycznej okazują się kompozycje utrzymane w tonacji ciepłych brązów, wyzłoconych ugrów i czerwieni, w których pojawia się profil kolumny, płaska sylweta zatrzymanego w teatralnej pozie człowieka z lirą, lub pochylone ku sobie postacie z jabłkiem, gołębiem czy amforą. To właśnie w tych kompozycjach następuje dyfuzja, przenikanie się kultur. I tak na przykład w „Kuszeniu greckim” pojawia się intensywnie czerwone jabłko, a anioł trzymający flet przypomina postać z antycznego fryzu, przywracając czas zapomniany, czas utracony realnie i przechowany, utracony w sferze kultury.

W prozie Marcela Prousta, w prozie pisanej przez całe życie, pojmowanej jako jedna niekończąca się opowieść, w owym poszukiwaniu i odnajdywaniu tego, co utracone, minione – bohaterem stawał się Czas. W malarstwie Eugeniusza Repczyńskiego – bohaterem okazuje się światło, światło promieniujące, emanujące z wnętrza obrazu, światło nasycone barwą, wreszcie owa światłość, będąca nieodłącznym atrybutem boskości, nadrzednego, doskonałego bytu. To właśnie za sprawą światła czas sacrum jednoczy się z czasem profanum, dając okazję do filozoficznych przemysłów na temat śladu obecności człowieka we współczesnej kulturze, w sztuce która coraz częściej przypomina o alienacji, samotności i dramacie, próbującego dogonić swój czas – humanisty.

Człowieka współczesnego otacza coraz częściej intelektualna i emocjonalna pustka... Swoistym remedium na tragizm egzystencji ciągle jeszcze okazuje się sztuka. Dzieło sztuki było bowiem od wieków najważniejszym elementem procesu międzyludzkiej komunikacji, a artysta (niezależnie od tego, czy mówił językiem prostym i zrozumiałym, czytelnym, czy aluzyjnym i skomplikowanym) pozostawał w intymnym kontakcie z odbiorcą, adresatem jego najbardziej osobistych wyznań i myśli.

Tak, więc fakt pójścia do galerii wyrażał niezmiennie gotowość uczestnictwa w swoistej celebracji, misterium, dawał szansę na wzbudzenie w sobie poczucia przynależności do konkretnego kulturowego kręgu, mobilizował do poznawania różnorodnych form ekspresji, konwencji i stylistyk. Przed laty chodziło się do salonu sztuki przez „zdrowy” snobizm i z „potrzeby serca”, z prostej ciekawości i z chęci doświadczenia czegoś niezwykłego, tym bardziej, że w sztuce końca dwudziestego wieku dominowały happeningi i para teatralne akcje, obrazoburcze gesty i nonszalanckie deklaracje artystycznych grup.

Teraz, gdy nie ma czasu na rozmowę, na autorefleksję, na dialog, na poważne spojrzenie w głąb siebie – chwile spędzone w galerii zdają się być może jedyną, wyjątkową okazją spotkania z drugim człowiekiem, spotkania uważnego, w celowo zaaranżowanej przestrzeni, w przestrzeni wyizolowanej, zawieszanej poza czasem nieustannego dziania się, zmagania, zabiegania, gromadzenia. Bywalec galerii sztuki doświadcza zatem faktu intensywnej obecności dzieła, w konfrontacji z którym odkrywa samego siebie, szukając w sztuce potwierdzenia nie tylko swych obsesji, wątpliwości, swych lęków, ale także mistycznej wiary w piękno i porządek świata, w sens i cel istnienia.

Małgorzata Dorna

Edyta Antoniak-Kiedos

To miał być kolejny zwykły dzień – śniadanie, droga do pracy, powitanie kolegów, zjazd na dół i ciężka praca, byle do końca szychty. Jednak 23 marca 1971 roku odmienił życie wielu osób. W zabrzańskej kopalni „Rokitnica” o godzinie 16.05 nastąpił zawał węgla. „Epicentrum tego niezwykle silnego wstrząsu tektonicznego, który porównać można do trzęsienia ziemi, znajdowało się w sąsiedztwie ściany”¹, gdzie pracował Alojzy Piontek i osiemnastu jego kolegów. Po stu siedemdziesięciu czterech godzinach akcji ratowniczej bilans był następujący: czterech górników wyszło z nielicznymi zadrapaniami, czterech trafiło do szpitala, dziesięciu odkopano martwych. Stała się jednak rzecz niesamowita – dokładnie sto pięćdziesiąt osiem godzin po łąpnięciu wydobyto żywego człowieka.

swą popularność i ludyczny charakter stanowiły przeciwwagę dla heroizmu i patosu z medialnego wizerunku górnika, zadawały kłam mitom oraz stereotypom⁹. Podobnie w filmie Halora przeżycia młodych adeptów górnictwa przeplatają się ze scenami, w których Piontek snuje prostą opowieść o swoim życiu. Wspomina, dlaczego został górnikiem, a potem jak udało mu się przetrwać zawał. Jego potoczny, gwarowy język, lakoniczne wypowiedzi i ciężkie westchnienia oddają siłę traumy, jakiej doznał pod ziemią, tłumacząc, dlaczego obiecał sobie, że nigdy więcej nie zjedzie na dół. Swoją podziemny dialog z innym zasypianym górnikiem Alfredem Gebauerem odtwarza tak:

Jak to łąpnięcie przyszło, on się odezwał pierwszy. Powiada – Alojz żyjesz? Żyje. A Ty jak? Nogi mam *zasute* i styl łopaty mnie ciśnie, nie mogę nogi ruszyć i cały zasypany jestem, ale ręce mam wolne, światło mam. A ja się *onego* pytam, jak Ty masz Alfredzie? A on powiada – Ja nie mogę się ruszyć, jestem cały zasypany i bardzo na mnie ciśnie, ręce i nogi nie mogę ruszyć. Ja się

W innym miejscu Kijonka parafrazuje słowa Chrystusa skierowane do Piłata (J 18, 36), by przypomnieć doniosłość roli, jaką dla braci górniczej odgrywa Piontek:

Królestwo domu mego było z tego świata:
Dwuizbowe, z ołtarzem kuchennego pieca
Na pieczyste, lecz zaprawdę popielcowe dni

(s. 87)

Świadkiem nowego „zmartwychwstania” jest brat górnicza, sąsiedzi, których Piontek zaprasza do domu, by mogli zobaczyć, dotknąć, wierzyć, że ten żywcem pogrzebany, oplakany za życia, „wyniesiony z cyklonu skalnego na rękach” (s. 73) został „pod pieczęcią głązów / Urodzony powtórnie” (s. 73). Człowiek pracy, prosty, niewykształcony, zajęty codziennymi sprawami nie jest w stanie zrozumieć, jak doszło do tragedii, a później do cudownego ocalenia. Wypowiada się jednak jako wybraniec,

„Wyszedłem stamtąd, żeby opowiedzieć”. Rzecz o Alojzym Piontku¹

¹ Faktycznie nazwisko górnika brzmiało Piątek, ale od pierwszej informacji prasowej, gdzie zostało przekręcone, nigdy nie udało się błędu sprostować. Nawet informacje o jego śmierci podawały po latach nazwisko „Alojzy Piontek”.

Początek wiosny 1971 roku był czasem, gdy cała Polska patrzyła na Śląsk, a najdłuższa akcja ratownicza w historii polskiego górnictwa przyniosła ocalenie człowiekowi, który od tego momentu uważany był za wybrańca losu². Uwaga, jaką media skierowały na akcję ratunkową w „Rokitnicy”, z pewnością wykorzystywana była przez ówczesne władze do tzw. propagandy sukcesu, nie umniejszało to jednak doniosłości wydarzenia. Pisano, że Piontek zawdzięcza swe życie „zdyscyplinowanemu, sumiennemu, ofiarnym, solidarnym” ratownikom, ale także „swemu niebywałemu hartowi ducha, wybitnej odporności psychicznej, zaradności, trzeźwości umysłu”³. Ryszard Krynicki w utrzymanym w nowofalowej dykcji wierszu pt. *31 marca 1971, godzina 19.21* obnaża ów fenomen popularności Piontki przez zestawienie wydarzeń na Śląsku z tymi, jakie działy się w grudniu 1970 roku w innych częściach kraju. Dla niego ocalenie górnika jest tematem zastępczym po masakrze robotników na Pomorzu:

ocalony z zawału górnika czuje się dobrze
i zdaniem pani która wszystko wie
bo sprzedaje gazety przechodzi do historii
węgiel nie chce wydać ciała jednego towarzysza
(...)
ocalał jeden
zginęło dziesięciu górników
na Wybrzeżu
w tajemnicy pogrzebano zabitych
milczymy⁴

Jednak prosta i religijna ludność Śląska ocalenie Piontki – po siedmiu dobach podziemnego uwięzienia – traktowała jak powstanie z martwych, wręcz zmartwychwstanie, a z całą pewnością jako cud.

Historia ocalałego górnika poruszyła wiele osób świata kultury i sztuki, oprócz dziesiątków artykułów w prasie codziennej, na jej kanwie powstały m.in. film dokumentalny *Czarne słońce* Antoniego Halora⁵, książkowy reportaż *Zawał* Janusza Roszko⁶ oraz poemat *Siódma północ* Tadeusza Kijonki⁷. Krążyła też dowcipna piosenka, która zaświadczała, że na „Czarnym Śląsku” wszystko co groźne należy obśmiać:

Alojzy Piontek zasypany był
nic nie jadł, nic nie pił, ale żył.
Alojzy Piontku, powiedz mi,
dlaczegoś ogryzł ten styl.
Blank nowy styl.⁸

Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska przywołuje jeszcze inne dwa warianty „ballady o Alojzym Piontku”, które ze względu na

Autentyczne wypowiedzi górnika z „Rokitnicy” zawiera również książka Janusza Roszko, która powstała na podstawie licznych rozmów z uczestnikami wypadków z 23–30 marca 1971 roku. Dziennikarz pieczęłowicie odtworzył kolejność tamtych zdarzeń, opierając się nie tylko na doniesieniach prasowych, ale przede wszystkim na wspomnieniach ratowników, kierownictwa kopalni, rodzin zawałonych górników i samego Piontki. Dokument Roszki mógłby być ważnym źródłem dla Kijonki, którego poemat nie odbiega chronologią od prawdziwych wydarzeń. Sprawa Piontki była jednak na tyle głośna, że poeta mógł korzystać z innych źródeł. Trzeba pamiętać, iż w tym czasie ocalony górnik był bohaterem z pierwszych stron gazet.

Tadeusz Kijonka, pisząc *Siódma północ*, opierał się na autentycznych wydarzeniach, jednak zupełnie zmienił język bohatera poematu. Alojzy Piontek nie jest już przeciętnym człowiekiem, staje się kimś naznaczonym, wyjątkowym, jego wypowiedź ma moc objawienia. Jest pełna wzniosłości, patosu:

Wyszedłem stamtąd, żeby opowiedzieć.
Wybrany spośród wszystkich, by świadczyć i przeczyć.
Jedyny ocalony – opoka węglowa
Podziemnego zakonu, kość i krew braterstwa
I aby dać świadectwo zbłąkanym pod słońcem.

(s. 73)

W pierwszej części *Siódmej północy*, która spełnia rolę swojej inwokacji adresowanej do wszystkich wątpiących, Kijonka wpisuje górnika w poczet tych, którzy byli po drugiej stronie, zobaczyli piekło, krainę podziemi. Orfeusz, Dante, ale nade wszystko Chrystus są tymi, którzy dostąpili podobnego jak on zaszczytu. Poeta nadał bohaterowi *Siódmej północy* cech każdego z wielkich poprzedników. Posiadając dar tworzenia pieśni i poezjowania Piontek przypomina mitologicznego śpiewaka, zaś do twórcy *Boskiej komedii* staje się podobny jako przewodnik po kulturze robotniczej. Od tego momentu ocalony górnik nie może już posługiwać się prostą górniczą mową. Jest jak Chrystus, który przychodzi do świętego Tomasza i prosi, by ten zajął w jego bok. Jezus zwraca się do ucznia: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż do mego boku, i nie bądź niedowiakiem, lecz wierzącym!” (J 20, 27). Zaś Piontek wzywa wszystkich, którzy nie potrafią uwierzyć w cud:

Niech podejdzie, kto zwątpił w ciała zmartwychwstanie.
W oczy spojrzysz, gdy zbłądził i człowieka woła;
Drzwi moje są otwarte, w oknie światło, czekam,
Z każdym krwią się podzielę/ pierwszy podam rękę –
Nadzieja jest cielesna.

(s. 73)

⁹ Kijonka wbrew kanonom poezji lat 70-tych „programowo przeciwstawia się estetyce »ludyzmu«, »zabawy jako źródła...«, która zdobywa coraz to nowsze tereny współczesnej literatury”. Por. B. Żurkowski: *Uniwersalny temat?*, „Opole” 1976, nr 2, s. 29.

¹⁰ Słowa Alojzego Piontki spisane na podstawie wypowiedzi z filmu *Czarne słońce* Antoniego Halora.

który nie wie, jaki sens i cel dla niego przewidziano. W ostatnich słowach pierwszej części przedstawia się jako „syn węgla i ziemi, / Rębacz Alojz Piontek”¹¹. Snując zaś swoją opowieść, zwierza się:

Mówię o tym, by dowieść: jak ja — jeden z wielu,
Bezimienny, w zaprzęgu skalnym ociemniały,
Każdego może ziemia wynieść z głębin ponad,
By poświadczył to, czego
Wciąż sam nie pojmuję.

(s. 78)

Chrystus znał Boży plan, wypełniał wolę Ojca. Piontek nie zna tej woli, ale spełnia ją do końca. Kilkakrotnie podkreśla: „nie wiem, nic nie pamiętam, nie odpowiem, jak / uszedłem stamtąd” (s. 92), ale powtarza kolejny raz w biblijnym tonie:

Wyszedłem, bo choć jeden, bracia, spośród nas
Zaiste przetrwać musi — by świadczyć i przeczyć.
Aby opowiedzieć.

(s. 92)

Analogie do losów Chrystusa pojawiają się jeszcze w innych miejscach *Siódmej północy*. Na przykład ból „z ostrzem skały / pod piątym zębem” (s. 98) przywołuje na myśl przebitą bok ukrzyżowanego. W innym miejscu Kijonka przyrówna „iskrę pierworództwa” z jakiej narodził się Piontek – „syn ziemi” (s. 112) z dziewicznym poczęciem Jezusa.

Utwór spaja klamra kompozycyjna – górnika, zaświadcza o cudzie, staje się Chrystusem. Przez swoje cierpienie rodzi się powtórnie. Wszystkie wybory, rozważania jakie podejmuje w czasie tych siedmiu dni pozwalają mu zaśpiewać „Pieśń zmartwychpowstania”. Radość Wielkanocy jest radością zakończenia wielkiej, najdłuższej nocy w życiu ocalałego. Ostatnie słowa poematu podnoszą rangę wydarzeń, ale oscylują na granicy bluźnierstwa:

Syn ziemi i węgla
Staął pośród was – nagi,
W przepasce na biodrach –
I prawą wznosi dłoń:
– Alleluja!
– Alleluja!
Wyszedłem stamtąd,
Żeby opowiedzieć

(s. 114)

Po słowach „Alleluja” powtórzony zostaje początkowy wers pierwszej pieśni – jakby w jedno stopił się cud zmartwychwstania i opuszczenia czeluści ziemi. *Alleluja* to słowo z hebrajskiego, jego użycie ma szczególne znaczenie w Apokalipsie św. Jana, gdzie czytamy o dziękczynnych śpiewach niebian (Ap 19, 1–7). Jest też odpowiedzią wiernych w obrządku katolickim na graduł śpiewany po pierwszym czytaniu z Pisma¹². W *Siódmej północy* świadczy o doniosłości opisanych wydarzeń, głosi pamiętkę

¹¹ Tu warto nadmienić, że *Siódma północ* Kijonki przywołuje na myśl poemat *Hany* innego śląskiego poety – Wilhelma Szewczyka, który bohaterem czyni górnika-samobójcę, mówiącego o sobie „Ja – syn podniebnych szybów, ja – syn szarych świtów”. Bohater Szewczyka jest postacią autentyczną, bezrobotnym górnikiem, który rozczarowany sytuacją po tzw. powrocie Śląska do Macierzy – na znak protestu odbiera sobie życie („Słuchaj dumna Warszawo! / Co dzień hałdą zwątpienia rośnie w niebo Śląsk...”). Por. W. Szewczyk: *Hany*. Cyf. za Z. Hierowski: *Szkie krytyczne*. Katowice 1975, s. 323. Ponadto na powinowactwo twórczości Kijonki i przedwojennych wierszy Szewczyka zwraca uwagę już znacznie wcześniej Z. Jankowski: *Rzeźba autentyczna*, „Wiatrak” 1967, nr 15, s. 4.

¹² Por. W.R.F. Browning: *Słownik Biblii*. Przeł. J. Ślawik. Warszawa 2005, s. 33.



¹ „Regiony” 1975, z. 1. Cytat za D. Wężowicz-Ziółkowska: *Rzecz o Alojzym Piontku*, „Literatura Ludowa” 1983, nr 1, s. 3.

² R. Kipias: *Zabrze Rokitnica – wypadek*. Źródło internetowe – http://www.zabrze.aplus.pl/dzielnice_zabrza_rokitnica_wypadek6.html dostęp 30.09.2012

³ D. Wężowicz-Ziółkowska: *Rzecz o...*, s. 5.

⁴ R. Krynicki: *31 marca 1971, godzina 19.21*. W: Tegoż. *Magnetyczny punkt*. Warszawa 1996, s. 85.

⁵ *Czarne słońce*. Reż. A. Halor. Polska 1971.

⁶ J. Roszko: *Zawał*. Warszawa 1972.

⁷ T. Kijonka: *Siódma północ*. W: Tegoż. *Kamień i dzwony*. Warszawa 1975, s. 71–114. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania. W nawiasach podaję numery stron. Poemat Kijonki został opatrzonej mottem, z którego dowiadujemy się o autentycznych wydarzeniach z 23 marca 1971 roku. Czytamy, iż Piontek, „odcięty od powietrza, pozbawiony wody i pokarmu, przetrwał w skalnej szczelinie” (s. 72).

⁸ W związku z informacją o śmierci Piontki na jednym z portali internetowych przypominano tę piosenkę o nim. Por. <http://wisla.naszemiasto.pl/archiwum/1061474,zmarl-alojzy-piontek-gornik-ktory-kilkaset-metrow-pod,id,t.html> dostęp 10.01.2013

cudu. Kijonka wspomina jak doszło do tego, że w swym poemacie porównał Piontkę z opuszczającym grób Chrystusem:

Swoistego olśnienia takim rozwiązaniem doznałem podczas pobytu w Sandomierzu, gdzie zbierałem zresztą materiał do reportażu o ratowaniu miasta. Kwiecień, Wielki Tydzień, pączkujące wokół sady, a w Domu Długosza wśród wielu rzeźb także rzeźba Chrystusa z uniesionymi palcami... I nagle scena wyniesienia ze skalnego grobu uratowanego górnika skojarzyła się z tym obrazem. Pamiętam, gdy napisałem zupełnie spontanicznie „Alleluja, Alleluja”, wiedziałem, że tylko takie rozwiązanie poematu było właściwe – bo jest to także, na co niezbyt może zwrócono uwagę, poemat nawiązujący do polskiego losu, tego, który funkcjonuje głównie w martyrologicznych wyobrażeniach tradycji romantycznej.¹³

Śląski poeta zatytułował swój utwór *Siódma północ*, by podkreślić okres jaki Alojzy Piontek spędził w szczelinie utworzonej z zawalonego węgla. Minęła właśnie „siódma północ” podziemnego uwięzienia, gdy ratownicy dotarli do górnika i pomogli mu się wydostać. Nazwa poematu wiąże się z symboliką liczby siedem, która wprowadza w krąg tematów naznaczonych świętością. „Siódma północ” ma wymiar symboliczny, stało się coś wielkiego, naznaczonego boskością, cudownością. Krzysztof Rutkowski mówi o hierofanii, która objawia się tym, że:

Siedem dni dla tego czasu pod ziemią i dla tych ludzi na ziemi to okres czasu świętego. Ten zwykły człowiek, górnik, rębacz, staje się Posłańcem, swoimi powtórными narodzinami, które są zmartwychwstaniem, ustanawia sferę sacrum.¹⁴

Zupełnie inaczej widzi ten czas Maria Wronkowska, która pisze, iż:

Siedem dób jego trwania w owej skalnej szczelinie to czas przerażająco „bezwzględnej jawy” żywcem pogrzebania, „jawy” umierania sam na sam z ciemnością, głodem, pragnieniem, dusznością. To czas zarazem bezwzględnej próby sił ducha, czas bezwzględnej walki.¹⁵

W kontekście symboliki liczb najbardziej znamienne jest podobieństwo „siódmej północy” do „siódmej pieczęci”, które zostało zasugerowane w artykule Józefa Barana¹⁶. Krakowski poeta omyłkowo zatytułował „za Kijonkę” część utworu – tak jak film Ingmara Bergmana z 1957 roku¹⁷, choć równie dobrze mogły go na ten tytuł naprowadzić fragmenty poematu, gdzie czytamy o rozpachy uwięzionego górnika:

Nie ma, nie ma nic,
Tu ni tam nikogo. Siedem w pieczęciach ksiąg
Węgielnych — ściana za ścianą bez głosu...

(s. 107)

Baran fragment pochodzący z opublikowanego rok wcześniej tomu *Kamień i dzwony* nazwał *Siódmą pieczęcią*. Można traktować to jak błąd w druku, ale redaktor „Wieści”, w e-mailowej korespondencji udzielił takiej odpowiedzi:

Nie wiem, nie pamiętam... Na pewno wiem, że mój tekst ukazał się dopiero po wydaniu tomu Kijonki, bo z niego zaczerpnąłem wiersze... Ale dlaczego taki tytuł? Pewnie przypasował mi, bo nie podejrzewam, żeby to była pomyłka korektorska. Chyba że była to moja pomyłka, bo ja bywam roztargniony i czasami zdarzały mi się takie zabawne przeinaczenia, może np. słowo „siódma” skojarzyło mi się automatycznie z siódmą pieczęcią Bergmana. Diabli wiedzą...¹⁸

Inspiracja filmem szwedzkiego mistrza, w którym odwieczna walka człowieka ze śmiercią została przedstawiona symbolicznie, podpowiada ciekawe możliwości interpretacyjne. Gra w szachy, jaką o własne życie toczy ze Śmiercią rycerz Antonius Block, staje się paralełą losów Piontki, który wygrał ze śmiercią, bo chciał zobaczyć mecz Górnika Zabrze z Manchesterem City. Gra w szachy i gra w piłkę stają się tą samą mocą, siłą, która przynosi ocalenie, przedłuża życie. Dla górniczej braci najważniejsza jest piłka nożna. To myśl o kolejnym meczu Manchesteru City z Górnikiem Zabrze pozwala Piontkowi przetrwać tak długo w węgielnych czeluściach. Futbol jest świętością, o czym świadczy choćby taka apostrofa:

O gwiazdo piłki, przychylże nam siebie,
Bo czy cię kto wyznaje szczerzej na kolanach
Niż my, podziemni...
Kto, odpowiedz, kto?

(s. 75)

¹³ T. Kijonka: *Nie tylko z poezji jestem...* Wywiad z książki P. Dumin: *Poezja jest подарunkiem natury*. Toruń 2008, s. 105.

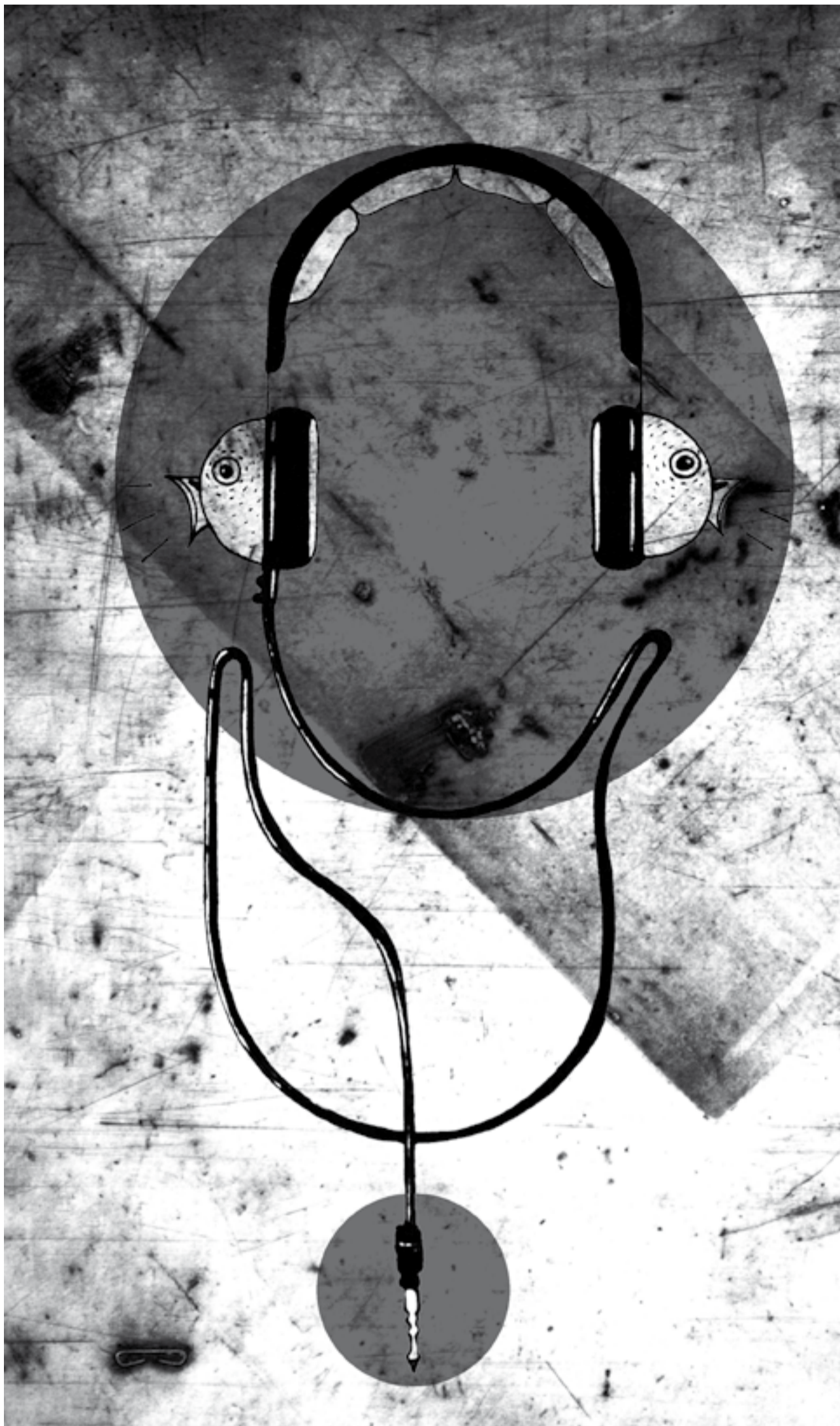
¹⁴ K. Rutkowski: *Białe i czarne*, „Miesięcznik Literacki” 1976, nr 7, s. 123.

¹⁵ M. Wronkowska: *Prawdy pierwsze*, „Regiony” 1976, nr 2, s. 152.

¹⁶ Por. J. Baran: *Spotkanie z wierszem. Tadeusz Kijonka*, „Wieści” 1976, nr 18, s. 5. Tu wypada zaznaczyć, że Baran nie dość, że pomylił tytuł to w opublikowanych fragmentach również pojawiają się jego „ulepszenia”. I tak w XXIV części zamiast „A mijają już siódma północ mego grobu, / Lecz nikt nie zdarł pieczęci ze mnie czarnych głazów” (s. 113), czytamy o „siódmej pieczęci mego grobu”.

¹⁷ Tadeusz Kijonka w rozmowie z 23.10.2012 roku przyznaje, że nie przypomina sobie takiej publikacji, a już na pewno nie wysłał Józefowi Baranowi do druku tak zmienionego tytułu.

¹⁸ Fragment e-maila Józefa Barana z dnia 25 października 2012 roku.



W tych słowach jest modlitwa o zwycięstwo, rozumiane nie jak sportowa rywalizacja, lecz wojna, w której „niech no nasi biją w tarabany / w ten raz!” (s. 74). Słowa nawiązujące do czwartej zwrotki hymnu narodowego budzą poczucie dumy i jedności, świadczą o patriotyzmie kibiców. Przebywający pod ziemią Piontek stracił poczucie czasu, był przekonany, że ratownicy dotarli do niego na drugi dzień po zawale. Blisko tydzień żył chęcią poznania wyniku piłkarskich rywalizacji ulubionej drużyny. Stąd „ogromny śmiech wywołało jego pytanie o wynik meczu Górnika”¹⁹. Ratownicy nie spodziewali się, że tak ważna będzie dla niego ta informacja. W tym miejscu warto zauważyć, że choć ani średnio-wieczny rycerz, ani śląski górnik nie wymkną się śmierci, zyskują na czasie. W jednym ze swych felietonów Jerzy Pilch pisze tak:

Podana w zeszłym tygodniu w gazetach (które się sprzedają) wiadomość o śmierci Alojzego Piontki zdała mi się niedorzeczna. Każda śmierć niedorzeczna, a jego śmierć jakoś skrajnie niedorzeczna. Nie po to ocalał, żeby – nawet po kilkudziesięciu

latach umierać. W zasadzie powinien żyć wiecznie. Prawda, że nawet cudem uniknąwszy śmierci i tak na śmierć czekamy, jest zupełnie nie do zniesienia. Po co takie cuda – Panie Boże?²⁰

Tadeusz Kijonka nie ma takich dylematów jak felietonista „Polityki” – dla niego ocalenie jest cudem, a nad sensem cudów nie należy się zatrzymywać, tylko w nie wierzyć i pokładać w nich nadzieję dla samych siebie. Stąd *Siódma północ* to zdumiewające zjawisko, wyjątkowe na tle dotychczasowej literatury o środowisku górniczym. Zauważają to między innymi autorzy antologii *Imię ziemi*, pisząc we wstępie, że Kijonka „wyróżnia się na tle okazjonalnej liryki o Śląsku głębokością refleksji kulturowej i humanistycznej. Region staje się pretekstem do rozważań o naturze, kulturze, o relacji między życiem a śmiercią”²¹. Owszem, wcześniej pisano o „świdrach i wiertłach, które wrzynają się w calinę węglową, o windach uwijających się między podszybiem a nad-

²⁰ J. Pilch: *Alojzy Piontek i Ryszard Krynicki*, „Polityka” 2005, nr 46, s. 106. Alojzy Piontek zmarł 29 października 2005 roku.

²¹ *Imię ziemi. Antologia wierszy o Śląsku*. Red. A. Widera, A. Wolny. Opole 1985, s. 22.



szybiem, sławiono trud górniczych rąk”²², ale nikt tak jak Tadeusz Kijonka nie połączył dwudziestu czterech części (Rutkowski nazywa je pieśniami) w równie misterną całość, przypominającą „wzór kopalnianego labiryntu, który przecina poziomy, piętra i pokłady; rozbiega się od nadszybia w głąb, wszecz i wzdłuż zagarniając siecią korytarzy i chodników rozległy obszar treści”²³.

W tej niecodziennej przestrzeni *Siódmej północy* można wyodrębnić kilka porządków. Pierwszy wiąże się bezpośrednio z autentycznymi wydarzeniami, w które uwikłani są konkretni ludzie (m.in. Alojzy Piontek, jego żona Teresa, ratownicy z kopalni Rokitnica). Drugi – z tradycją, obrzędami, a nawet przesadami społeczności górniczej. Trzeci odwołuje się do bolesnej, tragicznej historii Polski (nawiązania do powstań, okupacji hitlerowskiej, nalogów, obozów koncentracyjnych, pogromów), którą dopełniają literackie reminiscencje ze Słowackiego, Mickiewicza, Norwida. Kolejny porządek ma swe źródło w Biblii (postaci Maryi, Chrystusa, Piotra Apostoła, niewiernego Tomasza, uwięzionego we wnętrzościach wieloryba proroka Jonasza, ale także Księga Genesis, Apokalipsa) i tradycji chrześcijańskiej (świętynie, ukamienowanie Szczepana), następny zaś w mitologii (porównania do Ikarusa, Syzyfa, Prometeusza)²⁴. Spróbujmy odtworzyć tę wielopoziomą historię Piontka, odkrywając ją oczami poety, jego językiem i wyobraźnią. Jest to szczególnie ciekawe w kontekście słów Ryszarda Bednarczyka, dla którego *Siódma północ* to „złepok cytatów, odwołań i aluzji rodem z literatury narodowej, tradycji antycznej oraz biblijnej, przepieczone wątkami dziennikarskimi – przypomina poetycki kolaż nobilitujący cierpienie człowieka pracy”²⁵.

Na początku dowiadujemy się o czasie, w którym doszło do katastrofy, była wiosna:

Ten dzień, trzeci dzień wiosny... Śnieg, zimowy ptak,
Tracił już pióra sadzą zwarzone i rdzą,
Lecz o zmroku mróz nagle dniał

(s. 74)

Tego mroźnego dnia – 23 marca 1971 roku – życie Alojzego Piontka rozpada się na dwie prawie równe połowy. W dniu katastrofy miał ukończone 37 lat, był żonaty, wychowywał wraz z małżonką Teresą dwoje dzieci – chłopca i dziewczynkę. W kopalni pracował od wczesnej młodości, był doświadczonym górnikiem, wyznawał: „Ludzie, ja lat dwadzieścia rozgryzam węgiel / Więc mogę już coś wiedzieć o jego narowach” (s. 76). Jako rębacz urabiał skałę na przodku, zmagając się bezpośrednio ze ścianą węglową, czyli pracował w najbardziej niebezpiecznym miejscu, gdzie najłatwiej o przysypianie. Tamtego feralnego wtorku wysypywał urobek na skata na pokładzie „osiemset metrów w głąb” (s. 79). O sobie sprzed tragedii mówi tak:

[...] Byłem dotąd sobą,
Podzielny między szychtę, dom a męskie sprawy,
Jeden z wielu, z tym smutkiem lat trzydziestu siedmiu,
Kiedy mężczyzna wie już, że prąd go poniesie

(s. 77)

Kijonka podkreśla wyjątkowość ocalenia Piontka poprzez zestawienie sytuacji „przed” i „po”. Relacja rozpoczyna się od przypomnienia najważniejszego problemu, z jakim w tamtych dniach borykał się Piontek i jego kompani – czy drużyna Górnika Zabrze pokona Manchester City i wejdzie do Finału Zdobywców Pucharów? Górnicy, opanowani chęcią zwycięstwa i świętowania, nie zauważyli znaków (dom drgnął i się otrząsł / Trzykrotnie w dzwon południa, a nóż spadł ze stołu, / Ostrzem uwiązał w podłódze i dygotał jeszcze”, s. 79-80), które pozwoliłyby na przeczucie i ewentualne uniknięcie katastrofy. Ocalały górnik przyznaje, że mimo lat doświadczenia, obcowania z narowami ziemi, dziś wie: „przez ten mecz zwiódł nas węch w tym dniu! / Najczujniejsze ze zwierząt a ślepną w czas rui” (s. 76). Tego dnia Piontek nie miał większych zmartwień, byle ktoś chciał się z nim zamienić w pracy, byle przy kufle zimnego piwa mógł obejrzeć mecz. Zanim wyszedł z domu, zjadł „wędkonkę z grochem” i jeszcze bardziej odczuwał pragnienie, bo aż „pierzaste piwo / Musowało w gardle” (s. 79). W drodze do pracy myślał o tym, żeby coś się stało, coś takiego, co pozwoli mu zostać w domu: „Niechby tak w nodze trzasło, żebro pękło – śniłem / I opluwałem myśli te...” (s. 79). Kijonka stara się przedstawić Piontka jako jednego z wielu, przeciętnego, niczym niewyróżniającego się górnika:

[...] nie mam większych potrzeb:
W gospodzie piję setę pod piwo i patrzę,
Jak uniknąć zagryzki, chodzi w końcu o to,
By gorzała huknęła z woleja pod czapę

(s. 77)

Żona w śląskiej rodzinie jest przede wszystkim panią domu, do jej obowiązków należy prowadzenie gospodarstwa, wychowanie dzieci, ale i troska o męża tak, by zawsze do niej wracał, nawet jeśli nieraz za długo po szychcie zabawi z kolegami. Dobra żona wie, że mąż musi zrzucić ciężar kopalnianych trosk, ale wymaga, by prowadził się jak należy – nie przynosił „plugastwa do łóżnicy” (s. 77). Kijonka uważa, że swoiście „męska kalkulacja” polega na tym, „by poza domem popić – ale jadać w domu” (s. 77). Żona jest tym bliższa, im bardziej górnik zapomina w jej ramionach o lęku, jaki mu towarzyszy przy pracy. Głębie kobiecego ciała i kopalni wyzwalają podobne skojarzenia. Bohater *Siódmej północy* wyznaje:

Uwierzcie, przepociłem wpierw dziesięć pokładów,
Nim poznałem ciemności kobiecego ciała

(s. 76)

Tyle tylko, że jedna ciemność budzi rozkosz, druga niewypowiedziany strach. Śląskie żony wiedzą o strachu, który trzeba okiełznać. Czytamy:

Do syta go usypiać, unosić, jak w dzień
Pod pierzyną ciasto niech się w śnie rozmnoży,
Mięśnie krwią spulchni parną i otrząśnie w dreszczu
Czarny niepokój z siebie wszystkich ścian kopalnych.

(s. 77)

Części IV, VI i VII poematu najbardziej zanurzają się w tematykę erotyzmu. Praca przy węglu wymaga tyle samo czułości, co obcowanie z kobietą, w obu przypadkach tak samo wysyca „krtąń z podniecenia”. Lepkie słowa namiętności określają węgiel, który staje się „unerwiony, jakby poczuł klacz / przez ścianę czarny ogień” (s. 81). Takie porównanie prowadzi do skojarzeń z aktem seksualnym małżonków. Paznokcie Teresy i spadające „stada głązów” stanowią dla mężczyzny to samo wyzwanie – tak jak kobieta, broniąca „tajemnic runa mego głodu, / Okiełznana w bezzelnej pysze ciężkich ud” (s. 81), musi w końcu poddać się mężczyźnie („sama po miąższ się rozstąpisz / I młdacz zlegniesz łagodna w dreszczach męskiej władzy...”, s. 81), tak górnik penetruje łono kopalni. Wspomnienie młodej żony, idącej w orszaku weselnym, gdy podobna była do „uskrzydłonej klaczy / Biało-grzywej, w tej pysze końskiego ogona”, prowadzi do konstatacji:

I tak wszedłem w kopalnię męskiego milczenia...
Tereso, czarna ściano porywana co dnia,
Już odtąd w skałach mięśni, w żarnach bez osłony
Ścierać się bezpowrotnie mi...

(s. 85)

Inicjacja adepta górnictwa i poznanie kobiecego ciała są dla bohatera *Siódmej północy* tym samym wtajemniczeniem. Podobnie jak ślubował żonie być razem z nią na dobre i na złe, tak o kopalni pisze:

Był to w stu słońcach powrót — ten po pierwszej dniówce,
Gdy dostąpiłem męskiej tajemnicy węgla
Na śmierć i życie, w dniu gdyś wśród starszyzny
Przez osadę — a ledwie w czas nowicjatu
W podziemnym zakonie — niósł się ponad brukiem.

(s. 85)

Pierwsza szychta to jakby plemienny rytuał albo przygotowanie do złożenia na całe życie ślubów zakonnych²⁶, pozwala odczuć dumę i męską solidarność. Przyrzeczenie ma symboliczną treść:

Nie, nie zaprę się ciebie po trzykroć,
Lecz na głos a w ślubie u boku powtórzę
Rotę pragórnica — nie rzucim ziemi

(s. 83)

Nawiązanie do nowotestamentowego epizodu, gdy święty Piotr wypiera się znajomości z Chrystusem, oraz do znanej pieśni patriotycznej, naznacza przysięgę podwójną mocą – wierność ziemi jest wiernością Bogu i Ojczyźnie. Powiązanie ciężkiej pracy górnika z trudem obrońców Ojczyzny pojawia się jeszcze w kilku innych miejscach. W części IV poematu odnajdziemy aluzję do męstwa generała Sowińskiego „w okopach Woli”, do „trwogi” Wielkiej Emigracji po upadku Powstania Listopadowego. W VII do Roty Konopnickiej, zaś w VIII pieśni odnajdziemy aluzję do piosenki legionowej *Wojenka, Wojenka*, gdzie mowa o najpiękniejszych ofiarach, jakie z własnego życia składają młodzi żołnierze. Walka, rany, krew górnika są szczególnie ważne, gdy przypomnimy historię trzech Powstań Śląskich. Kijonka wpisuje Śląsk w ciąg tradycji narodowowyzwoleńczej. Stąd w trakcie swego podziemnego uwięzienia Piontek ma prawo snuć refleksje nie tylko o swej młodości, o pierwszej kobiecie, o żonie, o domu rodzinnym, o pierwszej dniówce w kopalni, o dumie po zdobyciu pierwszej bramki, gdy „wreszcie wybiegł w pierwszej jedynastce” (s. 83), o zwycięstwie Lubańskiego, Oślizły i Wilczka nad

²⁶ W tym miejscu warto zaznaczyć, że porównywanie braci górniczej do zakonów nie jest pomysłem Kijonki. Wcześniej w ten sposób pisał o górnikach Gustaw Morcinek w powieści *Górnicy zakon*. Katowice 1964.

piłkarzami Manchesteru, ale też o Ojczyźnie, jej trudnych losach, cierpieniu w niewoli. Czytamy:

Tylko ognia i dymu nie brakło w ojczyźnie
Pogranicznej, hen po czoło niezłomne Kamieńca —
Ty twierdzo nieprzebrana powstańczych zagonów
Hałdo szczodra — —
w ręce nam fala, a za falą
Kamienie w tłustych sękach samorodków węgla

(s. 87)

W poemacie Kijonki oblężenie Kamieńca (zakończony symboliczną sceną śmierci Michała Wołodyjowskiego, który według ostatniej części *Trylogii* wysadził się w powietrze, broniąc honoru Rzeczypospolitej) jest tak samo ważne jak obrona górniczej hałdy, gdzie można znaleźć węglowy urobek. Hałda jest żywicielką, matką – „głodnych śmietnikiem świętym”, „łożyskiem płodu podziemnych straceńców” (s. 87), ale i „historiozoficzną inspiratorką, szansem obronnym i modlitewnym kontekstem”²⁷. Hałda wpisuje się od dzieciennych lat w krajobraz ojczysty, jest świętą górą i „prochownią skrytą”, symbolizuje niezłomność i ukrytą siłę narodu, który można określić podobnie jak Wysocki w *Dziadach* Mickiewicza:

Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi;
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.²⁸

To silne poczucie patriotyzmu bierze się z wychowania, ale i z przywiązania do rodzinnych tradycji. Śląska obyczajowość przenika kolejne pieśni, czytamy o znaczeniu chleba krzyżem, o cieście wyrastającym pod pierzyną, o ulubionej przez górników pianie z pełnego kufła, o przesadach zwiastujących katastrofę. Kilkakrotnie pojawia się też wzmianka o pylicy – chorobie dróg oddechowych, na którą szczególnie często zapadają górnicy wdychający pył kopalniany. Dziś wiemy, że Alojzy Piontek do śmierci zmagając się z tą chorobą, przez ostatnie lata nie mógł oddychać bez butli z tlenem²⁹. Wcześniej na pylicę zmarł jego ojciec. W VIII pieśni bohater *Siódmej północy* przywołuje postać mężczyzny, który „wysychał przed rdzewiejącą bramą”. Syn podzielił jego los, ale w latach 70. widział w swym ojcu mitologicznego Dedala. Dla Kijonki kopalnia jest odwróconym niebem (co szerzej ujął poeta w tomie *Pod Akropolem*) – stąd mit o Dedalu i Ikarze może według niego zdarzyć się również pod ziemią. Po katastrofie pojawia się wizja ojca:

Szliśmy — a ty w ślad za mną, krwią w krew tętnem trwogi,
W mrocznej chmurze pylicy jak w podziemnej łodzi.
I słyszałem z daleka — jakbym pióra tracił:
Synku, znów skrzysz się w słońcu Egejskiego Morza!
Tak mnie, ojczu, oślepią dźwięczny błękit szybu!

(s. 85)

Uderza skojarzenie kopalnianego szybu z szybowaniem w przestrzeniach, podniebny lot uciekinierów z Krety podobny jest do podziemnej wędrówki starego i młodego Piontka. Ojciec jest tym, który niesie ostrzeżenie, by nie ryzykował swego życia, by uważał na niebezpieczeństwa. Historia musi się jednak powtórzyć, młodzieńcza brawura daje o sobie znać kolejny raz. Ojciec w kolejnych wersach jest niczym Bóg, syn przypomina sobie:

Jeszcze nikt w sobie węgla całego nie uniośł.
Znam ten głos: Ojczu, ojczu, czemuś mnie opuścił!

(s. 85)

Słynne *Eli, Eli, lama sabachthani?* (Mt 27, 46 oraz Mk 15, 34), staje się dla Piontka nie tyle aktem rezygnacji czy zdrady ze strony ojca, co kolejnym „namaszczeniem” górnika na Chrystusa. Znak zapytania został zamieniony na wykrzyknik, by zmniejszyć wrażenie pokory względem ojca, a nawet wyrazić pretensję, choć podążanie jego śladem jest wyraźnie podyktowane chęcią kontynuowania rodzinnych tradycji. W tej samej pieśni bohater zwraca się do żony słowami: „Czuwaj z dłonią w śnie moim, co świt żegna, chlebna, / Jak matka ojca” (s. 85). Potrzeba naśladowania rodziców wpisana jest w mentalność śląskich robotników, górnik poddaje się wewnętrznemu nakazowi. Zespolony z hałdą, wychowany przy tej „piramidzie w przepaskach brzóz-zek” (s. 87), wspomina rodziców, szczęśliwe dzieciństwo, bo choć żyło się ubogo, podsumowuje radośnie: „otrzymałem – wszystko!” (s. 89). Ojciec i matka żyli w swoistej unii, która przywodzi na myśl czasy pokoju, gdy „zawsze równym krokiem: Litwa i Korona” (s. 89). Oboje wypełniali należycie swoje obowiązki, on pracował i oddawał wyplatę – „urobek krwawy w czarnoziem jej rąk” (s. 89), ona dbała o dom, gotowała strawę, a „nam (dzieciom – przypis EA-K) Bogiem sławiona – / Jemu łóżnica błoga” (s. 89). O matce nie wypadało myśleć jak o żonie – obiekcie pożądania, dla

²⁷ M. Lubina: *Pokochoć hałdę. W. Hałda. Materiały IV sesji śląskoznawczej Pracowników Naukowych, Studentów i Gości Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Katowice, 5-6 maja 1999*. Red. T.M. Głogowski, M. Kisiel. Katowice 2000, s. 19-20.

²⁸ A. Mickiewicz: *Dziady cz. III*. Warszawa 1998, s. 204.

²⁹ Por. M. Zimmerman: *158 godzin*. Źródło internetowe – <http://wiadomosci.onet.pl/kiosk/historia/158-godzin,3,4224553,wiadomosc.html>, dostęp 12.02.2013



syna była święta niczym Bogurodzica. Według niego miała dar przezwania tajemnic („ziemi dalekich dreszcz”). Górnik przyznaje, iż jest przekonany – wierzy, że „głęb pokładów przenikał jej wzrok”, że wiedziała, co dzieje się pod ziemią.

Dopiero XI pieśń przywodzi obraz katastrofy – węgiel sywał się ze stropu, „siekl w płucach, ćmił mdłącymi świetlikami tlenu” (s. 90), ból mięśni znów przypominał paznokcie Teresy, wbijające się w miłosnym uniesieniu, a przez głowę przemknęła myśl o jutrzejszym meczu. Nagle nastąpił zawał – katastrofa na miarę Apokalipsy:

Kula ognia w eksplozji wszystkich stadionów
Buchła z jądra błyskawic. I zagrzmiała ziemia
Niebotycznie, runął strop, calizny się zwarły,
W morze wściekłych głązów rozpadły w łoskocie,
A ja — ślepy ptak w wirach potrząskanych wichur
Krzyknąłem – – Matko, ratuj!

(s. 90-91)

Ogień, błyskawice, niewypowiedziany huk zwiastują koniec, który przywodzi na myśl skojarzenia z II wojną światową; gdy zasypany górnik otworzył oczy, poczuł się „nad czarnym niebem / na wysokości głowy, jak naród nakryty / Skrzydłami bombowców” (s. 93). W pieśni XXI zawał jest końcem świata, gdyż „zatrzasnęła się w sobie planeta na wieczność / I dokonało w węglu requiem już po wszystkim / W chwili objawionej...” (s. 107). Stwierdzenie „nie ma świata” (s. 107) ustanawia Piontkę ostatnim człowiekiem na ziemi, świadkiem apokalipsy.

W kolejnych pieśniach odnajdujemy tłumaczenia, że ocalały górnik nie wie, nie pamięta jak to się stało, że przetrwał. Dokonał się przecież cud, który porównuje z przetrwaniem w lodowcu albo w „zionącym wulkanie” (s. 92). On – „potępieniec”, „ślepy ptak”, nie wie, nie pojmuje dlaczego, za co, jedynie „w gorzkim żalu – jak po narodzeniu / Polały się me łzy czyste...” (s. 94). Początkowy fragment jednego z najważniejszych *Liryków lozańskich* wskazuje na poczucie klęski, rezygnacji, zawodu, jakie towarzyszyło również Mickiewiczowi. Co istotne, w ostatniej chwili górnik prosi o ratunek matkę, tę jedyną, która nigdy nie opuści w potrzebie. Janusz Roszko w książce *Zawał* cytuje autentyczne słowa Piontki, błagającego rodzicielkę: „pomóż mi, przecież mówiłaś, że mnie zawsze będziesz miała w obronie”³⁰, wspomina o tym, jak rębacz uwięziony w skalnej rozpadlinie przypomina sobie rodzinny dom w Starym Chorzowie, a także scenę, gdy dowiaduje się o przedwczesnej śmierci matki. Kijonka widzi bohatera *Siódmej północy* jako dwakroć osieroconego, w dzieciństwie i teraz, gdy jako „ziemi płód” został sam w potrzasku. Obie sytuacje zdają się podobne – przy trumnie matki i uwięziony w skalnej rozpadlinie, bohater przyznaje: „I odtąd było zimno mi zawsze i czarno / Jak teraz”.

Stałem dziesięcioletni u łoża śród świec,
Gdy czerniała krew w ranach już a cięcia trzy
Esesmańskie wzeszły na policzku prawym.
Ojciec klęczał kamiennie w najniższym pokładzie.
Byłem bosi, lecz bardziej niż doszczętnie bosi —
Nigdzie domu a zimna zapadała noc.

(s. 102)

Z biografii Piontki wiemy, że stracił wcześniej matkę – umarła w czasie wojny na „gardlane suchoty”³¹. Niemcy „zalecili” jej przebywanie na wsi, tak że umierała oddzielona od swych dzieci, Alojzka i Henryka. Samotność dziecka, rozpacz po śmierci ukochanej rodzicielki jest też rozpaczą człowieka zamkniętego pod ziemią. Figura matki pozwala Kijonce na połączenie autentycznych wydarzeń z planem biblijnym czy szerzej – religijnym. Obraz rodzonej matki przechodzi w wizję Maryi, matki Chrystusa, pojawia się też postać gwiazdy „pięciopalcej”, nawiązującej do różanopalcej Eos tj. Jutrzenki³². Bogini brzasku i świtu „łagodzi lęki, / Gdy w mrokach łona zrywam się w przeczuciu świata” (s. 109).

Matka to jednocześnie Maryja – „trzy cięcia na licu jej prawym” (s. 108), pojawiają się w pieśniach XVIII i XXI. To ona niesie ocalenie, nawet wtedy, gdy rodzą się myśli samobójcze, kiedy człowiek ma wrażenie, że pozbawienie się życia skróci niepokój i cierpienie. Ból fizyczny jest bowiem tak straszny, że przypomina hitlerowskie tortury, górnik jest jak „skazany na głodowy sen, / Więzień jedenastego bloku – w kleszczach żeber – / Gdzie cyklon B ma mdłący smak ludzkiego mięsa” (s. 104). Jednak próbę ludzkiej wytrzymałości bohater *Siódmej północy* przechodzi zwycięsko. Jest to szczególnie ważne, gdy zdamy sobie sprawę, że uwięziony górnik jest jak embrion, który w skałach czeka na swoje powtórne urodziny, ale z łożyska, w którym został uwięziony, nie może czerpać niczego, co potrzebne mu jest do życia. Odwrotnie – brzuch ten jest komorą śmierci. Węgielna ziemia stała się dla uwięzionego wyrodną matką i kosmosem, trzymając go w sobie nie po to, aby pozwolić mu żyć, lecz po to, aby mu nie pozwolić umrzeć.³³

Tym większa radość, gdy własna matka „z uśmiechem” przynosi mu nadzieję i wolę walki:

... Aniś się spłonił na widok powroza –
Będiesz żył. Zaśnij błogo w krwi mojego mleka,
Synku, i dośnij, dośnij
Nowonarodzenie.

(s. 108)

Nad bezpieczeństwem górnika czuwała jeszcze jedna cudowna, bliska rzecz – spersonifikowana lampka górnicza, która, przymocowana do helmu, zapewnia widoczność w kopalnianych ciemnościach. Pieśń XIV w głównej mierze poświęcona jest apologii tej „siostrzycy jasnej czoła”, „bezsennej róży zmysłów”, „dozgonnej gwiazdy” (s. 95), towarzyszki podziemnego uwięzienia.

Emocje w kolejnych częściach *Siódmej północy* stają się coraz bardziej dramatyczne, zaskoczenie przeraża się w strach, wzmagając się ból fizyczny. Człowiek „ukamienowany w śnie węglowym” (s. 93) z jednej strony przypomina proroka Jonasza połkniętego przez wielką rybę, z drugiej pyta słowami znanego improperium *Ludu, mój ludu*: „Ziemio, cóżem ci uczynił? / Nie pożeraj a wydal z wielorybich głębin! – -” (s. 93). Kolejna aluzja do losów Chrystusa przypomina o wyjątkowości bohatera poematu, o mnogości kulturowych pokładów, jakie mieszczą się w poemacie. Przy czym stan bohatera *Siódmej północy* „z ostrzem pod piątym żebrem” (s. 95) sugeruje, że ból w boku jest bólem serca, zawał zaś może oznaczać zawał w kopalni i zawał serca. To podwójne znaczenie pozwala w piętnastej pieśni uchwycić specyfikę zawału serca, gdy w „ciała kopalni” rodzi się ból i to straszne wołanie, którego nikt nie słyszy, bo rozlega się „z głębin ciała”.

Uwięzienie pod ziemią, to swoiste pogrzebanie żywcem, jest jednak wypełnione nadzieją. Skoro Chrystus zmartwychwstał, to jak nie wierzyć, jak wątpić w ciała zmartwychwstanie – zdaje się pytać zasypany górnik. On wie, że żywego czy umarłego, ale na pewno wyciągną go spod ziemi. Przecież brać górnicza jest jak jeden organizm czy „zakon opoki honoru”, który nie podda się, dopóki nie wyrwie ziemi jej ofiary/zdobyczy. Jak groźba brzmią słowa:

Wyrwij jednego z nas, każdy pocznie broczyć
Krwia wspólnego krwiobiegu zawiązaną w mózgu
W czułą różę zmysłów górniczej latarki.

(s. 98)

Solidarność górników pozwala do końca wierzyć, że współpracownicy zdążą z pomocą, że nie pozwolą zostać w skalnej rozpadlinie. Zasypany człowiek staje się dla nich „centralnym punktem grawitacji / Węglowego kosmosu – – / Nawet jeśli martwy” (s. 99). Kijonka podkreśla skupienie, jedność i poczucie misji do „ostatniej gwiazdy kropli męskiej krwi” (s. 100), jakim wykazują się ratownicy.

Krytycy dostrzegali w poemacie przekonanie, że istnieje moralny nakaz, by żyć, nawet jeśli każde życie i tak prędzej czy później zakończy się śmiercią. Feliks Netz przypuszcza, że poeta chciał „dotrzeć do tych złóż energii ludzkiej, gdzie bije źródło woli istnienia”. Historia Piontki, który przeżył siedem dni bez wody, jakiegokolwiek pożywienia, pijąc swój mocz i krew, była najlepszym pretekstem, by zastanowić się nad fenomenem woli życia. Życia, które nieuchronnie prowadzi do śmierci, ale ta nie jest już „paraliżującym nasze działania wyrokiem i fatum, ale (występuje – EA-K) jako »uświadomiona konieczność«, stawiająca przed każdym z przedstawicieli rodzaju ludzkiego zwielokrotnione powinności”³⁴. Dlatego też nadzieja na ocalenie bierze się z wiary, że górnicy „prą z odsieczą”, i z wewnętrznego głosu: „... Wytrwaj, wytrwaj – dudniła! w ciszy na wskroś / Krwią pulsująca ciemność” (s. 100). Choć mienią, jak mówi bohater „siódma północ mego grobu” (s. 113), choć dotknęła go rozpacz, trwoga człowieka pochowanego „na zawsze w skalnej arce póki serca plusk” (s. 107) – wytrwał. A jego „nowonarodzenie” stało się swoistym Genesis:

Rwą się zasłony, pęka w krzyku ziemia,
Wyzwolony wypowiem pierwsze słowo: Matka – –
I na zawsze przedzielię światło od ciemności,
Niebo od wód —
A lądy od morza.

(s. 112)

Poezja jest zdolna do stwarzania świata, jednak nie wszystkim ten świat odpowiada. Na przekór idealizacji i mitologizacji Piontki i jego górniczego środowiska, jaką można zaobserwować w poemacie *Siódma północ*, powstał wiersz Juliana Kornhausera pt. *Szczęście jest surowe*³⁵, w którym „naturalistyczny obraz sytuacji egzystencjalnej chorego i samotnego w swoim cierpieniu człowieka przeciwstawiony zostaje sielankowej, naiwnie pseudoludowej wizji Tadeusza Kijonki”³⁶. Zdaniem Wężowicz-Ziółkowskiej „odarty z kulturowych masek, uniwersalnych i odręalnających atrybutów zyskuje Piontek w wierszu Kornhausera wymiar ludzki”³⁷, co stanowi zarzut skierowany w stronę śląskiego poety jako pogodzonego z urzędowym „mitem robotnika”. Moim zdaniem wiersze nowofalowe zestarzały się, przegasty i z perspektywy czasu to poemat Kijonki, bez oskarżeń o sprzyjanie władzy i forowanej propagandzie sukcesu, dzięki swej wielowymiarowości zyskuje na sile artystycznego wyrazu, tym bardziej, że – jak chce Ryszard Bednarczyk – „zawiera skondensowaną

kwintesencję całego poetyckiego światopoglądu autora, podkreślającego wielokrotnie swój związek ze Śląskiem, ziemią hałd i kopalń, sycającego strofy swoich wierszy klasycznym autentyzmem przeżyć traumatycznych”³⁸. Poza tym dla nowofalowców odwoływanie się do bieżących wydarzeń politycznych było jednym z punktów poetyckiego programu, Kijonka zaś pisze pod wpływem impulsu, silnego wrażenia i głębokiego przeżycia. Brak w jego dorobku wierszy *stricto* publicystycznych. Nawet, gdy pisze o Węgrach w 1956 roku czy górnikach ze strajkujących kopalń, trzyma się z dala od polityki, widzi przede wszystkim ludzką tragedię. Przeciwno wpisaniu *Siódmej północy* w krąg liryki propagandowej przezą zarówno aluzje, mity, cytacje z innych dzieł, jak i brak jakiegokolwiek odwołań do wydarzeń z początku lat 70-tych. Sam Kijonka w jednej z wypowiedzi zdradza swój stosunek do „służebnej” roli poezji:

Jeśli poezja bywa groźna – to wyłącznie jako głos protestu, sprzeciwu, oporu i zbiorowej rozpacz. Jest jednak bezużyteczna jako narzędzie propagandowe czy środek doraźnej agitacji. Z tej strony prawdziwy głos poezji się nie rozlegnie. Słowo poety może mieć i dziś w szczególnych okolicznościach moc czynu, ponieważ poezja zachowała swoją przyrodzoną siłę powoływania idei, a jej wizje i przeczucia wyprzedzają z reguły rozpoznanie naukowe, na co wciąż wiele dowodów, w poezji polskiej właśnie³⁹.

Słowa te opublikowane w czasie stanu wojennego nabierają dodatkowej siły, gdy szaleją demony propagandy i cenzury, a w kulturze panuje czas jałowy czy „zamarły”, by użyć określenia samego Kijonki. Z drugiej strony Edward Zyman w swej recenzji *Kamienia i dzwonów* pytał retorycznie: „czymże innym (jest *Siódma północ* – przypis EA-K) wreszcie jak nie najdojrzałszym dotąd dokumentem poetyckim potwierdzającym polityczną, kulturową i psychiczną jednię ludzi tej Ziemi z Polską?”⁴⁰. Podzielany przez mnie zachwyt Zymana klóci się z oceną poematu wystawioną przez Dobrosławę Wężowicz-Ziółkowską, która wpisuje *Siódmą północ* w ciąg utworów agitacyjnych. Śląska kulturoznawczyni uważa, że Piontek został przedstawiony „w zgodzie ze sformułowanym przez polityków kultury modelem”⁴¹, według którego bohater poematu to „ów »dobry robotnik«, ciałem swym karmiący naród polski, jednocześnie skromny i wspaniały w swym codziennym trudzie, jakże zadowolony z tego, co ma i co mu się oferuje”⁴². Posądzenie Kijonki o napisanie wiersza propagandowego zdaje się bezpodstawne zważywszy na artyzm, wysublimowany styl i wielość kontekstów jakie przywołuje on w poemacie. Utwór propagandowy z założenia kierowany do ludzi prostych, raczej niewykształconych, powinien zawierać wyraźny przekaz ideologiczny, którego w *Siódmej północy* nie znajdziemy. Ponadto znając dorobek artystyczny autora *Czasu zamarłego*, jego głębokie zaangażowanie w sprawy śląskie i ogólnonarodowe wiemy, że nie mógłby napisać innego poematu. Łączenie porządków biblijnego, mitologicznego i ojczyźnianego to wyznaczniki jego odrębnego, niepowtarzalnego stylu. Niemniej na podzielone zdania co do oceny poematu wskazywał również Bohdan Drozdowski, który broni Kijonkę, stwierdzając, iż „jest to stylizacja wymuszona przez patetyczną legendę, ponieważ osobisty heroizm Piontki przeszedł do legendy górniczej”⁴³.

Trzeba też zaznaczyć, iż Kijonka, umieszczając poemat jako trzecią część tomu *Kamień i dzwony*, nadał mu specjalne znaczenie. W kontekście licznych wierszy o umieraniu zawartych w częściach *Stamtąd i W drodze*, historia Piontki jest symbolem przewyciężenia śmierci, wyrwania się z jej szponów. Zauważył to między innymi Krzysztof Rutkowski, który określa poemat jako „relację powrotu »stamtąd«”⁴⁴. Relacja ta nie jest jednak zwykłą opowieścią o męskiej solidarności. Kijonka wykorzystuje wiedzę na temat akcji ratowniczej i tworzy opowieść, która zgodna jest z tym, co notuje Janusz Roszko w swym reportażu: „ich wściekły trud tam na dole. Niewidoczny dla innych, nie na pokaz przecież – tylko dla kolegów, dla braci, których spotkał zły los. Ich zmagania z kamieniem i węglem, z piachem i obudową – pełne wysiłku, natężenia, mocy niespotykanej. Inaczej się idzie z wyrobiskiem, gdy chodzi tylko o węgiel. Kolegów – żywych, albo... Chcą żywych”⁴⁵.

Czytając tom *Kamień i dzwony* od końca do początku, odnajdziemy nowy sens w podziemnym uwięzieniu Piontki. Świat czerni, w którym trwał przez kolejne dni, podobny jest do świata szpitalnej bieli. Dwa zawały o jakich czytamy w tomie – zawał serca i zawał w kopalni – pozwalają nam zastanowić się nad śmiertelnością człowieka, nad drugą szansą jaką jest nowe życie, życie po zawale. Reasumując, poeta i górnik przeszli ten moment próby – zawał – zwycięsko.

Edyta Antoniuk-Kiedos

Tekst przygotowany z okazji **The First International Language And The Environment E-conference (LATEec)**; pierwszej z serii e-konferencji o charakterze międzynarodowym organizowanych przez Gliwicką Wyższą Szkołę Przedsiębiorczości.

³⁸ R. Bednarczyk: *Rzeźba w...*, s. 77.

³⁹ T. Kijonka: *Poezja – świat suwerenny*. W. Tegoż: *Poezje wybrane*. Warszawa 1982, s. 6.

⁴⁰ E. Zyman: *Poetyckie znaki...*, s. 12.

⁴¹ D. Wężowicz-Ziółkowska: *Rzecz o...*, s. 11.

⁴² Tamże.

⁴³ B. Drozdowski: *Refleksje nad książką „Kamień i dzwony”*, „Trybuna Ludu” 1976, nr 12, s. 6.

⁴⁴ K. Rutkowski: *Białe i czarne*, „Miesięcznik Literacki” 1976, nr 7, s. 122.

⁴⁵ J. Roszko: *Zawał...*, s. 73.

³⁰ J. Roszko: *Zawał...*, s. 92.

³¹ Por. Tamże, s. 91.

³² W innym poemacie Kijonki pt. *Pod Akropolą* ponownie w jednej osobie poeta zespoli postać własnej matki, Bogurodzicy i antycznej bogini mądrości i sztuki – Ateny, która stanie się patronką macierzyństwa.

³³ K. Rutkowski: *Białe i czarne...*, s. 122.

ŻYCIE CZYLI CIERPIENIE

Anna Frajlch nie mieszka już w Polsce od 44 lat. To szmat czasu. Jednak choć z jego biegiem lata się wydłużały, to przestrzeń kurczyła. Toteż obecność Frajlch w naszej literaturze minionych dekad była widoczna. Autorka ta miała znakomity „kapitał początkowy” jako wybijająca się postać pokolenia ’68, ale potem udało się jej pomnożyć ten kapitał po prostu pisaniem. A to chyba o wiele trudniejsze niż „charyzma polityczna”. Tak czy owak dziś Frajlch jest autorką uznaną i szanowaną. Solidnie na to zapracowała swoim talentem.

Dorobek ma bardzo ciekawy. M.in. książkę o antycznych, romańskich wpływach w poezji rosyjskiej, pracę nt. Miłosza, tom opowiadań... I przede wszystkim dwanaście zbiorów wierszy. Najnowszy nosi tytuł *Łodzią jest i jest przystanią* (i zawiera wiersze z lat 2001–2012). I o nim ta recenzja. Niełatwo mi ją będzie napisać po znakomitym posłowniu Piotra Michałowskiego, który dotarł w swej lekturze do rzeczy najistotniejszych. Innymi słowy: sam chętnie bym się pod tym posłowiem podpisał. No, ale spróbujmy...

Kiedy byłem w Nowym Jorku i spacerowałem po Ellis Island, myślałem o tym, o czym musieli myśleć w tym westybulu Ameryki emigranci. Michałowski pisze o Frajlch: *Mapa wspomnień obejmuje zaledwie kilka obszarów pokrytych wartościującymi barwami, parę punktów i prawie niewidocznych linii granic politycznych. W tak zredukowanej geografii istnieją tylko dwa brzegi: Polska i Ameryka. Znajdując one w końcu porównanie do dwóch części ciała rozdzielonych raną oceanu, a zaszywanych wspomnieniem niczym nicią chirurga...*

Tak, z tego westybulu nigdy do końca się nie wychodzi. Stoi się w rozkroku biograficznym i kulturowym nad własnym miejscem na Ziemi i nad własnym życiem. To w tomiku Anny Frajlch, w całym jej dorobku, jest wyraźnie czytelnne. Będąc w łodzi, myśli się o przystani, będąc na przystani, wciąż dryfuje się w łodzi. Typowe doznanie emigracyjne. Niekoniecznie jednak traumatyczne, ponieważ migracja otwiera nam „literaturę drogi” i wszystkie dobrodziejstwa, jakie daje „mobilność”. W tym intelektualne i egzystencjalne. Swoista transgresja, tyleż niespokojna, co twórcza (w przypadku Frajlch – przypomnijmy – od Kirgizji, poprzez Polskę, do Stanów, a potem ten nieustanny „ruch wahadłowy” między Stanami a Polską).

Tytuł tego tomiku wziął się z wiersza pt. *Nowy Jork*. Oto on: *To miasto jest moje / i ja jestem jego / w kryształowym powietrzu / płyniemy wzdłuż brzegów / czy jest piękne? – to mało istotne pytanie / ważne że łodzią jest / i jest przystanią.*

Po tym cytacie okazja, by stwierdzić, że Frajlch nie boryka się z „paradygmatem awangardyzmu”. Często pisze wiersze rymowane i uderzające prostotą. Jej poezja nie mierzy się z dyktatem formy, lecz niemal wyłącznie z „podszepem przeżycia i idei”. Tu mam okazję, by wszystkim entuzjastom „nowego języka” wybijać z głowy ortodoksyjność tego wymogu. Frajlch jest dobrym przykładem poetki, która ma tak wiele do powiedzenia, że może to robić jak chce. Posiada ponadto tak bogaty bagaż przeżyć, doświadczeń i przemyśleń, że to jej źródło niepowtarzalne. Unika „rozpoziejowania” poezji, gadulstwa i deko-

racyjności językowej, za to z własnej biografii i z upodobania do „kulturowości” tworzy przekaz jedyny w swoim rodzaju. W przypadku wielu jej wierszy mówiłbym raczej o ich prozodii niż liryzmie. Oczywiście „estetyczność”, także metaforyczność, grają tu swoją rolę, lecz w lekturze bierzmy azymut na ich walor intelektualny oraz zapis „losu polskiego”, u tej autorki bardzo frapujący. Także w wielu wierszach dostrzegam „koncept” niosący ciekawe *mementa*. Jak w tym:



Boli ząb / którego nie ma / dojmujący ból / przenika istotę / niebytu / wspina się po gałęziach nerwów / wstępuje na szczyty / żeby dowieść / zaświadczyc / wykrzyzczyć / że to czego nie ma // boli.

Frajlch porusza się w dwóch przestrzeniach: realnej i imaginacyjnej. Te pierwsze wiersze bywają czasami bardzo konkretne (np. dotyczą tragedii nowojorskiej z 2001 roku), te drugie zbudowane są na impresjach lub megametaforach egzystencjalnych. Znajdziemy tu też inny ciekawy wątek: rozmowy ze starszymi poprzednikami poetki, np.

Tymoteuszem Karpowiczem, Janem Kottem, Czesławem Miłoszem... Ale w większości utworów odnajdujemy to, co wyraża w pewnym z nich jeden wers: *życie czyli cierpienie*. Ta konstatacja snuje się tu niehisterycznie, niekasandrycznie, raczej stoicko, jednak ta mgiełka zwiśla mi nad całym tomikiem. I ten spleen, ten spleen, który chyba udzieli się każdemu czytelnikowi.

Im dalej w las, tym bardziej gęsto się robi... Przytaczam w całości – dla przykładu – wiersz pt. *Jeszcze o bólu: Pytasz czemu / piszę tyle o bólu / trzeba zapytać czemu / Pan Bóg obsiał naszą skórę końcówkami / nerwów / czemu w świadomości jak w ogrodzie / całe drzewo bólu zasadził / czemu wreszcie zesłał na nas etykę / żebyśmy nie zadawali bólu // z tym najtrudniej / można przejść przez pokój / i zadać komuś ból / można nie przejść przez pokój / i zadać komuś ból // piszemy w kondolencjach / „łączę się w nieutulonym bólu” / i wychodzimy kupić nową czapkę // odmieniony przez siedem przypadków / ból nie przestaje być bólem // to nie ja śpiewam hymn o perle / a ona / wiadomo z czego*. I tak ten tomik „narasta” – od zgola „naiwnych” rymowanek po traktaciki.

Osobną przynętą tych wierszy – dla rasowych humanistów arcyważną – jest kulturowość tych wierszy. Pojawiają się w nich cienie i posagi antyku, nazwiska wielkich pisarzy, odniesienia do znanych dzieł... Amfilda tradycji! To był szczególnie afrodyzjak dla mojej lektury tych wierszy. Ale, oczywiście, mądrość z tego zakochania Frajlch w Wielkiej Tradycji jest zasadnicza: wszystko płynie, lecz „substancja wędrówki” wiecznie ta sama. Woda czasu wraca do kilku podstawowych źródeł. Wielkie alegorie sprzed wieków są memami także naszego istnienia. Piotr Michałowski mądrze napisał: *...mapa wspomnień staje się palimpsestem kultury...*

I dlatego ten tomik trzeba czytać, jako metaforę niekończącej się tułaczki ludzkiej, której marszruta ma to samo źródło i tę samą delfę. A dalej, już na oceanie, co jest – zobaczymy...

Leszek Żuliński

Anna Frajlch *Łodzią jest i jest przystanią*, seria „Tablice”, Wydawnictwo Forma, Szczecin 2013, s. 112

DZIENNIKI Z KAPUŚCIŃSKIM W TLE

Genialny zmysł reporterski, oraz wszelkie arcydzieła Ryszarda Kapuścińskiego przysporzyły mu nie tylko wiernych czytelników, wrogów, ale również filozofów czerpiących z Jego książek. Sławomir Jankowski zadebiutował tomem dzienników *Mikrocalaści*, które korespondują z twórczością Autora *Cesarza*. Świadczy to nie tylko o wielkim czytaniu Jankowskiego, ale przekazaniu zależności pomiędzy pisaniem o codzienności z naciskiem na piękne godziny wczesno-poranne a skrótami myślowymi i niuansami jakie niosą za sobą dzieła Kapuścińskiego. To poznanie świata i ludzi wywodzi się ze słów Mistrza reportażu: „Książka jest komunikatem. Proces komunikacji to ruch linearny: nadawca – odbiorca. Są to dwa końce jednego ciągu.” Zatem nasuwa się pytanie: Kim powinien być czytelnik jako odbiorca? Po za oczywistym nałogiem czytania i pisania człowiek mający do czynienia ze słowem pisanym jest osobą myślącą. Raul Lozano w swojej autobiografii szczerze zazdrości Polakom: „Nieodmiennie zresztą przychodzi mi wtedy na myśl, że jesteście prawdziwymi szczęściarzami mając takich pisarzy i myślicieli.”

Irmina Kosmala we wstępie zaznacza: „Człowiek Jankowskiego, który przebija się z jego dzienników, w myśli filozofii egzystencjalnej, to człowiek „Heraklityjski”: niezastygły, nieustannie stający się i wiecznie wybierający się. To człowiek niedokorczony, bowiem zdający sobie sprawę, że tworzy go historia, która trwa, dzieje się, zdarza.” O tym, jak wielkim heroizmem było tworzeniem przez Kapuścińskiego świadczą zapis w dzienniku Jankowskiego z dnia 25 sierpnia 2009 o godzinie 6³⁷: „Relacje, między innymi Alicji Kapuścińskiej, o setkach, tysiącach pogniecionych przez pisarza kartek papieru, o wielokrotnym rozpoczynaniu wszystkiego od nowa, tak aby (w procesie aproksymacji) zbliżyć się, otrzeć o perfekcję, nie są żadnym snuciem legend.”

W ostatnich latach, zwłaszcza po śmierci Mistrza reportażu znalazło się bowiem osób na nowo odkrywających precyzję i aktualność spraw, jakie opisywał Kapuściński. Wśród tych wielu osób znalazła się czarna owca. W roku 2010 ukazała się biograficzna książka Artura Domosławskiego *Kapuściński non-fiction*. Wokół człowieka – legendy rozgorzała wrzawa, a Domosławski został okrzyknięty zdrajcą. Biografia miała charakter taniej sensacji i takie argumenty wynosi. Artur bezzecznie przekracza granice prywatności i wyciąga „to”, co powinno być tylko legendą bądź domysłem. W poszukiwaniu plotkarskiej wrzawy Domosławski zapomniał co tak naprawdę stworzył Kapuściński i jakiego formatu był człowiekiem. W książce *Spadając patrzeć w gwiazdy* Józef Baran podsumowując Domosławskiego – zdrając pisze: „Szkoła, że autor *Kapuściński non-fiction* (...) nie cofnął się przed wtargnięciem poza ściśle strzeżoną granicę prywatnej posesji pani Alicji i Ryszarda. W Ameryce, gdy intruz wtargnie na prywatną posesję – właściciel może do niego strzelać” Wówczas, po ukazaniu się tej książki była tylko wrzawa polegająca na wykupieniu nakładu. *Mikrocalaści* są kolejnym polickim wymierzonym w Artura Domosławskiego.

Sławomir Jankowski w swej twórczości nie ogranicza się tylko do jednego argumentu, ale również inspirację w życiu codziennym czerpie z innych autorów. Dla kalendarza, który powstał w latach 2001 – 2011 ważne było zachowanie pewnej ciągłości tematycznej. *Mikrocalaści* nie są więc zapisem jednego miesiąca czy kwartału. W tym czasie wydarzyło się wiele w życiu Jankowskiego. Z dziennikarską wnikliwością obserwuje świat: „Jak czytam wspomnienia Giedroycia z okresu międzywojennego – potwierdza mi to tylko błędy Polski wobec Ukrainy na przestrzeni wieków. Kto wie, czy Ukraina nie dla nas po prostu kluczowym dziś – i w ogóle – sąsiadem, a nawet generalnie: najistotniejszym partnerem w skali globalnej.” Dzienniki, jako rozpoczęte dzieło i nieustanny proces twórczy nie kończy się tylko na debiutanckiej książce, jak w przypadku reportera Herlinga-Gruzińskiego czy Kapuścińskiego. Od Autora *Mikrocalaści* należy oczekiwać dojrzałej kontynuacji takich zapisów. Być może zmieni się forma, treść. Na pewno będzie to indywidualna definicja zmieniającego się świata. W podsumowującym książkę rozdziale zatytułowanym *udzielmy głosu oskarżonemu* przysłowiową kropkę nad i stawia Ryszard Kapuściński tłumacząc: „Umiejętność życia w samotności, oswojenia samotności, jest najtrudniejszą rzeczą w zawoście reportera. Coraz trudniej ją oszukać krótkotrwałymi przyjaźniami, chwilami euforii, przypadkowym wesołym towarzystwem albo sensacyjną przygodą.”

Dlatego też, aby przeczytać Jankowskiego, który inteligentnie odkrywa na nowo Ryszarda Kapuścińskiego z innej, mniej znanej strony – warto mieć tę książkę. Tom, w którym zawód reportera jest spostrzegana jako istotna część życia, opisana przez innych filozofów i pisarzy.

Piotr Goszczycki

Sławomir Jankowski: *Mikrocalaści*; Wyd. Komograf, Warszawa 2012

MIERZWA ŻYCIA, ŁAD JĘZYKA

W sierpniu na portalu www.pisarze.pl recenzowałem dwa nowe tomiki „rymopisów” – Juliusza Wątroby i Jana St. Kiczora. Wielokrotnie pisałem o Stanisławie Chyczynskim i Jerzym Utkinie, którzy także od lat trzymają się formuły wiersza rymowanego. A *Zachód słońca w Milanówku* Jarosława M. Rymkiewicza, to wciąż jeden z hitów pośród moich poetyckich lektur...

Nie musiałbym powyższej „preambuły” pisać, gdyby to było pół wieku temu. Ale, jak wiadomo, wiersz rymowany, sylabotoniczny, regularny przechodzi do lamusa; z poezji zapewne nigdy nie zniknie, lecz coraz bardziej będzie traktowany jako relik. Nic sobie z tego nie róbmy! Dobry wiersz jest po prostu dobrym wierszem i jego afiliację nowatorskie czy tradycyjne nie mogą być ani handicapem ani dyskwalifikacją.

Mieczysław Machnicki opublikował tomik pt. *Lawa się nasadza skorupa ciemnieje*. I oto potwierdza się reguła, że najczęściej o osobliwości poezji decyduje nie jej forma, ale „nuta”, timbr, czyli ten klimat, który dobrzy poeci wyczarowują jak iluzjoniści. Według prawideł nie dających się dokładnie opowiedzieć językiem analitycznym.

Machnicki ma dobrą markę od lat. Jednak tym razem zaskoczył nas swymi dystychami, niespodziewanymi przecież, a roztaczającymi tak piękną aurę, że dech zapiera. W tej aurze liczy się także – rzecz jasna – tzw. świat przedstawiony, a on tutaj bardzo istotny i osobliwy. Więc teraz po kolei o obu przymiotach tej książki...

Otóż twierdzę, że głównym problemem tych wierszy jest autotematyzm; dwie jego odmiany: ten literacki i ten „życiowy”, egzystencjalny. Korelacje między „prawdą o sobie” a prawdą języka, który je formuluje.

Ale zacznijmy od mierzwy życia... *Wypłynąłem ze źródła lecz kto mnie tam wrzucił / kto tak mieszał w roztworze żebym się nawrócił* – w tym cytacie mieści się jedna z kwintesencji tego tomiku, bliska tej obsesji Dylana Thomasa zawartej w jedności *womb – tomb* (macica i grób). Anty-

nomia życia i śmierci, źródła i grobu – jedności nierozrwalnej, a równocześnie tworzącej fundamentalny fenomen naszego istnienia, z którym poradzić sobie nie umiemy. I tutaj jest to główny motyw owego „autotematyzmu egzystencjalnego”.

Autotematyzm literacki wnikliwie opisała Anna Łozowska-Patynowska, która zdążyła już wcześniej opublikować recenzję z *Lawy* na łamach „Latarni Morskiej”. Cytuję obszerne fragmenty, bo sam bym tego lepiej nie wyraził: *Poezja Mieczysława Machnickiego to zamknięta w formule dystychu konfrontacja z człowieczeństwem. Poeta pragnie nam pokazać, w jaki sposób opisać żywego człowieka martwym dystychem. Jest to również próba pokazania, że pozornie hermetyczny i zużyty dystych*



połączony byłby ze światem tekstu. Zatem człowiek znajdowałby się w centrum wszechświata, w samym środku tekstu. Sam człowiek byłby tekstem, niedokorczoną historią, która zderza się z innymi opowieściami. (...) Można to nazwać egzystencją człowieka, który poznając tekst, pokonuje kolejne przeszkody w procesie odzyskiwania siebie. Człowiek żyjący w tekście, mieszkający w jego wnętrzu, czasami nie mieści się w stworzonych przez siebie wersach, jest mu tam za ciasno.

Mnie w tym wszystkim fascynuje hermeneutyczny aspekt sprawy. Jak wiadomo hermeneutyka dalece wykracza poza sztukę interpretacji tekstu i wkracza na tereny fenomenologii. Według tak szerokiego jej pojmowania tekst można postrzegać jako kod egzystencjalny i genetyczny, jako nośnik memów, jako „ducha” przenieszonego ponadpokoleniowo i ponadpokowo. Egzystencja także – co oczywiste – „formułą się” poprzez język. On ją „koduje” i daje jej narzędzia wyrazu. Toteż klasycyzm Machnickiego zderzony w tych wierszach z jego osobistym dylematem egzystencjalnym łączy to, co tak istotne i powtarzalne: indywidualizm jednostki z uniwersalizmem istnienia wszelkiego. Klasycyzmem jest tu formuła tych wierszy, indywidualizmem ich niepowtarzalny wyraz i ekspresja.

Piękne obrazy, skojarzenia i domysły ustanawiają osobliwość tego tomiku. Obsesyjnie tanaologicznego, ale i witalnego, mrocznego, lecz też zapisanego z cudną nutą lekkości i dowcipu, protestującego przeciw ciemnemu przeznaczeniu, ale i stoickiego. W ten sposób tekst równocześnie jest uszeregowany w wielowiekowym „ciągu literackim”, ale na tyle zindywidualizowany, że niepowtarzalny. Tu triumfuje równowaga doznania osobistego z „metafizyką zbiorową”.

Machnicki w niezwykle inteligentny sposób wykreślił się tonacją historycznym. Ciężar nabytej mądrości tonowany jest osobliwą „pogodą ducha”. Momentami przypominała mi się „Mapa pogody” Iwaszkiewicza – to ten rodzaj zgody i niezgody wobec przeznaczenia.

Tomik zamyka wiersz pt. „Żywot człowieka pocziwego” złożony z tytułów znanych utworów literackich. Inteligentna zabawa, ale też pouczająca: literatura pisze prawdę historyczną i egzystencjalną, zbiorową i jednostkową, powtarzalną i anormalną... Literatura jest niezmazywalnym dyskiem, na którym jesteśmy zapisani. Tekst ocala prawdę istnienia. On pochodzi z nas, a my z niego. I może kiedyś się dowiemy, kto jest głównym elektronikiem w tej bazie danych...

Leszek Żuliński

Mieczysław Machnicki *Lawa się nasadza skorupa ciemnieje*, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2013, s. 56

„A IMIĘ TWOJE...”, CZYLI *TOTAMEA* LESZKA ŻULIŃSKIEGO

*z zamkniętymi oczami rysuję cię w sobie,
na razie jest to szkic rozspijający się na drobne.*

Tak zaczyna się niezwykła historia malarza i modelki – niezwykła, bo opowiadana właściwie bez fabuły, za to usytuowana w niezwykle bogatej scenerii odczuć, wrażeń, wahań i ambicji. Najnowszy tomik *Totamea* Leszka Żulińskiego przesycony jest odwołaniami do malarstwa, jednak od pierwszych słów tej książki wyczuwamy, że nie o malarstwo tu chodzi. Sztuka służy za pretekst i symbol, w niej – jak w bursztynie – można zatrzymać ulotne wrażenia i zmienność emocji. Kiedy Leszek Żuliński pisze o poezji, widać, że literatura i życie przenikają się w jego wyobraźni do tego stopnia, że mogą się wzajemnie określać. W przypadku malarstwa (czy też rzeźby) jest nieco inaczej: zamiast szukać słowa – szuka się koloru, ale on jest bardziej ulotny, niż słowo. Obraz potrafi zresztą nagle zamienić się w wiersz, jak w „Nieśmiertelnych”, w których płótno i rama kojarzą się podmiotowi lirycznemu z trumną i całunem Romea i Julii, by nagle objawić się w najczystszej postaci wiersza. Różne formy artystycznego wyrazu przenikają się: sztuka jest jedna, tylko w wieloraki sposób wyrażana.

Nie ma zatem wielu sztuk, podobnie, jak nie ma wielu oddzielnych form zła ani zachwytu. Starogrecki Hades okazuje się tożsamy z Mefistem, który wiele wieków później przyjdzie po Fausta („Spacer do sklepiku”). Zachwyty przodków nad pięknem wracają do wnuków, bo całą historią cywilizacji rządzą memy – części zbiorowej pamięci, przekazywanej w niewyjaśniony sposób. „Totamea” zawiera zresztą wiersz poświęcony wyłącznie tym właśnie częstotczkom. Memy są tu ponadczasową nicią wspomnień, natchnień i fascynacji:

*(...) to wszystko gdzie się spotyka – na przykład Nike wiążąca
sandały, tancerki Degas, twoje palce na tym ramiączku...*
(„Memy”)

Rzeczywistość tkwi w przeszłości. Ludzie dźwigają багаż nie tylko własnych, a też cudzych emocji, przeżyć czy też Mitów (Mit – jako uniwersalna historia, w której można się odnaleźć – nadal pozostaje bardzo ważną kategorią w poezji Leszka Żulińskiego). Wiersze autora *Totamei* znakomicie wprowadzają czytelnika w ten skomplikowany świat, który na potrzeby recenzji tak trudno odtworzyć i opisać w uporządkowany, hierarchiczny sposób. Można odnieść wrażenie, że wszystkie światy i czasy istnieją jednocześnie – obok teraźniejszości podąża za nami cała przeszłość, a także – wyprzedzając nas – śmierć. *myślę, że po tamtej stronie jesteśmy od początku* – czytamy w „Tu i tam”, a w wierszu „Jutro urodzony” znajdujemy nieco inną grę z czasem terażniejszym:

*przeskoczyłem czas, żeby znaleźć się w innym miejscu.
w ten sposób zostają za nami dni puste; chcemy wyprzedzić
oczekiwanie, dogonić obietnicę, być i mieć szybciej
niż to możliwe.*
(„Jutro urodzony”)

Są w *Totamei* chwile (bo „chwile” będą tu chyba bardziej adekwatnym określeniem niż „fragmenty”), w których podmiot liryczny szczególnie namacalnie uświadamia sobie to przenikanie światów. W „Medytacji” łączy skojarzeniami szereg interpretacji motywu róży. W cytowanych już „Memach” – dostrzega u swojej modelki ten sam zachwycający gest, który zna z obrazów Degasa i posagu starożytniej bogini. W „Czuwaniu na marach” porównuje się do Anhellego i Zygmunta Augusta, których tragedie rozumie, myśląc o końcu osobście przeżywanej miłości. W „Fatum (II)” przebiega przez wiele stuleci i miejsc: od ikon Rublowa, poprzez kresowe pejzaże aż do obrazków z życia kaliskich Żydów i gołębi na krakowskim rynku. To bodajże jeden z najbardziej emocjonalnych i dramatycznych tekstów w całej książce. Pada w nim ważne stwierdzenie – prośba:

teraz nazwij ten styl, jak chcesz, tylko nie eklektyzmem!
(„Fatum (II)”)

To właśnie najważniejsze pytania i cele, które stawia sobie bohater, wykreowany przez Leszka Żulińskiego: znalezienie własnego, nienaśladowczego stylu; przetworzenie znanych motywów, od których nie możemy się uwolnić i zbudowanie na nich nowej jakości. W znaczeniu symbolicznym ta sama gra toczy się także o życie, które również nie powinno być kołażem cudzych przeżyć, ale własną biografią. Dodajmy, że tym samym tropem podąża także szata graficzna książki. Ilustracje autorstwa Teresy Babińskiej parafrazują wiele słynnych dzieł sztuki i czynią to w sposób zaskakujący (obszerną interpretację tych prac, przygotowaną przez samą autorkę, można znaleźć na blogu Leszka Żulińskiego pod adresem www.zulinski.pl, wpis z 14 maja 2013 r.).

METAFIZYCZNA KOMPOZYCJA BOGA

Marek Czuku pielgrzymuje. Jest to poetycka wędrówka Tego, którego nie widać gołym okiem. Boga nie widać, nie słyhać. Nie można Go również przeczytać. Można jedynie chodzić Jego śladami i odwiedzać świątynie, gdzie najłatwiej jest poczuć Jego obecność. Wszystkie te próby namacalności Boga nie muszą kończyć się niepowodzeniem. Wystarczy tylko wierzyć (a wiara podobno przenosi góry) i uważnie obserwować świat. Świat, który jest przecież dziełem Boga. My ludzie, jesteśmy tylko ostatnim przykładem tego dzieła. Człowiek, który został stworzony na podobieństwo Boga również zostawia po sobie ślady. Prawdopodobnym przykładem egzystencjalności poety są jego wiersze. W wydanym niedawno tomie *Nietrwala kompozycja* Marek Czuku odnajduje obecność Boga w otaczającej metafizyce: „*Nie umiem ciebie nazwać,/ więc pozostaj białą kartą.*” (Jak kropla deszczu) by wreszcie wyznać: „*Nie miałem nigdy ojca./ Słuchałem Ciebie/ jak ostatecznej instancji./*” (Nie lękajcie się!) Wiersz ten to wysublimowane epitafium dla człowieka, który jako pielgrzym, jako papież osiągnął niespotykane wiele. We współczesnej historii nie bez kozery mówi się o Janie Pawle II jako prawej ręce Boga: „*Pan w tydzień stworzył/ ten świat niedoskonały./ Ty naprawiałeś go/ dwadzieścia sześć lat./*” by z dumą zaraz napisać: „*W 1987 przejeżdżałeś nawet pod moimi oknami.*” (Nie lękajcie się!)

W odkrywaniu kart prawdy Marek Czuku nie ogranicza się tylko do stwierdzeń na obecność Najważniejszego. *Nietrwala kompozycja* to przede wszystkim etos pielgrzymowania słowami. Zbiór ten to nie tylko wybór wierszy z wcześniejszych wydawnictw poety, ale także utwory nowe, które w harmonijny sposób ujmują czytelnika sposobem bycia. Warto więc głośno zastanowić się, czy jest dzisiaj wiersz religijny. Powtórzeniem modlitwy? Wychwaleniem Boga za Jego dzieła? Nie. Józef Baran pisze, że wiersze Autora *Ars poetica*: „*wyrastają jakby z podświadomej i naturalnej potrzeby epifanii, penetrując przy tym szerokie spektrum myślenia o wierze i Absolutie – od*

Jakie miejsce zajmuje w tym wszystkim sztuka? Leszek Żuliński nazywa ją *domysłem*. W stworzonej przez niego definicji jest ona jedną z czterech dróg dążenia do prawdy. Przyjrzyjmy się im. *Wędrówka mitów* to poszukiwanie, religia ma prawdę umacniać, a filozofia – pomnażać prawdy. Zadaniem sztuki jest natomiast domyslanie się, intuicyjne poszukiwanie, a następnie uwewnętrznianie prawdy tak, by stała się widoczna:

*(...) w monadzie dzieła zamknięty
jest każdy ze światów osobnych.*
(„Spacer do sklepiku”)

„Totamea” nie rozgrywa się wyłącznie w przestrzeni między malarzem, muzą i dziełem (lub – szerzej pojętą – sztuką). Dochodzą tu do głosu panoramiczne refleksje na temat trwania, ulotności i czasu. Sporo pojawia się w tych wierszach odniesień zwłaszcza do zatrzymywania czasu. Obraz jest szansą na zachowanie chwil, sytuacji i nastrojów, a także swego rodzaju azylem – bezpiecznym światem, oddzielnym ramą od zmiennej i nieprzychylniej rzeczywistości:

*pobiegnę za tobą, może dogonię czas, zatrzymam.
położymy się na satynowej łące, zamkniemy ten obraz
w ramy. spoza nich świat będzie przyglądał się nam
w zdumieniu.*
(„Czerwone szpilki”)

Szukanie piękna podąża dwiema ścieżkami. Jedna to przypominanie sobie, malowanie z pamięci, która okazuje się nieprecyzyjna i niepewna. Ścieżka druga to dążenie do prawdy – szukanie realizmu w myśl zasady, że „piękno ma się brać z prawdy”:

*(...) zrozum: nie masz pozować.
masz być sobą. chcą cię zaspąną, ziewającą, rozczochraną,
zmęczoną i wściekłą, że siedzisz na tym zdyllu już trzeci dzień.*
(„Tak tylko patrzę”)

Sztuka w najnowszym tomie wierszy Leszka Żulińskiego staje się przy tym raczej środkiem do celu, niż celem samym w sobie. Obraz zastępuje słowo, pozwala rejestrować rzeczywistość, jest postrzegany jako doskonalszy, pełniejszy, lepiej znający materię i światło, a przez to bliższy widzialnej rzeczywistości. Ta – na poły ironiczna, na poły prawdziwa – polemika z możliwościami słowa tylko pozornie prowadzi do zwycięstwa sztuki plastycznej, choć sami widzimy, że ten wiersz próbuje nas okłamać, przewrotnie grając z nami w skromność: wszelkie wahania malarza poznajemy przecież poprzez... słowo!

*...a cóż Herbert mógł wiedzieć o sztuchu? oni, poeci,
słyszają tylko fechtunek słowem, szczęk głosek, tupot składni
na planszy...*
(„Sztych zmysłowy”)

Po co to wszystko? *sztuka jest morfiną, może też eutanazją w oparach miraży* – czytamy w „Viva la muerte” – *kłamstwo nie jest zbrodnią, jeśli znieczula i zasiewa spokój*. Jednocześnie *lepiej doznać spełnienia niż gonić majaki* – jak twierdzi podmiot liryczny w wierszu „Kubek kawy”. I tak definiuje sens pracy artysty:

*chcemy zaspokoić pragnienie pisząc, rzeźbiąc, malując;
chcemy doznać to, czego nie mamy albo mieć to, co śnimy.*

*jak argonauci przeczesujemy uludę Kolchidy, a ona
akurat w tym geście, którym podajesz mi kubek kawy...*
(„Kubek kawy”)

Jakby na marginesie tych pytań o sens i cel twórczości odnotujmy, że finalnie to słowo wygrywa (*kiedy malowałem duszę, wymyślałem metafory szeleszczące papierem lub zalatujące pudrem*). W zamykającym tom utworze malarz powołuje się przewrotnie na „pewnego poetę” i przytacza cytat z wiersza... „Faust pisze do Petrarki” z tomu „Ja, Faust”:

*(...) życie, nagie życie warte jest
prawdziwego grzechu, buntu, szaleństwa.*
(„Most rozwodzony”)

Ten literacki żart jest pewnym sygnałem dla czytelnika – zachęca do szukania innych poetyckich nawiązań. W całej „Totamei” pojawia się bowiem również kilka innych kryptocytatów z wcześniejszych tekstów Leszka Żulińskiego. Czy Velazquez obserwując zakochanych w wierszu „Ciało i dusza” nie jest podobny do Durera, podglądającego Fausta i Małgorzatę w „Propozycji” z tomu „Ja, Faust”? Czy nie uzupełniają się wzajemnie te dwa cytaty:

*(...) rzucam pędzel, on się tu wtrąca jak intruz
w kuszenie Zuzanny. ci, którzy mu ulegają, budzą się
starcami usychającymi w muzeach.*

*życie tylko życie jest warte tego, by zmarnować
uludę wieczności.(...)*
(„O wyższości życia nad sztuką”)

*Sztuka – tak tylko ona warta jest konszachtów z piekłem,
postawienia wszystkiego ponad własne korzyści i sprawy,
zaprzędania się dziełu, które przetrwa,
bowiem jest bytem doskonałym (...)*
(„Faust pisze do Leverkusna”)

Echem z miłosnego zachwytu „Ja, Faust” (*Nie wiem, czy Małgorzata jest diałem, czy cieniem*) mogłaby być także ostatnia strofa „Spotkania w Tuileries”, choć – podkreślam – nie mamy żadnego powodu, by utożsamiać podmiot liryczny „Totamei” z Faustem. Leszek Żuliński wykreował dla podmiotu lirycznego całkiem nową postać: twórcy, malarza – rzeźbiarza, zmagającego się z portretowaniem modelki, o której sam mówi: *być może w ogóle nie istniejesz*.

Odwołania do poprzednich tomików, postrzegane jednak przez pryzmat psychiki zupełnie nowego bohatera, pozwalają spojrzeć nieco inaczej na kwestie sztuki i twórczego spełnienia. W porównaniu z poprzednimi tomikami Leszka Żulińskiego, *Totamea* bliższa jest często formie traktatu, ale pisanego w twórczej gorączce: to zastanawianie się „na gorąco” nad formą wyrazu, pozą modelki, kolorem, ale także nad samym odbiorem świata przez dominujący ludzki zmysł: zmysł wzroku.

Wyraźnie widać, że podmiot liryczny nie przedstawia czytelnikowi gotowych wniosków; raczej głośno myśli i te zastanowienia zapisuje w formie wiersza. Rozważa kwestię emocjonalnego zaangażowania w temat dzieła. Przez to *Totamea* staje się tak naprawdę filozoficzną rozprawą – ale nie o malarstwie, tylko o postrzeganiu, omylności zmysłów i granicy między twórczym dystansem a twórczym zaangażowaniem:

*(...) akwarela ma jednak wadę – jest nieostra.
trzeba od nie odejść na kilka kroków, by obraz ułożył się w oku.
na to nie mogą się zgodzić, bo cały ten amok potrzebuje bliskości.*
(„Sztuka latania”)

*z drugiej strony rozmycie konturu jest bliższe prawdy.
jeśli komuś zdaje się, że prawdą jest to, co widzi, ten błądzi.*
(„Synestezja”)

Pewne utrudnienie, a jednocześnie motywacja dla artysty to uczucie, które w *Totamei* łączy portrecistę z portretowaną. W wielu wierszach obserwujemy swoisty paradoks niszczenia i budowania dzięki tej samej sile. Dwa fenomeny: sztuki i miłości wchodzą sobie w drogę, łącząc się nierozzerwalnie. Jeśli mielibyśmy poszukać dla bohatera tomiku odpowiedniego kostiumu w literaturze i sztuce, powinniśmy sięgnąć po postać Pigmaliona. Bohater „Totamei” stwarza swoją modelkę, wierzy, że dzięki swemu dziełu zapewni jej wieczność. Co więcej – sam wymyśla dla niej imię i to właśnie nadanie imienia można potraktować jako najwyraźniejszy symbol uzależnienia genialnego dzieła od jego twórcy:

*powiedziałas kiedyś: jestem tota tua... od wtedy
rozcieram te słowa pod językiem, jakbym badał
zawartość cynku w bieli, cynobru w czerwieni
lub miedzi u Vermeera (...)*

*nad strumykiem zaczerpnę wody w garść
i ochrzczę cię nowym imieniem: Totamea.*
(„A imię twoje...”)

Dążenie do twórczej potęgi ściera się nieustannie z zupełnie „nieprofesjonalną” (za to bardzo osobistą) zazdrością o obrazy – wizerunki modelki-ukochanej. *Ja bym twój portret nie oddał w obce ręce* – deklaruje twórca w wierszu „Cena”. Malarstwo nie jest tu pracą, odbiega daleko od galeryjnej rywalizacji – to raczej nieustanne zmaganie z samym sobą, z własnym postrzeganiem świata, z umiejętnością odpowiedniego przeżywania i rejestrowania nieuchwytnych wrażeń. W tej niezwyklej koncepcji to nie sztuka przynosi majątek twórcy, ale twórca płaci życiem – za sztukę:

*to kwestia tego, czy w końcu
oboje z tego obrazu będziemy patrzeć w ich zdziwione oczy
i powodować skurcz gardła na myśl o cenie, jaką przyszło
zapłacić Sztuce.*
(„Cena”)

Anna Maria Musz

Leszek Żuliński, *Totamea*, ilustracje: Teresa Babińska, Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2013, s. 72.

sceptycyzmu Tadeusza Różewicza po pełne zawierzenie Bożemu Miłosierdziu spod znaku Jana Pawła II.” Jak obszerne jest rozumowanie odczytanego Poety świadczy wiersz: „*Nie mogę zrozumieć prostych słów Lema,/ Różewicza, Boya. To ich wyróżnia,/ że wątpię we wszystko.*” (Sonet IV) Jest to tylko przyczynek do przyrody (która jest też dziełem Boga) czy ukochanego zwierzęcia: „*w zgłębieniu moich nóg leży pies/ skomli przez sen i przebiera łapami/ wypełnia pustkę./*” (Pies), poprzez refleksję: „*Nie mogę nawet/ rozluźnić gardła, w którym utkwilo/ moje własne słowa./*” (Zapominam swoje imię) Fizyk Czuku dochodzi również do stwierdzenia pojmującego bystre ramy pogodnej jesieni: „*Niepostrzeżenie rozjaśnia się pierwszy/ dzień października.*” (Psy i kasztany)

Istotną refleksja jest jak zwykle na końcu. Jeśli przyjąć, że *Nietrwala kompozycja* to wiersze egzystencjalne z dużym zrozumieniem działań Najważniejszego, to brakuje mi Bożego posiłku jakim jest chleb. Być może dla fizyka Czuku posiłek ten, nie znalazł jeszcze swojego opisu: „*Mój opis świata jest niedoskonały. Nie znam siebie do końca, więc powstający wiersz nie oddaje w pełni mojego ducha.*” (Opis świata) Opis ten wiele tłumaczy i wyjaśnia. Oczywiście, nie jest to spowiedź, ale świadomy Marek Czuku wie, że w tym kosmicznym świecie (który jest też dziełem Boga) nie można mieć wszystkiego. Dla ścisłego, matematycznego umysłu poety objęcie reakcji metafizycznych nie jest proste. Dobrze, że wysiłek ten podejmuje. Wielu współczesnych poetów młodego pokolenia gardzi wierszem religijnym czy metafizycznym nie rozumiejąc jego siły. Mocy, która zapi-



sana jest zazwyczaj pomiędzy wersami. Nie chcąc wnikać w irracjonalny sposób spostrzegania poetów prymitywnych, z całą świadomością mogę stwierdzić, że właśnie Ci twórcy powinni dużo czerpać ze studni poezji Marka Czuku. Oczywiście nauka tej lektury na pewno może przynieść wiele pożytecznego. Oprócz Bożej strawy (jakim jest chleb) poeta nie odnosi się do największego dzieła literackiego na ziemi jakim jest Biblia. Czy zatem, gdy w tomie zabraknie tych dwóch najważniejszych elementów działalności Boga mogą definitywnie przekreślić wartości etyczne zaprezentowane w *Nietrwalej kompozycji*? Nie. Biblia i chleb jako istotne dzieła Stwórcy nie wpisują się bowiem w koncepcję tomu. Biblia i chleb należą do niezwykle trwałych wyrobów rzemieślniczych, które stworzył Bóg. Praktycznie przez tysiące lat istnieją w niezmienionej formie i mają to samo zastosowanie.

Dla dojrzałego poety, jakim jest Marek Czuku wybór właśnie takich a nie innych wierszy przez Małgorzatę Juda-Mieloch nie jest dziełem przypadku, tylko świadomym przedstawieniem wiadomości z księgi Dobrego i Złego oraz porównaniu ich sobie, tylko po to, aby czytelnik miał pozytywny przykład poezji religijnej i metafizycznej. Poezji, której lektura wystarczy na nie jedno podejście, lecz (podobnie jak Biblię i chleb) można degustować wielokrotnie. Kontemplacja tych utworów nikomu nie ujmie, nikt nie będzie miał powodu do wstydu.

Piotr Goszczycki

Marek Czuku *Nietrwala kompozycja*; Wyd. Republika Ostrowska, Ostrów Wielkopolski 2013

KOBIETA – RZKA

Okładka drugiej książki Magdaleny Gałkowskiej jest dość tajemnicza. Żeńska noga w obuwiu a obok czarny stwór lub czworonożny przedmiot podobny do bezgłowego psa, wszystko utopione w zimnym i wielkim błękiecie. Tytułowa *Toca* była wodną torturą stosowaną przez inkwizycję, w odróżnieniu od tortury chińskiej, bardziej bolesną fizycznie niż psychicznie. Połykanie wody wraz z kawałkiem materiału doprowadzało na koniec do silnego bólu, zadawanego przez kata jednym ruchem ręki.

Tom również wypełniony jest wodą – motywami rzeki, oceanem a także cierpieniem i rozczarowaniem. Klimat tych tekstów jest dość niepokojący a chwilami mroczny, nie przytłacza jednak czytelnika, gdyż pulsuje stałym, choć chłodnym tętnem. W wierszach tych nieprzerwanie pojawia się kobieta, którą pomimo wspólnych cech, nie można jednoznacznie określić i zakwalifikować. To kobieta – rzeka, która jest zmienna i płynna, a przez to przemyka przez palce. Już pierwszy wiersz z cytatem z Lady Lazarus Sylwii Plath, pt. „kobieta ocean” wydaje się dobrym motem dla całości:

mam trzydzieści sześć lat, nie boję się,/ kiedy przychodzą i przykładają usta./ mogą się zanurzyć (...) wylawiać ze środka (...) patrzeć jak faluje rozgarniana rękoma (...) za wizyty płaci się ciałem (...) a ja potrafię pieścić długo,/ aż do podskórnych wylewów (...)

Kobieta, woda, ciało, słowo – to cztery elementy, jak cztery żywioły, wokół których zbudowany jest świat w *Toce*. Również usta, jako część ciała, jakże znacząca w czasie wodnej tortury, są co jakiś czas wypełniane, jak w wierszu „dieta”:

(...)z ustami wypchanymi mandarynką puszczam / soki zamiast korzeni (...)

także w tekście „ludzie godziny ósmej”:

(...) odpływam, doskonale obca,/ z ustami pełnymi błękitnego światła.

oraz w „stygmatach”:

(...) brałam do ust ściągany przez rurkę mętny płyn,/ grzesząc, uczyłam się przełykać (...)

Pomimo tego, podmiot liryczny, wzorem Demostenesa, próbuje mówić (nie przemawiać ani krzyczeć), jednocześnie stara się „nie łać wody”. Wiersze są bowiem zwięzłe, chwilami nawet dość ascetyczne, z większą dbałością i pokorą wobec słowa, niż w debiucie.

Z naczelnym wodnym motywem łączy się często motyw śmierci, jak w wierszu „drzazga”, gdzie poetka pisze:

(...) krwi już nie ma, wsiąkła w ziemię,/ odpłynęła do rzeki./ splawiamy nieumartych jak drewno,/ z biegiem, (...)

W kolejnych tekstach przewijają się podskórnym nurtem smutek a nawet rezygnacja i zwrócenie się po ocalenie do „dżinu, który mieszka w butelkach”. Butelki, płyny i szkło – to kolejne słowa – klucze związane znaczeniowo z głównym motywem. Kobieta, jak już wspomniałem, jest w tych wierszach wieloznaczna. Zazwyczaj jest nim podmiot liryczny, narrator opowieści a czasem są to obce osoby (a może emanacje podmiot lirycznego, jego alternatywy, byty równoległe). Tak jak w „wierszu, który miał mieć tytuł”:

(...) śniłam kobietę / z zasztytymi ustami, mokrą i słoną. (...) woda ciemnieje, tracę pewność (...)

albo w „wieży”:

POETYCKA KAMASUTRA ALBO „MIŁOŚĆ Z POWIKŁANIAMI”

Obecnie coraz mniej głośnych i wpływowych grup poetyckich. Na przykład na Śląsku ostatnią wyraźną formacją o charakterze programowo-sytuacyjnym była grupa Na Dzik o m. in. z Maciejem Meleckim, Radosławem Kobierskim, Krzysztofem Siwczakiem, Bartłojem Majzlem. W innych regionach jest podobnie, poeci skupiają się bardziej wokół redakcji czasopism lub uniwersyteckich towarzystw niż w grupach literackich... Tym bardziej godna uwagi jest inicjatywa grupy pasjonatów i zarazem twórców, którzy spotykają się na blogu www.poecipogodzinach.blogspot.com. Internet stał się płaszczyzną porozumienia, działania i literackich przyjaźni między autorami znanyymi już w środowisku pisarskim jak i debiutantami, którzy nieśmiało próbują zaistnieć w przestrzeni słów. Magdalena Bąk na tylniej okładce najnowszej książki tego interesującego kręgu osób zaznaczyła, że można dowolnie wybierać sposoby spędzania wolnego czasu, ale właśnie „po godzinach” zaczyna się prawdziwe życie poezji i Ci, którzy „po godzinach” zwykłej, szarej pracy zsiadają przed komputerem zaczynają niejako nowe życie. Potencjał grupy tkwi według niej w „fuzji różnych doświadczeń życiowych i artystycznych”, ale też w ogromnej pasji i chęci współtworzenia offowego życia literackiego. Stąd też literaci okazjonalnie spotykają się nie tylko w sieci, ale także na towarzysko-poetyckich zlotach, a nawet we wspólnych książkach. W 2010 roku ukazała się bowiem antologia *Wizytówki*, w której po raz pierwszy zebrano wiersze „Poetów Po Godzinach”, a w roku bieżącym z okazji Walentynek opublikowano nowy tom o mocno intrygującym tytule *Miłość w czterdziestu siedmiu pozycjach* z dopiskiem – *Poradnik liryczny*. Robert Miniak we wstępie do książki przyznaje, iż jest ona „plonem walentynkowego maratonu poetyckiego”, którego naczelnym tematem była *miłość*. Jak się okazuje przy wnikliwej lekturze, o miłości powiedziano już wszystko i można mówić dalej nie wyczerpując tematu. Paradoks polega na odwiecznej i niemożliwej zarazem chęci zdefiniowania czym jest to najważniejsze w życiu człowieka uczucie. „Poeci Po Godzinach” również starają się uchwycić jego sens, opisać jego stany albo wyrazić to, co i tak zdaje się z gruntu niewyrażalne. Nie twierdzą, że takie działania nie mają sensu, każda próba nawet mniej udana jest przecież potwierdzeniem słów z *Fausta* Goethego, iż „błądzi człowiek, póki dąży”. A to dążenie w przypadku poezji niejednokrotnie staje się celem samym w sobie.

Czymże zatem jest ów poradnik liryczny? Jest nie tylko okazjonalnym zbiorem wierszy, który ocala pewne wydarzenie, ale okazuje się także swego rodzaju świadectwem wrażliwości naszych czasów. Wiele z pięćdziesięciu zamieszczonych tu utworów wykorzystuje stare chwytły, nawiązuje do poetk znanych i cenionych, ale są też teksty odkrywcz e i zaskakujące, dzięki którym mozaika słów zyskuje na wartości, zmusza do uwagi. Porządek alfabetyczny w jakim uszeregowano twó-

(...) miasta, w którym kobiety oprawia się / jak ryby, nie potrzebują głosu,/ tylko ciało./ jest świeża, lecz nie pachnie,/ czysta, ale klei się do rąk./ dawno temu wyrwano jej język (...)

i ponownie w wierszu „ludzie godziny ósmej”

(...)kobiety / o przezroczystej skórze, piersiach pociętych / siatką niebieskich żyłek. wyciągają chude ramiona,/ kuszą biodrami, wchodzą we mnie / jak ostre sople i pokrywają szronem. (...)

Kim jest ta kobieta (kobiety)? Strachami, wyobrażeniami a może jakąś nieokreśloną werbalnie obawą z przyszłości lub przeszłości? Wydają się być zniekształcone i niewyraźne jak świeżo skończony sen. Natomiast kobieta będąca podmiotem lirycznym deklaruje, że nie chce być tylko ciałem, ale także chce posiadać głos, co można potraktować także jako manifest feministyczny, proklamację własnego głosu poetyckiego.

Toca jest także (a może przede wszystkim) książką o miłości. Nie jest to jednak miłość filmowa, ani platoniczna, ma w sobie dużo żywiołowości. W tekście „balon” autorka pisze:

(...) uprawiać miłość w każdym miejscu tego domu,/ wypełnionego zapachem gojących się ciał.

Jest to miłość cielesna i zmysłowa, nie pozbawiona jednak normalnej gry ciał i afektów. Miłość, która jest oczekiwaniami, brakującym elementem do świata, aby rozwiązać rozczarowania, nadać mu większą jasność. Czasem jawi się jak przemawianie do mężczyzny – być może bliskiego ideału, w który jednak nie wierzy. Nazywa go przecież „chłopcem”, nakreślając nad nim swoją dojrzałość. Pisz e o nim w „Dolnej Wildzie”:

(...) kochanek jest daleko,/ z zalanego morzem fragmentu lądu / pisze: zawsze będę czekał. czekaj./ cierpliwy chłopcze, aż przestanę dryfować,/ osiądę na mieliźnie albo rzucę kotwicę (...)

Innym fundamentalnym motywem tego tomiku są słowa. W wierszu „delta” Gałkowska zaznacza:

(...) papier przesiąka i ciągnie / w stronę dna (...) w miejscu słów wciąż nie widać ujęcia.

zbliżony ton znajdujemy w wierszu „światowy dzień poezji”:

wiersze są jak drobne na dnie fontanny:(...)słowa można wziąć w garść,/ rzucić i czekać, (...)

Zdania te można potraktować jako wyraz pokory a zarazem cierpliwości, jak i bezradności wobec słów, z których składa się poezja, komunikacja międzyludzka. Ze słowami często trzeba walczyć, wyjmować z form ich dotychczasowe znaczenie, szlifować, układać na nowo a pomimo tego, raz mogą posłużyć jako lekarstwo a innym razem jako niebezpieczeństwo, jak w wierszu „gama”:

(...) zwalczam słowa / legnące się jak larwy, a mogłabym przecież / oczyścić nimi ranę, patrzeć jak się wiją, / czekając na efekt / muszę milczeć,/ duszę się, gdy podchodzą zbyt blisko.

Wracając jeszcze do motywu wody. Zazwyczaj kojarzy się ona z życiem i rozkwitem. Tymczasem tutaj funkcjonuje jako narzędzie tortury, choć nie jest tak zawsze. W wierszu „hidden” woda jest czymś negatywnym, a jej odejście umożliw ia połów:

(...) kobieta,(...) czeka do świtu, by łowić / wraz z odpływem.

ców nie zdradza preferencji redaktorek – Renaty Radnej-Mszycy i Barbary Kopałki-Milek, pozwala samemu wybrać to, co zdaje się smakować i pachnieć, by użyć zmysłowego klucza.

W pierwszej kolejności chciałabym zatem zwrócić uwagę na *Małżeństwo z rozsądku* Rafała Gawina, który szuka miłości tam, gdzie jej *de facto* nie ma, a także na *Lolę* Ewy Olejarz, która podobnie skupia się na braku, wypaleniu czy raczej zamknięciu na miłość. Dziwne to Walentynki, gdy wybiera się wiersze, w których płomień uczucia dawno zgaś lub nigdy się nie rozpa lił. Nie bez powodu jednak pytał Jerzy Suchanek– „Czemu zarażone miłością wiersze umierają, umierają z zimna?”¹. Magdalena Bąk zdaje się ratować tę sytuację modlitwą – parafrazą *Modlitwy Pańskiej* – o inc. „Mój, który jest tu i teraz” (s. 10), a Grzegorz Kielar diagnozuje „w taki dzień łatwo nabawić się / miłości z powikłaniami” (s. 22).

Zabawnie i nieco makabrycznie rozprawia się z założonym tematem tomu Mariusz Kusion, który w *Grze przedwstępnej* kpi ze stereotypów na temat ideału męskości, żyma się z kiczowatych obrazków „prawdziwego szczęścia”, tworząc obraz delikatnego *macho*. Podobny bohater pojawia się w wierszu Jacka Sojana pt. „o maj darling”, gdzie odnajdujemy wyznanie:

dzisiaj ostatnim ja stoikiem tu w Krakowie
choć pewnie cymbał może pajac gdzieś w połowie
żeś mnie rzuciła nie żegnając choćby słowem
ja cię love (s. 60)

Z kolei Piotr Masoń humorystycznie maluje obraz tytułowej *Poetessy* jako kobiety pożądanej, ale budzącej lęk, przez który „stygnie libido” (s. 35). Jej szerokie horyzonty czy świadomość siebie tłumia chuć do tego stopnia, że:

to już bezpieczniej nabelcić się z glana
i puknąć w bramie jakieś mięcho
co nie odróżni samego *ha* od tego drugiego
nawet na kolanach (s. 35).

W antologii *Miłość w czterdziestu siedmiu pozycjach* takie rodzajowe obrazki mieszają się z patosem wielkich słów, szczerych wyznań i rozczarowań, m.in. w *Zaproszeniu* Iwony Wierzb czy a *mężczyzna a kobieta* Wojciecha Jacka Pelca. O nieporadności i zakłopotaniu czytamy w wierszu „Ale miłość, takie słowo” Jakobe Mansztajna, gdzie mężczyzna wyznaje „na papierze nas zgubiłem, na papierze wszystko / wiersze nie potrafią kochać dobrze, sama wiesz” (s. 29). Stanisław Pawłowicz wbrew posądzeniom o wtórność i sentymentalizm wyznaje: „wczoraj w ciży

zarazem w „krótkiej historii” rzeka jest uspokojeniem:

(...)za rzędami budynków jest rzeka./ wiem o niej i to mnie uspokaja (...)

a w wierszu „balon” okazuje się, że woda jest być może potencjalnym miejscem narodzin kobiety:

(...) mówisz / zapatrzony w wodę, jakbym właśnie stamtąd / miała się wyłonić (...)

Czyli woda nie jest taka zła? a może jest nośnikiem, łącznikiem lub pomostem? Może jest to także nawiązanie do wiersza Phillipa Larkina „woda”:

Gdyby mnie powołano / Do wymyślenia religii / Jej podstawą uczyniłbym wodę (...) Oparłbym całą liturgię / Na symbolice przemoknięcia do nitki (...)

Przemoknięcie do nitki może być metaforą lub nawiązaniem do dwóch żelaznych składników wodnej tortury inkwizycji: wody i płótna.

Na wszystkich najważniejszych motywach tej książki obraca się „jak najbardziej współczesny wiersz o miłości”:

(...) nie złowimy nawet słowa (...) w tej chwili nic już nas / nie łączy. ale wciąż jestem kobietą / twojego życia, więc opróżni am butelkę (...) zbuntowany / żółdek wysyła wiadomość: nie panujesz / nad treścią

co nasuwa konkluzję, że wszystko zamyka się w jedną nierozzerwalną całość a wyjęcie choćby jednego elementu, naruszy wyważoną konstrukcję zdań. Autorka nie byłaby jednak sobą, gdyby w jakiś sposób nie storpedowała poważnego nastroju większości tekstów zawartych w tomie. W „tryptyku rozpaczliwym” dokonuje swoistego podsumowania, tak jakby otrzępała się z kurzu bitewnego, podliczyła straty i wraca do siebie, ale w jakim nastroju?:

dziewczyna, która wczoraj była poetką, / robi pranie (...) pani ekspoetka w głębokim kryzysie znów pali (...) po wszystkim / głęboki oddech i czyszczenie paznokci.

Wiersz zamykający, będący zarazem epilogiem, jest również najbardziej zbliżony klimatem, werwą i temperamentem do tych z pierwszego tomu. *Toca* jest bardziej dojrzała, poukładana

i czasem wyczelowana, że często trudno było wybrać odpowiedni fragment do cytatu, aby nie zdemontować przekazu. Ciągły niepokój i silne, wyraziste puenty, konsekwencja ale i brak szaleństwa. Nie bez kozery mówi się, że to drugi tom mówi więcej o pocie niż pierwszy. *Tocę* odbieram jako rozprawienie się ze złudzeniami, przegląd życiowych doświadczeń i określenie na mapie miejsca, w którym się aktualnie poetka znajduje.

Gałkowskiej udało się w jakimś zakresie zredefiniować skojarzenie kobiety z rzeką. Cytaty porównujące „piękną kobietę do rzeki, w której toną mędrzy” a także, iż „kobieta jest jak rzeka – im płytsza tym więcej mężczyzn potrafi utopić”, wydają się już niewystarczające i dość trywialne. Kobieta – rzeka jest bardziej złożona i tajemnicza.

Patryk Chrzan

*fragment wiersza Phillipa Larkina – „Woda” w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

Autorzy cytatów – Seneka Młodszy oraz Andrzej Majewski

Magdalena Gałkowska – Toca

Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej „Zeszyty Poetyckie”. Gniezno 2012 r.

/ całowałem twoje łyzy // a teraz bez słów / przytulam wilgotną twarz” (s. 40), a Andrzej Walter w *historii pewnej miłości* powtarza wyświechtane „jestem twój... ” (s. 68). Zaś Kacper Płusa drwiąc z romantycznych stereotypów, w rytmie starej piosenki prosi: „uchyl rąbka tajemnicy. uchyl rąbek od spódnicy” (s. 45). Świetny mikołowski ironista Bogdan Prejs również zdecydował się oddać do druku *Prośbę*, z tym że u niego gorycz egzystencji miesza się z czarnym humorem:

gdybyś dała mi chociaż nadzieję
że przy tobie nie będę miał ochoty
przeгрыźć sobie żył
to kto wie
może uwierzyłbym
że jesteś moim przeznaczeniem (s. 47).

Tematyka tomu dopuszcza szeroki wachlarz realizacji. Założenia „poradnika lirycznego” sensu stricte realizuje zaledwie kilka utworów. Jednym z ciekawszych jest ballada *Zakochani* Wojciecha Michałca, który to wciąż nie zdecydował się na publikację debiutanckiej książki, choć dysponuje coraz bogatszym zestawem wierszy. Zamiast porady częściej piętrzą się pytania jak choćby u Krystyny Wieczorek, która kończy wiersz słowami – „I co ja mam jej teraz powiedzieć?” (s. 69) albo u Juliusza Rafedla, któremu miłość wyszła ponoć w kartach...

Pomysł i wykonanie najnowszej książki „Poetów Po Godzinach” potwierdza konieczność spotkań w słowie. Wiersze „słamowe”, dowcipne czy ironiczne przeplatają się z tekstami prawdziwie lirycznymi, z których przebijają ból, smutek czy rozrzewnienie. Śmierć bliskich (m.in. *Bezimiennie* Renaty Radnej-Mszycy), poznanie nowej osoby, ale i rozstanie stają się punktem wyjścia do głębszych rozważań. Choć w „miłosnych pozycjach” dominuje nastrój zgrzywy i zabawy, to wciąż otwarta jest choćby kwestia z wiersza

Robert a Rutkowskiego – czy „prawdziwa miłość przychodzi tylko / do ludzi dobrych” (s. 54) albo czy „róża” potrafi jeszcze nie brzmieć banalnie (por. wiersz Marka Czuku *Róża*). Próbując odpowiedzieć na pytanie Roberta Miniaka, postawione w tytule wstępu do zbioru – „czy pocie wypada jeszcze w dzisiejszych czasach pisać o miłości? – trzeba zapytać, a czy nie wypada nie?

Edyta Antoni ak-Kiedos

Poeci Po Godzinach: *Miłość w czterdziestu siedmiu pozycjach. Poradnik liryczny*. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce. Kraków 2013, s. 80.

¹ J. Suchanek: *Wiersze umierają*. W: Tegoż: *Bębny*. Gdańsk 2008, s. 70.

JURIJ POLAKOW. KOŻŁĘ W MLEKU. POWIEŚĆ-EPIGRAMAT.*

Powieść została napisana w latach 1993 — 1995. Po raz pierwszy fragment powieści ukazał się w tygodniku „Sobiesiednik” (1995, nr 20). W wywiadzie poprzedzającym publikację autor odpowiedział na kilka pytań dziennikarki Olgi Bielán:

— **„...Zawsze pisałeś opowieści. I nagle – powieść, i jeszcze pod takim dziwnym tytułem — Koźłę w mleku. Możesz to wyjaśnić.**

— Wyjaśniam. Usiadłem, żeby napisać opowieść, a wyszła powieść. Widocznie, po czterdziestce zachodzą jakieś nieodwracalne procesy w organizmie. A nazwa pochodzi ze starotestamentowego tabu: „Nie gotuj koźlęcia w mleku matki jego”. Wydaje się, że w ostatnich latach to tabu zostało naruszone na wszystkich poziomach naszego życia. A jeśli mówić szerzej, to moja powieść jest o tym, jak z ludzi sowieckich zamieniliśmy się w ludzi postsowieckich ze wszystkimi stąd wynikającymi śmiesznymi i koszmarnymi skutkami.

— **Ale, sądząc po fragmencie, jest to opowieść o świecie literatury?**

— W pewnym stopniu. To środowisko znam wystarczająco dobrze, więc prześledzić „centauryzację” kraju na tym przekroju społecznym było mi łatwiej. Oprócz tego, wina za to, co się zdarzyło z naszym krajem, leży przede wszystkim na inteligencji, w tym twórczej. W ogóle, naszemu narodowi, moim zdaniem, nie poszczęściło się z inteligencją, zwłaszcza z tą ze stolicy...

Fragmenty powieści zostały opublikowane w gazetach „Trud” (1995, 1 września), „Zawtra” (1995, nr 44), „Rossijskaja gazeta” (1995, 5 października), „Komsomolskaja prawda” (1995, 1 października), „Moskowskij komsomolec” (1995, 11 września) i in. W nieco skróconej wersji powieść ukazała się w czasopiśmie „Smiena” (1995, nr 11—12) i w „Roman-gazecie” (1996). Pierwsze wydanie książkowe ukazało się nakładem prywatnego wydawnictwa A. Gurwicza „Kowczeg” w 1996 roku.

Gazeta „Mir nowostiej” pisała: „Na prezentacji Koźlęcia..., która odbyła się w Klubie Literatów, gdzie à propos właśnie toczy się akcja powieści, towarzysze pióra dali wysoką ocenę nowemu dziełu, zabrzmiwały nawet pochlebne porównania z Michaiłem Bułhakowem. Jest to bardzo zadziwiające, ponieważ powieść jest złośliwą satyrą właśnie na świat literatury i jego mieszkańców...” (1996, 3 czerwca) „To wydarzenie — pisała o prezentacji powieści gazeta „Prawda” — przyciągnęło nawet, wydawałoby się, nieprzejednanych antagonistów... Czy to jest zdolność autora dogodzić i jednym i drugim? A może to jest prawdziwy talent, który nie można nie uznać?... Na prezentacji autor gorzko zauważył,

że jako satyryk chyba jest skazany na bycie w opozycji do każdego systemu władzy”. (T. Morozowa, „Skazany na bycie w opozycji”, 1996, 22 kwietnia). O tym wydarzeniu pisała również gazeta „Moskowskij komsomolec” w artykule „Koźleta, koziołki i kozły...” 23 kwietnia 1996 roku.

Powieść wywołała szeroki rezonans. Najbardziej uważni recenzenci podkreślali, że autor jako jeden z pierwszych poruszył problem totalnej ofensywy „PR-technologii” w dziedzinie sztuki, gdy talent już nie jest niezbędnym warunkiem do twórczości. Krytyk A. Niewierow w gazecie „Trud” pisał: „J. Polakow z radosnym zapalem modeluje technologię tworzenia mitu. Jego bohater, lepiąc z analfabety Witusia wieszczą literatury rosyjskiej w odróżnieniu od profesora Higginsa i stolarza Dżepetta skupia się nie na pracy ze swoim wychowaniem, a na stworzenie wśród otoczenia jego odpowiedniego wizerunku... Można powiedzieć: hiperbola, groteska, doprowadzenie sytuacji do absurdu. Owszem. Jednak są to cechy nie tylko wybranego przez J. Polakowa gatunku literackiego, lecz nie w mniejszym stopniu — dzisiejszych czasów. Jeśli autor zaostrza i wyolbrzymia, to nie za bardzo. Oto, co pisze, na przykład, krytyk Ilja Smirnow w gazecie „Kultura” o zjawiskach całkiem realnych: „Zdolny parodysta, organizator kabaretów amatorskich... staje się prawie że najsłynniejszym współczesnym poetą rosyjskim, autor utworów, zbliżonych tematycznie do napisów na ścianach w toaletach publicznych, zostaje „mianowany” na „klasyka”, a ktoś jeszcze nominuje go na nagrodę Bookera! I w tym przypadku nie ma znaczenia, kto chwali tę „klasykę”, a kto, odwrotnie, karci. Sama możliwość tego rodzaju dyskusji w środowisku profesjonalistów świadczy o tym, że środowisko to zostało zrujnowane. Trzeba będzie go odbudowywać, jak po wojnie domowej” (1996, 21 marca).

B. Sokołow w czasopiśmie „Nowoje kniżnoje obozrenije” dał wysoką ocenę powieści: „Myślę, że „Koźłę...” — na razie jest najlepszym dziełem pisarza...” (1996, nr 13, s. 12). Ten sam B. Sokołow w wielkim artykule „Dwie twarze postsowieckiej literatury. O prozie Jurija Polakowa i Władimira Sorokina” zauważył: „Powieść-epigramat „Koźłę w mleku”. .. parodiuje nie tylko literackie obyczaje sowieckiego i postsowieckiego okresu, ale również najnowsze trendy literackie, w tym postmodernistów i Sorokina... W tym przypadku zostaje wyśmiany nie tylko sam proces kreowania literackich reputacji, ale również estetyka postmodernizmu — w polakowskim jej rozumieniu: dla postmodernistów ważnym jest nie tekst, lecz kontekst, odbiór i interpretacja tekstu” („Družba narodow”, 1997, nr 6, s. 190).

B. Szyrokow w obszernej recenzji podkreślał: „Możliwe, że jednak nie dorastające z punktu widzenia kompletności i siły odzwierciedlenia zjawisk społecznych do encyklopedii życia rosyjskiego „Koźłę...” z powodzeniem można nazwać „Encyklopedią niebytu literackiego” (ponieważ właśnie w świecie literatury pieriestrojka zaszła najdalej, choćby w kwestii ostatecznego załamania wszystkich instytucji składowych...)” („Niezawisimaja gazeta”, 1998, 21 maja).

Duży artykuł poświęcił powieści krytyk I. Charłamow: „Nowe dzieło J. Polakowa różni się od poprzednich, takich jak Sto dni do cywila i Sytuacja nadzwyczajna w skali rejonowej. Przed nami otwiera się inny Polakow, z bystrym umysłem, łagodną narracją i ostrym perfekcyjnym stylem. Od razu widać, praca nad techniką pisania stoi u niego nie na ostatnim miejscu. Wyniki tego są oczywiste. Na zmianę dość standardowemu sposobowi narracji (co wcale nie zmniejsza jego zalet — na przykład, aktualności), bardzo charakterystycznemu dla średniego poziomu sowieckiej prozy poprzednich dekad, przychodzi nowa, nie skrupowana w środkach powieść, na dodatek napisana dobrym rosyjskim językiem literackim. W swoim dziele autor łączy najlepsze strony bułhakowskiej tradycji „Powieści teatralnej” z dzisiejszymi realiami postsowieckiego życia... Jurij Polakow buduje swoją powieść na hiperboli, lecz nie jest ona histerycznie przesadna. Hiperbola Polakowa „nie przekracza skalę”. Ona tylko zaostrza uwagę. A na dodatek ta książka jest przepelniona humorem. Prawdziwym, subtelnym, nie wymuszonym. Ta książka jest ciekawa do czytania...” („Moskowskij wiestnik”, 1997, nr 3 — 4, s. 237). Na ostrą polemikę z estetyką postmodernizmu zwraca uwagę A. Lusy: „...realistyczna przy całej swej groteskowości gra z teraźniejszym rosyjskim postmodernizmem obejmuje choć i niedawną chronologicznie, lecz już bezpowrotnie minioną epokę jedyne*y* i jeszcze formalnie nie rozdzielonego Związku Pisarzy, specyficznego organizmu kulturowego, dla zrozumienia którego przed Polakowem, o dziwo, nie znalazł się ani własny Hesse ani Borges” („Literaturnaja uczoba”, 1998, nr 2, s. 115).

W 1999 roku w Teatrze im. Rubena Simonowa reżyser E. Liwniew wystawił spektakl „Koźłę w mleku”, który wywołał szeroki rezonans społeczny. Jedną z wielu recenzji na ten spektakl nosiła charakterystyczny tytuł „W księgarni bestseller, w teatrze – pełna sala”: „„Gromkie brawa zamieniają się w prawdziwą burzę, gdy w finale Witek oznajmia, że postanowił kandydować na prezydenta, mówiąc: „Jeśli ze mnie, koźła, pisarza znanego skombinowali, czyżby na prezydenta nie wywindują?” Nawiasem mówiąc, w powieści takiej sceny nie ma. To już, jak to się mówi, błyskotliwy pomysł teatru, który w ten sposób odreagował na ogólne wyborcze podekscytowanie” („Literaturnaja gazeta”, 2000, 29 marca). W czerwcu 2004 roku odbył się dwusetyny spektakl według powieści Polakowa — przypadek nie mający analogów we współczesnej dramaturgii. W 2003 roku został nakręcony film w ośmiu odcinkach „Koźłę w mleku” (reż. K. Mozgalewskij, W. Nachabcew).

Na moment przygotowania „Dzieł zebranych” (2004 r.) ukazało się 20 wydań powieści Koźłę w mleku.

Paweł Basinski

Przełożył z rosyjskiego Władimir Sztokman

* Fragment artykułu pt. „Pisarz par excellence”

TRYŚŁOWIA POETYCKA OLGI LALIĆ-KROWICKIEJ

Olga Lalić-Krowicka stworzyła dwujęzyczną Tryśłowię Poetycką. Część pierwsza – *Żaba, żaba (moje żale)*, część druga – *Mózg (29 wierszy o mózgu z okazji 29 lat jego zjadania)*. Obydwa tomiki zostały zrealizowane przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przekład na język serbski jest dziełem autorki.

W części pierwszej prawie we wszystkich wierszach możemy odnaleźć tytułowe żaby. Żaba jest jakby refrenem powracającym ale wciąż zmieniającym swoje znaczenia. A więc żaba na obłoku, żaba powiernica, żaba alter ego, zupa ugotowana z jednej żaby, żabotorium, żabia serenada, żabi książę, ale przede wszystkim żaba poetycka czyli podmiot liryczny.

Dowiadujemy się, że poetka lubi żaby i widzi je wszędzie wokół siebie. Nie podchodźmy jednak do tego stwierdzenia zbyt racjonalnie i zbyt serio. Żaba pełni w tej oryginalnej i wysublimowanej poezji rolę znaku, symbolu różnych rzeczy, zjawisk, a przede wszystkim uczuć.

W jednym z wierszy widzimy małą umalowaną żabę z chusteczką na nóżce – kojarzy się nam ona z zalotną modniśnią – kwintesencją kobiecego czaru i wdzięku.

*Żaba jak żaba
Mała umalowana
Sexy rexy
Z chusteczką
Na nóżce
Żaba lubi ubierać sierpień
Ekstrat-wagancko*

Ale *żaba jest żabasta* – pisze poetka. A w innym wierszu – *ubierz uczucia na przykład w żabi płaszcz*. To zdanie jest kluczowe dla całego tomiku. Zrozumiemy poetkę jeśli będziemy świadomi tego żabiego płaszcza, jeśli wzbijemy się ponad dosłowność i realność wyrazów, które często oznaczają coś więcej niż ich nominalna treść. Wyrazy stanowią odniesienie do uczuć i pojęć. Ważna jest interpretacja tekstu, koło hermeneutyczne (tekst i kontekst).

W tym miejscu warto moim zdaniem wspomnieć Jacka Derridę i jego znaną wypowiedź, że *”nie ma nic poza tekstem”* i każdy komentarz na temat dzieła, także pochodzący od autora, jest jedynie kolejnym odrębnym tekstem podlegającym interpretacjom, lecz bynajmniej nie uprzywilejowanym. Derrida jest autorem terminu *różnica*, która jego zdaniem nie jest ani słowem, ani pojęciem; odnosi się do faktu, że słowa i znaki używane w języku nigdy bezpośrednio nie przywołują tego, co oznaczają, mogą być wyjaśnione jedynie za pomocą innych, kolejnych słów; zrozumienie i interpretacja których przedstawia – w nieskończoność – ten sam problem. Słowa i znaki zawsze różnią się od tego, co oznaczają; w języku naturalnym znaczenie słowa jest oddalone, opóźnione. Teoria Derridy, w moim przekonaniu, może mieć zastosowanie do wierszy z tomiku Olgi Lalić-Krowickiej, a zwłaszcza do jej tytułowej żaby.

*Ubezpiecz uczucia czule
Ulgają ulegli
Skaczą wielcy
Bramkarze pieniędzy*

*Ubierz uczucia
Na przykład w żabi płaszcz
Gol siak tak*

Mamy do czynienia ze wspaniałą poetycką przewrotnością. Bo żaba przedstawiać może wszystko i wszystkich – nie tylko kobiety czy symboliczną kobietę – także mężczyzn lub tego jedyne*y* mężczyznę. Musimy się dobrze wczytać i rozszyfrować poetycki kod aby dowiedzieć się więcej.

*Mój żabek śpi koło mnie
Przetłuszczona głowa
Zielone chude nóżki
Otóż to, to jest najpiękniejsze*

Żaba jako symbol pozwala napisać dużo o sobie bez dosłownego odkrywania się. W tomiku są jednak również wiersze nie odwołujące się bezpośrednio do żabiego symbolu ale utrzymane w tym samym stylu. W jednym z nich funkcję symbolu przejmuje drewniany tulipan;

*Zrobili go niepełnosprawni
Zasadziłam drewniany tulipan
Tulipan wyrósł
Jak schizofreniczne słońce
Wśród deszczowych izmów*

Odnalazłam w tomiku wiele wątków autobiograficznych, opisanych za pomocą żabiego kodu. Na koniec przytaczam ostatni wiersz z tomiku, zatytułowany *Wszystkie ja*:

*Niepewna/pewna
Na lekach / bez leków
Wśród ludzi / w osamotnienie
Po lekach / podekscytowana
Smutna / bliska sobie
Żaba / żaba*

Monika Kubit w posłowie do części pierwszej Tryśłowii Poetyckiej pisze pięknie o dłoniach poetki łączących świat Chorwacji ze światem Polski. Ja chętnie rozszerzyłabym to na naszą całą Słowiańszczyznę.

* * *

W części drugiej wszystkie utwory są poświęcone poszukiwaniu siebie, pragnieniu odzyskania własnej tożsamości, która uległa przemianie w wyniku traumatycznych przeżyć. Do opisania takiego tematu potrzebne było słowo klucz. Poeci wyeksplotali już do granic wytrzymałości takie słowa-klucze jak serce czy dusza. Poetka wybrała więc klucz rzadziej używany, a mianowicie *mózg*.

Niech to słowo nie zmyli czytelnika. To tylko klucz, symbol. Pisząc o mózgu poetka prawdopodobnie chce opisać stan swego ego czyli stan ducha. Użyłam słowa prawdopodobnie, bo nie powinno się właściwie mówić czy pisać co poeta chciał wyrazić. To co chciał – wyraził wierszem.

Na kartach tomiku odnalazłam odniesienia do Biblii, do jej pierwszego zdania mówiącego, że na początku było słowo.

*Na początku był mózg
Radość życia i myślenia
Na początku był mózg
Teraz pali się nadzieja*

Również scena opisująca dziewczynkę w czarnej sukience przynoszącej głowę na tacy, kojarzy mi się z biblijną sceną dotyczącą Jana Chrzciciela i Salome.

Poetka nawiązuje często do naszych śródziemnomorskich i chrześcijańskich korzeni, do cywilizacji łańskie i bizantyjskiej.

Przez cały tomik przewija się prośba o zwrot mózgu, prośba powtarzana jak modlitwa Są też aluzje do stanów pacjenta przebywającego w szpitalu i mającego urojone wizje:

*Wydawało mi się, że to ty
Pielęgniarka czytając w mych myślach
Odpowiada: tak, pani się tylko wydaje*

Jednak dominującym uczuciem jest nadzieja, podmiot liryczny zostanie ocalony.

*Biegnę przez pole kiszonych mózgów
Biegnę
Jestem chora
Wariatka w szalonym wydaniu
Biegnę po ocalony mózg*

Olga Lalić-Krowicka podeszła do tematu nie tylko poetycko ale i filozoficznie i sadzę, że podobnie jak Henry Bergson w eseju o stosunku ciała do ducha (*Materia i pamięć*); pragnęła wyrazić przekonanie, że materia zależy od ducha. To duch poszukuje swego narzędzia czyli zagubionego mózgu. Duch posiadający pamięć czystą, potrzebuje jednak również pamięci cerebralnej czyli mózgowej. Przyczyna ruchów fizjologicznych nie tkwi w fizjologii i zagubiony mózg nie byłby w stanie sam siebie poszukiwać.

Monika Kubit w posłowie do części II Tryśłowii Poetyckiej pisze m. in. o wierszach jako terapii psychologicznej. Być może stanowiły one rodzaj terapii, jednak ja uważam je przede wszystkim za wyraz filozoficznej postawy poetki.

Tomiki poetyckie Olgi Lalić-Krowickiej *Żaba, żaba (moje żale)* i *Mózg (29 wierszy o mózgu z okazji 29 lat jego zjadania)* to lektura dla czytelników wrażliwych, i wymagających, szukających poezji subtelnej i oryginalnej.

Czekamy na część trzecią Tryśłowii Poetyckiej.

Jurata Bogna Serafińska

Olga Lalić-Krowicka, Tryśłowia Poetycka: część I Żaba, żaba (moje żale), część II Mózg (29 wierszy o mózgu z okazji 29 lat jego zjadania, Krośnińska Oficyna Wydawnicza, Krosno 2012

CZARNO NA BIAŁYM. W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE O POEZJI HANNY DIKTY

Tom Hanny Dikty. *Stop* — *klatka* został wydany przez Bibliotekę Debiutów „Zeszytów Poetyckich” w Gnieźnie 2012 roku. Konstrukcja wierszy znajdujących się w tym zbiorze jest dobrze przemyślana. Trzydzieści trzy utwory posiadają zwartą kompozycję. Poetka nawiązuje do kultury żydowskiej, chrześcijańskiej, wspomina o wydarzeniach z drugiej wojny światowej. Szuka swojego indywidualnego języka. i znajduje.

Każdy wiersz jest rozbity na strofy, melodyjny, zróżnicowany pod względem rytmu. Nie ma w nich dysonansów, każdy wers jest dopracowany, zamknięty odpowiednią klamrą. Składnia jest spójna, logiczna, realistyczna. Nie ma odejść w wizyjność. Poetka nie jest surrealistką. Nie wkra- cza w krainę snów i wizji. Ona opisuje rzeczywistość.

Poetka, jak fotograf, rejestruje nawet te najmniej ważne szczegóły. Gęste powietrze, mgły korelują ze smutkiem podmiotu lirycznego, słońce i błękitne niebo z radosnymi momentami w życiu. Operowanie biegiem czasu, kolorami, ruchem, muzyką wywołuje oraz ubarwia przeżycia estetyczne i artystyczne, które są królestwem ludzkich pragnień i sennych marzeń. Dużą wagę przywiązuje do drobiazgów, jakie są stale obecne w życiu człowieka i do których człowiek przy- wiązuje się mimo woli. Wydaje się, że te drobiazgi, rzeczy dnia codziennego użytku dają początek czemuś nowemu, czemuś, co może stać się nową historią. Wypełniają pewną próżnię.

Poetka łagodnie ingeruje w świat. Nie jest on gładki jak tafla zamrożonego jeziora. Świat, o którym pisze poetka, jest w cyklicznym ruchu. Metodycznie rodzą się i obumierają rośliny i ludzie. Wszystko się porusza, dokąś zmierza i znajduje swój cel. Podmiot liryczny wierszy Dikty wyko- nuje zawsze jakiś ruch, a więc z reguły: przemierza, ogląda, wkłada, spotyka, nuci, nurkuje, prze- gląda, płoszy. Obrazy migają jak w kalejdoskopie.

W tym świecie dużo jest barw. Impresjonistyczne wtręty są widoczne w wierszach: **„Oddział jednego dnia”** (bładość, czerń, s. 20), **„Z punktu A do punktu B”** (żółte światło jarzyniówek, świetlne punkty, s. 23), **„Raport z domu obląkanej”** (kolorowe kolczyki, landrynkowa farba, s. 28), itp.

M. Merlau — Ponty, odnosząc się do malarstwa Cezanne’a twierdził, iż: *„forma zewnętrzna, otoczka, jest wtórna, pochodna [...] nie jest tym, co sprawia, iż dana rzecz nabiera kształtu [...] trze- ba rozbić przestrzenną skorupę”*¹ Tak samo jest z poezją Hanny Dikty. Aby przyrzyć się z bliska temu, co opisuje poetka, trzeba najpierw rozprawić się z jej zewnętrznym kształtem, trzeba ją poznać od zewnątrz,aby dotrzeć do głębi i przekonać się, że to, co najbardziej wartościowe musi zostać odkryte naprawdę.

Poetka z Piekar Śląskich daje nam do zrozumienia, że wszystko w naszym życiu jest ważne, od spinki do włosów po satynową pościel. Rzeczy, które są tak skrupulatnie opisane przez Diktę, przynoszą różnego rodzaju refleksje. Przez przywiązanie do tych rzeczy bierze się odpowiedzial- ność za nie. Autorka wyraża ją na różne sposoby. Przestrzeń opisywana przez poetkę nie rozcza- rowuje. Szczególnie, jeśli akceptuje ona różne wydarzenia, dziejące się w naszym życiu bez naszej zgody i wiedzy.

Można również zauważyć, że jej wiersze otwierają się przede wszystkim na pokorę wobec cierpienia i śmierci; otwierają się na próby osiągnięcia prawdziwego mistrzostwa *w zasłanianiu/ trumien, owijaniu zwłok czerwoną koronką* (**„Blok piąty”, s. 19**).

To właśnie w tych utworach znajdziemy zakochanych, którzy leżą w satynowej pościeli, biorą kurs na Bronholm, uciekają w spokój prześcieradła (**„Zostań”, s. 22**). Jej wiersze lubią ponad- to tych ludzi, którzy wspominają operę, bieliznę na zmianę, rwanie chwastów, srebrne spinki z dawnych czasów (**„Zostań”, s. 22**). Nie da się tych utworów pozbawić nadpalonej kobal- tem skóry (**„Zbawicielka”, s. 24**), ani też męczyzny z lustra (**„Mężczyzna z lustra”, s. 25**). Wszystkie te rzeczy mają swoje indywidualne znaczenie. Charakteryzują świat, w którym

¹ M.Merlau — Ponty, *Okno i umysł. Szkice o malarstwie*, wybór, opracował i wstępem poprzedził St.Cichowicz, Gdańsk 1996, s. 22 (przekład St. Cichowicza)

NA MOTYWIE ... POEZJI – BEZ UPIĘKSZEŃ

Jaki jest nasz świat? Dynamicznie czysty czy sucho szary? Może żaden z powyższych? Może tylko przemijalny. Może tak bogaty w doznania, że kiedy

„mija mi siedemdziesiąt lat życia”

zaczynam dopiero wytrawnie rozumieć całe to życie, ludzi czy poezję. Wyjątkowy świat tych zaga- dek odnajdujemy w przepięknym tomie poezji **Jolanty Nowak-Węklarowej Sezon na szarość**. Tom, którego lektura zbliża nas do jakże prostych prawd dotykających każdego z nas, a jednocześnie unosi nas w te niedotykalne przestrzenie Poezji. Poezji z zachwycającą meta- foryką oraz bogactwem treści najważniejszych. Wiersze szukają swoich motywów, a odnajdując je zachwycają mistrzowskim dotknięciem współczesności. Ta współczesność jest zdeformowana i wypaczona, będą jednocześnie odważnie przyjętą. Wkrada się

„czas zasuszony w drżących dłoniach”
i potęguje doznania. To subtelna i
„powolna rozkosz sztuki chodzenia”.
Żyje się
„z nawyku i na pamięć”,

zawsze będąc wiernym/wierną Małemu Księciu z dzieciństwa, który tchnął w nas wszystkich wrażliwość i sztukę i pozostanie już takim zawsze. Niezależnie od wieku, czasu, miejsca czy oko- liczności. Zdarzenia są motywem, rzeczy są motywem, ale najważniejszym naszym motywem może być właśnie Poezja, która utula w tym życiu wrażliwców w kokonie zabezpieczenia przed absurdalnością tego świata.

Jolanta Nowak-Węklarowa wydała wiele tomów poezji. Od roku 1970 po dziś dzień Jej wiersze pozwalają wnikać w jestestwo człowieka. Dają szansę powędrowania w świat zadumy nad losem oraz odczucia tej wyjątkowej solidarności istnienia i przeżyć. Chciałoby się zakrzyknąć – tak właś- nie jest z nami wszystkimi.

„było przeminęło nie naprawiłam świata
odfrunął Anioł Stróż w śnieżnej sukni
ludzie zapomnieli pożegnali mnie w pośpiechu
pozostałam bez żalu do siebie
z Małym Księciem dzieciństwa i z nową miłością
która przyszła cichutko na palcach”

Tak właśnie jest. Pokierszowani, zmięci, strudzeni docieramy do refleksji, że świat potoczy się dalej bez nas, a nasz w nim udział był tylko darem, niczym więcej. Nasz w nim udział wniósł coś

żyją bohaterowie wiersza **„Raport z domu obląkanej”** (s. 28), czy choćby **„Kocha- ła tylko van Gogha”** (s. 29).

Autorka, pokazuje nam, jak łatwo się do nich można przywiązać i jak trudno pozbyć się jakiej- kolwiek z nich. Łatwo się bowiem przyzwyczaić do proszków od bólu głowy, choć po nich jak pisze poetka: *Nie lubiła nas uczyć, rozzarowana ścianami bez płócien,/ ciasnym gorsetem pani od pol- skiego./Proszkami, po których myśli wcale nie były niebieskie,/a palce nie potrafiły utrzymać oków- ka./*(**„Kochała tylko van Gogha”,s. 29**). Nie jest łatwo, jak pisze poetka *pozbyć się ikon i bielizny,/Przyjaciółkę zastąpić Dostojewskim, kawę absyntem/* („Odcinanie”, s. 6). Nie jest łatwo odciąć się od śmiernionośnych widoków zza szyby hospi- cjum, ani być obojętnym na los dziwek i świętych. Wszystkie dalsze ruchy zależą od naszego zaangażowania się.

Jak widać, w tomiku Hanny Dikty, powoli zbliżamy się do cerowanych rajstopek, nadgryzionej bagietki, zapalenia światła w oknie. Te rzeczy tworzą krajobraz podlegający zmysłom per- cepcji. Uczą nas pokory i cierpliwości.

Hanna Dikta pisze także o rozdwojeniu osobowości, schi- zofrenii, guzach, gwałtach, nowotworach. Nie da się od nich uciec. Stanowią one sens naszego życia. Śmierć matki podmiotu lirycznego, utożsamianej często z autorką wierszy, stała się głównym wyznacznikiem tych przemyśleń. To właśnie te oso- biste dramaty wywołują ciąg różnych skojarzeń. Przywołują wspomnienia dni dziecinnych spę- dzonych z matką, wspólnych zabaw w piaskownicy, rozmów o dojrzewaniu. Wszystko wiąże się ze sobą *starą indyjską piosenką, papierowymi kulkami rzucanymi w ptaki* (**„W kolejce po lobotomię”, s. 37”**), czy choćby *zdmuchiwaniem kurzy z filizanek* (**„Z cudzych mise- czek”, s. 7**). Jej wiersze to retrospekcja zdarzeń przeszłych pełnych szczęścia i matczynej miłości.

Zgromadzeni w tomiku bohaterowie utworów są świadkami tych samych sytuacji, ale mimo to każdy z nich ma swoje własne, indywidualne przemyslenia. Ich zachowania mają swoisty cha- rakter. Można powiedzieć, że są oni raczej przyjaźnie nastawieni do siebie, nie udają swoich emo- cji, łatwo przystosowują się do różnych okoliczności, są bardziej elastyczni. Są osobami raczej ciepłymi emocjonalnie, wrażliwymi, kochającymi się nawzajem i nawzajem cierpiącymi. Mają poczucie winy, nie chcą już dłużej uciekać przed zimnem, śniegiem, oblodzonymi chodnikami (**„Prośba”, s. 13**). Jak pisze poetka: *z trotylem pod abayą nie można przeciw zwyczajnie/ przechadzać się po parku, lizać lodów w wiklinowym fotelu./*

(**„Prośba”, s. 13**).

Ci bohaterowie chcą spokojnie przeżyć kolejny dzień, *zagryzać jabłka czekoladą i beztrasko bawić się/ śniegiem na podeszwie./* (**„Kiedys po ciebie wróce”, s. 12**). Jak wynika z tych przemyśleń, wciąż mają nadzieję na cud ozdrowienia, oczyszczenia ze zła i cierpienia. Jeśli człowiek naprawdę w niego wierzy, zostanie oczyszczony.

Poetka mówi o swoich wątpliwościach. Jeśli cierpienie, ból i śmierć jest wszystkim, co czeka człowieka na ziemi, to czy jego życie ma jakikolwiek sens? Dla poetki duże znaczenie mają czyny, rozmowy z ukochanymi przez siebie ludźmi, zwykłe przytulenia do poduszki, wyciągnięcie z ręki granatu (bomby). Niby proste czynności, a jednak mające głębszy sens. Czy ktoś z nas zastana- wiał się nad tym, co znaczy choćby zawiązanie dziecku sznurowadła? Albo naciskanie za klamkę do hospicjum?

Wszystko to przynosi ze sobą lęk i obawy przed jutrem. Poetka nie chce jutra. Pragnie wrócić do przedwczoraj, gdzie świat był jeszcze piękny, pełen światła, bez cieni. **Teraz** jest złe. *W Teraz* nie ma oparcia. **Teraz** jest puste, zimne, ciemne. Znakiem szczególnym terażniejszości staje się pomarańczowa kreska pepowiny, która nie pozwala podmiotowi lirycznemu uciec z obrazu.

Bohaterowie tomu „Stop – klatki” boją się o dalszą drogę, która jest pełna niepewności, nie chcą przejść przez kolejne drzwi, nie chcą zrobić kroku w przyszłość, chcą się zatrzymać w kon- kretnej chwili i miejscu. Stąd zapewne tytuł całego zbioru. Stop oznacza bowiem zatrzymanie się

lub jakiś zakaz. Natomiast klatka jest miejscem zamkniętym, odizolowanym od świata zewnętrż- nego, może i jest właśnie owym hospicjum. Poetka wspomina nawet o tym, że klatka to śmierć matki, uchylony właz do piwnicy. Mówi tak oto: *Twoja śmierć — uchylony właz do piwnicy./Wpad- lam i nie rosnę. Jak Oskar po wypadku./Od tamtej pory mam dziewiętnaście lat,/noszę swetry ojca i owijam nadgarstki tuzinem rzemieni./Przed snem zagłuszam twoje jęki Gangsta’s Paradise,/ścieram z wykładziny fragmenty naskórka./* (**„Stop —klatka”, s.10**).

Stop — klatka nastąpiła dla podmiotu lirycznego w wieku dziewiętnastu lat. Wszystko zatrzymało się w momencie, kiedy ktoś bliski uległ wypadkowi i nie był już tym, kim przedtem.

Czas zatrzymał się w miejscu. Nie pozwolił na normalne dorastanie, zdrowy sen, zwy- kłą przechadkę *po lesie złudzeń*. Po wypadku nic nie jest już takie same. Wszystko się zmieniło, przeszło metamorfozę. Mimo to, nie da się, ot tak, po prostu wyrzucić rzeczy po bliskiej, zmarłej osobie; rzeczy, do których się człowiek zdążył się przyzwyczaić.

Wypadek jest rezonatorem ludzkiej wrażliwości. Poetka pisze tak: *Najprościej zamknąć oczy, wertować obrazy, kiedy gaśnie światło,/pomagać sobie ręką, głósnym oddechem wariata spod ściany./* (**„W kolejce po lobotomię”, s. 37**). Ta wrażliwość jak się okazuje jest cykliczna i metodyczna. Pojawia się zawsze w najmniej oczekiwanych momentach, w starych indiańskich piosenkach, śmiechu płoszącym wiewiórki, kurzu wyczesywanym palcami spomiędzy silikonowych żyłek.

Tom *Stop* — *klatka* prze to taki nietypowy lunapark, pełen osób cierpiących i cho- rych, doświadczanych z Boga i innych ludzi. To cyrk pełen tych, którzy: *nie płaczą, nawet*

w pamiętnikach i listach do matki./Nie wzrusza ich śmierć psa,nowotwór przyjaciółki; pożary, wul- kany./powodzie/ i nigdy nie wracają do tego, o czym postanowili pomysleć jutro./ (**„Lunapar- ki”, s. 31**). Pełno w nim włosów, pampersów, plastikowych śmierci. Plastikowych, czyli sztucz- nych, podobnych do manekinów, stworzonych z czegoś, co jest zawsze pod ręką. Plastikowych, czyli wymyślonych, stworzonych przez człowieka, dla człowieka, jak Holocaust.

Jak widzimy, zbiór otwiera wiersz „Na pierwszym planie”, zamyka zaś „W kolejce po loboto- mię”. Dwa prawdziwe obrazy, wycięte z życia osób sobie bliskich, kadr, pojedynca klatka filmu. Domagają się one współudziału w życiu i podświadomości bohaterów. To klatki poznania lub też inaczej samopoznania się. Rekonstrukcja czasu minionego, dobrego. To takie spojrzenie w głąb siebie. Poznanie siebie od środka, swoich możliwości, tego, do czego jesteśmy zdolni w obliczu nieszczęścia.

Jednym z takich sposobów poznania się w czasie nieszczęścia jest uciekanie w świat książek. Jak się okazuje, ten czas jest czasem dobrym wyjściem ze złych sytuacji, choć często może oka- zać się naszą zgubą. Nic nas nie uchroni od śmierci. Wszyscy jesteśmy na nią skazani i wszyscy jej doświadczamy.

W wierszach Hanny Dikty mamy do czynienia z poezją holistyczną. Widzimy tutaj, że poetka opisuje konkretne akty zachowania swoich bohaterów i ich kontekst środowiskowy, kulturowy. Uważa, że zachowania ludzi są powiązane z kulturą, w jakiej żyją i świadomie ją kształtują. Zacho- wanie się bohaterów utworów jest determinowane głównie przez czynniki zewnętrzne. Nie da się ich oddzielić od siebie.

Poetka nie wychodzi w *Stop* — *klatce* poza podmiotowość. Dla niej ważny jest człowiek, jego bycie i jego ja. Ludzie mają tutaj swoją własną tożsamość. Nie uciekają jednak od swojej zwierzęco- ści. Są pewni siebie tak jak słowa, które wypowiadają nie obojętnym, lecz prawdziwym głosem.

Hanna Dikta jest poetką, której nie można odmówić dojrzałości, przenikliwości, lirycznego instynktu. Jest ona świadoma swojego pisania, kształtowania słów z niczego, z powietrza, z mgły i deszczu. Nie ucieka od pytań typu: *kto ci teraz, dziecko, ugotuje obiad?* (**„Lekcja odczuwa- nia”, s. 9**), *ozdabiania domu tatarakiem* (**„Na Zielone Świątki”, s. 17**), *opowiadania samych baśni z dobrym zakończeniem* (**„Siostra Marta od aniołów”, s.21**). Dlatego przez to czasem jej wiersze są niebezpiecznym kilifem. Z niego łatwo stoczyć się w przepaść i uto- nąć w bezniarze niepewności. Poetka nie pozwala nam się ot tak przemknąć przez niektóre frazy. Jej poetycki język na długo zapadnie mi w pamięć.

Daria Dziedzic

*jednym energicznym ruchem
jak przyschły do twarzy opatrunek*

*mydłem obmyć aż do krwi
twarze z oślepiających makijaży
błyszczyków naiwności
sadzy wyrachowanych kłamstw*

*na wszelki wypadek jodyną
odkazić skórę w miejscach
tatuazy serc przebitych strzałą
i nieczystych uścisków przyjaciół*

*po co to wszystko
w szarym rezerwacie świata
upstrzonym pawimi piórami
na pokaz wybielonym wapnem śniegiem*

*spójrz na siebie i w siebie
może dojrzysz prawdę
bez upiększeń”*

Bolało? Miało boleć. Bo bez bólu żadna miłość nie będzie prawdziwa, żaden gest nie da nadziei oraz żadna prawda nie zbawi. Dopiero od stanu bez upiększeń możemy zacząć coś budo- wać. Nielatwe to w świecie technicznie doskonałym, a jednocześnie jakby plastikowym.

Poetka pokazała, że żeński wymiar poezji może nam powiedzieć wiele prawd najważniej- szych, że nie musi się skupić na cikliwym melodramacie, lecz zejść dużo dalej w analizie Wszyst- kiego dzięki kobiecej wrażliwości na prawdę i piękno. Dzięki tej subtelności, której być może nam dziś tak bardzo brakuje. Wreszcie dzięki odwadze nazywania rzeczy po imieniu, a jednak meta- forycznie, wzniósłse, niebanalnie ...

Znakomity tom. Jeden z najlepszych tomów minionego roku. Warto o tym pamiętać będąc na etapie wielu nagród właśnie przyznanych bądź przyznawanych teraz za tomy ubiegłoroczne. Nie- stety rynek wydawniczy i możliwości dotarcia do takich tomów pogrążony jest w chaosie oraz totalnej kakofonii percepcji. Pisałem już o tym wielokrotnie, choć wielu — nie widzi problemu. Cóż. Trudno. Warto jednak sięgnąć po *Sezon na szarość*, pójść dalej Bez Upiększeń, aby dotrzeć do nowej miłości. Cichutko. Na palcach ...

Andrzej Walter

Jolanta Nowak-Węklarowa **Sezon na szarość**, „M-DRUK” Janusz Muszyński, Wągrowiec, 2012.

CMENTARZ SŁÓW

Jednolicie biała okładka tomiku *Nic* autorstwa Janiny Barbary Sokołowskiej koreluje bardzo wyraźnie z jego tytułem. Nawet wielkość wykorzystanej czcionki zdaje się przewrotnie pomniejszać zawartość, co nie tylko rozbudza ciekawość czytelnika ale może wprawiać w pewien niepokój. Już pierwsze strofy wiersza rozpoczynające tomik prowadzą czytelnika w kierunku rozwiązania zagadki dotyczącej tytułu książki:

wiersz/przecież nie potrafi nic zmienić/słowa- karły więc tylko papier (...) wiersz nic nie zmienia/nie zmieni nic.

Można uznać te słowa za pewien manifest poetyckiej bezradności albo przyznania, iż wiersze są zbyt słabym narzędziem i środkiem, a sama poezja nie rozwiązuje problemów, nie naprawi ani nie zmieni rzeczywistości. Czy tak jest naprawdę? Przywodzi to na myśl sprzeczną pozornie sentencję Lukrecjusza: *Nic nie powstaje z niczego*. Zatem na tytułowe *Nic* składa się wszystko to, z czym odbiorca poezji Sokołowskiej mógł się spotkać we wcześniejszych wydawnictwach. Znajdziemy tu wiele dowodów na tak postawioną tezę. W porównaniu do starszych wierszy więcej jest tutaj naturalizmu, oznak nihilizmu i piętna śmierci, która wraca w reminiscencjach z dzieciństwa i dotyczy wcześniej zmarłego ojca, a następnie dziadka, babć oraz siostry. Surowy realizm i manifestacja pojawia się także w kolejnym tekście „bez pointy”:

(...) wychodzimy z kamienia masztem do pionu/zlepieni porcją bagiennego błota/ namaszczeni strużką krwi nad brwią/(...) wszystko musi iść w stronę północnego/nic (...) i nad pointą jedynej zaczarowanej bajki.

Podobnie jak w poprzednich książkach pojawiają się religijne inklinacje, które tutaj wydają się być szczególnie wyraziste, z jednej strony nabierają ironicznego i humorystycznego zabarwienia, a z drugiej – dotyczą bolesnej warstwy istnienia „*tu i teraz*”. Tak dzieje się np. w wierszu „pobożne życzenie”:

jeśli stworzysz mnie jeszcze raz/daj mi łuski syreny lub szorstką sierść kota (...) /byłe nie dżdżownica/nie lubię szpadelka.

Czy choćby w wierszu „do anioła”:

(...) jakbyś nie wiedział co ze mną uczynić/po pierwsze ty prowadzisz/po drugie wszystko o mnie wiesz/przecież nie pytam/o drogę do raju.

Albo też w pozbawionym ironicznej nuty, refleksyjnym wierszu „wiadomość z pralni”:

(...) nie chcę piór bezkrwawego anioła/białych stóp jak u piętaszka/nawet w chlebie pojawia się nóż/w końcu wiem od czego ten kwitek z pralni/znaleziony w trumnie w garniturze dziadka.

W tomiku przeważa ten drugi, jakby bardziej zrezygnowany sposób wyrażania relacji i kontaktu z Bogiem, gdzie autorka stwierdza, że już nie walczy *mała i spalona jak piasek pustynny*, lecz chwilę później deklaruje, że *zawisnie na krzyżu/za krzywe lustra za siebie za ciebie za nich*.

Szerokie spektrum skrajnych zachowań wyraża głęboką niepewność we własną kondycję, zwłaszcza gdyby utracić się tarczę wykutą ze słów. Podmiot liryczny zamysławia sobie znikomość i marność, powolne zbliżanie się do kresu życia, ale równocześnie wie, że ma jeszcze coś do zrobienia, chce czegoś dokonać, poświęcić się komuś lub czemuś. Reminiscencje z dzieciństwa, które *jest jedno i zawsze ostatnie*, jest – z jednej strony ucieczką w beztroskie lata, a z drugiej – gorzkim dzieciństwem związanym z tragiczną śmiercią ojca, natomiast sam wiersz nie przynosi jednoznacznej oceny i pozostawia czytelnika samego. Autorka jakby chciała założyć nierozzerwalną klamrę między doświadczeniem młodych lat, jego przełożeniem na późniejsze losy, a obecnym dorobkiem doświadczeń. Takie akordy pojawiają się w „opowieści o ciszy”, gdzie w oparach *gnilnego zapachu liści* oraz *nocy wdeptanej w gliniastą ziemię* pojawiają się obok siebie *dwa białe wróble wykapanie w śnieżnych liliiach*, bliscy, którzy odeszli bez swoich amuletów: czapki leninówki, amerykańskiej spinki, czy też zwiewnej apaszki. Wydzwięk tych wersów wskazuje, że owe przedmioty codziennego użytku urastają do rangi „czegoś” i są w opozycji do tytułowego „nic”.

Nic jest zresztą swoistym leitmotivem, który pojawia się w wielu puentach. Stwierdzone przez autorkę *wszędzie wszystko nic; ma to do siebie że nic więcej nie ma/ nawet nic/do stracenia*. W tekstach „nic” jest wszechobecne, reasumując paradoksalnie, iż nawet *nic/nie jest trwałe*. Stosując ten zabieg można odnieść wrażenie, że Sokołowska dokonuje pewnej dekonstrukcji zawartych w tekstach wartości, niwelując nadzieję albo przyjmując postawę realistyczną, tożsamą z manifestem sygnalizowanym na początku książki. Taka konstatacja zamykająca tomik sprawia, że całość można odczytać dwuznacznie.

Poetka nie ogranicza się jednak do jednego manifestu. W wierszu „przyjdzie czas” po kolei wyzywa *umarłe drzewa, zwierzęta, ryby*, aby w końcu oznajmić:

(...) kiedyś zawołam wszystkich umarłych poetów/z chorobą długopisów – śmiertelną/ przyjdą tutaj buszujący w niebieskim puchu/z konieczności/zapomniimy o bólu.

Wbrew pozorom, to rzadka sytuacja w tej poezji, gdzie podmiot liryczny stara się przełamać niemoc i nawoływać z romantyczną pasją. Z drugiej strony, trudno oprzeć się wrażeniu, iż najważniejszy jest tutaj człowiek. Człowiek, który jest podstawą rzeczy a wszystkie motywy i treści wydają się być tylko narzędziem, pretekstem i podłożem, aby dowieść słów Cycerona, iż *nic człowiekowi nie wydaje się piękniejsze niż człowiek*.

Jak więc w tym uniwersum znaczeń i tropów umieścić podmiot liryczny? Najlepszą chyba wykładnię odnajdziemy w wierszu „imiona”:

każdego dnia nadaje mi nowe imię/świt/dzisiaj jestem pestką.

W wierszu *Blżej* poetka wspomina ojca, dla którego matka „szykowała pszeniczną kutię / nasyconą miodem i bakaliami, / słodką jak jego tarnopolska / gimnazjalna swoboda. Tylko on / był w stanie najeść się jej do syta”. Wątek autobiograficzny nie jest w tej poetyckiej książce wiódący, a jednak intensywnie oddziałuje na czytelnika, gdyż uświadamia nam, jak bardzo jesteśmy w przeszłość wplątani, zależni od niej: „Przedzieram się wciąż ku Tobie / wśród kresowych legend, zakurzonych / notatek, pieśni, wiązanek i świec / by móc stanąć bliżej – / znów doznać wspólnej obecności”. Dokumentem zbiorowej pamięci jest też wcześniejsza proza Teresy Tomsz *Dom utracony, dom ocalony* (2009) – dokumentalizowana opowieść o deportacjach z nowogrodzkiej ziemi. Składa się ona z wielu wątków autobiograficznych, historycznych, artystycznych, które się z sobą spletają – i są w każdej kolejnej książce poetyckiej aktualizowane, oglądane na nowo w zwierciadle współczesności. Poetka w ten sposób uświadamia nam, że prawda historii ożywia nasze myślenie o świecie, pobudza do refleksji i pomaga budować postawę humanisty w środku Europy, który podziwiał sztukę, lecz nie zapomniał.

W tomiku *Co było, co jest* ważne są wątki paryskie, wspomnianie wędrówek z M. i twórcze spotkania (*Zdążyć przed zmierzchem, Figurka, W kropli dżdżu*). Powtórzenie chwil nie jest możliwe, a zapamiętane obrazy muszą nosić cechy osobistych doznań, indywidualnego języka, który „myli rytm wspomnień” i „zadaje pytania o źródła”. Podobnie w wierszu *Podpowiedzi* autorka pisze: „Nie ustaję w zadawaniu pytań”. A w jego wcześniejszej części wyznaje:

Nie tkwię już w tym, co przeszłe, trwam jedynie w teraz – nie jestem w stanie zaradzić, by było jaśniej, przejrzyściej – patrzę spokojnie, z uwagą i tkliwie jak moje istnienie obraca się w sobie przeobrażając mnie słowo po słowie w kogoś Innego, kto pyta...

W swoich nowych wierszach Tomsia przejawia potrzebę osobistego zrozumienia wydarzeń minionych. Pochyliła się nad rodzinną przeszłością, nad historią... i umie uczynić ją strawą krzepiącą dla umysłu i ducha. Jest zdumiewająco precyzyjna i trafna w analizie faktów historycznych, biograficznych, tekstów innych autorów. Również jej książka krytycznoliteracka *Rzeczywiste i wyobrażone* (szkice, portrety, spotkania) wydana przez Oficynę Wydawniczą Łośgraf (2013) ukazuje ją jako uważną interpretatorkę. W kolejnych utworach omawianego zbioru też pojawiają się postaci jej bliskie... tym razem przyjaciół, ulubionych autorów, wspomnienia o tych, którzy odeszli na zawsze: rzeźbiarz Paweł Jocz, poeta Maciej Niemiec, Henryk Smuczek – przyjaciel z czasów studiów piszący wiersze. W recenzji zbioru *Kamyki. Elegie i krótkie żale* (WBPICAK 2011) Adriana Szymańska napisała: „Teresa Tomsia jest konsekwentna w penetrowaniu tajemnic istnienia, w umacnianiu słowem twierdzy własnej samotności przeciw niepojętości Boga i świata” („Przeгляд Powszechny” 5/2012). Autorka pochodząca z rodziny Kresowian, urodzona w miasteczku przesiedleńców na Dolnym Śląsku, wychowana na Pomorzu, obecnie mieszkająca w Poznaniu szuka wciąż swojej tożsamości, pyta o nią Cienie z historii przemilczanej. W liryku dedykowanym tłumaczowi *Maltego* Piotrowi W. Lorkowskiemu konstatuje: „Teraz już wiesz, że wiele z tego, / czego się wyuczyłeś, jest mniej więcej / nieprzydatne, / a ludzie, którym służyłeś mową / serca, nie okazali się apostołami otwartymi na inne / języki”. Poetka mówi zatem o trudzie, jaki trzeba włożyć w każdą myśl, w najmniejsze nawet dzieło, a i tak możemy pozostać niezrozumiani, samotni, pominięci, bo „nie wszystko, co się zdarza, / jest rozmową”, ważne są gesty, spojrzenia, w pół rozpoznane znaki „lotne, nieuchwytnie”, a tylko wyobraźnią można „zniweczyć ciemność, zamknąć ją w atramencie”.

Swoją rozrachunkowy tomik Teresa Tomsia napisała surową, wyważoną frazą, powściągliwą charakterystyczne dla dawniejszych wierszy obrazowe metafory, rozwinięte zdania, wielobarwność określić – tutaj jest oszczędna, waży każde słowo, aby powiedzieć tylko to, co najistotniejsze, by nie przeinaczyć i nie godzić się na przemilczanie: „Chciałam być piękna, radosna, ale

Autorka nie ma zatem jednej twarzy ani jednego imienia, jest kameleonem, który zmienia barwy w zależności od okoliczności, ale nie jest też oportunistką. Stara się raczej być obiektywnym obserwatorem, twardym jądrem owocu jakim jest pestka, który możliwie najdotkliwiej przekaze prawdę słowami, tak przecież niedoskonałymi i bezradnymi.

Zestaw wierszy zawartych w *Nic* jest zbiorem bodaj najbardziej osobistych tekstów Janiny Barbary Sokołowskiej, jakie miałem okazję przeczytać. Jakby potwierdzeniem całości wywodu jest tekst „cmentarz słów”:

nigdy/nie pisz wierszy dla innych/dla bogatego snoba przebiegłej karierowiczki/nawet dla serca wyciekającego śliną (...) kalekie słowa wierzą dziurę w chmurach (...)

Są to słowa bardzo kategoryczne wypowiedziane przez osobę doświadczoną i świadomą ich wagi, gdyż poetka nie pisze pod tak zwaną „publikę”, lecz dla własnego oczyszczenia. Później z pestki przemienia się w małż o twardej skorupie i miękkim wnętrzu, pisząc:

w tym gęstym morzu wierszy (...) falują na zmarszczonej powierzchni/wewnątrz budują dla siebie mały domek/z perły/ wkrótce wypłynę nim na środek.

Czy tymi słowami chciałaby powiedzieć czytelnikowi, że chce się schować, odciąć od świata zewnętrznego? A może jest to dojście do pewnej granicy ekshibicjonizmu, który uprawia przecież każdy poeta.

Nic jest książką bardzo surową w nastroju, pełną nieokreślonego do końca zagrożenia. Nie wiadomo czy jest to wyraz kapitulacji czy może rekapitulacji dotychczasowego życia i doświadczeń, zakończenie jakiegoś etapu albo też zamknięcie cyklu, bo przecież *nic* nasuwa na myśl nicność. Nieliczne przykłady ironii i humoru nie rozwiewają wcale ponurych mgieł zawieszonych między wersami. Tytułowe „Nic” odbieram jako opozycję do „Wszystko”. Przeczytane teksty zawarte w tomiku nasunęły mi pewną analogię do krótkometrażowego filmu „Podróż” Daniela Szczechury – życie jako oczekiwanie, ciągła i monotonna podróż w czasie, podczas której zmienia się jedynie krajobraz za oknem. A docierając do celu, musimy niebawem wracać do początku. Książka Janiny Barbary Sokołowskiej ma chłodny wydzwięk i dominuje w niej ponury klimat. Czy zatem wszystko pozostawić w rękach Opatrzności i zdać się na łaskę a może na fatum? Zakończyć słowami jednego z wierszy kończącego przedstawiany tomik „wola twoja”:

to nic – powtarzasz – jakoś to będzie/wola twoja panie (...) na niebie z kości.

Patryk Chrzan

Janina Barbara Sokołowska, *Nic*, Advert Studio, Chorzów 2012

W LUSTRZE TERAŹNIEJSZEGO

Lubię czytać teksty napisane językiem przejrzystym, żeby tworzywo używane do formułowania wierszy, ich tytułów, nie mówiąc już o tytule całego zbioru, zawierało przesłanie książki (hasłowe wyrażenie), do którego mógłbym się odwoływać analizując poszczególne utwory. Tomik poznańskiej autorki Teresy Tomsz *Co było, co jest* (2013) spełnia moje oczekiwanie i zachęca do lektury. Pierwsze znaczenie, jakie niesie tytuł, sugeruje, że wydarzenia z przeszłości zostaną podane oglądowi terażniejszego widzenia. Znaczenie drugie zachęca do wysłedzenia, jak one się mają w konfrontacji ze zdobytym doświadczeniem bohaterów wierszy. I jakie nowe wartości wnoszą. Przeszłość stawiana jest więc w lustrze terażniejszości. Oba czasy przenikają się wzajemnie, tworząc skomplikowane kompozycje obrazów, cytatów, odniesień. Tomsia wkłada w nie świeże spojrzenie na poruszane w poprzednich książkach tematy dziedzictwa kresowego (wspomnienie o dziadku legionście), powinowactwa kulturowego (strofy dla Julii Hartwig) i uczestnictwa w sztuce (współpraca przy powstawaniu ostatniej rzeźby Michała Milbergera „Figurka”). Już pierwszy wiersz *Postne żale* ukazuje czasowe relacje i konieczność dopełnienia pamięci:

Tyle imion porzuconych na marginesie „teraz”, odsłony życiorysów – przejrzyste ciało ojca mojej matki, trafione nicością w leśnym jarze za łagrem Uchta. Postne żale – lament córki egzystującej na łasce historii, błędzenie w utraconym ojcostwie; pytania wnuczki, która głodu nazwać nie umie.

Liryk ten koresponduje z przejmującym wierszem *Legionista 1940* poświęconym postaci dziadka poetki Bronisława Gołackiego. Dołączony do zbioru w maszynopisie z okazji kwietniowej rocznicy pamięci, opowiada losy przodka poetki, które stają się uniwersalnymi dziejami pokolenia legionistów:

„Pagoni nożem odcięte, twarz obita/ uderzony kolbą potknął się, lecz krok wyrównał. / Nie słucha przekleństw: idi, swolocz, bystrzye... / Kroczy statecznie, patrząc prosto przed siebie, / w myślach żegna żonę i dzieci – nie wie, / że powiozą ich wkrótce za Słonim / przez Ural w bydlęcym wagonie. (...) W przeddzień amnestii / na rękach przyjaciela umiera. / Zostaje po nim rzeźbiona cygarniczka / jedyna dla rodziny pamiętka. / Skalmowski niesie ją do kokchozowej / wsi Ostrowka w północnym / Kazachstanie. W progu ziemianki / stają przy nim Cienie – / Legioniści spod Radymina / rzucają na stos, na stos, na stos... / swój życia sens. / (Poznań, 13 kwietnia 2013).

Wobec bohaterkiej postawy poprzednich pokoleń nie można być obojętnym, oddanie im hołdu staje się obowiązkiem. Matka poetki („próbuję schylić się do psa, / lecz nie daje rady”) przeżyła jako nastolatka ponad szesć lat na zsyłce w północnym Kazachstanie, tu pojawia się jako bohaterka kilku wierszy i staje się łączniczką między przeszłością a terażniejszością:

Prosty kręgosłup Zofii ma wiele więcej do powiedzenia lecz któż chciałby dziś słuchać – granice dawno przekroczone zapał przemian ostygł historia rzuca w twarz bohaterom kolorowe fotki polityków z odzysku

Moja mała matka

czas był żył”. W wierszu przypominającym pobyt Czesława Miłosza w Poznaniu (*Nieużyte pióro*) poetka dokonuje podsumowania duchowego:

Jest jednak prześwit radości, że udało się wreszcie przebaczyć – czego wcześniej nie umiałam – sobie i innym. Młyny pracują dla wszystkich, niosąc satysfakcję, wiersz albo zbawienie.

W poezji Teresy Tomsz dokonuje się zauważalna przemiana w porównaniu z utworami z tomików wcześniejszych *Skażona biel* (2004) czy *Wątpiąc, idę* (2005), poetka rezygnuje tu z przekazywania wrażeń i emocji, z barwnych opisów miejsc, co tak wyraźnie brzmiało w cyklu jej dawnych wierszy z podróży, obecnie natomiast dąży do skupienia, ogołocenia mowy, czujnie bada głębię języka, aby słowo padło na podatny grunt ducha i podaje określenia surowe, ale wyraziste w swojej wymowie: „Nagle urwane skrzydło / z prawdą ostateczną – / Katyń, Smoleńsk: / stacje przeszłości, tożsamość pokoleń – / momentalna wieczność. / Obrotna mowa raportów. / Żal skrzyżowany z wiarą”. (*Wszystko inne*).

Patrzeć i opisywać to rola poety, liczy się jednakże punkt widzenia, zglębianie tego, co pod powierzchnią codzienności: „Nie chodzi o to, że chmury płyną. / Rzecz w tym, że je widzimy – pisze w „Słowie” na pożegnanie Wisławy Szymborskiej. Funkcją wzroku jest w tej poezji najważniejsza, bo „zobaczyć” to próbować pojąć różnorodność świata. Istotna także w jej twórczości jest kategoria żalu i pożegnai z bliskimi, z postaciami ze sfery sztuki, z pejzażami dzieciństwa (*Pożegnalna wieczera; Pożegnania, porównania; Kto by przypuszczał*). Świadełstwo pamięci staje się tu nieprzepracowanym wciąż rachunkiem krzywd minionych pokoleń:

Nikt tam kołęd nie śpiewa, wiatr tylko hula po stepie roznosząc spróchniałe kości naszej narodowej armii.

Zapomniane stajenki

Znajdziemy w tomiku *Co było, co jest* słowa o przyjaźni, wierności wartościom i odpowiedzialności za drugiego człowieka, które niosą pogodzenie się z przemijalnością rzeczy tego świata: „Przyjaźń jest wszystkim co możliwe i wyobrażone”.

Skoro lubimy czytać wiersze klarowne i przejrzyste, zapytajmy, czego dotyczy „przejrzystość” w naszym życiu. Dla bohaterki wierszy Teresy Tomsz jest to słowo-klucz związane z postawą i egzystencją: „przejrzyste ciało ojca mojej / matki, / trafione nicością” (*Postne żale*); „nie jestem w stanie / zaradzić, by było jaśniej, przejrzyściej – / patrzę spokojnie, z uwagą i tkliwie” (*Podpowiedzi*). „Mistrzem mowy przejrzystej” nazywa poetę Wojciecha Bąka w wierszu wspominającym jego niezłomną postawę w czasach komunistycznych czystek. Zmetaforyzowany język jednakże „myli rytm wspomnień”, deformuje zapamiętane obrazy, nie sposób bowiem wprost przymierzyć obu światów – przeszłego i terażniejszego czasu. Co pozostaje – uważne patrzzenie, tkliwość, rzetelność opisu i nadzieja, że dzięki metaforze można „znów doznać wspólnej obecności”.

Janusz A. Kobierski

Teresa Tomsia, *Co było, co jest*, Wydawnictwo Biblioteka Telgte, Poznań 2013

JESIEŃ, MIMOCHODEM ZIMA

Sięgając po arkusz poetycki Dariusza Staniszewskiego *Mimochłodem* wiele nie oczekiwałem. Ot, kilka wierszy, które jak przeczuwałem będą bardziej nastrojowe niż o beznadziejnej komunikacji samochodowej. Nie myliłem się. Czytelnik nie znajdzie tu wielkiego miasta, czy pryncypialnych uro-
zeń studenta matematyki. W lirykach Staniszewskiego bliżej do atmosfery ks. Twardowskiego czy Jerzego Harasymowicza. *Mimo-
chłodem* to opowieść, w której główną rolę grają pory roku. W tej urozmaiconej przyrodzie krajobrazy są łagodne i przyjemne: „*w jesieni twych włosów słyszę/
radosny szelest/ wokół nas zima/ nie-
ważna przecież!//*” (***) nie czekam na ciepło). To jesień pojawia się tutaj najwcześniej i to w różnych konstelacjach. W tej taskawości polskiej złotej jesieni – czasem pojawi się ogród, bardzo stary ogród, bądź bezimienna (ale piękna!) kobieta. Płec piękna jest właśnie adre-
satem niektórych, bezpośrednich wierszy. Ta bezpośredniość



przypomina mi lirykę Adama Ziemia-
nina. Osnuta wokół spraw przyziemnych, pogodnych – ale
ważnych: „*strach obleciał starego wróbla./ usłyszał zbliżającą się burzę./ uciekł na pole. skrył się
w swetrze stracha na wróble!//*” (trwoga i heca).

Ważnym elementem twórczości Staniszewskiego jest oszczędność w słowach. Oszczędność ta nie jest oznaką skąpstwa, ale ogromną przestrzenią myślową zano-
towaną w minimalnej formie przy jakże ważnym zachowaniu miejsca na puentę. Małgorzata Skwarek-Gałęska pisze: „I oto otwiera się przed nami brama do ogro-
du. Tajemniczego, baśniowo zarośniętego, pełnego przedmiotów i postaci zza tar-
czy lustra. Tu ptaki jak haiku, niebo kawą polane, zadumane fotele, osierocone sukienki.” Tak, część utworów można potraktować jak bajkę, bądź przypowieść: „*dorysowuję
ziemie śmieszne wąsy/ wydzieram jej płatki śniegu/ dosypuję garść cie-
płych wierszy!//*” (przy stole zimowym). Ulotność tej twórczości każe myśleć również o młodzieży rozpoczynającej wędrówkę po świecie poezji. Czyż nie jest to odpo-
wiednia dla nich lektura? W tym arkuszu poetyckim mimochodem tworzy się jak-
by pomost pomiędzy literaturą młodzieżową, a sprawami dla dorosłych. Poezja Staniszewskiego jest na tyle uniwersalna, że swym przekonaniem potrafi zaspo-

koić prawie każdego. Tę prostotę skojarzeń na pewno odrzucą czytelnicy, którzy hołdują stylis-
ce Rafała Wojaczka czy ekspansywności poetów nurtu neolingwistycznego. Przy okazji tych sformu-
łowań warto zadać sobie pytanie o banalność tej poezji. Dla człowieka od poezji interpretacja
zawsze będzie ta sama. Każdy będzie przeciągał ją na swoją stronę. Dla człowieka szukającego
kija, aby uderzyć, poezja „mimochłodem” jest banalna, ale właśnie w tym tkwi sedno sztuki. Napi-
sać niebanalnie o prostotach pór roku jest właśnie konsensusem we współczesnej poezji. Jeśli do
inspirującej jesieni dodamy relację ja – ty, oraz sugestywne niedopowiedzenie, wówczas (mimo-
chodem) otrzymamy prawdę, czego przykładem jest wiersz: „*wiosna w dłoniach/ zatrzepotała
i uciekła/ a jesień rozchmurzyła się// nie odkrywamy siebie/ nie otwieramy oczy/ jeszcze!//*” (za nami). Arkusz poetycki Dariusza Staniszewskiego jest zatem dowodem na to, że w poezji nie
liczy się ilość, ale jakość. W myśl zasady, że lepiej mniej i rzadziej niż częściej i więcej – książeczka „Mimo-
chłodem” daje dużą przyjemność z lektury. Wystarczy tylko uważnie czytać i cierpliwie czekać,
a satysfakcja z poezji Staniszewskiego będzie gwarantowana.

Piotr Goszczycki

Dariusz Staniszewski: *Mimochłodem*; Wyd. Bałucki Ośrodek Kultury ROND0; Łódź 2013.

W GÓRACH I W PUSZCZY

Czytelnik, który sięgnie po książkę *Wyprawa Vilcabamba-Vilcabamba.Śladami wojownika,
którego nie imał się czas* otrzyma fascynujące połączenie powieści podróżniczej, historycznej i –
nie boję się tego określenia – powieści naukowo- detektywistycznej. Chociaż tematem śledztwa
przeprowadzonego przez Romana Warszawskiego są losy i dokonania XVI-wiecznego inkaskiego
wojownika Inki Paucara, to opowieść o układaniu historycznych puzzli czyta się lepiej od niejed-
nego kryminału.

W podróż do do ukrytej w peruwiańskiej dżungli ostatniej stolicy Inków, Vilcabamby i do
innej, zlokalizowanej w Ekwadorze miejscowości o tej samej nazwie wyruszamy, by poznać kul-
turę nieistniejącej cywilizacji, nauczyć się historii sprzed pięciu wieków i obserwować współczesne
życie potomków Inków i konkwistadorów.

Plastyczny opis dżungli sprawia, iż zaczynamy odczuwać jej zapach. Przyglądamy się tajem-
niczym, kamiennym rzeźbom. Kroczymy szerokimi, sześciometrowymi schodami, wiodącymi do
ruin Vilcabamby. A potem nagle wcielamy się w Inkę Paucara, próbujemy – tak jak on – szukać
dróg wyjścia z dramatycznej sytuacji dziesiątkowanego przez choroby i najeźdźców narodu. Uczest-
niczymy w burzliwym spotkaniu tych Inków, którzy chcieli walczyć z Hiszpanami i tych, którzy
mieli inny pomysł na przetrwanie. Stajemy po stronie Sceptyka albo jego Oponenta. Myślimy.

Prowadzi nas znakomity przewodnik. Roman Warszawski, znany dziennikarz i pisarz od trzech
dziesięcioleci zafascynowany jest Ameryką Południową. I tą fascynacją potrafi zarazić czytelnika.
Wyrusza tam – choć, jak przynajne, nie lubi podróży – niemalże każdego roku, przywoząc spo-
strzeżenia, odkrycia, które zamieniają się w kolejne książki, poświęcone temu kontynentowi. –
Każdy musi mieć jakiś cel, do którego dąży – tłumaczy pisarz. – Dla mnie jest to Ameryka Połu-
dniowa. Od dziecka chciałem tam pojechać i ją poznać. Takie fascynacje dziecięce przeważnie
mijają. Mnie to nie przeszło. Omotał mnie świat Azteków, Majów, Inków.

Zaczęło się to od odkrycia, którego dokonał jeszcze jako siedemnastoletni uczeń elbląskiego
liceum. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku Roman Warszawski postanowił odczytać tajem-
nicze pismo rongo-rongo, powstałe na Wyspie Wielkanocnej na Pacyfiku. Korespondował w tej spr-
awie z profesorami- autorytetami naukowymi, którzy nie wiedzieli, że listy pisze do nich licealista.
Odbierał korespondencję od znanego podróżnika Thora Heyerdahla, który światową sławę zdobył
podróżą tratwą Kont-Tiki i napisał o Wyspie Wielkanocnej fascynującą książkę *Aku-aku*.

Sensacyjne odczytanie w 1976 r. przez polskiego licealistę tabliczek z pismem rongo-rongo
było dopiero początkiem wielkiej przygody. Młody Polak równocześnie dokonał innego odkrycia,
wiążąc kulturę Rapa Nui z Wyspy Wielkanocnej z kulturą Inków. Ślady wiodły m.in do Peru z któ-
rym Warszawski związał się na zawsze i któremu poświęcił kilkadziesiąt swoich książek.

Kilka lat później udało mu się spełnić marzenie i po raz pierwszy stanąć na peruwiańskiej
ziemi. Stan wojenny w 1981 roku zastał Warszawskiego na uniwersytecie w Saarbrucken, gdzie
dzięki stypendium studiował podyplomowo integrację europejską. Równocześnie ciężko pracował
fizycznie, by zdobyć pieniądze na wyprawę życia – oczywiście do Peru. Owocem tamtej podróży

NIE MA NIC POZA TEKSTEM

Na początku pierwszego rozdziału swego dzieła *O gramatologii*, zatytułowanego *Egzerga*, Jac-
ques Derrida przytacza m. in. słowa Jana Jakuba Rousseau z jego *Szkicu o pochodzeniu języków*:
– *Te trzy sposoby pisania dość dokładnie odpowiadają trzem stanom, w jakich można badać
ludzi zebranych w naród. Malowanie przedmiotów odpowiada ludom dzikim, znaki słów i zdań –
ludom barbarzyńskim, alfabet – ludom cywilizowanym*.

Zdaniem Derridy pismo to przypadkowe podwojenie, podupadła wtórność, znaczone funkcjo-
nujące jako znaczące. Pismo nie było nigdy zwykłym uzupełnieniem, chociaż teoretycznie miało
być ograniczone do funkcji wtórnej i instrumentalnej. Istnieje ono dzięki chorze – niezniszczalnej
przestrzeni bez miejsca, umożliwiającej trwanie kosmicznej rzeczywistości.

Pismo istniało od zawsze, nie może być pojmowane jako puste, istnieje równolegle ze zró-
nicowaniem i przemocą. Dekonstrukcja bada ślady i odsyła do filo-
zofii czasu. Na polu gry różnic pozostaje tylko pismo.

Istnieją dwie kwestie – odkrycie źródła pisma i źródła języka,
słowa pisanego i słowa mówionego. Słowo jest to jedność sensu
i dźwięku, pojęcia głosu lub znaczonego i znaczącego, pismo two-
rzyłoby ekran słowa. Mamy dwa systemy pisma; ideograficzny
i fonetyczny [sylabiczny lub alfabetyczny].

Pismo samo w sobie jest obce wewnętrznemu systemowi języ-
ka, jednak nie można od niego abstrahować, gdyż nieustannie
przedstawiamy język za pomocą pisma. Mowa jest szatą myśli, ale
czy pismo jest szatą mowy, czy przebraniem?

Na postawione przez siebie pytanie, Derrida odpowiada, przy-
taczając cytaty z Arystotelesa, Hegla i Nietzschego:

– „*dźwięki wydawane przez głos są symbolami stanów duszy,
słowa pisane są symbolami owych słów wydawanych przez głos*”. (Arystoteles)



był wysoko oceniany m.in. przez legendę polskiego reportażu, Ryszarda Kapuścińskiego, debiut
Pokażcie mi brzuch terrorystki. Student z Polski opisał przejmujący obraz przemocy, dramatyczne
wydarzenia w wiosce Uchuraccay, której mieszkańcy zamordowali dziennikarzy, biorąc ich za
bojowników maoistowskiej partyzantki. Dzięki pomocy Mario de la Cruz Gonzalesa, peruwiań-
skiego dziennikarza sympatyzującego z lewackim Świetlistym Szlakiem, dotarł do wszystkich
stron konfliktu, pokazał jego przyczyny i skutki.

Kolejna podróż wiodła Romana Warszawskiego do Boliwii, gdzie w 1967 r, zginął Che Guevara.
Korzystając z opisów w dzienniku legendarnego rewolucjonisty, autor ruszył jego śladami. Wzbu-
dził podejrzenia boliwijskich władz. Był zatrzymywany przez policję. Kiedy postanowił zebrać resztę
materiałów na Kubie deportowany do Kolumbii. O nieprzyjaznym potraktowaniu dziennikarza z
Polski obszernie rozpisywała się kolumbijska prasa. Sam Gabriel García Marquez zaprosił go do
swojego domu. Efektem tego zdarzenia jest obszerny wywiad z pisarzem, opublikowany w tomie
Gdzie mieszka pułkownik Buendia. Do Che Guevary Roman Warszawski wrócił po dwóch dekadach,
wydając książkę *Boliwia 1966-1967 o zakończonej śmiercią* Guevary i większości jego towarzyszy
kampanii boliwijskiej. Stawia w niej m.in. śmiałą teorię, że w momencie zatrzymania i rozstrzelania
Che był już śmiertelnie chory. Chorowali także jego towarzysze, którzy wraz z legendą rewolucji
w 1965 r. przebywali w Kongo. Niewykluczone, że zarazili się tam pewnym wirusem, który potem
został nazwany przez badaczy HIV i rozprzestrzenił się na całym świecie, wywołując epidemię
AIDS.

Zanim jednak powstała książka o boliwijskiej wyprawie Guevary, polski pisarz wielokrotnie
odwiedzał Peru, z którym związał się także rodzinnie, przez małżeństwo z poznaną w Komisji
Europejskiej Peruwianką Luz Estellą Irogoyen Pradą. W 1998 roku, w trakcie czwar-
tego pobytu w Ameryce Łacińskiej, zorganizował swoją pierwszą wyprawę ekspo-
racyjną na płaskowyż Marcahuasi. To teren, do którego cywilizacja nie miała dostę-
pu. Nieliczne ekspedycje badawcze, które docierały w jego pobliże przekazywały
frapujące informacje. Twierdzono że na górze tej znajdują się ogromne, kamienne
rzeźby; na rozległym, płaskim szczycie tej góry zachowały się ślady całkiem nie-
znanej kultury... Podczas tamtej wyprawy Roman Warszawski usłyszał o pewnym
mieszkającym w Peru od 60 lat zakonniku, ojcu Edmundzie Szelidze.

To spotkanie zmieniło, lub wręcz uratowało, życie wielu ludzi. Dzięki ogromnej
wiedzy ojca Szeligi pacjenci z Polski mogą dziś korzystać z dobrodziejstwa vilcacory
i innych rewelacyjnych roślin leczniczych z Ameryki Południowej. Znajomość z ojcem
Szeligą dała czytelnikom kolejne książki Romana Warszawskiego: *Vilcacora leczy
raka, Bóg nam zesłał vilcacore, Ojciec nadziei, Żyję dzięki vilcacorze* oraz opis odkrycia tajemnicy
Złotego Miasta Inków, opisane w publikacji *Tajna misja Eldorado*.

Największą jednak tajemnicą, nurtującą polskiego podróżnika jest odwieczne pytanie o szczę-
ście, które niekoniecznie oznacza opływanie w bogactwa. Szczęście to przede wszystkim zdrowie,
długie życie, zachowanie wewnętrznej równowagi. I tak zaczęła się seria kolejnych podróży, któ-
ra doprowadziła Warszawskiego do zapomnianego wojownika Inki Paucara. W roku 2007 ekipa,
w której skład wchodził m.in. lekarz, Jacek Belczewski ruszyła na spotkanie z ludem Q'ero, żyją-

– *Znaki znaków. Nawyk pisma, pismo literowe zostaje pozbawione swojej swoistości (słyszal-
ność) na rzecz widzenia. Głuche czytanie i nieme pisanie. Pismo w swym nie-fonetycznym aspekcie
jest zdradą życia*. (Hegel)

– *Sokrates, ten kto nie pisze*. (Nietzsche)

Pismo, zdaniem Derridy, nie jest niewinne, powinno mieć podporządkowany stosunek wzglę-
dem mowy. Ten naturalny stosunek uległ odwróceniu wskutek pierwotnego grzechu pisma. Wynik –
obraz graficzny narzuca swą przewagę kosztem dźwięku. Wyraz pisany usurpuje sobie
rolę główną. Zapominamy, że wcześniej uczymy się mówić niż pisać. Filozof przypomina, że pismo
mające uzupełniać pamięć oznacza według Platona zapomnienie.

Dla Platona ważniejsza była mowa niż pismo, czemu dał wyraz w *Fajdroście*, pisząc, że wyna-
lazek liter zasieje niepamięć w duszach ludzkich, bo człowiek przestanie ćwiczyć pamięć, zaufa
pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz ze znaków obcych jego istocie, a nie z wlas-
nego wnętrza. Będzie to pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwa. Poza tym
dzieło, które zostanie napisane może wpasć w ręce i tych co ją rozumieją i tych
do których trafić nie powinno. Mistrz, który posiada wiedzę, powinien ją pisać
w duszy ucznia. Mowa pisana to tylko mara mowy żywej, pełnej wiedzy.

Dla Derridy najważniejsze jest pismo, a nawet można powiedzieć, że nie zоста-
je nic poza pismem, poza tekstem. Derrida nie mówi o rzeczywistości lecz o spo-
sobach jej spostrzegania, które ujawnia literatura. Jest tylko wielki tekst rzeczy-
wistości przenicowany różnicującymi powtórzeniami śladów.

Dla gramatyków umiejętność mówienia jest niemal wyłącznie umiejętnością
pisania. Derrida stwierdza, **że nie ma nic poza tekstem** i każdy komen-
tarz na temat dzieła, także pochodzący od autora, jest jedynie kolejnym odrębnym
tekstem podlegającym interpretacjom, lecz bynajmniej nie uprzywilejowanym.

Dzieło Derridy *O gramatologii* nie jest lekturą łatwą, ale jest warte prze-
czytania. Zawiera nie tylko przemyślenia i wnioski samego Derridy, ale również odniesienia do

filozofii i największych dzieł Jana Jakuba Rousseau, Gottfrieda Wilhelma Leibniza, Levi Straussa
i wielu innych filozofów badających zagadnienia związane z językiem, tekstem i słowem.

Jak napisała Ewa Rychter (*Pierś Derridy* [w] *Derrida i Adirred*, Akademia Humanistycz-
na im. A. Gieysztora, Pułtusk 2006):

– *Derridiańskie pismo jest bliskie rabinicznemu pismu rozumianemu jako niekończąca się inter-
pretacja i re-interpretacja, dysputa z nieobecnym, oddzielnym Bogiem*.

Ta uwaga jest bardzo trafna, wszak faryzejscy rabinzi, o których czytamy w Biblii, to nie uczeni
ale uczeni w piśmie.

Sprawa mesjanizmu i mesjaniczności Derridy została opisana szczegółowo przez Profesora
Sochonia (*Religia w projekcie postmodernistycznym*, Polskie Towarzystwo Tomasa
z Akwinu, Lublin 2012), który zwraca m. in. uwagę na fakt, że Derrida *sam dla siebie będą-
cy Mesjaszem*, chcąc ocalić człowieka propaguje koncepcję religii bez religii.

Bogdan Banasiak w *Posłowie* do dzieła Derridy *O gramatologii* p.t. *Dekonstrukcja
genialny unik* pisze m. in., że filozofia jest umiejętnością stawiania pytań, więc należy zapytać
– czy dzięki dekonstrukcji jesteśmy w kropce? Następnie przytacza odpowiedź Derridy:

– *Jest tak i tak, a zarazem ani tak ani tak*.

Słowa Derridy przypominają mi wypowiedź Platona, przytoczoną i omówioną przez Włady-
sława Witwickiego we wstępie do *Parmenidesa*:

– *Jak to tam jest naprawdę to jeden tylko Pan Bóg wie, ale jak się ta rzecz przedstawia i do
czego się wydaje podobna, to mogą powiedzieć, jeśli się tylko nie pomyli*.

Ten dystans do samego siebie i ostrożność w formułowaniu wniosków, jakie zauważamy u Der-
ridy, pozwala nam, niezależnie od tego czy się z nim zgadzamy czy nie, zaliczyć go do wielkich
filozofów.

Jurata Bogna Serafińska

Jacques Derrida, *O gramatologii*, Wydawnictwo Oficyna, Łódź 2011.

JAK BYĆ IKAREM

„Moje życie. Nie potrafię się do niego przyzwyczaić. Powiedz mi przyjacielu jakie ono jest”... Milczysz. Mogłem to przewidzieć. Pomilczmy obaj. Pomyślmy – jakie jest to nasze życie. Odnajdźmy jego sens w ciszy i skupieniu. Popłynijmy przez nie tym samym statkiem. Starą łajbą, od dawna niemalowaną, pordzewiałą.

Zdawałoby się jednak, że dziś już tylko podryfujemy. W nieznanie. W dal. Przed siebie. Gnani czymś, co nas popchnie do tej wędrówki poprzez gąszcz „cudownego stulecia”, w którym przyszło nam żyć. Gnani, „
Do wszystkich niedostępnych brzegów....

Milczysz nadal. I ja milczę. Rodzi się poezja. W naszych głowach pęcznieje coś co może stać się poezją. To coś jest sumą doświadczeń, doznań i wydarzeń. Sumą Ciebie i mnie, sumą nas wszystkich. Zjednoczeniem, skupieniem, koncentracją: dotyków, spojrzeń, myśli – słowem całości egzystencji. Soczewka twórcy koncentruje to wszystko w naszych pokręconych zwojach mózgu, aby w dogodnej chwili wyrzucić z siebie to coś. Potem. Aaa... , prawda... , potem wcale nie jest łatwo. Wcale nie jest „jak po maśle”. Potem jest tajemnicą. Potem każdy z nas robi to po swojemu. Uładza, szlifuje, uwzniośla. I niech tak pozostanie. Ostatecznie coś może być zależne od nas. Jestem jednak świecie przekonany, że to właściwe, główne Coś – nie jest zależne od nas. Skąd jest? Nie wiem. Ważne, że Jest.

Mam ogromny problem z tomem Andrzeja Dębrowskiego zatytułowanym pięknie *Do wszystkich niedostępnych brzegów*.... Leży od lutego na moim biurku. Czytałem te wiersze wiele, wiele razy. Tom zabrałem ze sobą do niedostępnych brzegów wyspy Santorini. Był tam ze mną w czerwcu tego roku. Leżał grzejąc się greckim słońcem, a czytany – moimi myślami. Wielu wierszy po prostu nie rozumiem. Znam Andrzeja i ich nie rozumiem. Może to znanie mi zaciemnia obraz, a może coś w tych strofach jątrzy percepcję. Może jeszcze potrzebuję czasu. Pewne tomy snują się w człowieku latami. A wiele z kolei słów czy metafor zawartych w innych wierszach jest mi bardzo, bardzo bliska. Jakby ze mnie wypłynęła. Chciałem rozgryźć, rozszarpać te wiersze. Przejrzeć je na wskroś, a jednocześnie pozostawić im ich tajemnicę. Tylko czy tak się da? Można określić tę poezję mianem przeintelektualizowanej. Tylko czyż nie taka właśnie powinna być dziś poezja? Wtopiona w jądro czasów, w których nauka sięgnęła niepoznawalnego, a masy ludzkie sięgają dna. Czyż poezja nie powinna wyzwolić się z form przeszłych i wędrować w intelekt? Przecież Rymkiewicz piszący Mickiewiczem jest zwyczajnie nudny. I groteskowy. A Dębrowski? Dębrowski wciąga ...

Moje oko patrzy już prawie okiem obiektywu. Eliminuje zbędne detale. Komponuje kadr. Siłą rzeczy wstrząsnęła mną od samego początku okładka tomu: z samotną łodzią na bezmiarze morskiej przestrzeni, przed nieznanym, skalistym brzegiem. Czy niedostępnym? Założmy, że tak. Ten Bergmanowski obraz wtapia się silnie w świadomość nawet swą skandynawską kolorystyką ujęcia. To fotografia, którą można wchłaniać codziennie. Codziennie bowiem będzie taka samotna łódź zadawać pytania. Ta symbolika działa. To symbolika samotności, jakiegoś wewnętrznego rozdarcia, dylematu wędrówki, na którą jesteśmy skazani, i którą dzielnie podejmujemy. Autor w swoich „Zapiskach na skrawku komputera” czyli internetowym blogu jak gdyby wyjaśnił nam, na czym owa wędrówka polega. Pozwól sobie przytoczyć te słowa, gdyż również owe refleksje są mi bardzo bliskie:

„A podróżę są jak narkotyki. Kto raz próbuje, nie może się odzwyczaić. Po jakimś czasie stają się one nieodzowna częścią naszego życia. W końcu dochodzimy do wniosku, że przecież to element naszych marzeń, tych umiejscowionych w najgłębszych zakamarkach naszej podświadomości... A marzenia trzeba spełniać, bo to esencja życia. Można by powiedzieć, że kto nie spełnia swoich marzeń, ten nie żyje.

Jestem trochę typem podróżującego filozofa. Podróż jest dla mnie rodzajem święta. To nie tylko zwykły wyjazd, to wyprawa w nieznanie, nawet jeśli jest do miejsca, gdzie już wielokrotnie bywałem. Dla mnie liczy się akt podróży, a wcześniej przygotowania do niej, czekanie i planowanie.

Sama podróż to nie tylko pokonywanie kolejnych kilometrów, to czas, w którym odbywa się nieustanne bicie z myślami. Podświadome pokonywanie fragmentów naszego życia, przeskakiwanie z jednego zwoju nerwowego w naszym mózgu na drugi. To nieustanna walka ze swoimi słabościami, z tym co minęło i tym, co być może nas spotka w przyszłości.”

POMIĘDZY SŁOWAMI A RZECZAMI. WOKÓŁ POETYCKIEGO ESSE KACPRA PLUSY

Wiersze Kacpra Plusy z tomu ***Ze skraju i ze światła*** są jak obrazy Salvadore Dalego: pełne tajemnicy, ukrytej rzeczywistości, wizyjności i barw. Świetne metafory budują niesamowity klimat jego poezji. Wchodząc do świata Kacpra Plusy nie da się z niego wyjść o własnych siłach. Trzeba szukać pomocy, jakiegoś drzewa, poręczy, pomocnej dłoni, by wyjść na powierzchnię z tej poetyckiej głębi, żeby nie zostać tam na zawsze.

Poeta, niemalże od samego początku wciąga nas w przestrzeń pachnącą wojną i światłem. Zapisuje on wiersze metaforami i porównaniami. Nie stosuje języka konwencjonalnego, zwykłego, potocznego tylko mowę znaków i rzeczy. Znajdujemy tutaj pokrewieństwo z językiem poetyckim Zbigniewa Herberta. Świetnie dobrane metafory, wizyjne, prawie senne oddają to, co kryje w sobie Kacper Plusa, poeta dopiero wchodzący w świat literatury.

Zapisanie krajobrazu, miejsca, w którym się jest, nie bywa łatwym zadaniem. Wie o tym doskonale Kacper Plusa. Z tym miejscem często łączą poetę słowa i rzeczy. Mowa tutaj o *pokoju z widokiem na wojnę, piecie, światłach, pieśni obcego, pieśni henocha, trenach dla żarówek stuwatowych*, czy chociażby *departamentu*, itp.

W tych utworach twórca wypowiada się inaczej niż współcześni mu poeci, szuka własnego, indywidualnego języka i formy. Uduje mu się na czas uchwycić każde wrażenie, myśl, odczucie, treści i kształty tego, co widzi w rzeczywistości i w snach. Opowiada zatem o życiu, sprawach związanych z ludzką egzystencją, o byciu człowieka w świecie: *mamy nierówne kroki i oddechy./ nasze dzieci są naznaczone imionami zmarłych./stają się kontrapunktami dla jakuba vel israel./ („pieśń obcego”, s. 9); siedzę w otwartym oknie. słucham alabama blues. spoglądam/ przez ramię. tak grzesznicy widują boga. Siedzę tyłem do kierunku jazdy/jak stary baudelaire./ („najbardziej lubię spowiadać się w sierpniu”, s. 11);*

zaświadczam, że tego lata nie było burz, aby je zbierać./...powiedziałem wtedy: nabrzmiałe niebo przypomina skórę, która otula nóż./ („pierwsza pieśń henocha”, s. 12); prze-

Właśnie. Akt podróży. Misterium. Mogę to powtórzyć i wytłumaczyć własnym doświadczeniem. Żyję w pewnej zdeteterminowanej codzienności. Firma, ludzie, spotkania, sprawy do załatwienia. Dużo jeżdżę z punktu A do punktu B. Czasem to kilka kilometrów, czasem *dzieścia*, czasem sto... Droga, ulubiona muzyka i własne myśli. Ogromny świat tych myśli. Oderwanie. Uciezka. (?) – Po prostu akt podróży. Tam też czasem rodzi się poezja. W samotnej intymności. W tym właśnie akcie.

Kiedy otworzyłem tom i przeczytałem pierwsze słowa: „Chciałbym opowiedzieć ci o nocy, bez poezji i wódki (...)” pomyślałem – tak właśnie powinien się rozpocząć tom poezji. Chciałbym opowiedzieć ci ... o poezji Andrzeja Dębkowskiego. To poezja myśli i poezja obrazu. Poezja refleksji i poezja czułości. Męskiej, mądrej czułości oraz uwrażliwienia na świat. Choć świat to niełatwy. Dojmująco dziś paskudny. I w tym świecie moje i twoje życie. „Jakie ono jest?”... Jakie?

Tak zamyka się tom. Mocnym akcentem tego pytania, które każdy z nas sobie zadaje. Jakie ono jest?

Wielu ludzi odpowiedziało sobie – nie jest, jakie jest i nie będzie inne. Ale nie my. My chcemy spełniać marzenia. Kto ich nie spełnia – nie żyje. Tylko jakie są nasze marzenia, a jakie są marzenia człowieka współczesnego. Mam wrażenie, że to inne marzenia. Czy zatem my (poeci) jesteśmy dojmująco niewspółcześni? Tak i nie. Na pewno w kwestii materializmu dzisiejszych marzeń (przez młodych wyrażanych przecież głośno) jesteśmy okropnie niewspółcześni. Natomiast jeśli idzie o tak zwany dynamizm działań raczej jesteśmy współcześni. Tylko tu też tkwi pułapka. Idziemy innym szlakiem. Szukamy innych doznań. Zatem generalnie chyba jesteśmy jacyś dziwni. Pozwólcie nam być dziwnymi.

Dębrowski ujawnia mechanizmy zadawania sobie bólu. Bo ten świat dzisiejszy jest światem zadawania sobie bólu. W ciągłym biegu, w permanentnej konkurencji świat emanuje rywalizacją – wysięg prowadzi do wojny, wykwitów nienawiści, zadawania ran. Tak było jest i będzie. Uratować nas może tylko poezja. Tylko czy poezja jest dziś – będąc spychaną na boczny tor – w stanie uratować cokolwiek. Obaj wierzymy, że tak. Inaczej Dębrowski by tego nie napisał, a ja nie siedziałbym owo czytając, a teraz, tu, pisząc swoje na ten temat przemyslenia. Choć może to i dialektyka. Wiersz pod takim tytułem świetnie oddaje nasz stan myślenia, nasze miejsce w biegu dziejów i stan posiadania. Urodziliśmy się wystarczająco dawno, aby wciąż wierzyć, że można jeszcze kogoś ocalić.

Autor chcąc powrotu do pytań najprostszych nie stawia ich w sposób prosty. Stawia je w sposób wielce wyrafinowany i tnie nam po oczach ostrą jak brzytwa puentą, czasem mrugającą wewnątrz wiersza, czasem niewypowiedzianą, ale dochodzącą za czytelnikiem po lekturze.

„Gdzieś poza nami są wszyscy inni,
modelujący własne istnienie
na własny użytek”

Tak gorzkie słowa stanowią potrzebę oczyszczenia. Może nie są jednak gorzkie. Może ich gorzycz podszyta jest pewną dwuznacznością percepcji. Pewną postawą wiecznej szansy, ciągłego stanu wolności wyboru. Zastanawiam się nad tym. Biję z myślami i sączę ten tom spokojnie dalej. Gdyż jest to tom do sączenia. Andrzej na jednym ze spotkań powiedział, że rzadko wydaje tomiki, gdyż jak już je wydaje chce mieć poczucie, że miał coś ważnego do powiedzenia. Coś w tym jest. Andrzej wypowiada sądy nie zamknięte, otwarte. Życie jest dla niego Wielką Przygodą. Fascynacją. Wieczory są melancholią, a noce inspiracją. Na tym samym wspólnym spotkaniu poetyckim powiedział, że zawsze pisze nocą. Niezmiernie zaciekawiło to młodych ludzi, którzy czytali naszą poezję. Podobalo mi się to, że tak ich to zaciekawiło. Czyli, chyba dobrze, że Andrzej pisze nocą. Jeśli tak można młodych wciągnąć w ten przepiękny świat poezji – niech tak będzie. Niech ci modzie ludzie zadadzą za Autorem pytanie „... jakże być Ikarem”. To ważne pytanie w świecie tłumów Dedali. Przywołajmy w tym miejscu wiersz Herberta, „Dedał i Ikar”, w którym Ikar mówi: „Nie mogę patrzeć się w słońce tak jak ty patrzysz się ojcie”. I my poeci, mamy chyba dziś takie właśnie poczucie, otoczeni Dedalami, których zachwyty koncentruje się tylko na tym co realne. Nasze światy, światy wyobraźni, marzeń i piękna, światy ideałów i poszukiwań tego świata nie zajmują. Zastanawiające jest to, jak daleko oddalili się dziś Dedal z Ikarem. Ojciec i syn przecież.

staniesz istnieć w dniu, w którym gazety wydrukują ci numery stron/na skroniach jabłko adama zostawisz na rogu ulicy, odnoszą je//do demokracji, do literatury w szpaltach, bez rozgłosu./

(„me — dial — log”, s. 24).

Poeta wie, że ta egzystencja jest ciągle zagrożona przez liczne niebezpieczeństwa, czyhające na nas z każdej strony. Nie tylko od strony natury, ale i ludzi, czy przedmiotów. Jeszcze niebezpieczniejsze staje się życie w chorym mieście, któremu słońce stawia na plecach bańki: *rano choremu miastu słońce stawia na plecach bańki. do szczelin i studzienek/ wpływa rynsztok gęsty jak rtęć./ („tren dla żarówek stuwatowych”, s. 14).* Miasto posiada więc tutaj naturę fizyczną człowieka, przejmując wszystkie jego choroby, cierpi, bada mu się temperaturę.

Chore miasto jest skazane z góry na zagładę; mimo że, słońce próbuje go tu uleczyć, dać mu nadzieję na zmianę, na lepszy czas, radośniejsze chwile, tzw. żar — live, gorące życie. Życie pełne słońca i światła odbitego w szkle, co daje wrażenie podwójnego widzenia tej drugiej strony, co nas niepokoi wewnętrznie i denerwuje.

Takie odbicie powoduje, że wszystko rozrasta się w apokryf. Nawet sad, w którym byłwał poeta, lub, który widział z daleka. Tak poza marginesem. Ktoś opowiedział mu legendę o sadzie, w którym wszystko jest możliwe. Księga, o której tutaj mówi, jest tynkiem gospodarstwa, otoczonego przez drzewa owocowe. To być może dom podmiotu lirycznego z wiersza „polska b”. Poeta opowiada tutaj o swoim czekaniu na pociąg, który nie przybył o oznaczonej godzinie, ani nie przyjechał też później. Wiadomo, że czekanie na coś, jest strasznie denerwujące. Czekanie to moment dobry do rozmyślań o naszej egzystencji. Wszystkim tym, co buduje tkankę naszych przeżyć duchowych i odczuć.

Tkanka przeżycia i uczucia a także ich intensywność, jak twierdził Jacek Gutorow – **„nie pozwala na żadne zamknięcie, żadną kompleksową obsługę znaczenia”**¹ Tak samo jest z poezją Kacpra Plusy. Życia nie da się zamknąć w jednym słowie, obrazie, geście. Kąpiel w wannie pełnej i ciepłej jak ciało, wieże grożące palcem, zastyg-

1 J.Gutorow, „Zawsze ta sama, w obcym języku”, „Studium” 2006 nr 5, s. 173

Czy Dedal współczesny stworzyłby Ikarowi skrzydła? To było jednak pragnienie lotu. A może jednak tylko pragnienie ucieczki?

Najgorszym grzechem współczesnych nam ludzi jest schematyzm i rutyna. Pewien stan *„zamykania się” w „szufladach przyzwyczajień”*. O tym też jest ten tom, który wie dzie nas przez współczesnego człowieka na wskroś oddalającego się od w młodości podjętych ideałów. Taki człowiek zostawia *„omdlale gwiazdy / nieporuszone cienie / które spoglądają / na płaczącą ziemię”*.

To sytuacja „Bez wyjścia”.

Rodzi „Bezsenność”

skupieni
ciągle myślimy o śmierci i miłości
dumnie szukając szacunku
dla własnych wielkości
sprzedajemy godność
w interesie życia

Ten motyw bezsenności jest pewną prawdą Poety. Nie bolesną. Prawdą subiektywnie obiektywną. Prawdą przyjęcia stanu cierpienia w zamian za stan łaski natchnienia. Ta transakcja jest warta spisania cyrografu. Ta transakcja wymaga poświęcenia życia jakiejś sprawie. Ta sprawa jest sprawą ważniejszą niż życie i śmierć. Tak oto próbuję sobie myśleć o wierszach Andrzeja Dębkowskiego. Nie wiem czy dobrze myślę. Jednak sam akt pobudzenia tymi wierszami uznaję za miarę ich wartości. Po to są. Po to jest poezja. Do sączenia, do smakowania, do chwytania chwil w dwa palce, podnoszenia ich do światła i przyglądania się im. Po to warto żyć. Czy jesteśmy dziećmi czeladników i dziwek? W pewnym sensie tak. Szukamy ocalenia szukając siebie. Szukamy ratunku upadając i powstając z upadków. Sami stajemy się dziwkami i czeladnikami, a jednak nie godzimy się na zatracenie piękna. Szukamy go. Walczymy o nie. Dedal tworzy nam labirynt na zlecenie możliwych tego świata, a my już czekamy, aby wzeleć. Choćby był to lot ku śmierci i zapomnieniu. Niech i tak będzie. Autor szacuje jaka jest cena, którą płacimy za taka postawę. Wysoka.

Jest nią „Strach”:

Cale życie
przychodzi do mnie
upięty w szare barwy
spocony
otwarty na wszystko
siada pod parapetem okna
drapieżną dłońią
każe zapalić papierosa
milczy

Do mnie też przychodzi. Do nas wszystkich, cholera, przychodzi. Taka jego rola. I takie zadanie. Taka – jak wspomniałem – jego cena. Dostajemy też za To wszystko „Rachunek”. W nim jest jednak nadzieja i ... szczęście.

na otwartej ranie
letni księżyc
tańczy kankana

ktoś ciągnie za sobą życie
z miłości i pustki
rzeźbi różę
zostawia uchylone drzwi
na znak szczęścia

Wciąż wierzę w te właśnie *uchylone drzwi*. W kolejny dzień, następną podróż, nowe wyzwania. I choć nie jest łatwo, lekko i przyjemnie, wiem, że nikt nie obiecywał, iż tak będzie. Nie potrafimy się jednak do tego przyzwyczaić. I niech tak zostanie.

Moje życie... Powiedz mi przyjacielu, jakie ono jest ...

Andrzej Walter

Andrzej Dębrowski *Do wszystkich niedostępnych brzegów*.... Wydawnictwo Autor-skie Andrzej Dębrowski, Żelów 2013.

jące w porze sjęsty tynki nadają impuls do ciągłego obserwowania świata i ludzi, którzy podobni są do zwierząt jak dwie krople wody. Jak twierdzi poeta naszym prawem jest wyciągać racice lub łapy w kierunku słońca. Cieszyć się każdym załamaniem fal, bezwolnym opadaniem na dno, dotykaniem świeżego zarostu.

Pomiędzy słowami a rzeczami dzieje się bardzo wiele. *Ranne ptaki zaciskają szpony w geście zemsty// („oiloiloidestroy!”*, s. 22); *ten jest zagrożeniem, zaklinaniem w krtani./*

(me—dial — log”, s. 24), linie przerywane zlewają się w igłę („detox poetica”, s. 25).

Poeta pragnie czasem sprostać tej pogonii za smakami, gaszeniem światła, szukaniem bólu. Dlatego właśnie kolorem siarki pisze autoportret denata, wpada w objęcia cystern, chce uciec od bólu, który jest cieczą i paruje. Wie, że ciężko jest dobrać słowa, aby go złagodzić, aby pozbycić się krwi czarnej jak benzyna. Jak gnostyk chce podążać w kierunku światła, poddać się ze spokojem sierpniowemu deszczowi, rytmowi słów, rozkładaniu kwiatów w intymnych miejscach.

Mówię do siebie. Zdaję sobie sprawę. Sprawa zdaje się na mnie. Pas. Nie chcę się poddawać rzeczom martwym. („Il. bezwersie”, s. 44)

— deklaruje podmiot liryczny jednego z wierszy w *Ze skraju i ze światła*, ujmując w tej krótkiej formule swoje **esse** w świecie. *Chęć walki z rzeczami martwymi rodzi właśnie określoną wizję swojej własnej rzeczywistości i prób jej uporządkowania w znany tylko sobie, właściwy sposób. Taka wewnętrzna walka ukazuje przede wszystkim głównie ukształtowaną już w pełni samoświadomość poetycką Kacpra Plusy, dlatego też szczególnie polecam ten tomik wymagającym czytelnikom.*

Daria Dziedzic

Kacper Plusa, *Ze skraju i ze światła*, Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2012

WIELKIE, POBRUDZONE ZWIERZĘ ...

Jarosław Iwaszkiewicz jest klasykiem w pełnym znaczeniu tego słowa. W najnowszym tomiku Iwaszkiewicza *Wielkie, pobrudzone, zachwycone zwierzę* wydanym przez Biuro Literackie w bieżącym roku, mamy do czynienia z przestrzenią, swobodną grą słów i skojarzeń, ruchem barw, światła i dźwięków.

Tytuł tomu może sugerować bardzo wiele. Może on oznaczać kogoś bardzo złego, pobawionego ludzkich odruchów, wrażliwości i uczuć. Z drugiej strony, to zwierzę będzie kimś, kto posiada te uczucia, jest zachwycone życiem, chce żyć i czerpać z tego życia radość.

Wielkie, pobrudzone, zachwycone zwierzę rodzi się z radości, ogrodowych kwiatów, oczekiwania na przybycie gości, zaniku zdolności wizyjnych. To właśnie owo zwierzę otwiera drzwi do swojego domu. To otwarcie się pozwala na przepływ, ruch, zmiany w obrębie pewnej przestrzeni. Znakiem tego otwarcia jest ugoszczenie przybyłych gości chlebem okraszonym kaliną, uśmiechem na ustach.

Ten dom jest miejscem pełnym różnych nieoczekiwanych zdarzeń. Jest miejscem czekania na nowych, radosnych gości. Jak twierdzi poeta: *Bo pełen świat szukania — a nie masz mądrości./ („Proverbium”, s. 5).*

Jarosław Iwaszkiewicz, pragnie w tym świecie odszukać cokolwiek, co nada sens życiu, przewartościuje je na coś pięknego, szlachetniejszego, godnego bycia. To szukanie to odkrywanie innych kultur. Wiersze stają się prawdziwymi obrazami poetyckimi. Każdy, kto choć raz dotknął obcej kultury i zwyczajów, wie, że trudno przejść do zwykłej, szarej rzeczywistości. Widać jak inna kultura wpływa na poetę. Chciałby tutaj: *Czuje zanik zdolności wizyjnych./Już nie wyobrażam sobie ciebie w błękitnym ubraniu blue — boya z pióropuszem: sylwetka głowy i włosy jak węże widnieją w oślepiąco błękitnym promieniu lampy kinematograficznej./ („Degeneracja”, s. 9).*

Obce kultury to fantastyczne źródło odkrywania swojego ja i swojej przynależności do danego świata i danej przestrzeni. Coś pozwala na spojrzenie na siebie od innej strony. Ale poza nimi istnieje jeszcze coś. Oddech, migotanie, sine mgły, obłoki, góry świętokrzyskie, Wawel, góra chełmowa. Wszystko bliskie i jednocześnie tak dalekie. Wszystko znane i mniej znane. Kilka światów w jednym. Taki mały miszmasz.

Dla Jarosława Iwaszkiewicza ważna jest migotliwość tego świata. Ukazuje to chociażby w sonetach. Ujęcie w ramy opowieści z obidzowskiej góry, z Tęczyna, Wenecji, itp. ma swoją melodię. Dlatego właśnie czytelnik ma wrażenie swojskości. Wszystko jest mu znane, dotykalne, mierzalne spojrzeniem. Tak jak legendy kozackie, czy pieśni góralskie. Po doświadczeniu z „Próbami” Michała Montaigne’a rzeczywiście czuje ulgę: *Jak Michała Montaigne’a nieśmiertelne „Próby”/Dni moje — próżne wdzięku, a pełne rachuby,/Zdarzeń dziwnych, przyjemnych, a błahych w istocie./Uśmiecham się: na niebie chmury a stokrocie./ („Wiosna”, s. 19).*

Bohater utworów Jarosława Iwaszkiewicza stoi pomiędzy wiosną a zimą, jest niespokojny, przelotny jak ptak, tracący pamięć z dnia na dzień, wierzący w świętą Teresę, w świętego Piotra, franciszkanów, spacerujący po Brackiej, Szpitalnej, Rogu Zgody, obserwujący dom Gebenthnera i Wolfa. Podmiot liryczny obserwuje nadchodzący powoli czas. Wszystko widzi i słyszy. Jest wszechwiedzący. Choć nie zawsze: *czy to warto iść taki kawał?/Mękę wlec przez obie półkule?/ Chrystus przycgarń! Magdaleno,/ Czy mi wybaczy ołowianą kulę?/ ([Chodzę. Chodzę. Chodzę], s. 25).*

Wszechwiedza czasami okazuje się zgubna. Podobnie jest z niewiedzą. Często jednak, jak podmiot liryczny zdradza, nie obchodzi go sprawa tego świata: *Chodzę. Chodzę. Chodzę./Lubię Stasia. Wolę Adolfa./Czy życie jest snem? To mnie nic nie obchodzi./ ([Chodzę. Chodzę. Chodzę], s. 25)).*

To chodzenie w kółko zobowiązuje jednak do pewnych działań. Przede wszystkim do obserwowania uschniętych włosów złej kobiety, zakwitnięcia zmarłych śrub i sprężyn bukietów, odszukiwania trupa księcia, układania we flamandzkie fałdy i frędzli fioletu mgieł polskich i florenckich wzgórz.

Bohater wierszy Jarosława Iwaszkiewicza wie, że migotanie tego świata należy do najprzejmniejszych a zarazem niesamowitych widoków i warto je obserwować, aby potem spisać swoje przemyslenia o młodziutkim Chrystusie: *Młodziutki Chrystus konające oczy/ Baby swej, Anny, zamyka palcami,/ Drzy mu podbródek./ („Quintin Matsys”, s. 27).* Wyczekuje na to, co zdarzy się w niedalekiej teraźniejszości lub przyszłości. Wie, że każdy człowiek umrze, nie poznając tak do końca, gdzie naprawdę kończy się świat. Uważa, że jeszcze nie nadszedł czas na ostatnie sądy i zastanawianie się nad tym, kim był tutaj na ziemi, jak żył: *Jeszcze nie pora na ostatnie sądy,/ Czym byłś tutaj — nikt nie opowiada./ Może gałązką, którą niosły prądy,/Może kamieniem, który na dno spada./ („Pióro strzaskane, ale jeszcze pisze]”, s. 32).*

Sen i jawa dają początek czemuś nowemu, ale są również zagrożeniem dla nas samych. Przemijanie pór roku tak dobrze widoczne w niektórych wierszach odzwierciedlają stan duchowy podmiotu lirycznego. Poeta pisze: *sen mnie zbiera jak niedźwiedzia./ale w nocy spać nie można:/jesień niby stara wiedźma/stapa mądra i ostrożna./ („Coraz ciszej, jesień, wrzesień!”*, s. 35). Sen zbiera swoje żniwo. Nie daje być szczęśliwym.

W wierszach Jarosława Iwaszkiewicza przestrzeń ma również konotacje ujemne. Często pojawia się jako miejsce niepewnych, dręczących i złych zdarzeń. Poeta zastanawia się nad tym, dlaczego umarli przychodzą do niego w ziemie i że nieprawdą jest, iż pojawiają się w czasie wiosennym i letnim. Poeta pisze o tych, którzy wypełniają jego przetrzeń, tak oto: *Florencja. Mgła/To nieprawda że umarli przychodzą na wiosnę/zakłękli w kląskaniu i w rymie/i że w jesieni to także nieprawda: umarli przychodzą w ziemie!/Skradają się po śniegu/nie zostawiając śladu/Wołają:mamy cię zbiegu/tużes ty stary dziadu/ („[Florencja. Mgła]”, s. 36).*

Poezie, towarzyszą umarli niemalże na każdym kroku i toczą z nim wymaginowane rozmowy. Jarosław Iwaszkiewicz, potwierdza, że widzi zmarłych wszędzie, wie, że przyszli właśnie po niego. Nie ucieka przed nimi. Nie chowa się za wachlarzem. Czuje ich blisko siebie, ale nikt ze zmarłych go nie dotyka, tylko nakrywa żalobnym welonem. Takie widzenia potrafią być naprawdę nieźnośne.

Jarosław Iwaszkiewicz, informuje nas o tym trochę z przekorą, a trochę ironicznie, nie chce się wymądrzać, ani udawać filozofa. W ten sposób, zachowuje ironiczno — przekorny dystans wobec wielkich, tajemniczych spraw tego świata i człowieka. Tymi ironicznymi chwytami próbuje poeta odpowiedzieć na wiele dręczących go pytań. Próbuje tak doświadczyć samotności i cierpienia. Chce łagodniej znieść ból.

Twórca całego zbioru próbuje doszukać się swojej wartości w każdej myśli i w każdym działaniu. W próbuje odnaleźć samego siebie: *nie bądź sentymentalnym płaksą/Każdy musi przejść swój Rubikon/ („Wiedeń”, s. 38).* Każdy z nas musi zapłacić za chwile szczęścia cierpieniem i niepewnością. Poeta nie obnaża tutaj wszystkiego, co męczy go od środka. Może i dobrze.

Jarosław Iwaszkiewicz zawsze szedł swoją drogą. Zawsze pokazywał to, co trapiło go najbardziej. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że cieszy go, iż ma możliwość słyszenia czegoś, co słyszą wszyscy dookoła i dostrzegania tego samego, co inni. Jego wiersze są pełne różnych sensów, przyciągają naszą uwagę, wymagają różnych interpretacji, które czasem się powielają. Wiersze Iwaszkiewicza są właśnie takimi wierszami, które otwierają się na możliwość wieloznacznych interpretacji, są wierszami otwartymi, by zacząć żyć w formie, przeciekającej do gałęzi i stać się domem.

Poeta pragnie się wypowiedzieć tutaj jak najczęściej. Nieustannie chce czegoś dotknąć, zobaczyć, przeżyć: *mam bardzo miły pokój/ale brak w nim fotela/ile razy wracam z miasta/ otwieram drzwi z klucza/myślę: a może/wstawiono mi fotel?/ („Pokój w hotelu”, s. 49).*

Jarosław Iwaszkiewicz potrzebuje czasami zwykłej rozmowy z innym człowiekiem. Taka rozmowa ma fundamentalne znaczenie dla niego. Wie, że poprzez dialog, mediację, ludzie mogą się nawzajem poznać, mogą poznać siebie i swoje możliwości: *pamiętam jak strasznie kochałeś/a teraz to ja odpowiadam puszczycowi/nie pamiętam nie pamiętam/ („Co puszczyki robią w dzień?]", s. 54).*

Poeetę fascynuje prawdziwa pogoda pod pękiem paproci; wiersz jak frędzel, perła z atlasem, wzajemne przenikanie się człowieka i przyrody, podmiotu i przedmiotu. W tej iwaszkiewiczowskiej niepewności świata tego i ludzi — czyli wielkich, pobrudzonych i zachwyconych zwierząt, Iwaszkiewicz, odnajduje gwarancję przetrwania. Jarosław Iwaszkiewicz stara się pisać o kwiatach, owocach, książkach, telimenach, patarafkach. Pisząc o kwiecie, mówi o złamanych klawikordach, czarnych futerałach, kulawym stoliku. W tej pułapce pisania znalazła się także książka kucharska prababki oraz różowa poduszka do szpilek.

W tomie tym znajdują się 44 wiersze Jarosława Iwaszkiewicza. Ich wyboru dokonał Jacek Dehnel. Według mnie wiersze te nie całkiem zaspokajają moje czytelnicze aspiracje. Znam wiele innych znacznie ciekawszych wierszy Iwaszkiewicza. Ale i tym nie można odmówić refleksyjności i szczerości wyznania.

Daria Dziedzic

Jarosław Iwaszkiewicz: *Wielkie, pobrudzone, zachwycone zwierzę*, Biuro Literackie, Wrocław 2013

PUSTE MUZEA, KAROLINA KUŁAKOWSKA

*Na drodze ludzie, a nam
wciąż trafiają się puste muzea*

[Cicha improwizacja]

Budulcem dla poezji, gruntem, na którym rodzą się wiersze, może być wszystko — realne, nadrealne, surrealne i nierealne elementy i wymiary wszystkich światów czy zaświatów. Niekiedy źródło, z którego wybija poezja już samo w sobie jest przetworzeniem, tak dzieje się w przypadku ekfrazy, która daje szansę na wyprowadzenie słowa ze sztuki wizualnej na mnóstwo sposobów. To, z czym mamy do czynienia w wierszach Karoliny Kułakowskiej zebranych w tomie *Puste muzea*, w szczególny sposób oscyluje wokół idei ekfrazy, wywodząc bowiem poezję ze świata malarstwa, sięga czasem do samych obrazów, czasem do biografii ich twórców, a czasem do „malarskiego” sposobu podglądania świata, naturalnego w przypadku autorki, która jest malarką, absolwentką wydziału edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych. Podwojona pasja i wrażliwość artystyczna przyniosły efekt oryginalny, subiektywną poetycko-malarską galerię.

W tomie (zorganizowanym w 3 części: „ciche wernisaż”, „portret zbiorowy” i złożone z czterech cykli „większe pejzaże”), w swoistej podróży w głąb płócien, spotykamy niezwykle postaci, jest i Mary Stevenson Cassatt, amerykańska malarka impresjonistyczna, autorka niezwyklej portretów macierzyństwa, żyjąca i tworząca w Paryżu („erotyki paryski”), jest austriacki malarz i poeta Oskar Kokoschka i jego wielka, brzemenna w obrazy namiętność do wdowy po Gustawie Mahlerze, Almy Mahler („1947 [Alma Mahler, wdowa po Werflu, leci do Europy]”), znajdziemy tropy do twórczości Egona Schielego, Gustava Klimta, Édouarda Maneta czy malarstwa barokowego. Bogactwo odniesień i inspiracji u Kułakowskiej (okazuje się, że nie jedynie malarskich: jest sporo wierszy „dialogujących” z tekstami Tomasza Różyckiego, Tadeusza Dąbrowskiego, Edwarda Pasewicza czy Georga Trakla) nie jest sztuką dla sztuki (nomen omen), jest punktem wyjścia, asumptem do ustalenia przestrzeni na własne imaginaria i przemyslenia. Ciekawym zabiegiem jest technika łączenia (kolaż?) odmiennych rejestrów czy tropów kulturowych. Obok „malarskiego tła” mamy więc np. „nomenklaturę informatyczną”: *Jeśli wciąż jesteśmy, to nie potrzebujemy / rozmów. Wystarczą skromne Belle Epoque / na moich ustach i twoim pulpicie (...) Jeśli wciąż jesteśmy, to mostek czarownic / wzrusza tak, jak ściera nie plików Aresem* [„nierotyki wrocławski”), mamy wiersze dość „odważne obyczajowo”: *przyjemny spacer w szerokim mieście, / a kocie lby zaglądają między uda. // Gdy zaczyna ci cieknąć z nosa dają chusteczkę, / a jakaś kobieta mówi, że daje się tylko mężowi. // Wyobrażam sobie, że ona jest jedną z tych, które/ dzielą kobiety na święte i kurwy.* [„Pierwsze spotkania”), i takie, w których sacrum prawdziwie obrazoburczo zderza się z profanum: *Rozebrani do połowy / wchodziliśmy niespokojnie po schodach. / (...) położyłam się na stole, rozluźniona, jak/ splot znoszonego swetra. Przypomniały mi się wtedy / wszystkie ucztę, które odbyliśmy na tym niewinnym / obrusie (...) Zastanowiłam się, czy to na pewno / nikogo nie obrażało, skoro nad drzwiami//mosiężny Chrystus zasłonił się pajęczyną.*[„wieczera”), a zdarzają się i takie autotematyczno-arspoetyczne rozważania: *Od kiedy płodzę wiersze, ulice wydają się bardziej szare, / a wszyscy ludzie na pierwszy rzut tacy sami. (...) Od kiedy płodzę wiersze nocami, jestem znawczynią / najzwyklejszej miłości, wielokrotnie szczytuje we śnie* [„poezja”). Ponad różnorodnością języka i poza malarskim podglebiem tych wierszy jest jeszcze rozmach poetyckiej wyobraźni: nie konstruując wymyślnych metafor Kułakowska znalazła swój sposób na ciekawe zderzenia słów, z tych zderzeń rodzi się jakaś nowa ich faktura, na ile ciekawa, na ile nośna, niech zaświadczą choćby fragmenty: *więc nagle jesteśmy ulotnie ocieramy się o niebo // jednak na przekór zapomniano podać nam ciała* [z cyklu znaki zodiaku „Waga”) czy *skanowałeś na mnie liście, aż zabrakło kolorów* [z cyklu znaki zodiaku „Panna”). Kody kulturowe, bogactwo inspiracji, poetyckie klucze i techniki nie przesłaniają w książce Kułakowskiej sceny codziennych dramatów i uniesień, niepokojów i paradoksów, wiecznych braków i częściowych spełnień. które przecież są warunkiem koniecznym poezji, jeśli w finale mamy jej „doznać”.

Izabela Fietkiewicz-Paszek

Karolina Kułakowska, *Puste muzea*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013

Autorzy goszczący po raz pierwszy:

Roman Ciepliński. Urodzony w 1965 r., w Szczecinie. Prozaik, malarz, dziennikarz. Wydał powieść „Diabelski młyn”. Mieszka w Szczecinie.

Dariusz Filar. Urodzony w1950 r. Od 1992 r. profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Gdańskiego. W latach 2004-2010 członek Rady Polityki Pieniężnej Narodowego Banku Polski, a od 2010 roku Rady Gospodarczej przy Prezesie Rady Ministrów. Opublikował powieść obyczajową oraz cztery zbiory opowiadań fantastyczno-naukowych

Elżbieta Musiał. Poetka, eseistka, malarka, publicystka. Należy do Związku Literatów Polskich oraz do Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików. Stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Piotr Piątek. Jest lekarzem stomatologiem i członkiem Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów. W 2012 r. debiutował tomikiem „Dyrygent fał” wydanym przez WFW, chociaż pisze już od ponad 20 lat.

Marzena Mariola Podkościelna. Urodzona w1969 r. Mieszka w Olchowcu, w pobliżu Krasnegostawu. Wiersze pisuje od niedawna. Publikowała w prasie i almanachach.

Jurij Polakow. Urodzony w 1954 w Moskwie. Prozaik, publicysta, dramaturg, poeta.

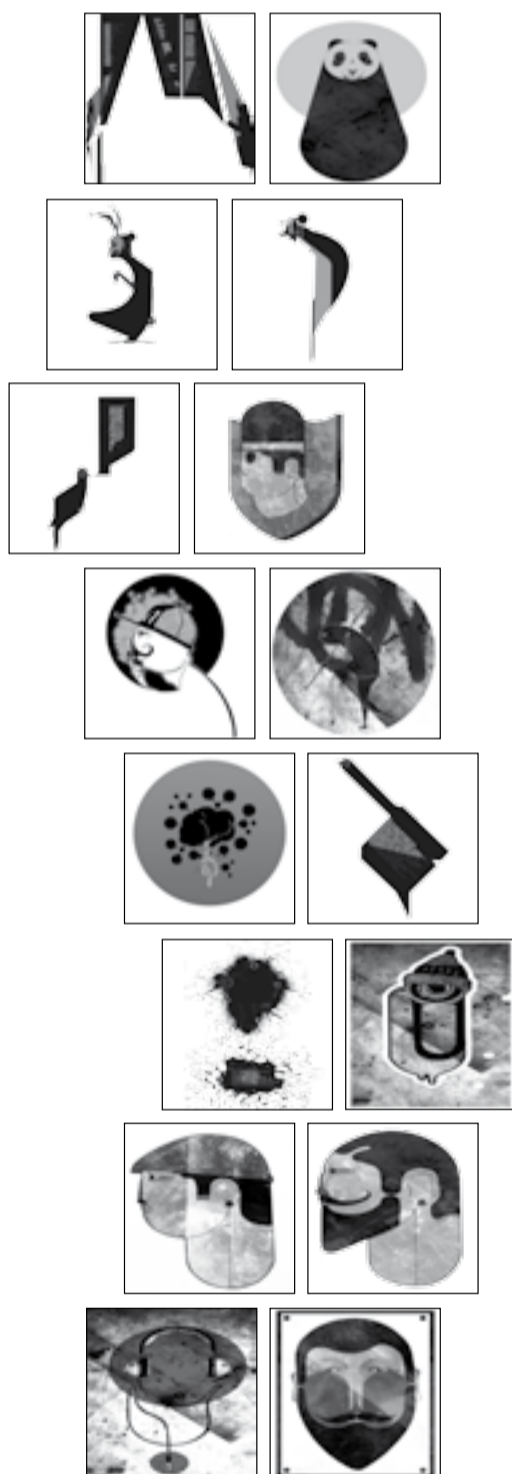
Anna Szudek. Urodzona w 1993 roku w Nowym Sączu, studentka lingwistyki stosowanej na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktorka portalu Screenagers.pl, poświęconego muzyce alternatywnej i niezależnej.

Aleksander Timofiejewski. Autor, rocznik 1933, poeta znany i ceniony, publikował m.in. w podziemnym „Metropolu” w latach 70.

Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz. Urodzona w 1971 roku. Pisze poezję, prozę. Recenzentka poezji, nauczycielka języka polskiego w gimnazjum, animatorka kultury wśród młodzieży.

W numerze rysuje DOMINIK KOWALCZYK

Dominik Kowalczyk urodził się 23 czerwca 1986 roku we Włocławku, gdzie ukończył Liceum Plastyczne. W latach 2006-2009 studiował Grafię w Kolegium Sztuk Pięknych w Kazimierzu Dolnym. Następnie w latach 2009-2011 kontynuował studia na tym samym kierunku na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Marii Curie- Skłodowskiej w Lublinie, gdzie obronił dyplom z grafiki. Obecnie zajmuje się malarstwem ściennym i sztalugowym a także grafiką komputerową i ilustracją.



zdjęcia WOJSLAW BRYDAK

Urodzony w 1942 roku. Z wykształcenia pianista i reżyser teatralny. Ponadto zajmował się tłumaczeniem prozy anglojęzycznej. W latach 1992-2012 przełożył niemal 20 powieści i zbiorów opowiadań. W latach 1994-2012 redaktor „Rocznika Sopotniego”. Pracuje do dziś w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Fotograf. Kilka wystaw indywidualnych oraz udział w licznych wystawach zbiorowych.



Migotania

Gazeta literacka

Migotania



ISSN 2083-2494

numer 3 (40) 2013

Redakcja:

Redaktor naczelny: Zbigniew Joachimiak

Sekretarz redakcji: Karolina Zdanowicz

Dział tekstów: Agata Foltyn

Redaktorzy: Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Marta Fox (Katowice),

Jan Gondowicz (Warszawa), Maria Jentys-Borelowska (Kraków), Jerzy Suchanek (Gliwice), Andrzej Wołosewicz (Warszawa), Bogusław Żyłko (Gdańsk).

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork), Ewa Graczyk (Gdynia), Piotr Goszczycki (Warszawa), Andrzej C. Leszczyński (Gdańsk), Artur D. Liskowacki (Szczecin), Adam Majewski (Gdańsk), Grzegorz Musiał (Bydgoszcz), Jerzy Niesiobędzki (Wyszembork), ks. Jan Sochoń (Warszawa), Leszek Szaruga (Warszawa), Olga Śmiechowicz (Łódź), Roman Warszewski (Gdynia), Marek Wawrzekiewicz (Warszawa), Krystyna Śmiechowicz (Łódź), Zofia Beszczyńska (Warszawa), Sławomir Majewski (Miechów), Leszek Zuliński (Pruszków)

Projekt graficzny: WiS Opcjon

Opracowanie graficzne: Michał Szwaguliński

Dział fotografii: Sybilka Storie

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk

tel. 782-022-502

joa@migotania.pl, zdanowicz.karolina@migotania.pl

FUNDACJA



światło literatury

Migotania. Gazeta literacka sprzedawana jest w salonach Empik w całym kraju w cenie 15 zł. za pojedynczy egzemplarz (numer podwójny w cenie 25 zł.). Możliwy jest również zakup za zaliczeniem pocztowym. Łaskawe zamówienia proszę składać w Redakcji dowolną drogą. Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres: zdanowicz.karolina@migotania.pl



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Prenumerata!

Cena „Migotań” wynosi 15 złotych (25 złotych numer podwójny), w prenumeracie 12 złotych za egzemplarz (24 złote numer podwójny)!

Prenumerata za cztery kolejne numery wynosi 60 zł. To koszt gazet wraz z przesyłką.

Aby mieć pewność, że przesyłka nie zaginie, zachęcamy do wybrania opcji przesyłki poleconej. Wówczas koszt prenumeraty to 68 zł.

Jak zamawiać? To proste! Jest na to wiele sposobów:

- 1) Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie;
- 2) Wyślij zamówienie mailem na adres: zdanowicz.karolina@migotania.pl;
- 3) Wyślij zamówienie na adres: Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk.

W tytule przelewu proszę podać adres, na który ma być przesyłana prenumerata, oraz numer „Migotań”, który ma zapoczątkować prenumeratę.

Prenumeratę otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na konto: Bank Millennium 74 1160 2202 0000 0001 7019 5866

lub za pobraniem pocztowym (koszty pobrania ponosi prenumerator).

Migotania

Migotania

Wszystkich Czytelników,
Autorów
oraz Przyjaciół „Migotań”
zapraszamy
do wsparcia finansowego naszej Gazety
poprzez jej prenumeratę w roku 2013.
Tylko dzięki Waszej pomocy
będziemy w stanie przetrwać
na trudnym rynku
oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc!
Redakcja

Nowe Poszczekadła

1. Z kobietą jak ze śmiercią: im mniej o niej myślisz tym pogodniej upływa dzień.
4. Kosmos jest precyzyjny z dokładnością do fotonu; matematyka – z dokładnością do izomorfizmu;
9. Bzik egalitarny szerzy się jak morowa zaraza; obłuda szaleje; Diabeł w biały dzień spaceruje po pryncypialnych bulwarach
12. Bóg dobry to bóg bezsilny; bo gdzie jest siła – tam jest zło.
13. Sokrates był dość mądry na to by nie gryzmolić, lecz nie dość mądry na to, by nie paplać.
14. Bóg opuścił Eden zostawiając człowieka samemu sobie; i to się nazywa: Wygnanie z Raju.
15. Gdy Adam i Ewa spożyli owoc z Drzewa Poznania, Bóg umył ręce a Diabeł zakasał rękawy.
17. To bardzo dziwne, że żywi nie dziwią się że żyją a zmarli nie dziwią się, że nie żyją.
18. Kobiety krążą pośród mężczyzn jak wilcy wśród baranów i tylko patrzą którego by pożreć.
20. Swą mądrość ukrywaj – jeśli masz co ukrywać.
23. Kto nie wie, że żyje w Piekło ten ma krańcowo opaczne wyobrażenia o świecie, ludziach i samym sobie.
26. Mieć światopogląd – to cierpieć na nie swoją chorobę.
29. Gdy z ust kobiety pada słowo „kocham” znak to, iż potrzask już gotów i męczyzna winien szykować się na najgorsze
30. Wszystko co ludzkie – jest bez znaczenia.
31. Za mądry aby żyć?... Za głupi aby umrzeć?...
36. Jedna rzecz – znać mądrość, zgłębiać inną – być mądrym.
37. Człowiek humanistów to pobożny postulat, to bajeczny zwierz, który nigdy nie stąpał po orbis terrarum.
39. Dorosli to dzieci, które przestały się bawić „w dzieci” a zaczęły się bawić „w tatę i mamę”. by usunąć białe plamy po Ostatnim Ukochanym.
43. Theologia Nova
Bóg spowiada się Diabłu z grzechów. Diabeł nakazuje Bogu, jako pokutę, wcielić się w człowieka. Bóg wzdraga się z obrzydzenia, gdyż człowiek jest najpodlejszym ze stworzeń. Diabeł argumentuje, że bez takiego aktu pokory i samozaparcia Bóg nie uzyska rozgrzeszenia; zrezygnowany, Bóg wciela się w najpodlejsze ze stworzeń. I tak zaczęła się historia ludzkości: historia pokuty nakazanej przez Diabła grzesznemu Bogu.
47. W małych dawkach, człowiek pobudza i krzepi; dozowany obficie – przygnębia i truje.
48. Uderz w stół – a bydlomorficzni się odezwą.
49. Wraz ze szlachtą i kościołem zniknęły pewne unikalne wartości; czy te, które weszły na ich miejsce równoważą tę stratę?
52. Niestety! Nawet głupota nie zabezpiecza przed nieszczęściem.
55. Brzemień żywota dźwiga idiota w puchach nicości mędrzec śpi.

WYPRASOWANIE (7)



*Polak to jest jakiś
stwór nikczemny,
nieudany, podrzędny
– już nie człowiek.*

Zacznę od nietypowego środka przekazu, gdyż od transparentu, ale nie potrafię się powstrzymać od zdania sprawy z lektury, która mną wstrząsnęła. Otóż – jest początek sierpnia 2013 roku – przyglądałem się na wsi przemarszowi kolejnych kolumn pielgrzymujących do Częstochowy wiernych, jedną zaś z owych kolumn prowadziła pani taszcząca planszę z ogromnym napisem „Maryjo ratuj Polskę”. Okazuje się, że wierni naszego Kościoła katolickiego, a i ich pasterze, upowszechniają wiadomość o śmiertelnym chyba zagrożeniu naszej Ojczyzny – tak wielkim, iż wybawić nas z niego może jedynie interwencja Najświętszej Marii Panny, bo sami już chyba nie podolamy. Upowszechniana wiadomość jest też zapewne wyrazem ich – wiernych i pasterzy – najgłębszego przekonania o tym, że znaleźliśmy się jako kraj w stanie straszliwej opresji. Popadamy zapewne w niewolę równie głęboką, jak wschodnia część Europy przez 500 lat okupowana przez Turków, przy czym nasze ledwie 123-letnie rozbiory to zaiste ledwo wart uwagi epizod. Transparent co prawda nie dopowiadał sprawy do końca, ale niedopowiedzenia to wszak jeden z tych chwytów erystycznych, które winny dać słuchaczom i czytelnikom do myślenia. Jak pomyślałem, od razu sobie uświadomiłem, że przecież już mnie powiadomiono o strasznym położeniu Polski, która stała się kondominium niemiecko-rosyjskim, co można jeszcze srożej wyrazić mówiąc o dominacji teutońsko-scytyjskiej.

Niedopowiedzenia funkcjonują jednak także w prasie. Oto walczący o prawdę felietonista „Rzeczypospolitej” w dodatku „PlusMinus” (nr 31/2013) napisał kolejne wypracowanie, tym razem zatytułowane „Kto sieje wiatr, ten zbiera plotki”. Rzecz jest o tym, że Polskę obiegła pogłoska jakoby Agnieszka Holland zbierała poczęła materiały do filmu o generale Wojciechu Jaruzelskim: „Kanwą tego obrazu mają być wspomnienia córki generała, a w głównej roli ma wystąpić Bogusław Linda – pisały internetowe portale”. Holland zaprzeczyła, ale niezależnie od tego Dominik Zdrot snuje dalsze dywagacje opierając się na faktach, że plotka nikogo nie zdziwiła: „Nie zdziwiłoby pewnie także nikogo, gdyby znany poeta, w czasach PRL działacz nad- i podziemnej „Solidarności”, publicysta paryskiej „Kultury”, dziś nienawistnik obrzucający swoich przeciwników najbardziej obelżywymi obelgami, zapowiedział, że napisze powieść o tym, jak niektórzy działacze demokratycznej opozycji – oczywiście nie Michnik i Kuroń, ale ich dalecy i tchórzliwi współpracownicy, dziś liderzy prawicy – dopuszczali się różnych przestępstw”. Po czym zastrzega: „osoby wymienione w tym tekście nie mają nic wspólnego z autentycznymi postaciami”, a czyni to w imię „procesowej ostrożności”. Żaloszny Zdrot, Dominik Zdrot, nie wie (bo niby skąd?; przecież „Kultury” w rękę nie trzymał, o „Wezwaniu” nie wspominając), że Tomasz Jastrun także w podziemnym „Wezwaniu”, a później i w „Kulturze” nie był dla swych koleżanek i kolegów z demokratycznej opozycji łaskaw i z lubością tłukł ich w słabinę. Co zaś do owych „najbardziej obelżywych obelg”, to Zdrot, Dominik Zdrot, pewnie prawdziwych obelg jeszcze nie słyszał ani o nich nie czytał: polecam w tej dziedzinie choćby wpisy na portalach prawicowych – czas się dokształcić. No i odwagi trochę nabrać, a nie asekurować się niedopowiedzeniami w trosce o „procesową ostrożność”. Zresztą za głupotę procesów się chyba nie wytacza.

No i wreszcie jądro wypracowania: „Zastanówmy się raczej, dlaczego prawie nikogo nie dziwi, że znani twórcy, niegdyś zaangażowani w walkę o niepodległą i demokratyczną Polskę, mogliby robić filmy i pisać książki, które zohydzają ich patriotyczne zaangażowanie sprzed 1989 roku”. No właśnie, zastanówmy się... Dlaczego zastrzyżony w walce o wolną i demokratyczną Polskę wierny wodzowi piłsudczyk jakim był bez wątpienia Juliusz Kaden-Bandrowski napisał powieść „Generał Barcz”, w której ukazał Piłsudskiego jako postać może nie do końca czystą i szlachetną, zaś osiągnięcie niepodległości określał mianem „radości z odzyskanego śmietnika”? W imię prawdy? Zapewne, w końcu prawda jest najważniejsza i tylko ona nas wyzwoli. Nie dziwi więc nikogo fakt, że pojawiający się na kartach tego utworu brytyjski żurnalista z lubością podgląda „polish folklor”. Przyznam, że często i ja dzisiaj tak właśnie patrzę na nasze życie polityczne. Jastrun zapewne też, ale to nie znaczy, że opisywanie tego folkloru jest miotaniem „najbardziej obelżywych obelg” – opis to opis, byle się fakty zgadzały. A, niestety, zgadzają się.

Zgadza się jeszcze jedno: nie istnieje już, czego tekścik Zdrota, Dominika Zdrota, dowodzi wyczerpująco, możliwość napisania prawicowego tekstu, w którym nie doszłoby do, choćby pobieżnego, dokonanego jakby mimochodem, splunięcia w stronę Adama Michnika lub próby jego kopnięcia. Piszę o tym we „Wproście” (nr 32/2013) Rafał Kalukin w artykule „Michnikofobia”: „Prawicowa michnikofobia jest w dziejach III RP zjawiskiem szczególnym. Spotyka się tu realny spór o kształt Polski po 1989 roku z mglistą sferą narodowych mitów, klasowych i etnicznych uprzedzeń, środowiskowych kompleksów, zawiedzionych miłości potrzeby dominacji. Zaczęło się od uwielbienia. Adam Michnik – lider zbuntowanych w 1968 roku studentów, jeden z liderów KOR, autor ważnych książek w drugim obiegu, nieustępliwy więzień stanu wojennego, piszący z celi arogancki list do Kiszczaka – stał się w latach 80. symbolem oporu. Adorowali go najświetniejsi pisarze, wybitni intelektualści, bojkotujący telewizję aktorzy”. Warto choćby wspomnieć o tym, jak z „Adasia” uczynił jedną z piękniejszych postaci swej powieści „Rozmowy polskie latem roku 1983” Jarosław Marek Rymkiewicz, by po latach obrzucać niegdysiejszego idola stekiem wyjątkowo złośliwych, niewybrednych epitetów. Obawiam się, że Rymkiewicz zacznie jeździć

po bibliotekach publicznych i wykradać z nich egzemplarze swego dzieła tak jak czynił to podobno Jerzy Andrzejewski usuwając z nich swą książeczkę „Partia a twórczość pisarza”. I rzecz nie w tym, że nagle miłość wygasa czy zmienia się w nienawiść, lecz w tym, że te emocje tak długo trwają. Zastanawiam się, co Zdrot, Dominik Zdrot, może w ogóle o Michniku wiedzieć. Wie zapewne to, co gdzieś kiedyś przy piwie usłyszał, nie czytał zapewne żadnego tekstu Michnika, ale to akurat niewielka przewina, bo teraz nikt nic nie czyta, a sądy o nieprzeczytanej lekturze każdy nikt ma wyrobione. Ale dyscyplina dyscypliną: kopnąć musi. Tak zresztą podsumowuje to Kalukin kończąc swój artykuł cytatem znanego uczonego: „Bo jak pisał Paweł Śpiwak – „o wroga trzeba dbać, stale go podmałowować, od czasu do czasu urządzać na niego polowanie. Wynajdywać jego demoniczne cechy. Zdaje się nam bowiem, że bez niego jesteśmy nie dość dziarscy i niewystarczająco szlachetni””.

Rymkiewicz, oczywiście Jarosław Marek Rymkiewicz, idzie na całość, tym razem w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „wSieci” (nr 31-32/2013): „Zdrada była u kresu dziejów Rzeczypospolitej. Można powiedzieć, że zdrajcy dobijali wtedy Polskę. To przypomina trochę to, co dzieje się dzisiaj, bo Polska też jest teraz dobijana”. Dalej zaś: „Chodzi o to, że nie możemy zgodzić się dobrowolnie na rezygnację z naszego polskiego istnienia – czyli z naszej polskiej wolności, która nie jest naszym pomysłem, lecz została nam przed wiekami – przedwiecznie – darowana”. Darczyńca zresztą nie byle jaki – kilka wersów wcześniej zostaje nazwany po imieniu, gdy mowa o tym, że „prawo wolnych Polaków do wolnego istnienia”, wolność zatem, była Polakom „darowana przez Boga”. Oni sami tak uważali i to wystarczy za dowód. Jasne? Zatem jasne są dalsze wywody: „Celem wścieklej, zwierzęcej, antypolskiej propagandy, z którą mamy teraz do czynienia, jest przekonanie i zmuszenie Polaków, żeby sami się zlikwidowali, przestali być Polakami, zrezygnowali ze swojej polskości – a to znaczy, ze swojej wolności. Ta propaganda, skierowana przeciwko naszemu istnieniu, mówi nam, że Polak to jest jakiś stwór nikczemny, nieudany, podrzędny – już nie człowiek, lecz jakiś podczłowiek. Istnienie takiego podłego i brzydkiego stworu, mówi dalej ta propaganda, zaprzecza wysokim wartościom produkowanym przez europejskich nadludzi, a zatem pokraczny polski stwór powinien wstydzić się, że istnieje, a wstydząc się samego siebie, gardząc swoim polskim istnieniem, powinien sam się zlikwidować – jak najszybciej wyrzekając się swojej polskości. I oto w tym wszystkim, w tej wścieklej i rozwścieczonej antypolskiej propagandzie, właśnie chodzi – żeby Polacy wyrzekli się samych siebie i żeby w miejsce polskiego istnienia powstała pustka”. I wreszcie: „Aby do tego doprowadzić, aby wymusić rezygnację z polskości i zmienić Polaków w plemię niewolników, kiedyś zakładano obozy koncentracyjne i przeprowadzano uliczne egzekucje, dzisiaj, ponieważ w Europie na razie nie może być wojen, używa się w tym celu przemocy edukacyjnej oraz medialnej”. Kto przede wszystkim? Jasne: „A teraz kto decyduje o losie Polaków? Merkel może nie lubi Putina, ale w sprawie polskiej jakoś się chyba dogadają”. I teraz nareszcie rozumiem głęboką treść transparentu niesionego przez zmierzających do Częstochowy pielgrzymów.

Swoją drogą, niezależnie już od sensu cytowanych zdań, warto się chyba zastanowić czy, a jeśli tak, to gdzie na świecie używa się w takim natężeniu jak w Polsce (bo czyni tak nie tylko JMR, choć u niego ma to swą specyfikę: w innym wywiadzie dowodził, że największe stężenie polskości ma miejsce przy jego biurku w domu w Milanówku) słownictwa narodowego – Polska, Polak, Polacy, nasi Polacy, naszym Polkom, polskość, polski... Na wypródkę licytują się w deklinowaniu Polski i Polaków politycy i żurnaliści, co jakoś dziwnym trafem mnie śmieszy i przestrasza zarazem. Swego czasu wybrany w demokratycznych wyborach wódz sąsiedniego kraju zaczynał swe przemówienia od słów „Niemieccy mężczyźni i niemieckie kobiety!...”, ale to było dawno. To, iż obok wolności za polską differentia specifica uznaje JMR „szaleństwo”, w zasadzie nie dziwi. Szaleńców ci u nas dostatek i jeden więcej lub mniej różnicy nie czyni. Na koniec więc taka wizja JMR, która być może przyda się jako składnik programowy jakiejś partyjki: „Ale ta nasza cywilizacyjna energia niekoniecznie musiała uderzać w kierunku wschodnim. Na zachodzie też było coś do zdobycia i ucywilizowania w duchu polskim – dawne tereny słowiańskie, zagarnięte przed wiekami przez Karola Wielkiego. (...) Dlaczego (...) nigdy nie marzyła się nam Polska władająca na zachodzie, Polska jako imperium zachodnioeuropejskie (...) i jakoś nie pamiętaliśmy, że Chrobry wbił we żelazne słupy nie tylko w Dniepr, ale także w Łabę właśnie”. Właśnie... Należy więc może zwrócić uwagę na fakt z tego punktu widzenia doniosły: Polacy, naród wbrew pozorom mądry i zdolny, po osadzeniu się i umocnieniu w Szczecinie, w ciągu ostatnich lat coraz liczniej zasiedlać zaczynają okoliczne miejscowości niemieckie. Taki Drang nach Westen, po cichu, bez ognia i miecza, ale: alleluja i do przodu!